

GRA: TOM I

IMPAIR

EVE
SILVER



Eve Silver

GRA

TOM I. IMPULS

Przekład
Jakub Radziński

Tytuł oryginału: *The Game vol. 1 Rush*

Copyright © 2013 by Eve Silver

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIV

Copyright © for the Polish translation by Jakub Radziwiński, MMXIV

Wydanie I

Warszawa

Spis treści

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi

Rozdział dwudziesty trzeci

Rozdział dwudziesty czwarty

Rozdział dwudziesty piąty

Przypisy

Rozdział pierwszy

„Miki”.

Poderwałam głowę i wyteżyłam uwagę. Odepchnęłam się od drucianej siatki ogrodzenia otaczającego teren szkoły i rozejrzałam uważnie dokoła. Moje koleżanki siedziały po turecku na trawie parę metrów ode mnie pod potężnym, rozłożystym dębem rosnącym w rogu boiska.

Szkoła Glenbrook High miała rozległe tereny sportowe. Dwa boiska do softballu i dwa do koszykówki, pięć kortów tenisowych, otoczone bieżnią tereny do uprawiania lekkiej atletyki, miejsce do rzutu dyskiem i młotem, cztery boiska ogólne oraz jedno futbolowe z widownią na tysiąc osób.

„Nasz” dąb rósł na skraju jednego z boisk ogólnych. Moje koleżanki wybrały to miejsce ze względu na doskonały widok na bieżnię i korty tenisowe. Lubiły patrzeć na chłopców w krótkich spodenkach.

Przychodziłyśmy tam praktycznie każdego dnia po szkole. Zwłaszcza wtedy, kiedy trwał trening lekkoatletyczny. Tego dnia akurat go nie było. Tylko jeden chłopak robił kolejne okrążenia bieżni.

„Miki”.

Znowu! Jakiś chłopak wymówił moje imię. Jakby mnie znał. Jakby oczekiwał, że będę słuchała tego, co mówi.

Nie byłam w stanie określić miejsca, z którego dobiegał głos. Nigdzie nie widziałam zresztą nikogo, do kogo głos ten mógł należeć. W zeszłym roku za jedną z dziewczyn z mojej klasy chodził taki jeden dziwak. Od szkoły aż do jej domu. Mam nadzieję, że nie spotkało mnie właśnie coś podobnego... Sama myśl o tym przyprawiła mnie o zimny dreszcz – mimo ciepłego, popołudniowego słońca.

Zrobiłam kilka kroków w stronę ścieżki prowadzącej od ogrodzenia w stronę ulicy. Jednej z kilku takich dróg rozchodzących się wokół szkoły niczym szprychy wokół piasty koła w rowerze. Ta ścieżka była w zasadzie niewielkim skwerkiem wciśniętym między dwa domy. Wąskim paskiem asfaltu przecinającym szeroki pas trawy. Po jej obu stronach rosły drzewa. Ich gałęzie splatały się u góry, tworząc zielony dach. Do jesieni zostało jeszcze trochę czasu. Liście zaczną zmieniać barwę

dopiero za kilka tygodni.

Doszłam na skraj tego małego parku i się zatrzymałam. Byłam jakieś pięć metrów od moich koleżanek, około dziesięciu metrów od ulicy.

Między drzewami nie było nikogo.

Ale na pewno słyszałam, że ktoś wymawia moje imię!

Z miejsca, w którym stałam, widziałam przecnicę dalej, naprzeciw podstawówki Oakview, gromadkę dzieciaków przeprowadzanych przez jezdnię przez strażnika w kamizelce odblaskowej. Patrzyłam na jego wysiłki kilka minut, aż przeprowadził wszystkie dzieci na drugą stronę ulicy i zaczął szykować się do zakończenia pracy.

– Miki!

Tym razem usłyszałam głos mojej najlepszej kumpeli Carli Conner. Leżała wyciągnięta na trawie z nogami skrzyżowanymi w kostkach. Głowę oparła na zgięciu łokcia, pozwalając swoim włosom (farba numer jedenaście – ekstrajasny blond) okryć jej ramiona niczym miękkiej zasłonie. Nowy kolor podobał mi się zdecydowanie bardziej od numeru setnego (platynowy blond) z zeszłego miesiąca.

Z moimi stu sześćdziesięcioma siedmioma centymetrami wzrostu byłam minimalnie wyższa od Carli. Włosy miałam równie ciemne, jak ona jasne. Moja twarz zdradzała mieszane pochodzenie mojej matki. Była Nisei – amerykańską Japonką w drugim pokoleniu. Oczy miałam jednak po babci ze strony ojca – w kolorze indygo. Za każdym razem, gdy ktoś mówił mi, że wyglądam egzotycznie, miałam ogromną ochotę kopnąć tego kogoś solidnie w pizczel.

Carla uniosła brwi. Między nami zawisło jej niewypowiedziane pytanie. Dlaczego nie byłam z nimi, tylko gdzieś sobie poszłam?

Już otwierałam usta, aby coś powiedzieć, kiedy odezwała się Deepti Singh:

– Widziałaś go? – zapytała.

– Kogo? – odpowiedziałam pytaniem nieco zbyt ostro, myśląc, że może miała na myśli chłopaka, którego głos słyszałam.

– Co cię ugryzło? – odcięła się Dee, marszcząc brwi.

W tym momencie Carla uniosła się na rękach.

– Tego nowego chłopaka – powiedziała.

– Niesamowicie przystojnego nowego chłopaka – wcięła się Kelley Zimmer.

Dopiero teraz dotarło do mnie, że mówiłyśmy o dwóch zupełnie różnych osobach.

Dee skrzyżowała ramiona na piersi i zacisnęła wargi. Obraziła się. Westchnęłam. Carla spojrzała na mnie znacząco, chcąc, abym załagodziła sytuację. Była środkowym dzieckiem, dlatego zawsze dążyła do łagodzenia sporów.

– Skąd wiesz, że jest przystojny? – zapytałam, bardziej po to, żeby ugłaskać Dee, niż z autentycznego zainteresowania.

Udało się. Od razu się ożywiła.

– Słyszałyśmy od Sary – powiedziała. – Ona go widziała. Tak jakby. No... profil jego widziała.

– Ja widziałam coś więcej niż jego profil – powiedziała tajemniczo Carla, przeciągając każdą sylabę. Igrała z ciekawością Dee i Kelley, jak chciała. – Zanimiosłam listę obecności do sekretariatu dla pani Smith na ostatniej lekcji i akurat wtedy, gdy wychodziłam, wszedł on. Prawie się o mnie otarł.

Zacisnęłam usta, by nic nie powiedzieć. Znając Carlę, mogłam być pewna, że trochę przesadzała. Prawdopodobnie widziała go w drugiej części sekretariatu. Ale jej wersja brzmiała dużo ciekawiej.

– I co? – zapytała wyraźnie zaintrygowana Dee.

– Powiem tyle: niezłe ciacho – odparła Carla, przesuwając powoli czubkami palców po swoim ramieniu. – Aż się prosi, żeby go schrupać.

Parsknęłam cicho, słysząc to przestarzałe już wyrażenie. Carla spojrzała na mnie figlarnie i poruszyła kilkakrotnie brwiami. Zrobiła to oczywiście, by poigrać z Dee. A Dee to wszystko kupiła.

- O! Mój! Boże! – wyrzuciła z siebie panna Singh, składając razem dłonie.
- Opisz go – zażądała Kelley. – Z najdrobniejszymi szczegółami.

Carla sięgnęła do plecaka i zapaliła papierosa. Żołądek mi się skurczył na ten aż nazbyt znajomy widok. Zaciągnęła się, po czym wypuściła z ust cienką smużkę dymu. Szybko odwróciłam wzrok, żeby nie powiedzieć czegoś, czego bym później żałowała.

Doskonale znała moją przeszłość. Ale mimo to paliła. Kazania nigdy nie pomagały, nigdy nie zmieniały jej zachowania. Prawdopodobnie tylko zamknęłyby się w sobie. Już tego próbowałam. Wiele razy. Kiedy przechodziła przez fazę emo, potem na etapie piercingu. Tak samo było zresztą z jej piciem, które skończyło się zwymiotowaniem tuż pod drzwiami dyrektora, tygodniowym zawieszeniem i miesięcznym szlabanem.

Ale przez ten cały czas byłam przy niej.

Ona wytrwała przy mnie w znacznie gorszych okolicznościach.

„Miki”.

Nabrałam gwałtownie powietrza i błyskawicznie odwróciłam się, ale nikogo za mną nie było. Jedynym chłopakiem w zasięgu wzroku był ten na bieżni. Zbyt daleko, żebym mogła go usłyszeć. Musiałby krzyczeć. Przyglądałam mu się przez chwilę. Miarowy krok, wymachy ramion. Doskonale wiedziałam, co teraz czuje. Świetnie znałam to uczucie, gdy krew jest nasycona endorfinami. Euforia biegacza. W każdy dzień powszedni bladym świtem sama wychodziłam z domu pobiegać. Zamykałam się wtedy w moim małym świecie. Tylko ja, moja muzyka, rytmiczne uderzanie stóp o chodnik. I to uczucie euforii.

Chłopak zwolnił kroku, aby za chwilę się zatrzymać. Podeszedł na skraj bieżni i podniósł z trawy butelkę z wodą. Wysoki, ciemne włosy. Wydawało mi się, że na mnie patrzy. Stał za daleko, bym miała pewność, ale przysięgłabym, że tak właśnie było. Po chwili moje podejrzenia potwierdziły się i chłopak kiwnął mi lekko głową.

Luka Vujić. Kiedyś się kumpłowaliśmy, jakiś milion lat temu. Aż do... kiedy? Do połowy czwartej klasy podstawówki? Nie chodził do drugiej klasy w Glen-

brook w zeszłym roku. Jego ojca chyba wtedy przenieśli gdzieś na zachód. Teraz wrócił. Zmienił się przez ten czas. Nie chodziło tylko o to, że stał się wyższy i smuklejszy. W jego oczach było coś, czego nie widziałam w nich nigdy wcześniej.

Teraz te oczy utkwiał we mnie. Kiwnęłam mu głową w odpowiedzi i odwróciłam się z powrotem do koleżanek.

– O! Mój! Boże! – wypaliła Dee.

Ona „o-mój-bożuje” z byle powodu.

– Czy to jest Luka?

Wszystkie spojrzały w jego stronę i zaczęły się w niego wgapiać.

– Ale jest słodki – powiedziała Kelley.

– Bardzo słodki – zgodziła się Dee. – I dużo dojrzałszy od jego kumpli.

– Sądzisz? – spytała Carla.

Dee wzruszyła ramionami.

– Nie beka i nie opowiada kretyńskich dowcipów – powiedziała. – A przynajmniej nie robi tego na stołówce.

Nie ma to jak odpowiednie podstawy do wnioskowania o czyjejś dojrzałości. Ale zgadzałam się z Dee. Pomimo luzu i przyjacielskości Luka zawsze zdawał się trzymać jakoś tak na uboczu. Nawet w środku tłumu.

Carla wpatrywała się w Lukę jeszcze przez parę chwil.

– Jest nie tylko precudnie przystojny – stwierdziła w końcu – ale też inteligentny.

Wszystkie spojrzaliśmy na nią zdziwione. Inteligencja nie była cechą, na którą Carla zazwyczaj zwracała uwagę u chłopaków. Była raczej zainteresowana ładną twarzą i dobrym umięśnieniem. A najlepiej, jeśli taki chłopak miał też samochód.

– No co? – zapytała, unosząc wysoko brwi. – Ciężko tego nie zauważyć. Chodzi razem ze mną na chemię. I odpowiada na wszystkie pytania bez problemu.

– Uśmiechnęła się z wyższością. – Siedzi obok mnie i zawsze chętnie wszystko mi tłumaczy – dokończyła.

– Ale ty jesteś dobra z chemii – zauważyłam. – Od kiedy potrzebujesz, żeby ktokolwiek ci coś tłumaczył?

Wszystkie trzy dziewczyny spojrzały na mnie, jakby nagle wyrosły mi czułki. Po chwili dotarło do mnie.

– Aha – powiedziałam. – To nie jest kwestia potrzeby...

– To kwestia pragnienia – dokończyła Carla z szerokim uśmiechem na twarzy. – Jak na razie Luka pomaga mi z chemią, Darnell z hiszpańskim, a Shey z geometrią.

– Och, Shey – powiedziała rozmarzona Kelley z tęsknym westchnieniem.

– Nie potrzebujesz pomocy w żadnym z tych przedmiotów – rzuciłam.

Wszystkie trzy przewróciły oczami.

– Ależ potrzebuję – odparła Carla, unosząc znacząco brwi. – Bardzo potrzebuję.

– Mam nadzieję, że ten nowy chłopak będzie chodził na wszystkie przedmioty, na które ja chodzę – wtrąciła Kelley. – Czy był może dzisiaj na jakiejś lekcji z tobą? – zapytała zaciekawiona.

– Chyba jeszcze nie miał zajęć – powiedziała Carla. – Zdaje się, że tylko rozmawiał po południu z dyrektorem.

– Pewnie najpierw musi być odwalona cała papierkowa robota – westchnęła Kelley. – Teraz musimy poczekać aż do poniedziałku, by zobaczyć, jakie wybrał przedmioty.

I znowu rozmowa zeszła na nowego. Domysły, spekulacje, czy plan jego zajęć będzie pokrywał się z ich planem... Stopniowo przestałam tego słuchać, ale wylapałam jeszcze z rozmowy stwierdzenia „superprzystojny” i „kultowe pilotki”. Po pewnym czasie zmieniły temat na zbliżającą się imprezę halloweenową. Pozostało do niej jeszcze sporo czasu, ale przygotowanie dobrego kostiumu wymaga

wiele pracy.

Ja nawet nie zaczęłam na dobre myśleć o tym, co włożę.

Chciałabym móc się tym zająć. Chciałabym myśleć, że to ma jakiegokolwiek znaczenie. Moje koleżanki cały czas ekscytowały się a to nowym filmem, a to jakąś imprezą, a to zakupami... Wszystko to niosło dla nich intensywne *emocje*. Doskonale wiedziałam, jak się zachować, jak przed nimi udawać. Ale byłam zupełnie inna. Ile to już czasu? Prawie dwa lata? Nie cierpiałam tego. Chciałam być znowu... normalna.

Stałam przy ogrodzeniu i obserwowałam je. Wystarczająco blisko, aby być razem z nimi, ale jednocześnie na tyle daleko, aby być na uboczu.

Tym razem poczułam dreszcze, *zanim* usłyszałam czyjś głos.

„Miki Jones”.

Bomba, coraz lepiej. Moje nazwisko też zna.

– Co? – zapytałam pod nosem.

Omiotłam spojrzeniem drzewa, śmietnik, siatkę. Teraz już byłam wkurzona. Ktoś się przede mną chowa. Głosów nie słyszy się ot tak – samych z siebie. Ale moje koleżanki nawet na chwilę nie przerwały swojej paplaniny. Żadna z nich nie zwróciła uwagi na to, że ktoś woła mnie po imieniu. Nagle pomyślałam, że może istotnie to tylko ja *słyszę głosy*. Jak ten facet w filmie *Piękny umysł*.

Nie spodobała mi się ta możliwość. Uznałam więc, że był to jakiś głupi dowcip.

– Dobrze się bawisz? – wymamrotałam.

Powoli obróciłam się dokoła, wypatrując właściciela głosu. Następnie zatrzymałam wzrok na ulicy. Strażnik, który wcześniej przeprowadzał dzieci na drugą stronę, już zniknął. W zasięgu wzroku nie było nikogo innego. Oprócz...

Małej dziewczynki. Kucała na asfalcie, na środku pasów. Co ona tam robiła? Podnosiła coś? Powinna zaraz wstać i zejść z jezdni. Ale tego nie zrobiła. Wtedy zapaliła mi się w głowie lampka ostrzegawcza.

Z zakamarków mojego umysłu wypłynęło na wierzch wspomnienie. Gdy byłam mała, przechodziłam przez ulicę, tę samą ulicę, w tym samym miejscu. Moja mama czekała na mnie po drugiej stronie z wyciągniętymi do mnie rękami obiecującymi gorący uścisk, gdy do niej dojdę. W prawej dłoni trzymała ciasteczko, które miałam dostać w nagrodę. Starłam się zepchnąć to wspomnienie na powrót gdzieś głęboko, wymazać je. Zbyt bolało...

Ból to jedna z dwóch rzeczy, które wciąż byłam w stanie *czuć*. I to bardzo wyraźnie. Druga to gniew. Wszystko inne było odrętwiałe, odległe. Odniosłam dziwne wrażenie, że *powinnam* coś czuć, chociaż nie czułam nic.

Tym razem z dwojga złego wybrałam gniew. Tej dziewczynki nie powinno tam być. Ktoś powinien odebrać ją po szkole i zabrać do domu. Ale ona tam była – siedziała w kucki, z pochyloną głową.

– Hej! – krzyknęłam.

Nie zareagowała.

– Hej! – krzyknęłam ponownie, głośniej.

Zero reakcji. Nagle dotarło do mnie, że skądś ją znam...

Cholera! To młodsza siostra Janice Harper. Jest niesłysząca. A Janice jej nie odebrała, ponieważ siedzi za karę po lekcjach.

„Miki! Teraz!”.

Słowa zabrzmiały w moich myślach głośno niczym grzmot, ale ja już biegłam, zanim niewidzialny chłopak dokończył drugie słowo. Ulicą jechała ciężarówka. Stara, pordzewiała. Pędziła za szybko, trochę ją nosiło na boki. Brała właśnie zakręt, więc za chwilę wyjedzie prosto na siostrę Janice. Do tego kierowca miał spuszczone wzrok. W dłoni trzymał telefon. Nie byłam pewna, ale chyba właśnie pisał esemesa.

Serce waliło mi jak młotem.

Nie myślałam. Po prostu biegłam. Czułam, jak moje stopy uderzają w ziemię, ale wszystko było przytłumione, spowolnione. Jakbym przedzierała się przez wodę sięgającą mi do pasa. Jakby wszystko na świecie – łącznie ze mną – działało

w mocno zwolnionym tempie. Wszystko poza tą cholerną ciężarówką.

Byłam za daleko!

Szybciej. Muszę biec szybciej.

Ciężarówka wyjechała z zakrętu, co najmniej dwukrotnie przekraczając dozwoloną prędkość. Przez opuszczone szyby kabiny waliła głośna muzyka.

Wrzeszczałam najgłośniej, jak mogłam, ignorując ból już nadwerężonego gardła. Ale dziewczynka mnie nie słyszała. Nie mogła mnie usłyszeć.

Byłam już w pełnym pędzie. Płuca niemal bolały od wyętej pracy. Ale nie zważałam na nic gnana przerażeniem. I czymś jeszcze. Sił dodawał mi cały ból, cały strach, cały żal, które starałam się stłumić przez blisko dwa lata. Teraz w końcu znajdowały ujście i dawały mi wątplą nadzieję, że tym razem mam wpływ na to, co się stanie. Że dotrę do niej na czas.

Byłam już na chodniku. Jednym susem przesadziłam trawnik i krawężnik, lądując wprost na ulicy.

Mój cień padł na dziewczynkę. Dostrzegła to i podniosła wzrok. Zdziwiona otworzyła szeroko oczy i rozdziawiła buzię. Zaczęła się powoli podnosić. Wtedy usłyszałam straszny pisk opon sunących po asfalcie. Kierowca w końcu nas zobaczył i zaczął hamować. Ale koła się zablokowały, samochód wpadł w poślizg i teraz sunął na nas bokiem.

Rzuciłam się do przodu z wyciągniętymi przed siebie ramionami. Poczułam, że moje dłonie dotykają tułowia dziewczynki. Zacisnęłam je i szarpnęłam najmocniej, jak mogłam.

Udało mi się ją udźwignąć, wywołując u niej krzyk.

Widziałam wszystko bardzo wyraźnie niczym serię ostrych zdjęć chwytających każdy ułamek sekundy osobno. Widziałam dziewczynkę. Widziałam jej łzy. Kątem oka widziałam moje koleżanki biegnące chodnikiem w naszą stronę. I kogoś jeszcze mijającego je w pełnym sprincie... Lukę.

Widziałam ciężarówkę, która ponownie obróciła się i sunęła teraz wprost na mnie. Była tak blisko, że mogłam dostrzec wszystkie, nawet najmniejsze plamki

rdzy na osłonie chłodnicy. I widziałam jeszcze jezdnię, również mknącą mi na spotkanie. Płaską, szarą i twardą. Upadłam mocno i przeszorowałam spory kawałek po szorstkiej nawierzchni. Czułam, jak rozrywa mi rękaw i zdziera skórę do krwi.

Cały czas słyszałam pisk hamulców i czułam swąd rozgrzanej gumy. Poderwałam głowę, starając się umknąć ciężarówce z drogi, ale nie mogłam wstać.

Serce podeszło mi do gardła.

Nagle poczułam, jak czyjaś dłoń chwyta mnie mocno za ramię. Szarpnięcie. Ktoś poderwał mnie na nogi.

Luka.

Pociągnął. Ja też pociągnęłam. W przeciwnym kierunku. Zupełnie się nie zrozumieliśmy.

Ciężarówka wpadła na nas oboje.

Nie powinnam móc zapamiętać dokładnie każdego uczucia, każdego zdarzenia z osobna. Ale jednak mogłam to zrobić. Poleciałam do przodu pchnięta siłą uderzenia. Potem ktoś mnie podniósł. Leciałam. Krzyczałam. Następnie zderzyłam się ponownie z jezdnią z impetem, który wypchnął z moich płuc całe powietrze.

Nie czułam bólu. Jeszcze nie. Tylko szok i przesywające mnie zimne ostrze strachu.

Dźwięk, sprawiający ból dźwięk. Moje imię. Ludzie wykrzykiwali bez przerwy moje imię. Chciałam powiedzieć im, że wszystko jest ze mną w porządku. Ale nie mogłam poruszyć ustami, a w płucach brakło powietrza, by wymówić słowa.

Obróciłam głowę. Dostrzegłam dziewczynkę stojącą obok drogi z twarzą zalaną łzami. Moje koleżanki stały obok niej, krzycząc i wymachując rękami. Nie rozumiałam, co próbowały zrobić. Huk w moich uszach zagłuszał wszystkie ich słowa.

Światło zamigotało, jakby ktoś bawił się wyłącznikiem. Z tym że przecież byliśmy na dworze i tu nie było żadnego wyłącznika. Nagła ciemność. I z powrotem jasno. Ciężarówka stała tuż przy mnie. Zardzewiała osłona chłodnicy była po-

plamiona krwią. Jakby ktoś rozmazał na niej sok wiśniowy.

Obróciłam głowę i zobaczyłam Lukę. Jego ciało było dziwnie wykręcone. Miał połamane kończyny, a na jezdni tworzyła się powoli kałuża krwi. Oczy miał otwarte. Były ciemnoniebieskie. Głębokie i przejrzyste niczym czyste jezioro. Takie jak moje. Nigdy wcześniej tego nie dostrzegłam. Zawsze sądziłam, że ma brązowe oczy. Poruszył ustami. Nie słyszałam go, ale wydawało mi się, że mówi: „W porządku”.

Nie miał racji. To zdecydowanie nie było w porządku.

Spojrzałam w dół i poczułam takie dziwne, jakby przytłumione przerażenie. Widziałam moje ciało, ale ono nie było moje. Moje kończyny też były powykęcane pod dziwnymi kątami. W kilku miejscach odłamki kości przebijały skórę. Kiedy spróbowałam się poruszyć, zdałam sobie sprawę, że nie czuję bólu. Nie czułam nic. Zupełnie nic. Niezależnie od tego, jak bardzo próbowałam, nie mogłam obrócić niczego poza swoją głową.

Leżałam na jezdni połamana tak jak Luka. Połamana i zakrwawiona.

Myśl była mglista. Jakby powinna znaczyć dla mnie więcej, niż znaczyła.

Czułam zapach waty cukrowej i ciastek. Metalu i surowego mięsa.

Wtedy ponownie to usłyszałam. Czyjś krzyk. Ale był odległy i coraz słabszy. Po jakimś czasie zanikł całkowicie i słyszałam już tylko bicie mojego serca. Coraz wolniejsze. Wolniejsze.

Wolniejsze.

„Leż spokojnie. Pozwól temu minąć”.

Znowu ten chłopak. Znowu mówił w moich myślach.

No cóż. Plan równie dobry jak każdy inny.

Czekałam na kolejne uderzenie serca. Ale nie nadeszło.

Rozdział drugi

Otworzyłam oczy i zobaczyłam rozmazane kształty liści i gałęzi. I jeszcze niebo – tak mocno błękitne, że patrzenie na nie sprawiało ból. Świat zawirował. Naprężyłam mięśnie i wbiłam palce w ziemię. Świat dalej wirował. Ale jeśli będę się mocno trzymać, to nie spadnę.

Ziemia, trawa... Coś było z nimi nie tak. Ale nie umiałam stwierdzić, co konkretnie. Kompletnie zdezorientowana spróbowałam usiąść.

– Zaczekaj. Pozwól temu minąć.

Głos jakiegoś chłopaka. Spokojny. Władczy.

Znajomy?

Czułam, że powinnam go rozpoznać. Miałam wrażenie, że było mnóstwo rzeczy, które powinnam wiedzieć. Które wiedziałabym, gdyby tylko wiedza o nich przestała przede mną uciekać. Ale nie mogłam sobie niczego przypomnieć. Myśli odpłynęły w chwili, gdy odzyskałam ostrość widzenia.

Kolory były zbyt jaskrawe. Błękit zbyt błękitny, zieleń zbyt zielona. Czułam, jakby barwy wypalały mi oczy i wdzierały się wprost do mózgu. Jakby ktoś wbijał mi w źrenice dwie długie, ostre szpile. Zacisnęłam powieki.

– Po prostu leż spokojnie.

To był zdecydowanie dobry plan. Miałam wrażenie, że za chwilę ziemia odleci spode mnie, a moja głowa eksploduje. Carla miewała czasem migreny – ja nie. Zastanawiałam się, czy człowiek właśnie w ten sposób się wtedy czuje. Jeśli tak... Postanowiłam, że będę dla niej w przyszłości bardziej wyrozumiała.

Carla. Moja najlepsza przyjaciółka. Pamiętałam ją. Ale nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie jestem ani jak tu trafiłam.

Poczułam narastający lęk. Z doświadczenia wiedziałam, że strach może bardzo szybko przerodzić się w nieokiełznaną panikę.

Zamknęłam oczy i spróbowałam przywołać wizję piaszczystej plaży. Wyrównałam i uspokoiłam oddech. Wdech przez nos, zatrzymać powietrze, wy-

dech przez nos. Tak jak nauczył mnie doktor Andrews, mój psychiatra. Robiłam to wiele razy i nie sprawiało mi to już większych trudności. Przez dwa lata korzystałam z tego sposobu, by tłumić panikę i żal. Niestety przy okazji stłumiłam praktycznie wszystkie inne emocje. Cóż, za wszystko trzeba zapłacić jakąś cenę.

– ...wyniki... – powiedziała jakaś dziewczyna. Jej głos dobiegał jakby z daleka, z dziwnym pogłosem.

– Nieźle... premia za kombos... – powiedział chwilę potem chłopak.

Żaden z głosów nie był znajomy. Ich rozmowa to robiła się głośniejsza, to znów cichła.

Chciałam otworzyć oczy i sprawdzić, kto to mówi, ale powieki miałam ciężkie, jakby były zrobione z ołowiu. Czułam się, jakbym zapadała w bagno. Głosy dobiegały do mnie jak przez warstwę wody. Na krótki czas przestałam cokolwiek rozumieć z rozmowy. Potem głosy wróciły.

– ...nie wrócił... – powiedziała dziewczyna.

– ...samolubny gnojek... – odparł chłopak. – Tyle razy wszystkich nas narażał. Zawsze trzymał się z tyłu, kradł punkty za trafienia... Interesował się tylko samym sobą. Tylko tym, czy sam się wydostanie...

– Ale to nie znaczy, że zasłużył na... – zaczęła mówić dziewczyna.

– Poważnie cię naraził – przerwał jej chłopak. – Jeśli o mnie chodzi, to sobie zasłużył...

Dziewczyna coś odpowiedziała zmienionym głosem. Bardziej... miękkim? Nie byłam jednak w stanie usłyszeć, co mówi. Wyłapałam tylko jedną sylabę – „ty”.

Ich głosy ponownie zaczęły cichnąć. Po chwili znowu słyszałam tylko bicie mojego serca. Skupiłam się na tym. Było coś... coś dotyczącego mojego serca. Coś, co powinnam wiedzieć. W głowie miałam mętlik. Starłam się uporządkować myśli. Ja...

Nagle przyszło olśnienie. Przypomniałam sobie. Przypomniałam sobie dziewczynkę, ciężarówkę i krew. To dlatego ziemia wydawała się jakaś dziwna.

Ostatnią rzeczą, jaką pamiętałam, był wypadek. Potrąciła mnie ciężarówka. Leżałam na jezdni.

Martwa.

Gwałtownie otworzyłam oczy. Nabrałam szybko powietrza i chciałam usiąść, ale czyjaś ręka przygniatała mnie do ziemi.

– Mówiłem, żebyś zaczekała. Leż spokojnie.

Ten głos rozpoznałam. To ten chłopak, którego słyszałam w głowie. Tyle że tym razem słyszałam go normalnie, nie w myślach. Siedział w kucki obok mnie z dłonią na mojej klatce piersiowej.

– Czy jestem w niebie? – zadałam pytanie, zanim zdążyłam je przemyśleć.

Już po chwili żałowałam tych słów.

– Nie do końca – powiedział rozbawiony.

Przeniosłam wzrok na jego twarz. Chciałam coś powiedzieć, ale nie byłam w stanie wydobyć z siebie dźwięku. Mogłam się tylko w niego wpatrywać.

Jeśli wziąć pod uwagę sytuację, jego wygląd powinien być ostatnią rzeczą wartą zauważenia. Ale zainteresowało mnie właśnie to. Nie dlatego, że nieznajomy był wyjątkowo przystojny. Chociaż zdecydowanie był. Mniej więcej w moim wieku, smukły i szeroki w barach, z pewnością przyciągał wzrok wielu dziewczyn. Jasnobrązowe włosy – w kolorze miodu, w długich, nieporządnym falach – okalały wysokie, wyraźnie zaznaczone kości policzkowe. Ale ten element jego wyglądu, który najbardziej chciałam poznać – jego oczy – były schowane za lustrzanymi pilotkami.

Dlatego właśnie nie mogłam oderwać od niego wzroku. Z powodu tych okularów. Obawiałam się, że nie są prawdziwe. Że nic z tego, co widzę, nie jest prawdziwe.

Przypomniałam sobie, jak Carla opisywała tego nowego przystojniaka. I jego okulary pilotki. Takie, jakie miał ten chłopak. Zadrżałam. Pomyślałam sobie, że może nic z tego, co się dzieje, nie jest prawdziwe. Może wcale nie leżę na ziemi pod zbyt błękitnym niebem? Może leżę nieprzytomna na szpitalnym łóżku

z kroplówką, przewodami i całą resztą, a wszystko to, co teraz widzę, jest wytworem mojej wyobraźni opartym na ulotnym wspomnieniu słów Carli?

– To jest prawdziwe – powiedział bezbarwnie chłopak.

Gdy mówił, patrzyłam, jak poruszają się jego usta. Miał piękne usta. Z dolną wargą nieco pełniejszą od górnej.

– Co... – Zamiast głosu z mojego gardła dobiegł ledwo zrozumiały charkot.

Zwilżyłam usta, odkaszlnęłam i spróbowałam ponownie.

– Czytasz mi w myślach? – spytałam.

W normalnych okolicznościach takie podejrzenie nawet by mi przez głowę nie przeszło, ale tego, co się ostatnio działo, nijak nie szło zaklasyfikować jako „normalne okoliczności”.

Uśmiechnął się lekko. Na jego prawym policzku zauważyłam lekko zaznaczający się dołek.

– Nie – odparł – ale twoja twarz mówi wszystko. A robię to już wystarczająco długo, żeby wiedzieć, co ludzie zazwyczaj sobie myślą, gdy po raz pierwszy otworzą oczy.

– Co robisz wystarczająco długo? – zapytałam zdziwiona.

– To – powiedział, jakby taka odpowiedź mogła rozwiać wszystkie moje wątpliwości.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc milczałam. Chociaż nie byłam w stanie dostrzec jego oczu z powodu okularów, miałam wrażenie, że nie patrzy już na mnie. Że rozgląda się dokoła, jakby czegoś szukał. Wpatrując się tak w niego, widziałam odbicie samej siebie w jego okularach – a raczej dwa małe odbicia lekko zniekształcone jak w krzywym zwierciadle. Po chwili nachylił się nade mną i moje miniaturki w lustrzankach nieco się wyostrzyły. Skórę miałam zdecydowanie zbyt bladą jak na mój gust, a włosy zbyt ciemne. Kontrast sprawiał, że wyglądałam jak jakaś gotka.

Tym razem chłopak uśmiechnął się szerzej, odsłaniając równy rząd białych

zębów. Dołek na jego policzku zaznaczył się nieco mocniej.

– Gotka – powtórzył moją myśl.

– Powiedziałaś to na głos?

– Taaa – odparł. – Zdarza się nowym. Na początku ciężko jest oddzielić myśli od mowy.

Przekrzywił głowę nieco na bok, przyglądając mi się badawczo.

– Z czasem przejdzie.

– Słyszałam cię – powiedziałam cicho.

– To dobrze – stwierdził z lekkim uśmiechem. – Czyli z twoim słuchem wszystko w porządku.

– Nie... znaczy... ja słyszałam cię wcześniej. W moich myślach.

– Co ty nie powiesz – raczej stwierdził, niż zapytał.

Bez cienia zaskoczenia, a nawet zaciekawienia.

Nie mówiłam nic przez parę chwil, czekając na jakieś słowo wyjaśnienia. Ale się nie doczekałam. Spróbowałam więc jakoś uporządkować wszystkie pytania kłębiące mi się w głowie. Ostatecznie wybrałam najprostsze:

– Gdzie jestem?

– W poczekalni.

Rozejrzałam się po rozległym trawniku okolonym drzewami.

– W poczekalniach jest kamienna podłoga – zauważyłam. – I ławki.

– W tej nie.

No dobra, to nie było najprostsze pytanie. A może to tylko odpowiedź była zbyt niezrozumiała?

– Kim jesteś?

– Jackson Tate.

Tylko się przedstawił. Nic więcej. Nawet nie zapytał mnie o moje imię.

– Ja jestem Miki – odwzajemniłam uprzejmość. – Miki Jones.

– Wiem.

No tak. Przecież zna moje imię. Wypowiadał je przez całe popołudnie w moich myślach.

Już miałam zapytać, jak on to robił, kiedy nagle uderzyło mnie coś, co powiedział wcześniej: „Zdarza się nowym”? Stwierdził też, że znajdujemy się w „poczekalni”! Ponownie naszło mnie początkowe wrażenie – to, które miałam po przebudzeniu.

– Czy ja...

Nie byłam w stanie dokończyć pytania. Nie na głos. Jakby wymówienie tego głośno sprawiało, że stanie się prawdą. Spróbowałam ponownie się podnieść.

– Nie – powiedział.

Nie byłam pewna, czy odpowiedział właśnie na moje niewypowiedziane pytanie, czy też nie chciał, żebym się podnosiła.

Z pewnym wysiłkiem zdołałam usiąść. Nie pomógł mi, ale też nie próbował mnie z powrotem położyć. Wtedy poczułam jego dłoń na moim nadgarstku. Spojrzałam w dół i zobaczyłam na moim przegubie bransoletkę, coś jakby zegarek z czarnym paskiem i małym kwadratowym ekranem wyświetlającym migotliwy, wirujący wzór.

– Nie miałam nic takiego – powiedziałam zdziwiona, marszcząc brwi.

– Teraz masz – odpowiedział, dotykając kolejnych punktów na ekranie.

Poczułam ciepło napływające od przegubu w górę ręki. Nie było to nieprzyjemne, niemniej jednak dziwne.

– Co robisz?

– Aktywuję to.

– O nie! – wypaliłam, cofając gwałtownie dłoń. – Niczego nie będziesz aktywować, dopóki nie odpowiesz mi na parę pytań.

– Owszem, będę – odparł. – Jeśli tego nie zrobię, wybuchnie.

Spojrzałam na niego, biorąc to za głupi dowcip. Ale wyglądał na śmiertelnie poważnego.

– Serio?

Nie odpowiedział. Wkurzyłam się. Ale ponieważ nie byłam pewna, czy się ze mnie nabija, a moja dłoń całkiem mi się podobała tam, gdzie poprzednio była, wyciągnęłam rękę w jego stronę. Przytrzymał moje przedramię lewą dłonią i dotknął jeszcze kilku punktów na ekranie. Zauważyłam, że on też ma taką bransoletkę. Z tą różnicą, że wzór na moim ekranie był srebrny, a na jego – ciemnozielony.

Poprawka... gdy tylko skończył majstrować przy ekranie, mój wzór też zrobił się zielony.

– Co to jest? – spytałam.

Chwilę potem zganiłam się w myślach. Jak głupia papuga, tylko „co?, co?, co?”. Ale nie byłam w stanie zadać żadnego bardziej sensownego pytania.

– Twoje zdrowie.

Spojrzałam mu w oczy. Tak jakby. Zdążyłam zapomnieć, że przez te okulary nie widać jego oczu. Wyraz jego twarzy nie zdradzał zupełnie nic.

– Czy mógłbyś łaskawie wyrażać się jaśniej? – warknęłam, szybko żałując tego wybuchu.

Rzucenie się na niego z pazurami i urwanie głowy raczej mi nie pomoże. Więcej zdziałam miłym słowem i tak dalej. Z drugiej strony byłam dla niego cały czas miła, a on wciąż nie traktował mnie poważnie.

Potrząsnęłam głową. Przynajmniej ból minął. Zawsze jakiś pozytyw. Nikt mi nie powie, że nie jestem optymistką. Pewnym wysiłkiem woli uspokoiłam głos.

– Tak więc... ta bransoletka – zaczęłam. – Powiedziałaś, że to jest... moje

zdrowie?

Obrócił głowę w moją stronę, uniósł jedną brew i wskazał brodą mój przegub.

– Bransoletka to twój kom – powiedział. – Kolor wskazuje twoje zdrowie. Nie możesz dopuścić do tego, żeby zmienił się na czerwony.

Przez dłuższą chwilę wpatrywałam się w niego, czekając na dalszą część wyjaśnienia. Nie nadeszło.

– I ja mam niby wiedzieć, co to wszystko znaczy?

– Mało grasz, co? – powiedział, ciężko wzdychając. – To znaczy dokładnie to, co powiedziałem.

Kiedy byłam mała, mój dziadek miał taki sam zwyczaj – odpowiadał na moje pytania, nie udzielając odpowiedzi. Albo zagadkami. Wątpiłam jednak, żeby Jackson Tate był w stanie rozegrać to lepiej od mojego *sofu*.

Zmieniłam strategię.

– Czy ta bransoletka naprawdę wybuchłaby, gdybyś jej nie aktywował? – zapytałam.

Nie odpowiedział od razu, jakby był zaskoczony nagłą zmianą tematu. Doskonale. Lepiej, żeby to on musiał nadążać za mną niż ja za nim.

– Nie – odparł.

Nie miałam pewności, ale chyba kącik ust drgnął mu w stłumionym uśmiechu. Dopadło mnie dziwne wrażenie *déjà vu*, tak jakbym już kiedyś przeżyła tę chwilę. Jakbym już kiedyś widziała tę twarz, słońce rozjaśniające jego włosy i ten uśmiech. Poczułam zapach oceanu. Usłyszałam dobiegający jakby z oddali szum fal uderzających o brzeg. Próbowałam się na tym skoncentrować, ale wtedy on wstał, odszedł parę kroków i uczucie minęło.

– Dobrze wiedzieć – wymamrotałam pod nosem.

Chciałam chociaż mieć ostatnie słowo. Ale moje „zwycięstwo” było pozorne, bo był już zbyt daleko, żeby mnie usłyszeć.

Obróciłam się, podparłam rękami i sprężyłam wewnętrznie, oczekując zawrotów głowy. Ku memu zdziwieniu nie nadeszły. Żadnych nudności, żadnych zaburzeń wzroku. Czułam się doskonale. Przesunęłam dłonią po dzinsach, pociągnęłam na próbę koszulkę. Ubrania też były całe. Tak jakbym nigdy nie zdarła skóry do krwi i nie połamała kości.

Poczułam zimny dreszcz, a żołądek skurczył się bardzo nieprzyjemnie. Lepiej nie myśleć o tym, co się wtedy stało.

Wcześniej byłam pokiereszowana, a teraz – cała i zdrowa.

Taaaak... o tym też chyba lepiej nie myśleć.

Ostrożnie wstałam i zerknęłam na bransoletkę. Na ekranie widniał ciemno-zielony wir z kilkoma pasmami jaśniejszej zieleni i paroma w odcieniu niebieskiego. Wsunęłam palec wskazujący drugiej dłoni pod pasek. Bransoletka była zapięta ciasno, ale nie aż tak, by to bolało. Spróbowałam ją ściągnąć, ale nie chciała przejść przez dłoń. Nie widziałam też żadnego zapięcia.

– Szkoda czasu – usłyszałam znajomy głos. – Nie da się jej zdjąć aż do końca misji.

Poderwałam głowę. Luka! Gdy zobaczyłam go stojącego przede mną, całego i zdrowego, bez obrażeń, niezakrwawionego, poczułam ogromną ulgę. Uśmiechnęłam się szeroko i zrobiłam krok do przodu, wyciągając odruchowo ręce do uścisku. Coś jednak kazało mi się zatrzymać. Wyraz jego twarzy był jakiś dziwny. Jakby czuł się niezręcznie. Poczucie winy? Ale dlaczego?

– Nic ci nie jest – powiedziałam nieco skrępowana i opuściłam ręce.

– Tak, na razie – odparł.

Przeczesał palcami swoje długie, ciemne włosy. Na przegubie dłoni miał taką samą czarną bransoletkę jak ja. I sprawiał wrażenie, jakby był do niej przyzwyczajony.

Zaraz, chwila... Co on powiedział?

– Czekaj... moment... – Potrząsnęłam głową, zbierając myśli. – Jaka misja?

– Słuchaj... – powiedział szybko. – Muszę ci coś powiedzieć...

I zamilkł. Zaczynałam mieć powoli dość chłopaków mówiących krótkimi zagadkami i poza tym milczących jak zakłęci. Zdecydowałam się więc przejąć inicjatywę.

– Powiedzenie mi czegoś brzmi zachęcająco.

Nie podziałało. Dalej milczał. Drażylałam dalej.

– Jaka misja?

Żadnej reakcji. Tylko się na mnie gapił.

Dobra, wdech, wydech. Nowe podejście.

– Co się stało wtedy na ulicy?

Zmiana tematu chyba go zaskoczyła, bo zamrugał nerwowo. Ale w końcu przemówił:

– Zginęliśmy – powiedział. – Znaczy, *ty* zginęłaś. Tam na ulicy. *Ja* zginąłem rok temu. – Skrzywił się. – Do kitu to moje tłumaczenie.

„Zginęłaś tam na ulicy”. Poczulałam się, jakby ktoś mnie kopnął w brzuch. Po części podejrzewałam coś takiego, ale podejrzewać a usłyszeć potwierdzenie...

W pierwszej kolejności pomyślałam o ojcu. Jeśli ja nie żyję, on został całkiem sam. Jeśli mnie zabraknie, straci resztę woli życia. A Carla, Kelley, Dee, Sara... i cała reszta moich znajomych... Doskonale wiem, co oznacza żałoba. Jak to jest, gdy nagle cały świat zostaje wyprany z wszelkich kolorów. Gdy wszystko wokół ciebie skrywa mgła. Gdy nic cię już nie cieszy. Nie chciałam, żeby to było teraz udziałem ich wszystkich. Serce zabiło mi mocno w piersi i przerwało tok myśli.

Moje serce wciąż bije. To znaczy, że Luka się myli. Ja wciąż żyję!

– Gadasz od rzeczy – powiedziałam cicho. – Zginąłeś rok temu? To jakim cudem dalej chodzisz do szkoły? Jakim cudem wróciłeś do szkolnej reprezentacji? Chodzisz na lekcje? – Z każdym pytaniem mówiłam coraz głośniejsze, aż w końcu zaczęłam na niego krzyczeć. – Co ty jesteś, jakiś zombi?! Chodzący trup?!

Zrobiłam krok w jego stronę, zmuszając go do cofnięcia się.

– Nie. – Pokręcił głową. – Źle to powiedziałem.

– No bez kitu, Sherlocku – warknęłam, cała się trzęsąc z gniewu... i strachu.

– Luka, to nie jest zabawne.

– Wiem, wiem – powiedział przepaszająco. – Słuchaj, rozumiem, jak się czujesz. Naprawdę. Pamiętam doskonale, jak obudziłem się dokładnie tak jak ty przed chwilą. Pamiętam, co sobie wtedy myślałem. Że jestem martwy albo że jestem w jakiejś śpiączce. Że wszystko to jest jakimś pokręconym snem. – Wyciągnął rękę i położył mi ją na ramieniu, ale chwilę potem szybko ją cofnął. Spuścił wzrok, zacisnął dłoń w pięść i opuścił rękę do swojego boku. – Myślałaś sobie to samo, prawda? – zapytał.

Owszem. Kropka w kropkę.

Powoli wyciągnęłam rękę i położyłam na jego piersi, na wysokości serca. Poczułam rytmiczne bicie.

– Kłamiesz! – krzyknęłam. – Żyjesz, czuję bicie twojego serca. – Zrobiłam kolejny krok w jego stronę, a on ponownie się cofnął. – A martwym. Ludziom. Nie. Bije. Serce – wycodziłam przez zęby, akcentując każde słowo uderzeniem pięścią w jego klatkę piersiową.

Uniosłam pięść do jeszcze jednego ciosu i zamarłam na krótko. Po chwili wahania zrezygnowana pozwoliłam swojej ręce opaść.

Luka pokiwał głową.

– Zgadza się. Ty też. Żyjesz. W pewnym w sensie – powiedział. – Uniósł rękę, jakby znowu chciał położyć mi ją na ramieniu, ale bardzo szybko zrezygnował. – Generalnie żyjemy – podjął. – Przez większość czasu. Ale gdy trwa misja, nie. No, nie do końca. Jesteśmy tutaj i wracamy po tym, jak skończymy.

– Luka, zacznij mówić do rzeczy – powiedziałam już spokojniej, starając się znowu nie wybuchnąć. – Bo to, co do tej pory powiedziałaś, nie trzyma się kupy. – Czułam się słaba, jakby zamroczona. Adrenalina tłoczona do krwiobiegu mocno podbiła mi puls. Miałam ochotę biegać, krzyczeć, kogoś zdzielić, coś połamać. –

Po prostu powiedz mi, co się dzieje – poprosiłam powoli i spokojnie, silnie akcentując każde słowo. – Prosto i zrozumiale. Po prostu powiedz mi, co tu jest, do cholery, grane.

Luka rozejrzał się niespokojnie dokoła, jakby szukał drogi ucieczki. Podążyłam za jego wzrokiem. Staliśmy na polance otoczonej ze wszystkich stron drzewami. Wydawała się zupełnie obca. Nigdzie nie widziałam ulicy, chodnika, szkoły. W zasięgu wzroku nie było nic znajomego. Wtedy też po raz pierwszy zauważyłam, że nie jesteśmy sami. Że na polance jest więcej osób.

Jakieś niespełna dziesięć metrów od nas leżały dwa spore głązy. Na jednym siedział jakiś chłopak, a na drugim dziewczyna. Nie znałam żadnego z nich. Chłopak był nieco starszy, miał coś koło dwudziestki. Jego niebieskie oczy mocno kontrastowały z ciemną skórą, czarnymi jak noc brwiami i przyciętymi krótko przy skórze włosami. Wyglądał jak model z reklamy ubrań. Przyglądał mi się z mieszanką współczucia i czegoś jeszcze, czego nie mogłam nazwać. Dziewczyna była ruda, o bardzo bladej cerze i figurze ładnie zaokrąglonej w odpowiednich miejscach. Ona także miała niebieskie oczy. Czemu wszyscy tu mają niebieskie oczy? Ubrana była w kostium czirliderki – brakowało jej tylko pomponów. Oboje mieli na przegubach dłoni czarne bransoletki.

Po chwili (Luka się oczywiście nie odezwał) dziewczyna zeskoczyła z głązu i podeszła do nas. Szła ostrożnie, jakby podchodziła do dzikiego zwierzęcia, spodziewając się ataku.

– Słuchaj... – zagaiła, po czym zrobiła krótką pauzę. – Jak ci na imię?

– Miki. Miki Jones.

– Richelle Kirkman – odparła i wskazała chłopaka, obok którego siedziała. – A to jest Tyrone Walker.

Poznałam jej głos. To ją słyszałam, gdy się obudziłam. A Tyrone był pewnie tym, do kogo mówiła.

– Miałaś już przyjemność – tu przewróciła oczami – poznać Jacksona.

Odruchowo poszukałam go wzrokiem. Był wciąż na polanie po drugiej stronie głązów.

– I wygląda na to, że znasz też Lukę – kontynuowała Richelle, marszcząc brwi. – Co jest trochę dziwne, bo nigdy dotąd nie mieliśmy tu nikogo, kto by się znał z... przedtem. Chodziliście do tej samej szkoły czy jak?

– Tak. Do Glenbrook w Rochester – odpowiedział Luka.

– Minnesota? Michigan?

– A ty co, uczysz geografii?

– Takie mam hobby.

Luka wyduł wargi, ale po chwili skinął głową i odpowiedział:

– Rochester w stanie Nowy Jork. Ale gdy mnie wyciągnęło, mieszkałem w Seattle. Kilka tygodni temu mojego ojca przenieśli z powrotem do Rochester. Tuż przed początkiem roku szkolnego. Tak więc nie wyciągnęło nas z tego samego obszaru. Ale takie rzeczy też się zdarzały.

Richelle pokiwała głową. Chyba doskonale wiedziała, o czym on mówi. Oboje zachowywali się, jakby już się znali, ale jednak dziewczyna nie wiedziała, do jakiej Luka chodzi szkoły. Ani że wcześniej mieszkał w Seattle. Odłożyłam wątpliwości na później – miałam dużo ważniejsze pytania.

– Wyciągnęło nas? – zapytałam, zerkając na Lukę.

– No, wyciągnęło z reala – odparł. – Znaczy, z prawdziwego życia.

Jego odpowiedź przyprawiła mnie o kolejny atak dreszczy. Objęłam się mocno ramionami i starałam się nie poddać panice.

Richelle spojrzała na Lukę karcąco i zwróciła się do mnie uspokajającym tonem:

– Nie słuchaj go. Wszyscy nadal mamy nasze prawdziwe życia. Tylko czasem są one na chwilę przerywane.

Rozdział trzeci

Wyciągnięci z prawdziwego życia”. Chwilę zajęło, zanim sens tego stwierdzenia do mnie dotarł.

– Z prawdziwego życia? – spytałam.

– No. Jestem umówiona z koleżankami we Franklin Mills po tym wszystkim – odpowiedziała Richelle, po czym spojrzała na swój strój czirliderki. – No dobra, najpierw się przebiorę.

– Franklin Mills?

– Duże centrum handlowe w Filadelfii – wyjaśniła.

– Ale... Jesteśmy przecież w Rochester...

– Nie jesteś już w Rochester, słonko. Jesteśmy w poczekalni. A za parę chwil będziemy... – zawiesiła głos i zrobiła szeroki ruch ramieniem... – gdzie indziej. – Na chwilę zamilkła. Wyglądała, jakby biła się z myślami. – Słuchaj, Miki – odezwała się ponownie nieco zmienionym głosem. – Sprawa wygląda tak. Dostajemy misję i zabija...

– Eliminujemy – wszedł jej w słowo Luka. – Niczego nie zabijamy.

– Co za ulga – parsknęłam, nawet nie próbując ukryć sarkazmu.

– Użycie eufemizmu nie zmieni faktów – powiedziała Richelle, wbijając lodowate spojrzenie w Lukę.

– Teraz czuję się jeszcze lepiej – wymamrotałam pod nosem.

Czułam się jak Alicja w króliczej norze.

Richelle spojrzała na mnie ze współczuciem. Nie musiała mi mówić, że mnie rozumie. Że doskonale wie, jak bardzo mnie to wszystko przeraża. I że te wszystkie pytania i sarkazm to desperacka próba pozostania przy zdrowych zmysłach.

– Eliminujemy wszystko, co mamy wyeliminować – podjęła. – Czasem musimy zniszczyć jakiś kompleks. Czasem gniazdo. Punktacja leci niezależnie dla każdego z nas. Nie mamy wyniku drużynowego. Ale dużo bardziej od punktacji li-

czy się przetrwanie. – Przerwała i spojrzała na mnie badawczo, jakby chciała się upewnić, że rozumiem. Gdy odezwała się ponownie, jej głos był śmiertelnie poważny. – Nie pozwól żadnemu z nich się dorwać, zanim nie zostaniesz wyciągnięta z powrotem. Bo kiedy zakończysz misję, kiedy uda ci się przetrwać do końca, wtedy respawnujesz się...

Musiałam mieć naprawdę głupią minę, bo przerwała zakłopotana i przez chwilę szukała lepszych słów.

– No wiesz... Odradzasz się... Materializujesz się ponownie w prawdziwym życiu, cudownie uleczona. I możesz wracać do codziennych zajęć. Aż do następnego razu. Rozumiesz?

Nie rozumiałam ani trochę. Rzuciłam błagalne spojrzenie w stronę Luki, ale on tylko wzruszył ramionami.

– Nic dodać, nic ująć – stwierdził.

– Nie rozumiem.

To znaczy rozumiałam słowa – drużyna, wynik, misja, odrodzenie się – ale nie miało to dla mnie najmniejszego sensu.

– Czy to jest jakaś gra? – zapytałam. – Larpujemy?

Richelle zmarszczyła brwi.

– Larpujemy? – spytała zdziwiona.

– No wiesz, bierzemy udział w jakimś LARP-ie? D&D czy Warhammer?

Jej mina wystarczyła mi za odpowiedź. Teraz dla odmiany ona nie wiedziała, o czym jest mowa.

– Nie – wtrącił się Luka, przyglądając mi się badawczo. – A ty skąd znasz LARP-y?

– Terry Chen – rzuciłam.

Przytaknął ze zrozumieniem.

– Więc... To jest jakiś cosplay? – zwróciłam się ponownie do Richelle.

Kątem oka zauważyłam, że Luka już otwiera usta, by zadać kolejne pytanie. Tym razem go uprzedziłam.

– Kelley zaciągnęła nas rok temu na konwent animowców. Było tam zatręśnienie osób poprzebieranych za różne postacie i noszących atrapy broni. Część z nich chyba naprawdę wierzyła, że to wszystko jest naprawdę.

Chociaż tak naprawdę nie sądziłam, by to miały być jakieś przebieranki.

– Możesz o tym myśleć jak o grze komputerowej – powiedział Luka. – Z tym że nie gramy na ekranie.

– To nie jest gra.

Odwróciłam się nagle na dźwięk głosu i spojrzałam na stojącego kilka metrów za moimi plecami Jacksona. Musiał okrążyć polanę, gdy rozmawialiśmy. Wciąż miał na sobie te same spodnie i koszulkę w kolorze khaki, które nosił, gdy się obudziłam. Wyglądał jednak jakoś inaczej. Dopiero po chwili dostrzegłam, że na udzie ma zamocowaną pochwę, z której wystawała jakaś rękojeść – prawdopodobnie noża. Przez ramię i pierś miał przełożony skórzany pasek. Drugi zwisał mu luźno na biodrach. Dostrzegłam kaburę z jakimś pistoletem.

– To nie jest gra – powtórzył. – To się dzieje naprawdę. To, co tu zrobisz, zdecyduje o twoim przetrwaniu. – Zawiesił na chwilę głos i wbił wzrok w ziemię. Gdy na powrót podniósł oczy, dostrzegłam w nich dziwną determinację. – I o przetrwaniu wszystkich ludzi na Ziemi.

Roześmiałam się.

Jackson wpatrywał się we mnie ze śmiertelną powagą.

Czyli albo naprawdę powiedział to na poważnie, albo był zwyczajnie szalony. Miałam nadzieję na tę drugą ewentualność.

Gdy wpatrywałam się w niego, próbując odgadnąć, co miał na myśli, coś zamigotało na skraju mojego pola widzenia. Obróciłam głowę w tym kierunku, ale niczego nie zobaczyłam. Gdy jednak spojrzałam ponownie na Jacksona, obraz ponownie zamigotał. Ludzie, drzewa, głązy...

Moja babcia miała gościnną łazienkę, w której wszędzie były lustra.

Gdy myłam tam ręce, widziałam milion małych Miki myjących swoje małe rączki w milionie umywalek w milionie łazienek. Tak samo czułam się teraz. Obrazy wychwytywane kątem oka zdawały się odbiciami tego, co widziałam przed sobą. Gdy obracałam głowę, odbicia się zmieniały.

Wpatrywałam się w Jacksona, a na skraju pola widzenia widziałam niekończenie wiele polan ze stojącymi jakimiś osobami.

– Kim oni są? – zapytałam cicho.

– Kto? – odpowiedział pytaniem Luka.

Przeniosłam wzrok na niego. Odbicia po bokach ponownie się zmieniły.

– Oni.

– Jacy znowu oni? – zapytał Luka, marszcząc brwi. – Wszystko z tobą w porządku, Miki? Jesteśmy tu tylko my. – Rozejrzał się po polanie, udając zdziwienie, i rozłożył ręce w teatralnym geście. – Widzisz tu kogoś innego?

Dobra, czyli Luka ich nie widział. Ale ja owszem. I Jackson też. On wiedział doskonale, o co mi chodzi. Czułam na karku jego wzrok. Już chciałam się obrócić i zapytać go o to, kiedy usłyszałam jego głos:

– Zbieramy się.

Polecenie było skierowane do wszystkich, chociaż cały czas wpatrywał się we mnie. Pozostali ruszyli gdzieś poza moje pole widzenia i zostałam sama z nim, prawie tak samo dezorientowana jak zaraz po przebudzeniu.

Nagle Jackson wyciągnął rękę w moją stronę. Odruchowo odskoczyłam.

Ponownie dostrzegłam cień uśmiechu w kąciku jego ust. Nie był to miły, przyjazny uśmiech. Raczej mroczny, drapieżny... I dziwnie pociągający. Poczułam dreszcz przebiegający od czubka głowy po same koniuszki palców u stóp.

– Masz dobry refleks – powiedział. – To dobrze.

– Osiem lat kendo.

– Droga miecza – powiedział i przyjrzał mi się badawczo. – Załapałaś coś

z tego?

– Tak.

Uczyłam się u prawdziwego mistrza – mojego dziadka.

– Kto ze mną zadrze, ten pożałuje.

Chwilę potem ugryzłam się w język. Po jakiego diabła to powiedziałam?

Jackson uniósł brwi i pokiwał głową.

– Dobrze wiedzieć – powiedział.

Rzuciłam okiem w stronę pozostałej trójki. Wszyscy stali przy głazach, zakładając kabury podobne do tych, które miał Jackson.

– Kim są pozostali? – zapytałam.

– Już się przedstawili. Tyrone i Richelle.

Doskonale wiedział, że nie ich miałam na myśli. Zaczęła we mnie wzbierać irytacja, ale ją stłumiłam. Musiałam podejść do tego z innej strony. Postanowiłam zmienić temat.

– Skąd się wzięła broń?

Tym razem Jackson uśmiechnął się szerzej. Najwyraźniej podobało mu się moje podejście. Tak jakby mi to sprawiało jakąkolwiek różnicę.

– Czeka na nas za każdym razem, kiedy tu przybywamy – odparł. – A teraz podnieś rękę. Pokażę ci, jak obchodzić się z kaburą. Następnym razem zrobisz to sama.

Podniosłam rękę i pozwoliłam mu przełożyć mi paski przez ramię. Zapinanie tego ustrojstwa było trochę skomplikowane. Jeden pasek szedł na skos przez klatkę piersiową, a drugi okalał biodra. Starłam się zapamiętać sposób, w jaki zapinał kolejne paski i mocował samą kaburę. Jeśli kiedykolwiek ta historia się powtórzy – chociaż nie byłam pewna, czy chciałabym tego – zdecydowanie wolałabym zrobić wszystko samodzielnie. Nie chciałam czuć się i wyglądać jak dzieciak, któremu trzeba pomagać wiązać buty.

– Praworęczna? – zapytał.

– Tak, czemu pytasz?

– Broń powinnaś mieć po stronie dominującej ręki. Lepiej jest nie sięgać na krzyż, to tylko człowieka spowalnia.

Jackson wyciągnął w moją stronę metalowy walec długi na jakieś dwadzieścia centymetrów. Wyglądał jak rękojeść zabawkowego miecza świetlnego, którym bawiłam się, gdy byłam mała.

– Tylko mi nie mów, że jak nacisnę guzik, wysunie się z tego świecący miecz.

Usłyszałam chichot za plecami, po lewej. Rzuciłam okiem przez ramię i zobaczyłam Richelle. Mrugnęła do mnie zawiadaczająco. Uśmiechnęłam się do niej i spojrzałam ponownie na Jacksona. On się nie uśmiechał.

– Celujesz i strzelasz do wszystkiego, co na ciebie leci.

– Wszystkiego? – zapytałam. – Do pszczoł? Os? Zagubionych szczeniaków?

Tylko zacisnął wargi, potwierdzając moje wcześniejsze podejrzenia.

– Nie masz poczucia humoru – stwierdziłam.

Całkowicie to zignorował.

– Wszystkiego nie z naszej planety.

– Nie z naszej planety? W sensie... do obcych?

Kiwnął zdawkowo głową.

– No tak. Oczywiście. Dzisiaj umarłam, a teraz będę walczyć z obcymi mieczem świetlnym. Może potem poszukamy syrenek. Albo jednorożców.

– Nie – odparł. – Tylko obcych.

Czyżbym wyczuła w jego głosie sugestię dowcipu? Zmrużyłam oczy.

– A jeśli nie chcę uczestniczyć w polowaniu na obcych?

– A dlaczego ci się wydaje, że masz cokolwiek do powiedzenia?

Słowa brzmiały ostro, ale ton jego głosu był dziwnie łagodny. Jakby wiedział, że jestem już na skraju wytrzymałości i jeśli popchnie mnie kawałek dalej, pęknę. Ale paradoksalnie to właśnie ta łagodność w głosie mnie wkurzyła.

Słowa zaczęły płynąć z moich ust, zanim zdołałam je powstrzymać:

– Nie chcę tu być. Nie chcę tego robić. Gdy się obudziłam dzisiaj rano, byłam zwykłą, normalną dziewczyną – dokończyłam już łagodnie, nie mogąc zdobyć się na więcej sarkazmu.

Jackson zamarł. Nijak nie odparował, nie zdenerwował się. Po prostu zamarł. Po dłuższej chwili odezwał się ponownie:

– Nie, nie byłaś. Nigdy nie byłaś normalną dziewczyną.

Nabrałam gwałtownie powietrza, próbując powstrzymać łzy. Łzy bólu, bezsilności.

– Żadne z nas nigdy nie było normalne – ciągnął, nie zauważając mojej reakcji albo zwyczajnie ją ignorując. – Dlatego tu jesteśmy. Bo jesteśmy zdecydowanie nienormalni. – Po tych słowach uśmiechnął się nieprzyjemnie jednym kącikiem ust. – Przy czym niektórzy są mniej normalni od innych.

Już otwierałam usta, aby zaprotestować, ale nie dał mi dojść do słowa.

– Nie pytaj. Nie mamy czasu na wyjaśnienia.

Niemal mogłam usłyszeć tykanie zegara.

– Przeżyj to, Miki – powiedział twardym nagle głosem – a odpowiem na wszystkie twoje pytania.

– Też mi zachęta – wymamrotałam pod nosem.

Przeżyj to. Jedyną rzeczą, która chroniła mnie przed całkowitym poddaniem się panice, było to, co Luka i Richelle powiedzieli wcześniej o cudownym uzdrowieniu po... po tym czymś, co nas czekało. Jakkolwiek mało prawdopodobnie to brzmiało, wierzyłam im. Wierzyłam im, ponieważ *wiedziałam*, co się ze mną stało, gdy uderzyła we mnie ciężarówka. Ale obudziłam się tutaj całkiem zdrowa. Czy to

właśnie odrodzenie miała na myśli Richelle?

Jackson wsunął walec do mojej kabury. Poczułam się jak jakiś zbuntowany rewolwerowiec.

Przesunęłam palcami po wystającym końcu.

– Jak się z tego strzela? – zapytałam.

– Wskazujesz cel i wydajesz w myślach komendę.

– Komendę w myślach. Jasne. A jak się używa... – uniosłam rękę, na której przegubie miałam założoną bransoletkę, i potrząsnęłam nią – ...tego? Mówiłeś, że jak to się nazywa? Kom?

Przytaknął.

– No dobra... ale co to znaczy?

Uniósł brwi, chwilę milczał, po czym wzruszył ramionami.

– Kom... możesz to sobie rozwinąć do komunikatora. Nazwa równie dobra jak każda inna.

– Czyli tak naprawdę nie wiesz?

Nie odpowiedział, zadałam więc kolejne pytanie:

– Kto wybrał tę nazwę?

I znowu ten nieprzyjemny półuśmiech.

– Powiedzmy, że nazwę ustalił pewien komitet.

– No dobra... jak tego używać?

– Nie musisz tego używać. Jest aktywowane i będzie samo robiło to, co powinno.

Do tej pory nawet nie zdawałam sobie sprawy, ile tkwi we mnie pokładów cierpliwości. Ale miałam wrażenie, że właśnie się kończą.

– Czyli co? – zapytałam słodkim, ociekającym jadem głosem.

Wyraz jego twarzy nie uległ zmianie, ale z jakiegoś powodu zdawało mi się, że jest chyba równie sfrustrowany tym wszystkim jak ja. I bardzo chce, bym wszystko zrozumiała, ale nie umie tego lepiej wyjaśnić. Albo to tylko ja chciałabym, żeby tak było. Zrobił krok do tyłu.

Nagle coś we mnie pękło. Chwyciłam go za przegub i ścisnęłam dłoń tak mocno, jak tylko umiałam. Obrócił się w moją stronę. Resztkami siły woli powstrzymałam się od zerwania mu z nosa tych cholernych okularów, by zobaczyć wyraz jego oczu. Poczułam pod palcami, jak napinają się jego ścięgna. Zdałam sobie sprawę, że jest dużo lepiej umięśniony ode mnie i gdyby tylko chciał, mógłby się łatwo wyswobodzić. Ale z jakiegoś powodu tego nie robił.

– Powiedz coś, żebym mogła to zrozumieć – poprosiłam szeptem. – Powiedz mi coś, cokolwiek.

Wskazał brodą pozostałą trójkę.

– Oni już ci wszystko powiedzieli. Ja też już ci wszystko powiedziałem. Nie możesz tego zrozumieć, ponieważ nie chcesz nam uwierzyć. A uwierzysz dopiero, gdy zobaczysz to na własne oczy. Zawsze tak jest. – Wbił wzrok w ziemię, po czym spojrzał na mnie ponownie. – Znasz opowieść o Meduzie?

Przytaknęłam.

– Stwory, na które będziemy polować, nie zamienią cię co prawda w kamień, ale to, co robią, będzie równie nieprzyjemne. A może nawet bardziej. Cokolwiek się stanie, nie patrz w ich oczy.

– Czyje oczy?

– Oczy Drau.

Zanim zdążyłam zadać kolejne pytanie, uniósł w górę palec w geście oznaczającym, że mam poczekać. Na co? Po chwili zrozumiałam. Przechylił głowę na bok, jakby się w coś wsłuchiwał. Ja co prawda nic nie słyszałam, ale stwierdziłam, że lepiej będzie się na razie nie odzywać.

– Mamy trzydzieści sekund – powiedział głośno, zwracając się do nas wszystkich. – Następnie zwrócił się do mnie cichym, natarczywym głosem: – Trzy-

maj się blisko mnie, Miki. Tak blisko, żebym słyszał twój oddech. Rozumiesz?

Coś w jego tonie sprawiło, że gula podeszła mi do gardła. Przełknęłam ślinę i odparowałam, starając się zdobyć na impertynencki ton:

– Zawsze opiekujesz się nowymi?

Zacisnął zęby i milczał przez kilka chwil. Gdy wreszcie odpowiedział, głos miał dość ponury.

– Nigdy.

„Nigdy”.

Ale tym razem postąpił inaczej.

Zanim zdołałam porządnie się nad tym zastanowić, gdzieś w środku głowy zaczął narastać niesamowicie silny, pulsujący ból. Każda kolejna fala była silniejsza, aż ból stał się nie do zniesienia i miałam wrażenie, jakby coś rozrywało mnie od środka.

Rozdział czwarty

Najpierw zarejestrowałam hałas. Samochody. Cała masa samochodów. Klaksony. Ludzie. Ich głosy i śmiech. Czyli głowa jednak nie eksplodowała mi z bólu. Dobra nasza.

Następnie zdałam sobie sprawę z tego, że dłonie mam zaciśnięte na udach, jestem zgięta w pół i mam potężne zawroty głowy. Zawsze miałam się za kogoś z twardym żołądkiem, ale wygląda na to, że będę musiała przywyknąć do ciągłych ataków nudności.

Następnie dostrzegłam błysk świateł. Wyprostowałam się i rozejrzałam. Wszędzie wokół były jaskrawe neony odcinające się ostro od nocnego nieba. „Kasyno! Spróbujcie swojego szczęścia, dziewczęta!” Po mojej prawej stronie stali Richelle i Tyrone. Po lewej miałam Jacksona i Lukę. Żadne z nich nie zdradzało nawet najmniejszych śladów nudności czy bólu głowy. Zadałam sobie w duchu pytanie, ile razy już to robili? I jak często?

Dobra, wszystko fajnie, ale gdzie nas rzuciło? Z jednej strony był olbrzymi statek piracki, a z drugiej dwa szklane wieżowce. Nad nami był jakiś most, a nieopodal niego coś, co wyglądało na niewielkie centrum handlowe. Wygląd budynków i masa neonów przywiodły mi na myśl Las Vegas. Co prawda nigdy tam nie byłam, ale w końcu widziało się to miasto wielokrotnie w filmach. Nawet nie próbowałam odgadnąć, jakim cudem się tu znaleźliśmy. Doszłam do wniosku, że chwilowo lepiej jest płynąć z nurtem niż próbować cokolwiek zrozumieć.

Gdzie byliśmy? Była noc. Ale przecież przed... wypadkiem było późne popołudnie. W Rochester, które jest kilka godzin do przodu względem Vegas.

– Straciliśmy... jakieś... dziesięć godzin – powiedziałam sama do siebie.

– Odłożyli je nam na konto – powiedziała Richelle. – Odzyskamy je później.

Już miałam zapytać, w jakim banku to konto, ale mina Luki sprawiła, że ugryzłam się w język. Po plecach przebiegł mi dreszcz, jakby wzdłuż kręgosłupa przemaszerowała mi cała armia mrówek.

Luka zorientował się, że na niego patrzę, i posłał mi marną imitację pocieszającego uśmiechu.

– Ruszamy – rzucił Jackson, sam już idąc przed siebie.

Gdy mnie minął, rzucił mi spojrzenie. A przynajmniej tak mi się wydawało. Wciąż miał na nosie te swoje lustrzanki mimo nocnej pory. Neony i uliczne światła odbijały się w szklach niczym roje gwiazd.

Przypomniałam sobie powagę w jego głosie, kiedy mówił, żebym trzymała się blisko niego. Podbiegłam kilka kroków, aby do niego dołączyć. Pozostała trójka była tuż za nami.

Po paru krokach Luka zrównał się ze mną.

– Magia – powiedział.

Spojrzałam na niego pytająco.

– Na pewno zastanawiasz się, jak tu trafiliśmy. Powiedziałem, że to magia. Próbowałem cię rozweselić... – Urwał i potrząsnął głową. – Nieważne.

– Wyciągnęło nas – powiedział Tyrone idący teraz z drugiej strony Luki.

Jackson przyspieszył kroku, więc i my musieliśmy to zrobić. Teraz już bardziej truchtaliśmy, niż szliśmy.

– Wyciągnęło nas – powtórzyłam jak echo.

Przypomniałam sobie, że słyszałam już to słowo na polanie. Jak ją nazwali? Poczekalnia. Luka i Richelle mówili, że zostaliśmy wyciągnięci z prawdziwego życia.

– Wyciąga nas z jednego miejsca i rzuca przez czas i przestrzeń gdzie indziej – kontynuował Tyrone, po czym roześmiał się, widząc moją minę. – Po prostu przyjmij to za prawdę.

Z braku innych możliwości postanowiłam skorzystać z tej porady.

– Może nas wyciągnąć z dowolnego miejsca w dowolnej chwili? – spytałam.

– W zasadzie tak – odparł, wzruszając ramionami. – Po wykonaniu misji wrzuca nas z powrotem.

Jego próba wyjaśnienia spowodowała tylko lawinowy wzrost liczby pytań.

Kto lub co nas wyciąga i wrzuca? Jak to robi? Po prostu bomba. Za każdym razem, gdy próbują mi coś wyjaśnić, rozumiem jeszcze mniej. Może Jackson miał rację, mówiąc, że wyjaśnienia nic nie dadzą. Że muszę wszystko zobaczyć na własne oczy.

– Chyba dalej niezbyt dowierzasz temu, co się dzieje – zauważył Luka.

– No, znalezienie się nagle na zatłoczonej ulicy w Vegas zdecydowanie ułatwia sprawę.

Tyrone parsknął.

– Grywasz w coś? – zapytał.

Trochę mnie zaskoczył nagłą zmianą tematu. Zmarszczyłam brwi i pokręciłam głową.

– Tylko sporadycznie.

Czasami gram, ale naprawdę rzadko. Z braćmi Carli. Żaden ze mnie ekspert.

– Bycie graczem pomaga uwierzyć – powiedział. – No dobra, kurs przyspieszony. Dostajesz punkty za każde trafienie. Jest premia za szybkość. Zaczyna się od potrojenia punktów na samym początku i stopniowo maleje. Dwa i pół, dwa, półtora... I tak dalej.

– Jeszcze nigdy nie dostaliśmy premii za czas – powiedziała Richelle, szturchając łokciem Tyrone'a. – Niektórzy z nas za dużo gadają, co wszystko spowalnia.

– To Jackson, straszny z niego gaduła.

Oboje wymienili rozbawione spojrzenia, po czym Tyrone zerknął na mnie i kontynuował tłumaczenia:

– Jeśli trafisz co najmniej trzech Drau w czasie poniżej dwóch sekund, dostaniesz premię za kombos. Trafienie z ukrycia: premia. Za odniesione obrażenia dostajemy punkty karne. No i trzeba zapłacić punktami za użycie broni.

Tyrone zerknął na Lukę.

– To chyba wszystko, nie?

– Tyrone to nasz drużynowy ekspert – powiedział z przekąsem Luka.

– Tak, zauważyłam – mruknęłam.

Richelle się roześmiała.

– Jeśli w ogóle można zrozumieć, co on tak właściwie mówi – powiedziała, rzucając mu powłóczyście spojrzenie spod długich rzęs. – Ma taki pomysł, że kiedyś zrobi na podstawie tego wszystkiego grę komputerową i zarobi na niej kupę kasy.

Jej ton sugerował, że wcale nie uważa tego za taki zwariowany pomysł. Brzmiało to wręcz, jakby była z niego... dumna?

Szliśmy dalej. Ludzie płynęli wokół nas niczym woda. Nie patrzyli na nas, ale mimo to rozstępowali się, aby nas przepuścić.

Poszłam za Jacksonem przez sam środek grupy śmiejących się na głos kobiet. Omawiały plany na wieczór i umięśnienie jakiegoś faceta. Potem przeszliśmy przez kilka innych dużych grup. Aż w końcu do mnie dotarło.

– Nie widzą nas! – powiedziałam zdziwiona.

Jackson zwolnił swój krok na tyle, żebym mogła się z nim zrównać.

– Nie, nie widzą. Ale gdzieś w podświadomości wyczuwają naszą obecność.

– Rety! Wymówiłeś więcej niż dziesięć słów naraz. I do tego sam z siebie zaoferowałeś wyjaśnienie!

Nie rozumiałam, dlaczego to powiedziałam. Ale ciągle coś mnie pchało do droczenia się z nim. Może w ten sposób odsuwałam od siebie strach? Szybko pożałowałam zmarnowanej okazji na zadanie dodatkowych pytań.

– Już tego żałuję – powiedział, nie patrząc na mnie.

– Innym docina, a sam taki wrażliwy – wymamrotałam pod nosem.

– Dziesięć.

– Co?

– Powiedziałaś, że wymówiłem więcej niż dziesięć słów naraz – wyjaśnił. – Ale tak nie było. Wymówiłem dokładnie dziesięć.

Szczęka mi opadła. Byłam zbyt oniemiała, żeby wymyślić jakąś ciętą ripostę.

Przez chwilę truchtaliśmy w ciszy.

– A teraz „p”! – usłyszałam za sobą.

Obejrzałam się i zobaczyłam Richelle potrząsającą dłońmi w górze, tak jakby trzymała w nich pompony. Powtórzyła ten ruch i zawołała ponownie.

– A teraz „c”! – Poruszyła filuternie brwiami. – Pozostałe litery wstaw sobie sama. Podpowiem: dwa „a” i jedno „j”.

W myślach ustawiłam litery w rzędku, po czym parsknęłam śmiechem.

– To nasz Jackson! – powiedziała, puszczając do mnie oko.

– Należysz do drużyny.

– Co mnie wydało? – zapytała, spoglądając wymownie na swój strój i szczerząc zęby w uśmiechu. – Mama chciała, żebym była na szczycie tak jak ona, ale ja jestem w podstawie. To ja wyrzucam w górę dziewczynę, która kręci salta. Dla mnie bomba, nie chciałabym być na szczycie. Mam lęk wysokości. – Spojrzała na mnie. – A ty? – zapytała. – Ja nie występuję – odparłam, kręcąc głową. – Biegam.

Nasza rozmowa miała w sobie coś surrealnego. Była taka... zwyczajna, podczas gdy nasza sytuacja zdecydowanie taka nie była. Truchtaliśmy chodnikiem w Vegas, udając się na polowanie na obcych. Zdałam sobie sprawę z tego, że już przyjełam to za fakt. Wiedziałam, że nie śnię ani nie majaczę. To jest *prawdziwe*.

– W sztafecie? – ciągnęła Richelle.

– Nie. – Pokręciłam głową. – Nie za bardzo potrafię współpracować w ramach drużyny. To działka Luki. Ja biegam dla samej siebie.

Roześmiała się, ale w jej śmiechu wyczułam coś innego niż tylko wesołość.

– Tak trzymaj, dziewczyno. Czasem tak sobie myślę, że za bardzo staram się

przysporzyć dumy mojej matce, robić wszystko tak, jak ona by chciała, i z tego wszystkiego zapominam zrobić coś dla siebie.

– A co byś chciała robić? – zapytałam.

– Dobre pytanie... Chyba muszę wykombinować, gdzie kończą się oczekiwania mojej matki, a zaczynają moje.

Skręciliśmy w jakąś spokojniejszą uliczkę. Richelle truchtała obok mnie.

– Moja mama nie żyje – powiedziałam. – Drobnokomórkowy rak płuc.

Sądząc po jej minie, zupełnie nie spodziewała się takiego wyznania z mojej strony.

W dzień moich czternastych urodzin mama śmiała się razem ze mną i goniła mnie wśród fal Oceanu Atlantyckiego. Co roku odwiedzaliśmy Karolinę Północną. Odkąd pamiętałam, wynajmowaliśmy ten sam domek przy plaży. Ale w tamte urodziny wszystko się zmieniło. Pamiętam, jak zakryła ją większa fala. Pamiętam jej kaszel, gdy woda opadła. Nie mogła przestać kasłać. Chyba już do końca ciągle kasłała. Cztery miesiące później już jej nie było. *Cztery miesiące*. Chemioterapia i radioterapia gównu pomogły.

– Zmusiłam ojca, żeby do trumny włożył jej paczkę papierosów i zapalniczkę. Zaraz obok naszych rodzinnych zdjęć, które wybrał. – Przerwałam, przypominając sobie wszystkie te dni, kiedy moi rodzice siedzieli i oglądali telewizję albo czytali gazety. A nad nimi unosiła się gęsta chmura dymu. – Byłam wtedy na wszystkich strasznie zła – dokończyłam.

– Może wciąż jesteś – bardziej stwierdziła niż zapytała Richelle.

Zatrzymałam się jak wryta. Nie mogłam uwierzyć, że jej to powiedziałam. Nigdy z nikim o tym nie rozmawiałam. Nawet z Carlą. *Nigdy*. Nie mogłam też uwierzyć, że dziewczyna, którą dopiero co poznałam, od razu trafiła w samo sedno.

Miesiąc temu skończyłam szesnaście lat. Nad Atlantyk pojechaliśmy tylko we dwoje – z ojcem. Biegaliśmy wśród fal, a wraz z nami – nasze wspomnienia. Udawałam wtedy, że te słone strugi na mojej twarzy to woda morska.

On też tak udawał.

Udawałam, że mój kostium kąpielowy zakrywa małego orła, którego wytatowałam sobie nad sercem. Symbol odwagi. Odwagi mamy, gdy stawiała czoło tej cholernej chorobie. Mojej odwagi, gdy ciągle wisiałam nad bezdenną, czarną otchłanią, trzymając się krawędzi samymi koniuszkami palców. Próbując żyć dalej. Stopniowo wspomnienia o niej zsuwały się do dalszych zakamarków mojej pamięci, z każdym dniem coraz bardziej blednąc.

Tata udawał, że nie widzi tatuażu. Przecież powiedział mi, że nie mogę go sobie zrobić, bo jeszcze nie mam osiemnastu lat.

W ten sposób radzimy sobie z tatą. Generalnie szczerzy wobec siebie, ale nie zawsze.

Gapiałam się na Richelle. A może ona ma rację? Może naprawdę to wszystko wciąż jest złość?

Potok myśli został przerwany przez Tyrone'a, który delikatnie szturchnął mnie w ramię.

– Skup się – powiedział łagodnie.

Podążyłam za jego wzrokiem i zobaczyłam Jacksona idącego w naszą stronę.

– To nie czas na pogawędki – powiedział.

„Mówiłem ci, że masz być tak blisko mnie, żebym słyszał twój oddech”.

Nie powiedział tego na głos. Ale przysięgłabym, iż to usłyszałam.

Jego słowa sprawiły, że poczułam nagle silny ucisk w klatce piersiowej. Przez chwilę dane mi było napawać się złudnym spokojem ducha. Zdołałam odsunąć od siebie dezorientację, strach i wszystkie kłębiące mi się w głowie pytania. Przez chwilę cała moja uwaga skupiała się na Richelle. Na tym, że wydawała się miła. Wydawała się kimś, z kim można pogadać. Kimś, kogo chciałam bliżej poznać.

Ale Jackson miał rację. To nie był czas na pogawędki.

Już wcześniej mówił, że nie umie czytać mi w myślach. Ale jego stwierdzenie ponownie sprawiło, że skłonna byłam rozważyć taką możliwość.

– Nie jesteśmy tu po to, żeby się lepiej poznawać.

– Ale z ciebie dupek – odparowałam.

– Dzięki temu żyję – stwierdził krótko i obrócił się na pięcie.

– Zawsze musisz mieć ostatnie słowo, co? – powiedziałam już do jego pleców.

– Owszem.

Gdyby to był ktokolwiek inny, mogłabym się założyć, że uśmiecha się pod nosem.

#

Truchtaliśmy tak chyba dobrą godzinę. W końcu Jackson uniósł dłoń i zwolniliśmy. Stwierdziłam ze zdziwieniem, że ledwo czułam początki zmęczenia. Bardzo chciałam zapisać to na konto mojej doskonałej kondycji, ale prawda była taka, że po takiej przebieżce normalnie byłabym cała spocona i dyszałabym jak zmachany pies.

– Nawet się nie spociałeś – szepnęłam do Luki.

Przytaknął.

– Na misji tak się dzieje – wyjaśnił cicho. – Jesteśmy silniejsi, szybsi. Nie czujemy głodu ani pragnienia. Myślę, że to ustrojstwo ma coś z tym wspólnego. – Tu postukał palcem w swój kom. – Ty czujesz trochę zmęczenia, bo jesteś nowa. Następnym razem będzie ci łatwiej.

Następnym razem.

– Super – powiedziałam, wzruszając ramionami. – A dlaczego nie wyrzuciło nas dokładnie tam, gdzie powinniśmy się znaleźć? Dlaczego musieliśmy biegać po mieście przez bitą godzinę?

Chociaż wciąż mówiliśmy cicho i moje pytanie było wyraźnie skierowane do Luki, odpowiedział mi Tyrone:

– Po pierwsze, musimy przyzwyczać się do zmiany. W czasie, gdy docieramy do celu, nasze ciała i umysły osiągają optymalny stan. Endorfiny i adrenalina wydzielane podczas biegu pomagają w tym. Po drugie, nasze cele doskonale wiedzą, kiedy tworzona jest szczelina, przez którą nas wyrzuca. Im dalej od nich jesteśmy, tym mniejsze ryzyko, że ustalą dokładne miejsce zrzutu i czas, jaki nam zajmie dotarcie do nich. Jeśli pojawiajemy się w mieście, tłumy ludzi pomagają nas maskować, w związku z czym wyrzuca nas zazwyczaj relatywnie blisko. Ale w przypadku jakiegoś odludzia, na przykład pustyni, wyrzuca nas dużo dalej. Dodatkowo tu, na miejscu, komy zagłuszają nasz sygnał, co jeszcze bardziej utrudnia im zlokalizowanie nas.

– Cholernie dużo o tym wszystkim wiesz – zauważyłam z podziwem.

– Trochę już w tym siedzę – odparł.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu.

– Kiedy wyciągnęło mnie pierwszy raz – podjął – też zadawałem mnóstwo pytań.

– Możesz więc wszystkie te informacje wykorzystać w grze, którą masz zamiar zrobić – stwierdziłam z przekąsem.

– A żebyś wiedziała – odparł, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu. – Diabeł tkwi w szczegółach.

– Jakies inne ważne pytania? – wciął się Jackson.

– Jeśli jakies będę miała, nie omieszkam ich zadać.

Jackson ruszył przed siebie, poszliśmy za nim. Poprowadził nas z dala od światła i ludzi. Przemierzaliśmy ulice w mocno szemranej okolicy. Niektóre zaułki wręcz wzbudzały strach. Pod ścianą jednego z budynków stało kilkanaście worków ze śmieciami. Na drugim końcu domu wisiał duży, pionowy neon. Świeciła się tylko jedna litera: „P”. Po lewej stał stary, częściowo przerdzewiały kontener na śmieci. Jackson obszedł go i wszedł w jeszcze węższy zaułek między dwoma budynkami wyglądającymi na opustoszałe.

Uderzył mnie ostry smród gnijących śmieci. Ale było coś jeszcze. Z powie-

trzem w tym zaułku było coś nie tak. Było zbyt ciężkie.

Momentalnie puls mi przyspieszył, w ustach zaschło, a dłonie miałam całe spocone, chociaż nie wiedziałam, czego właściwie tak się boję.

– Tam – wyszeptał nagle Jackson.

Zatrzymał się, wskazał najpierw na Tyrone'a, potem na Lukę, a następnie na skryte w cieniu drzwi.

Tyrone podszedł do drzwi z drugiej strony i skinął Jacksonowi głową. Luka odwrócił się plecami do nas i wpatrywał się uważnie w wylot zaułka. Richelle wyglądała na gotową, aby... coś zrobić. Oni już takie rzeczy robili. Każdy znał swoje zadanie. Tylko nie ja.

Jakby wyczuwając moje niezdecydowanie, Jackson spojrzał na mnie i skinął lekko głową, pokazując, abym podeszła bliżej niego.

Strach cały czas we mnie wzbierał, ale jakoś zdołałam zmusić się do zrobienia tych kilku kroków i stanęłam obok niego. Za drzwiami coś było. Coś, od czego chciałam jak najdalej uciec. Ramiona pokryła mi gęsia skórka, a na języku czułam gorzki smak strachu.

„*Wróg*”.

Słowo wypłynęło z nieodpartą pewnością z jakiegoś pierwotnego zakamarka mojej duszy.

– Broń – powiedział Jackson tak cicho, że ledwo go usłyszałam.

Kątem oka dostrzegłam, jak Luka wyciąga swój walec z kabury na biodrze. Z braku lepszego pomysłu zrobiłam to samo. Nie żebym wiedziała, co dokładnie robię i co się za chwilę stanie. Wiedziałam jedynie, że strasznie się boję. Bardziej niż wtedy, gdy pędziła na mnie ciężarówka. Bardziej niż wtedy, kiedy obudziłam się na polanie, myśląc, że nie żyję.

Walec był większy, niż mi się początkowo wydawało, i nie zdołałam objąć całego palcami. Był bardzo twardy, a jego powierzchnia była gładka i chłodna w dotyku. Celowanie i strzelanie z tego czegoś będzie dziwaczne. Przyzwyczaiłam się już do trzymania rękojeści miecza, ale cios mieczem i strzelanie wymagają

zupełnie innych ruchów.

Ledwo to pomyślałam, a walec zaczął się zmieniać. Poczułam, jak dopasowuje się do mojej dłoni, płynnie zmieniając kształt. Przestałam odnosić wrażenie, że trzymam rękojeść miecza. Teraz broń sprawiała wrażenie przedłużenia mojego ciała. *Czulam*, że tam jest. Jakby z dłoni wyrósł mi nowy organ. Nabrałam gwałtownie powietrza i rozejrzałam się nerwowo dokoła, szukając odpowiedzi w spojrzeniach innych. Ale każde z nich było zajęte. To nie był czas na pytania i wyjaśnienia.

Luka jeszcze raz uważnie omiółł wzrokiem cały zaułek, po czym przysunął się bliżej nas. Richelle poruszyła się lekko i wyciągnęła palce w stronę drzwi. Pozostali unieśli broń gotowi ją wesprzeć.

Poczułam narastającą gdzieś głęboko we mnie panikę. Nie mogłam jej pozwolić tam wejść! Nie mogłam nikomu pozwolić tam wejść! Jeśli ona przejdzie przez te drzwi, wszyscy zginiemy. Nie wiedziałam, skąd miałam tę pewność, ale po prostu nie dopuszczałam innej możliwości.

Zanim zdążyłam pomyśleć, złapałam ją za ramię i odciągnęłam na bok. Zachwiała się, ale utrzymała równowagę. Zaczęłam się cofać, żeby znaleźć się jak najdalej od tych drzwi, walcząc z opanowującym mnie przerażeniem.

Nagle poczułam na ramieniu czyjąś silną dłoń.

– Wszyscy to czujemy – powiedział Luka uspokajającym tonem. – Przyzwyczajasz się.

– Ja się tym zajmę – powiedział sucho Jackson.

Spojrzałam na Lukę i wyczytałam w jego twarzy zdziwienie, a potem jakby sugestią sprzeciwu. Chciał kłócić się z Jacksonem, widziałam to wyraźnie. Powietrze między nimi jakby zgęstniało i przez chwilę obaj patrzyli sobie w oczy bez słowa. W końcu Luka kiwnął głową i cofnął się o krok.

Jackson przysunął się do mnie blisko i przylgnął swoim ramieniem do mojego. Byliśmy ustawieni w klin pod kątem prostym do siebie nawzajem.

– Świetnie ci idzie, Miki – powiedział łagodnym głosem. – Nawet lepiej niż

świetnie. Koncentrujesz się na zadaniu, odkładając pytania na później. I to jest właściwe podejście. Gdy tam wejdziemy, będziemy walczyć. Ty będziesz walczyć. I wygrasz. A nasz świat dzięki temu przetrwa.

– Boję się – wyszeptałam.

Te słowa w najmniejszym stopniu nie oddawały tego, co czułam. Nie bałam się. Byłam przerażona. Wprost skamieniała ze strachu. Panika przenikała moje myśli i ciało na wskroś aż do szpiku kości.

A Jackson to rozumiał.

– To uczucie wewnątrz ciebie... Wszyscy to czujemy – ciągnął dalej spokojnym, kojącym głosem. Głosem, któremu łatwo było uwierzyć. – To tkwi głęboko w tobie. Masz to w genach. Urodziłaś się z wiedzą o nich – tu wskazał brodą drzwi. – Urodziłaś się z wiedzą o tym, do czego są zdolni. O tym, że to jest nasz wróg.

„Tak!”.

– Polowali na naszych przodków. Oni byli drapieżnikami, a my ich ofiarami. Przepędzili naszych przodków z ich rodzimej planety. Zamienili ją w martwy, zamrożony świat. Teraz przybyli na podbój kolejnej planety. Tej planety. Ziemi. *Naszej* planety. To uczucie w głębi ciebie jest w pełni uzasadnione. Tkwi w twoich genach. Tkwi w genach nas wszystkich – powiedział z naciskiem, zataczając ręką koło i wskazując pozostałych. – Ale musisz nad nim zapanować. Pokonać je. Już nie jesteśmy bezbronnymi ofiarami.

Jego wyjaśnienie brzmiało tak nieprawdopodobnie, że w pierwszym odruchu chciałam je odrzucić jako stek bzdur. Ale tego nie zrobiłam. Pierwszy raz jego niejasne stwierdzenia w końcu miały dla mnie sens. „Ale musisz nad nim zapanować. Pokonać je”. Tę sytuację znałam aż za dobrze. Potrzebę nieruszania się z miejsca, gdy każda komórka w twoim ciele rwie się do przodu. Czułam to za każdym razem, gdy odwiedzałam mamę w szpitalu. Chciałam uciec stamtąd tak szybko, jak to było tylko możliwe. Od tych rurek, od tych maszyn i od tych uśmiechniętych przyjaźnie pielęgniarek zmieniających jedną kroplówkę z trucizną na kolejną. I ta trucizna kap, kap, kap, kropla po kropli wnikała w jej żyły, usiłując zabić rosnącego w niej bez opamiętania raka. Ale za każdym razem zostawałam. Dla niej. Dla mamy.

– Mój instynkt podpowiada mi, żebym uciekała, gdzie pieprz rośnie. Ale ty mi mówisz, bym tego nie robiła. I twierdzisz, że gdzieś głęboko wiem, co czeka na nas po drugiej stronie tych drzwi. Pamięć genetyczna.

Uniósł pytająco brwi, więc wyjaśniłam.

– Omawialiśmy to na biologii.

– Pamięć genetyczna – powtórzył, jakby bawiąc się tymi słowami, i uniósł kącik ust w ledwo zauważalnym uśmiechu. – Tak, to dobre wyjaśnienie.

– Ale dlaczego ja? – zapytałam. – Dlaczego ja mam tu być? Nie przeszłam żadnego przeszkolenia. Czy nie powinno być do tego jakiegoś obozu treningowego czy czegoś takiego?

– Coś takiego przechodzisz właśnie teraz – odparł. – Masz swoją pamięć genetyczną i swój instynkt. Zaufaj im. Poza tym nie mów, że nie przeszłaś żadnego przeszkolenia. Umiesz więcej niż większość ludzi, których wciąga. Kendo, dobrze pamiętam?

Przełknęłam ślinę i przytaknęłam. Do tysięcy pytań tłoczących się już w moich myślach Jackson dodał właśnie całe zastępy nowych.

– Po tym wszystkim jesteś mi winien solidne wyjaśnienia – powiedziałam, przypominając mu jego wcześniejszą obietnicę.

– Po tym wszystkim.

Po tych słowach Jackson przesunął lekko grzbietem palców po mojej dłoni. Dotyk był tak lekki, że przez chwilę myślałam, iż tylko mi się zdawało. Ale nie. Dawał mi w ten sposób coś do zrozumienia. Wyrażał w ten sposób swoją akceptację i w pewnym sensie podziw dla mnie. Chociaż wyraz jego twarzy nie zmienił się ani odrobinę.

– Teraz musisz wiedzieć tyle, że stwory czające się za tymi drzwiami...

– Drau? – przypomniałam sobie nazwę, jakiej on i Tyrone użyli wcześniej.

Przytaknął.

– One są stworzeniami dziennymi. Planeta, z której pochodzą, znajduje się

w układzie gwiazdy podwójnej. To znaczy, że ich planeta ma dwa słońca, w związku z czym dzień trwa u nich przez zdecydowaną większość doby. Nie są więc przyzwyczajeni do nocy i gdy zapadają ciemności, stają się oszołomieni i ocieżali.

– Jak hibernujące zimą niedźwiedzie – podpowiedział Luka.

Jackson udał, że nie zauważył tego wtřętu.

– Atakując nocą – ciągnął dalej – mamy większe szanse na późniejsze wydostanie się stąd.

– Z zielonym wskaźnikiem zdrowia? – zapytałam, unosząc rękę z bransoletą.

– Taki jest plan.

Zamilkł, ale miałam nieodparte wrażenie, że chce powiedzieć coś więcej.

– Słyszałem, co mówiłaś wcześniej, że nie potrafisz współpracować w ramach drużyny...

– Ja... – chciałam wyjaśnić, ale nie dał mi dojść do słowa.

– Nic nie mów, posłuchaj mnie. Tu nie chodzi o współpracę, o drużynę. Bo to nie jest drużyna, Miki. Gdy przyjdzie co do czego, musisz dbać o siebie. Musisz dbać o to, żeby *twoje* zdrowie było cały czas zielone. Zapomnij o reszcie i zajmij się sobą. Bo nikt inny tego nie robi.

A już zaczynałam go lubić.

Ale to, co powiedział, potwierdziło moje podejrzenie. Myśl, od której nie mogłam się opędzić od dnia, w którym umarła moja mama. Że tak naprawdę nie ma co liczyć na nikogo poza sobą. Wszyscy inni prędzej czy później odchodzą.

– To właśnie robisz? Dbasz o siebie? – Nawet nie starałam się ukryć cynizmu.

– Koniec końców wszyscy to robimy.

Nie takiej odpowiedzi się spodziewałam. Zwilżyłam językiem wyschnięte wargi i zebrałam się w sobie.

– Czyli wbrew temu, co mówiłeś wcześniej, nie będziesz się opiekował nowym rekrutem?

Dlaczego to powiedziałam? Dlaczego mnie to obchodziło? Polegałam sama na sobie już od wielu lat. Nie potrzebowałam nikogo innego.

Zaśmiał się krótko. Brzydki, kpiący śmiech, bez cienia rozweselenia.

– Widzisz, tak to już jest. Nie powinienem. Naprawdę. Ale i tak to zrobię. Mam tylko nadzieję, że przez to nie zginę.

Tego już było za wiele.

– Osiem lat kendo – wycedziłam przez zęby. – Nie pozwolę ci zginąć.

Mój wybuch zaskoczył chyba na równi nas oboje.

– Wystarczy, że posłuchasz mojej rady i będziesz na siebie uważać.

– Nie omieszkam – powiedziałam chłodno.

Przez chwilę myślałam, że tym razem będę miała ostatnie słowo.

Nic z tego.

– To dobrze – powiedział i wyszczerzył zęby.

Te jego bielutkie zęby i ten jego dołek w policzku. On się nie bał przejść przez drzwi. Nie bał się stawić czoła Drau. W jakiś sposób jego pewność siebie po trosze udzieliła się i mnie.

Oderwał swoje ramię od mojego i ponownie stanął z boku drzwi. Kątem oka zauważyłam, że Richelle przygląda mi się ze zmarszczonymi brwiami.

Po chwili wszyscy zajmowali już swoje pozycje. Richelle sięgnęła do drzwi, reszta ją osłaniała. Dziewczyna porozumiała się wzrokiem z Tyrone'em i Jacksonem, po czym szybkim ruchem pchnęła skrzydło. Z ciemnego wnętrza rzuciło się na mnie dziwne powietrze, wzbudzając we mnie niesamowity wstręt. Każda komórka mojego ciała krzyczała, żebym uciekała, ile mam sił w nogach. Wytężyłam jednak wolę i zmusiłam się do zrobienia kroku naprzód. To tylko jakaś gra, mówiłam sobie. Richelle i Luka powiedzieli, że wrócimy do normalnego świa-

ta po tym, jak tu skończymy. Musieli mieć rację. W końcu uderzyła we mnie rozpędzona ciężarówka, a ja wciąż żyłam. Cokolwiek stanie się w środku, nie może być gorsze od tego, co już było.

Rozdział piąty

Richelle wpadła do środka jako pierwsza. Po chwili wytknęła na zewnątrz rękę i dała dłonią znak, żebyśmy weszli za nią. Najpierw wszedł Tyrone, potem Luka. Jackson wskazał palcem na mnie, a potem na otwarte drzwi. Zmusiłam stopy do ruchu i poszłam w stronę ciemnego otworu. Z każdym krokiem robiło mi się coraz zimniej. Z każdym krokiem narastało pragnienie wzięcia nóg za pas. Poczułam kolejny napad paniki. Czułam się, jakbym tonęła. W płucach brakowało mi powietrza, a ja nie mogłam wypłynąć na powierzchnię.

Ogromnym wysiłkiem woli stłumiłam duszący strach i weszłam do budynku. Tam było jeszcze gorzej. Muszę uciekać! Gdzieś się schować!

Wtedy poczułam na ręce delikatny, ale stanowczy uścisk dłoni Richelle. Trwał ledwie parę uderzeń serca, ale wystarczył. Przypomniała mi, że nie jestem sama. W jakiś dziwny sposób ta świadomość przywróciła mi spokój.

Było ciemno. Minęło dobrych kilka chwil, zanim moje oczy przywykły do mroku. Jedyne światło wnikało do pomieszczenia przez szczeliny między deskami, którymi zabito okno osadzone kilka metrów nad podłogą. Wystarczało go tylko na tyle, żeby dostrzec zarysy moich towarzyszy. W najbliższym rogu majaczyły jakieś wielkie pudła. Jeszcze jedna ich sterta została ustawiona pod przeciwległą ścianą.

Jackson sunął powoli do przodu. Nie słyszałam jego kroków, ba!, ledwo go dostrzegałam. Słabo widoczny cień wśród innych cieni. Podążyłam za nim, starając się poruszać równie cicho. Zatrzymał się. Zamarłam, wstrzymując oddech. Po chwili dostrzegłam mglisty zarys kolejnych drzwi na wprost przed nami. Wypuściłam powoli powietrze z płuc.

Nagle ponownie poczułam przeszywający strach. Ścisnął mi żołądek i rozprzestrzenił się po całym ciele. Czułam, że za chwilę pęknę i poddam się panice.

Ponownie poczułam delikatny dotyk Richelle i powoli zaczęłam odzyskiwać panowanie nad sobą. Po chwili ramię w ramię sunęliśmy w stronę drzwi.

– Zamknijcie oczy – rzucił cicho Jackson.

Zaskoczona zamarłam.

Nagły błysk silnego światła całkowicie mnie oślepił. Mrugałam intensywnie, próbując pozbyć się kolorowych plam tańczących mi przed oczami. Cholera, było zrobić tak, jak kazał Jackson! Stopniowo plamy kurczyły się i zanikały, ustępując prostokątowi jasnego światła obramowanemu futryną drzwi.

Po kolejnej sekundzie dostrzegłam za drzwiami sylwetki ludzi. Nie... nie ludzi. Owszem, mieli kończyny, włosy, twarze, ale nie byli ludźmi. Wystarczyło tylko trochę lepiej się im przyjrzeć, żeby zorientować się, że zupełnie nie przypominali ludzi. Byli niesamowicie biali, wręcz jaśniejący. Wyglądali, jakby ich skóra została powleczone szkłem i wypolerowana. Ale nie sprawiała wrażenia sztywnej, wręcz przeciwnie. Była dziwnie płynna. A ich oczy... srebrzyste niczym rtęć w starym termometrze, który moja mama kiedyś zamocowała na słupie ganku.

Gdy miałam dziesięć lat, niechcący strąciłam go na ziemię bokkenem. Cienka szklana rurka rozprysła w zetknięciu z podłogą i po całym ganku rozlała się rtęć, tworząc dziesiątki malutkich kulek. Byłam tylko dzieckiem, więc kucnęłam i popychałam te śmieszne kulki palcem, łącząc je ze sobą. Nagle na ganek wpadła mama i porwała mnie na ręce. Mówiła, że nie wolno tego dotykać. Że to jest trucizna. Że może mnie zabić.

Wpatrywałam się w stworzenia stojące przede mną. Drau. Coś w nich sprawiało, iż nie mogłam oderwać od nich wzroku.

Gdzieś na skraju myśli pojawiło się wspomnienie tego, co mówił o nich Jackson. Jak wspominał Meduzę. „Nie patrz im w oczy”.

Ich oczy były niczym rtęć.

Były trucizną.

Mogły mnie zabić.

Chciałam się poruszyć, mrugnąć. Ale nie panowałam nad swoim ciałem. Tonęłam w ich oczach niczym w srebrnych jeziorach. Tonęłam...

Coś chwyciło mnie za włosy i pociągnęło mocno, obracając moją twarz na bok, odrywając moje spojrzenie od ich oczu. Nabrałam gwałtownie powietrza. Jackson puścił moje włosy i wyswobodził palce.

– Nie patrz im w oczy – warknął.

Zdałam sobie sprawę, że właśnie uratował mi skórę. A to, co wydawało mi się długimi godzinami, było zaledwie jedną chwilą.

Obcy ruszyli ku nam przez otwarte drzwi. Ich ruchy były niesłychanie płynne, nieludzkie, straszne. Nie byłam w stanie ocenić, ilu dokładnie ich jest. Byli wszędzie. Poruszali się niczym duchy. Niesamowicie szybcy, mknący z miejsca na miejsce. Wdarli się między nas, chcąc nas rozdzielić. Serce waliło mi jak młotem. Rzuciłam się w bok. Potem znowu. Do tyłu, do tyłu. Potknęłam się o coś, prawie upadając na plecy. Utrzymać się na nogach, nie stracić ich z oczu. Przypomniałam sobie o broni. Uniosłam rękę, wycelowałam i... nie miałam pojęcia, co z tym ustrojem zrobić!

Nagle przede mną pojawił się Jackson. Nie wiem skąd, nie wiedziałam, gdzie są pozostali. W jednej ręce trzymał swój walec, a w drugiej – czarny nóż o długim ostrzu. Nóż! Dlaczego ja nie mam noża? Przynajmniej wiedziałabym, jak go użyć! Światło sunęło ku nam. Jackson ciął nożem po skosie w dół, ale chybił. Obcy się cofnął. Po chwili znowu ruszył na nas. Jackson ciął na odlew. Znowu chybił.

Nie wiedziałam o Drau zupełnie nic, ale instynkt podpowiadał mi, że bawili się z nami. Drwili z nas.

Dyszałam ciężko, patrząc bezradnie na toczącą się walkę. Chciałam pomóc. Też pragnęłam walczyć, ale nie miałam pojęcia jak. Jeden z obcych wystrzelił w moją stronę kulki oślepiającego światła. Zamarłam. Nie byłam w stanie odskończyć w bok. W ostatniej chwili Jackson wskoczył przede mnie i zasłonił swoim ciałem. Światło uderzyło go w plecy. Zobaczyłam, jak jego twarz wykrzywia się z bólu.

Odzyskałam możliwość ruchu. Niewiele myśląc, chwyciłam go za koszulę i odciągnęłam na bok. Cały czas celowałam walecem w obcych. W złudnej nadziei, że w końcu zadziała.

Wtedy usłyszałam dziwny, wysoki, wibrujący dźwięk. Spojrzałam w bok akurat na czas, żeby zobaczyć, jak z broni Jacksona wylatuje coś ciemnego, płynnego niczym pęcherz oleju. Czas zwolnił, gdy patrzyłam na czarną kulkę lecącą

w stronę oślepiającego światła. Gdzieś w głębi zdawałam sobie sprawę z tego, że cała scena nie trwa nawet sekundy. Miałam wrażenie, jakby kilka klatek filmu zostało rozciągniętych w czasie na całą minutę. Patrzyłam, jak ta ciemna, oleista masa pulsuje, lecąc z szybkością wymykającą się zrozumieniu.

Czułam dziwne przyciąganie. Jakby ta kulka, ten pęcherzyk ciemności był miniaturową czarną dziurą starającą się wessać wszystko, co ją otacza.

Świetlista sylwetka zamigotała szybko. Tak szybko, że ledwo dostrzegałam przejścia od światła do jego braku. Obcy cofnął się, starając się uciec od ciemnej, oleistej śmierci, ale siła przyciągania była zbyt duża. W jednej chwili światło zgasło. Sylwetka obcego po prostu zniknęła bez śladu wessana w czarną kulkę, która błyskawicznie wróciła do broni Jacksona. Całe zdarzenie wyglądało, jakby metalowa żaba w jego ręce wystrzeliła czarny język i zgarnęła w locie świetlistą muchę.

Zorientowałam się, że nie mogę oddychać. Jednak zanim w pełni przetrwałam to odczucie, odzyskałam panowanie nad płucami. Powietrze wtargnęło do nich z impetem i krew ponownie zaczęła rozprawdzać po moim ciele życiodajny tlen.

Jackson zabił obcego.

A ja stałam jak wryta i tylko się przyglądałam.

Nie miałam jednak czasu tego roztrząsać. Wszędzie dokoła mnie panował chaos. Te... te stwory, Drau, były szybkie. Cholernie szybkie. Mknęły z miejsca na miejsce niczym smugi światła. Za mną, obok mnie, dziwne odgłosy, ruch, lśnienie... I te nagłe plamy ciemności zdradzające, że pozostali też strzelali.

Polowanie.

Jeden z obcych ruszył na mnie. Rozmyta smuga światła, która chwilę potem zaczęła nabierać ludzkich kształtów, tuż przede mną. Uległam pokusie i spojrzałam mu prosto w oczy. W dwa lśniące, płynne jeziora rtęci. Takie przerażające i zarazem takie piękne.

Poraził mnie przeszywający ból. W sercu, w płucach, w brzuchu. W nogach, w ramionach, w skroniach. Czułam się, jakby ktoś mnie patroszył, jakby wyciągał

mi wnętrzości przez uszy. Nogi ugięły się pode mną i upadłam na kolana.

Drau rozchylił wargi, odsłaniając dwa rzędy zaostzonych zębów. Zębów w najmniejszym stopniu nieprzypominających ludzkich.

Sparaliżowana strachem wpatrywałam się prosto w niego.

Wtem poczułam wypływającą gdzieś z głębi wolę walki, bronienia się przed tym czymś. Wybuchła silnym płomieniem, przełamując hipnotyczny urok tych nie-ludzkich oczu.

Uniosłam dłoń z bronią i wycelowałam.

„Strzelaj. No dalej. Zrób coś! Proszę...”.

Dłoń mi drżała, krew pompowana przez walące w szaleńczym tempie serce dudniła w uszach. Ale nie zdołałam zmusić tego głupiego żelastwa do wystrzelenia chmury ciemności. Wola walki ustąpiła bolesnemu uczuciu bezsilności i strachu.

Jeszcze raz zebrałam się w sobie i nakazałam w myślach broni wystrzelić.

Nic się nie stało.

Drau uniósł rękę. W dłoni trzymał coś gładkiego i metalicznego. Nie wyglądało to na coś twardego, jak nasze walce. Sprawiało wrażenie raczej jakby galaretowatego. Ich broń? Miriady światel przypominające to, co trafiło Jacksona, wystrzeliły w moją stronę. Później był tylko wszechogarniający, obezwładniający ból.

Trwałam jak skamieniała, zahipnotyzowana spojrzeniem obcego. Wiedziałam, że muszę odwrócić wzrok, ale nie mogłam.

Z jego lśniącej broni wystrzeliwały coraz to nowe odłamki światła. Każde trafienie odzywało się ostrym bólem, bo wbijały się we mnie setki sztyletów. Czułam silny nacisk na klatkę piersiową, jakby ktoś włożył moje żebra w wielkie imadło. I zaciskał... zaciskał... Poczułam przeszywający ból pękającej kości. Próbowałam nabrać powietrza, ale ból w piersi był zbyt silny. Świat wokół mnie zaczął szarzeć. Odgłosy walki powoli cichły. Na języku czułam metaliczny smak krwi. I gorzki smak strachu.

Czy krzyczałam? Chyba tak. A może tylko mi się to wydawało? Ale nie, słyszę krzyk. Ale nie swój, kogoś innego. Głos dobiegał gdzieś zza mnie. Nieludzki, triumfujący, a zaraz po nim ludzki, przepełniony strachem i desperacją.

– Tyrone! – usłyszałam głos Richelle.

Ułamek sekundy ciszy. Potem kolejny, wysoki, wibrujący krzyk agonii.

Ktoś dostał. Ktoś był ranny. Chciałam spojrzeć, sprawdzić, kto to. Chciałam jakoś pomóc. Ale nie mogłam. Oczy obcego nie pozwalały mi odwrócić wzroku. Niczym spojrzenie drapieżnika hipnotyzujące ofiarę.

„Miki!”.

Głos Jacksona w mojej głowie. Przebił się przez ból, dając mi chwilę wytchnienia, ale również oszałamiając mnie.

Kątem oka wyłapałam czyjś ruch. Zobaczyłam czarny, skórzany but wieńczący nogę odzianą w spodnie w kolorze khaki. Broń obcego wystrzeliła, wirując, w powietrze i odleciała gdzieś do tyłu. Nacisk na moje żebra i przeszywający ból zelżały. Nabrałam łapczywie powietrza i odwróciłam wzrok od obcego.

Cała się trzęsłam, a zęby dzwoniły jak kastaniety. Palce mi zdrętwiały do tego stopnia, że nie mogłam nimi poruszyć. Ogromnym wysiłkiem woli utrzymałam się na kolanach i nie pozwoliłam broni wyslizgnąć się z dłoni. Choć wciąż nie miałam bladego pojęcia, jak jej użyć, bynajmniej nie zamierzałam jej wypuścić.

Obcy stojący przede mną zrobił krok w moją stronę. Tylko jeden. I znów stanął. Nie rzucił się na mnie, żeby dokończyć, co zaczął... Bawił się mną.

Drapieżnik i ofiara. Lubował się tym.

Nakazałam w myślach walcowi wystrzelić, ale nie dało to żadnego efektu. Rzuciłam się więc w stronę galaretowatej broni, którą Jackson wykopał z dłoni Drau.

Niestety obcy był ode mnie szybszy i pierwszy pochwycił broń. Wróciliśmy więc do punktu wyjścia – on miał swoją broń, a ja swoją. Oczywiście nadal nie miałam zielonego pojęcia, jak jej użyć. Kolejny raz tego dnia poczułam, jak strach

zaciska swoje zimne palce wokół mojego serca.

Z lewej strony dobiegł mnie kolejny krzyk, tym razem wysoki i urwany. Krzyk z gatunku tych, które zmrażają człowieka do szpiku kości. Chciałam spojrzeć przez ramię, żeby zobaczyć, kto dostał, ale bałam się to zrobić. Bałam się odebrać wzrok od obcego stojącego tuż przede mną.

Sofu nauczył mnie kiedyś ukrywać strach i niepewność, ponieważ okazywanie tych uczuć dawało przewagę przeciwnikowi.

– Staraj się zawsze zastraszyć przeciwnika, Miki – mawiał. – Nawet jeśli sama nie wierzysz, że to się uda.

Wspomnienie jego słów pomogło mi spojrzeć śmielej na – jak mi się wtedy wydawało – niemożliwego do pokonania wroga.

– Pokonam cię! – warknęłam.

Może nie było to najlepsze, co mogłam powiedzieć, ale nic innego nie przyszło mi do głowy. Poza tym... poza tym uznałam, że gdy to powiem, mam szansę w to uwierzyć.

Drau zbliżył się jeszcze bardziej. Jego niemal ludzka twarz przysuwała się, wypełniając całe pole widzenia i wypierając wszystkie myśli z mojej głowy. Próbowałam nie patrzeć w jego oczy, ale na próżno. Ból uderzył z siłą wielokrotnie większą niż poprzednio. Był nie do zniesienia.

Upadłam i wrzasnęłam głośno. Miałam wrażenie, że od tego krzyku zadrżała podłoga.

Cierpienie, strach. Nienawidziłam tych uczuć. Byłam wściekła, że znowu je czułam! Nie tak chciałam opuścić ten świat. Nie klęcząc na podłodze, trzęsąc się z bólu i rozpaczliwie starając się chwytać powietrze. Jeśli ma kiedyś nadejść mój koniec, to na moich warunkach. To ja zdecyduję, jak umrę. Tak jak zrobiła to mama. Po wielu tygodniach męki wszyscy lekarze byli zgodni, że nie ma już dla niej nadziei. Wszystkie badania dawały te same wyniki. Zerowa szansa na poprawę. Mama wypisała się więc ze szpitala. Bardzo długo miałam jej to za złe. Teraz jednak, w tej ulotnej chwili wypełnionej moim bólem, moim strachem i wściekłością na moją słabość, zrozumiałam chyba chociaż część pobudek, które

nią wtedy kierowały. Nie mogła już zmienić przyszłości. Wyrok zapadł. Mogła jednak wybrać, jak przeżyje swoje ostatnie dni. Kiedy zamykała oczy po raz ostatni, leżała w hospicjum, z tatą i mną po obu stronach łóżka, z głośno nastawionym AC/DC. Odeszła tak, jak *ona* chciała. Tak, chyba to w końcu zrozumiałam. Cóż za wspaniały moment na olśnienie.

Zalała mnie nowa fala cierpienia. Ale tym razem krzyknęłam tak, jak nauczył mnie dziadek. Skanalizowałam ból w okrzyk *kiai*. Włożyłam w niego całą siłę i skoncentrowałam wszystkie myśli na mojej broni. Metal zrobił się bardzo zimny niczym lód, wręcz parząc mi dłoni. Walec zaczął silnie wibrować, wydając coraz głośniejszy pisk. Z otwartego końca broni wystrzeliła chmura ciemności niczym woda tryskająca pod dużym ciśnieniem z węża. Odrzut poderwał mi ramię.

Udało się! Broń zadziałała!

Drau błyskawicznie odskoczył w bok, zwinnie unikając chmury ciemności, która chwilę potem znikła.

Spudłowałam.

Ponownie usłyszałam w głowie głos mojego dziadka. *Mamoru*. Bronić. Chronić.

Ale nie mogłam tylko się bronić. Byłam przekonana, że to nie wystarczy, aby utrzymać się przy życiu. Musiałam zaatakować. Musiałam trafić obcego w chwili, gdy będzie bezbronny.

Instynktownie rzuciłam się do przodu, lądując na brzuchu, podświadomie wiedząc, że moje nogi są w tej chwili za słabe, żeby utrzymać ciężar mojego ciała. Przesunęłam się po podłodze między rozstawionymi w rozkroku nogami obcego, obróciłam się na plecy i strzeliłam w górę, przed siebie.

Przez ułamek sekundy, który zdawał się trwać całą wieczność, nic się nie działo.

Drau sięgnął w dół swoimi świetlistymi palcami wyglądającymi jak szkliste szpony. Serce waliło mi tak mocno, jakby zaraz miało wyrwać się z piersi.

Wtedy na końcu lufy mojej broni zaczęła się formować nowa kula ciem-

ności. Widziałam wszystko jakby w zwolnionym tempie, klatka po klatce. Kula powoli rozrastała się, pochłaniając brzuch obcego, potem nogi, pierś, ramiona, ręce... Światło obcego znikło zgaszone kulą ciemności, która wniknęła na powrót do mojej broni.

Udało się! Zabiłam go!

Poczułam żółć napływającą mi do gardła.

Ale nie zdążyłam nawet pomyśleć o zwymiotowaniu, ponieważ w moją stronę sunęła kolejna świetlista postać. Teraz jednak wiedziałam już, co robić. Nie patrzyłam w oczy obcego i nie zawahałam się ani przez chwilę. Zerwałam się na klęczki i strzeliłam. Najpierw usłyszałam pomruk przeradzający się w wysoki pisk. Wiedziałam już, że to odgłos aktywującej się broni. Zanim Drau zdążył zareagować, chmura ciemności pochłonęła go i wciągnęła do walca w mojej dłoni. Błyskawicznie skoczyłam na równe nogi i dostrzegłam kolejnego przeciwnika zmierzającego w moim kierunku. Wtedy zdałam sobie sprawę z tego, że oni nie chcieli mnie po prostu zabić. Ich celem było moje cierpienie. To im sprawiało przyjemność, lubowali się w tym. Poczułam głęboki wstręt.

Moja krew zdążyła nasycić się adrenaliną. Nie czułam już strachu. A przynajmniej przestałam zwracać na niego uwagę. Skoczyłam w bok, obracając się w stronę nadciągającego obcego. Strzał. Jeszcze jeden obrót. Strzał. Skok za stos kartonów. Strzał.

Nie wiem, ilu było wrogów ani jak długo trwała walka. W pewnym momencie po prostu zdałam sobie sprawę z tego, że skończyły mi się cele.

Dyszałam ciężko, wciąż się obracając z wycelowaną przed siebie bronią i oczekując, że zaraz skądś wyskoczy na mnie kolejny obcy. Dopiero po paru chwilach dotarło do mnie, że już po wszystkim. Rozejrzałam się i dostrzegłam Lukę opartego o przeciwległą ścianę.

– Wydawało mi się, że w nocy te stwory miały być wolniejsze.

Słowa wypłynęły same. Nie to chciałam powiedzieć.

– Były wolniejsze – odparł Luka napiętym głosem. – Nie chcesz ich zobaczyć podczas dnia.

Miał rację. Nie miałam na to najmniejszej ochoty. W ogóle nie chciałam ich nigdy więcej widzieć.

Luka powoli osunął się w dół ściany. Lewą ręką przyciskał sobie prawe ramię do ciała. Z postrzępionej rany sączyła się krew.

– Stracę przez to punkty – powiedział słabo.

Ruszyłam do niego, potykając się o własne nogi. Luka spojrzał na mnie i nagle jego oczy rozszerzyły się z przerażenia. Obróciłam się gwałtownie, spodziewając się wroga za moimi plecami. Ale nikogo tam nie było. Spojrzałam zdezorientowana na Lukę.

– Co się stało? – spytałam.

– Ile razy oberwałaś? – zapytał, próbując bez powodzenia wstać spod ściany.

– Nie wiem – odparłam.

Popatrzyłam na siebie, ale na pierwszy rzut oka nie dostrzegłam nic, co uzasadniałoby jego reakcję. Ale gdy spojrzałam na bok uda, zobaczyłam szerokie rozcięcie na moich spodniach. Materiał był mocno nasiąknięty krwią. Nawet nie pamiętałam, kiedy to się stało.

Przeniosłam wzrok na nadgarstek i zamarłam. Ekran na mojej bransoletce nie był już zielony. Był pomarańczowoczerwony.

„Nie możesz dopuścić do tego, żeby zmieniło kolor na czerwony”.

To były słowa Jacksona wypowiedziane w poczekalni.

– Nie jest czerwone – powiedziałam bardziej do siebie niż do Luki. – Jest pomarańczowe, nie czerwone.

Ledwo skończyłam mówić, kiedy nogi odmówiły mi posłuszeństwa i upadłam bezwładnie na podłogę. Niemoc zalała mnie niczym fala przyływu. Byłam śmiertelnie zmęczona. I do tego zaczynałam się trząść z zimna. Każda komórka w moim ciele zdawała się krzyczeć z bólu.

– Spojrzałaś w ich oczy – powiedział Luka z wyraźnym strachem w głosie.

Zerknęłam na bransoletkę Luki. Jego ekran też nie był już ciemnozielony. Był taki zielonkawożółty. Przypomniałam sobie wykład pani Clement, kiedy jeszcze w ósmej klasie podstawówki uczyła nas na temat widma światła. Czerwony, pomarańczowy, żółty, zielony, niebieski, fioletowy. Nie wiedzieć czemu, to wspomnienie strasznie mnie rozbawiło.

Chwilę potem przeszła mi ochota na śmiech i zachciało mi się płakać.

Byłam taka zmęczona...

Moje powieki zdawały się z ołowiu, takie ciężkie... Ledwo mogłam utrzymać je w górze. Usłyszałam głos Luki jakby z oddali. Mówił mi, żebym się trzymała. Zobaczyłam, jak rusza w moją stronę, ale noga odmówiła mu posłuszeństwa. Plama krwi, twarz wykrzywiona z bólu. Przez skórę jego prawego przedramienia przebijały się kawałki kości. Takie białe w tej całej czerwieni. Czerwieni...

Nawet nie zauważyłam, kiedy powieki opadły mi całkowicie. Na szczęście w samą porę otrzeźwił mnie nieco czyjś jęk. Z wysiłkiem otworzyłam oczy i obróciłam głowę. Parę metrów ode mnie klęczał Tyrone. Na ziemi przed nim coś leżało... Nie, zaraz, nie coś. Ktoś.

– Richelle – wychrypiał Tyrone, wyciągając rękę w stronę dziewczyny.

Ale jej nie dotknął. Dlaczego? Czemu jej nie pomaga?

Przeniosłam wzrok na Richelle. Nie ruszała się. Leżała nieruchomo z kończynami powykrzywianymi pod dziwnymi kątami.

Zapałam się dłońmi o podłogę i spróbowałam się podnieść. Bez skutku, za mało siły. Ponownie spojrzałam na ekran mojej bransolety. Mojego... Jak to Jackson nazwał? A, tak, mojego koma. Ciemny pomarańczowy, prawie czerwony, bardzo silnie kontrastujący z niezdrową szarością skóry mojej ręki. Wróciłam wzrokiem do Richelle. Widziałam tylko jej nogi – Tyrone zasłaniał mi resztę jej ciała. Ale to, co widziałam, wystarczyło. Skóra na jej nogach również była trupio szara.

– Dlaczego nie skaczemy? – zapytał Luka z wyraźną paniką w głosie.

– Luka... – wyszeptałam słabo.

Stał mocno przechylony na jeden bok, oszczędzając ranną nogę. Posłany

w moją stronę uśmiech wypadł mu bardzo blado. Usta miał strasznie blade, cała twarz była kredowobiała. Wiem, że chciał mnie podnieść na duchu, ale ten cień uśmiechu przyniósł wręcz przeciwny skutek.

– Nie wiem – powiedział bezbarwnie Tyrone. – Wykończyliśmy ich. Wykonaliśmy zadanie. Powinniśmy teraz skoczyć. Za cholere nie wiem, czemu tego nie robimy.

Po tych słowach przesunął się nieco w bok i odsłonił leżącą bezwładnie na ziemi rękę Richelle. Ekran jej koma był czerwony. Całkowicie czerwony.

Serce podeszło mi do gardła.

– Trzymaj się, mała – szeptał Tyrone. – Trzymaj się.

Z widocznym trudem przełknął ślinę i położył dłoń na szarym policzku Richelle.

– Gdzie, do jasnej cholery, jest Jackson? – krzyknął niespodziewanie.

Zanim przebrzmiało echo jego głosu, światło wpadające do pomieszczenia jakby przygasło. Spojrzałam w tamtą stronę i dostrzegłam w drzwiach ciemną sylwetkę. Jackson.

– Był problem – powiedział.

Zapewne miał na myśli więcej obcych.

– Ale już go rozwiązałem. Wyciągną nas za pół minuty.

Spojrzał w stronę Richelle i błyskawicznie znalazł się przy niej. Patrzył jednak na mnie. Pomimo okularów, które jakimś cudem cały czas miał na nosie, czułam, że patrzy na mnie.

Oddech Tyrone'a przyspieszył, przechodząc chwilami w łkanie. Widać było, że niewiele mu brakowało do wybuchnięcia głośnym płaczem.

Jackson przykucnął tuż przy Richelle. Zacisnął wargi, zwiesił głowę i cały się zatrząsł. Szybko jednak odzyskał rezon i uniósł głowę. Z jego twarzy nie dało się nic wyczytać. Nadal starał się podtrzymać pozę wyniosłego, aroganckiego dupka, którą prezentował od chwili mojego przebudzenia, ale coś w mowie jego ciała

sprawiło, że poczułam chęć pocieszenia go. Nie miałam jednak sił, żeby do niego dotrzeć.

Po chwili wstał.

– Dziesięć sekund – rzucił krótko.

– Nie! – wykrzyknął Tyrone, gwałtownie kręcąc głową. – Nie możemy jej zostawić!

– Nie możemy jej zabrać – powiedział Jackson głosem wypranym z emocji.
– Wiesz o tym.

– Nie! On ma rację. Nie możemy jej zostawić – powiedział Luka, dźwigając się na nogi.

Kącik ust Jacksona uniósł się w górę w szyderczym uśmiechu.

– Skąd to przekonanie, że mamy cokolwiek do powiedzenia?

Rozdział szósty

Ponownie zaatakował mnie tępy ból głowy. Szczęśliwie był łagodniejszy od tego wcześniejszego. Trzy migreny jednego dnia. Pobiłam chyba jakiś rekord.

Ostatnią rzeczą, jaką pamiętałam, była noc. Teraz jednak czułam na twarzy ciepło popołudniowego słońca. Otworzyłam oczy, ale szybko je zamknęłam oślepią jasnym światłem. Usłyszałam przenikliwe, paniczne krzyki Carli. Wykrzykiwała moje imię. Coś w tej sytuacji mi nie pasowało.

Otworzyłam ponownie oczy i wyostrzyłam wzrok. Upadałam i nie byłam w stanie tego upadku powstrzymać. Widziałam ciężarówkę. Była tak blisko, że mogłam dostrzec wszystkie, nawet najmniejsze plamki rdzy na osłonie chłodnicy. Widziałam jeszcze jezdnię, również mknącą mi na spotkanie. Płaską, szarą i twardą. Upadłam mocno i przeszorowałam spory kawałek po szorstkiej nawierzchni. Czułam, jak rozdziera mi rękaw i zdziera skórę do krwi.

Cały czas słyszałam pisk hamulców i czułam swąd rozgrzanej gumy. Podrwałam głowę, starając się umknąć ciężarówce z drogi, ale nie mogłam wstać.

Serce podeszło mi do gardła.

Nagle poczułam, jak czyjaś dłoń chwyta mnie mocno za ramię. Szarpnięcie. Ktoś poderwał mnie na nogi.

Luka.

Pociągnął. Ja też pociągnęłam. W przeciwnym kierunku. Zupełnie się nie zrozumieliśmy.

Nagle mnie puścił. Siła rozpędu odrzuciła nas od siebie. Straciłam równowagę, poleciałam na plecy i wylądowałam twardo na ziemi, ścierając sobie skórę na łokciach.

Huk muzyki zlał się z piskiem hamulców w jeden nierozpoznawalny jazgot. Samochód wpadł między mnie a Lukę, mijając moje nogi dosłownie o centymetry. Zatrzymał się dopiero parę metrów dalej.

Leżałam tak na asfalcie, dysząc ciężko i wpatrując się w ciężarówkę. Świadomość całej sytuacji jeszcze do mnie całkowicie nie dotarła, nie przebiła się przez

palący ból zdartych do krwi łokci. Spojrzałam po sobie, ale nie dostrzegłam żadnych poważniejszych obrażeń. Przeniosłam wzrok na Lukę. Leżał na ziemi z rozrzuconymi na boki kończynami. Jego widok przypominał mi o Richelle, o jej leżącym bez ruchu ciele, zanim nas wyciągnęło.

Na szczęście po krótkiej chwili Luka się poruszył. Jego ręce były całe, bez krwi, bez zdartej skóry, bez wystających kawałków kości. Owszem, miał jakieś zadrapanie na kolanie i jeszcze jedno na dłoni, ale poza tym był w jednym kawałku. Ja też byłam w jednym kawałku. Nic nie miałam złamanego, nie byłam też cała zalana krwią. Dzinsy i skóra na moim udzie też były nietknięte. Żadnego bólu, żadnego rozdarcia na spodniach, żadnej krwi.

Oboje byliśmy cali i zdrowi. Tak jak powiedziała Richelle – odrodziliśmy się. Zmaterializowaliśmy się cudownie uzdrowieni. To musiało oznaczać, że Richelle – gdziekolwiek teraz jest – też jest cała i zdrowa. I Tyrone. I Jackson. Odechnęłam z ulgą. Nawet nie zauważyłam, że cały czas wstrzymywałam oddech.

Wbiłam wzrok w Lukę.

– Co z pozostałymi... – zaczęłam.

Luka uciał moje słowa gwałtownym ruchem ręki, dźwignął się na nogi i podbiegł do mnie.

– Ani słowa – powiedział z naciskiem przyciszonym głosem, nachylając się nade mną. – Nie rozmawiamy o tym poza grą. I nikomu innemu o tym nie mówimy. Nigdy. Nie, jeśli chcemy przeżyć.

Gra. Ciągłe mówi o tym jak o grze. Obcy, walka... To wszystko wydawało mi się wystarczająco rzeczywiste, żeby nie nazywać tego grą. A jeśli to istotnie była tylko gra, to nie chciałam już nigdy więcej w nią grać. Ale Jackson sprawiał wrażenie całkowicie przekonanego, że to jednak nie była gra. I chociaż daleka byłam od dania mu wiary na słowo, to wszystko, co potem zobaczyłam, wyglądało dość przekonująco.

Potarłam dłonią czoło, próbując uporządkować myśli.

– Oni będą wiedzieć, że o tym rozmawialiśmy – ciągnął cicho Luka – i zlikwidują nas.

Spojrzałam mu w oczy. Wyczytałam w nich głęboką wiarę w każde słowo, które przed chwilą wypowiedział. I strach.

Zadrzałam.

– Kim są ci oni? – zapytałam.

– Ani słowa! – warknął.

Przytaknęłam. Wiedziałam, kiedy należy odpuścić. Cierpliwie czekać na odpowiedni moment na dalsze drażnienie sprawy. Teraz nie miałam najmniejszej szansy na wyciągnięcie z Luki jakichkolwiek wyjaśnień. Może innym razem, kiedy będzie rozluźniony, kiedy nie będzie się spodziewał...

Teraz był bardzo spięty. Kucnął przy mnie z zaciśniętymi mocno wargami i wpatrywał się we mnie swoimi głębokimi, ciemnymi oczami.

Zaraz, co? Ciemnymi oczami? Nie mogło być mowy o pomyłce. Utkwione we mnie oczy nie były niebieskie. Były ciemnobrązowe – takie, jakimi zawsze je pamiętałam. Aż do chwili, kiedy leżeliśmy połamani na ziemi po tym, gdy uderzyła w nas ciężarówka.

Z tym że... ona w nas *nie* uderzyła.

Spojrzałam na ciężarówkę, potem na popołudniowe niebo. Znaleźliśmy się w tym samym miejscu i w tym samym momencie, w którym przeniosło nas na polanę. Do poczekalni. A przecież w międzyczasie rozmawialiśmy, potem biegliśmy przez Las Vegas, potem walczyliśmy z obcymi... Zaraz, co powiedziała Richelle? Że te godziny odłożono nam na konto? Cóż, chyba właśnie pobrałam wypłatę.

– Co mamy teraz robić? – zapytałam Lukę.

– Wracamy do normalnego życia. – W jego głosie wyczułam nutę rozgoryczenia.

Wracamy do normalnego życia. To samo usłyszałam w poczekalni od Richelle. Powiedziała coś o powrocie do codziennych zajęć aż do następnego razu.

Ponownie usłyszałam głos Carli. Wykrzykiwała moje imię, ale sylaby były dziwnie rozciągnięte w czasie jak głos na filmie puszczone w zwolnionym tem-

pie. Obróciłam głowę w jej stronę. Biegła do mnie, ale również dziwnie powoli, niemal karykaturalnie. Po chwili dotarło do mnie, że wszystko wokół dzieje się w zwolnionym tempie. Wszystko poza Luką i mną.

Miałam tyle pytań, tyle wątpliwości. Ale najwyraźniej nie dane mi było uzyskać żadnych odpowiedzi, bo Luka nie wykazywał najmniejszej ochoty, aby mi ich udzielić. Zresztą i tak nie dałabym rady go o cokolwiek zapytać, bo ból głowy zaczął ponownie przybierać na sile – tak bardzo, że rozboleły mnie oczy i zęby. Już myślałam, że dłużej nie wytrzymam, ale wtem strzeliło mi w uszach jak przy nagłej zmianie ciśnienia i ból minął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Paf, wróciliśmy – wymruczał Luka.

Ułamek sekundy później cały świat przyspieszył do normalnego rytmu. Carla nie biegła już w zwolnionym tempie, lecz pędziła w naszą stronę, ile miała sił w nogach.

– Miki! O mój Boże, Miki! Nic ci nie jest?

Wyhamowała przy nas i kucnęła obok. Ciężko dysząc, dokładnie obmacała mi nogi i ramiona. Spojrzałam na swój przegub, spodziewając się zobaczyć na nim kom, ale bransoletki nie było. Zniknęła razem z bólem głowy, bólem połamanych żeber i kałużą krwi, w której powinnam teraz leżeć.

Po chwili dołączyły do nas Kelley i Dee. Momentalnie zostałam zarzucona gradem pytań o samopoczucie. Powiedziałam, że wszystko ze mną w porządku. Nie mogłam chyba odbiec dalej od prawdy.

Mamrocząc pod nosem kolejne zapewnienia, zerknęłam w stronę Luki. Był już na nogach i oddalał się wolnym krokiem.

Janice Harper stała na krawężniku, tuląc mocno swoją młodszą siostrę. Uniosła głowę i spojrzała w moją stronę. Była zupełnie blada, a źrenice miała rozszerzone strachem. Nie odrywając oczu ode mnie, objęła siostrę jeszcze mocniej.

– Dziękuję.

Odczytałam to słowo z ruchu warg, ponieważ jej głos zginął w potoku słów moich trzech koleżanek.

Udało się. Uratowałam ją. Świat stał się nieco lepszym miejscem. Poklepałam się w myślach po plecach, pogratulowałam dobrej roboty i nakazałam poczuć zadowolenie. Niestety, nie radziłam sobie najlepiej z przekonywaniem samej siebie.

Z zadumy wyrwał mnie odgłos zatrząskiwania metalowych drzwi. Kierowca ciężarówki stał oparty o maskę z telefonem przy uchu. Rozmawiał z kimś, co chwila przeczesując nerwowo dłonią włosy. Wyglądał na bardzo przejętego. Chwilę później usłyszałam w oddali wycie syren policyjnych.

Kierowca spojrzał w naszą stronę, po czym podszedł do Luki. Powiedział coś, ale byli zbyt daleko, żebym mogła cokolwiek usłyszeć. Luka kiwnął głową i odpowiedział.

– Miki! – krzyknęła Carla, pstrykając mi palcami przed nosem. – Hej, Miki! Jesteś tam?

Przez chwilę miałam ochotę odpowiedzieć, że tam już byłam, a teraz jestem tu z powrotem. Ale w porę ugryzłam się w język.

– Jestem, jestem – powiedziałam uspokajająco. – Wszystko ze mną w porządku, naprawdę.

Poczułam, jak któraś z koleżanek chwyta mnie za ramiona i ciągnie w górę. Wstałam z jej pomocą i stanęłam w lekkim rozkroku, przygotowując się na zawroty głowy. Ku mojemu zaskoczeniu nie nadeszły. Nie czułam też żadnego bólu poza pieczeniem zdartej skóry na łokciach i przedramieniu. Na wszelki wypadek przytrzymałam się Carli. Dee z jakiegoś powodu wzięła się do masowania moich pleców. Kelley stała przede mną, przypatrując mi się z troską. Złożone razem dłonie przyciskała w zamyśleniu do ust.

– Czy ty powinnaś stać? Czy ty powinnaś się ruszać? – zapytała nagle, opuszczając gwałtownie ręce. – Jestem ratownikiem. Miałam kurs pierwszej pomocy. Chyba nie powinnaś się ruszać.

– Wszystko ze mną w porządku.

– Może Kelley ma rację – wtrąciła się Dee. – Może istotnie nie powinnaś się ruszać. Możesz mieć wstrząśnienie mózgu albo pęknięte kręgi szyjne. Widziałam

w telewizji taki program, w którym był chłopak, który podczas treningu brzydtko się przewrócił, ale myślał, że wszystko z nim w porządku, tyle że po paru dniach umarł, ponieważ tak naprawdę miał złamany jeden z kręgów szyjnych, i wtedy on...

Jak tylko Dee zorientowała się, że wszystkie trzy na nią patrzymy mniej lub bardziej karcąco, urwała. Zamrugwała kilka razy, przestąpiła z nogi na nogę, po czym krótko dokończyła:

– ...umarł.

Wszystkie ciężko westchnęłyśmy.

– Naprawdę wszystko ze mną w porządku – powtórzyłam nie wiem już który raz.

Spojrzałam w stronę Luki. Stał na chodniku ze skrzyżowanymi na piersi rękami i bardzo niezadowoloną miną. Nie rozumiałam jego zachowania. Żyliśmy. Udało nam się przetrwać i wrócić. Co go tak wkurzyło? Zrobiłam krok w jego stronę.

– Muszę tylko...

„Zapytać o coś Lukę” – dokończyłam w myślach.

Nie zdołałam jednak zamiaru wcielić w czyn. Policyjna syrena zawyła po raz ostatni dość blisko, po czym błyskający światłami radiowóz zatrzymał się przy nas. Chwilę potem podjechała karetka.

– Jesteś jakaś dziwna – powiedziała Kelley.

Skrzywiłam się. Carla zgromiła Kelley wzrokiem, a Dee nabrała gwałtownie powietrza.

Nie powinna była tego robić. Nie powinna mówić otwarcie o jednym z moich największych problemów. Już chciałam odpłacić jej pięknym za nadobne i upokorzyć ją przed pozostałymi, ale w ostatniej chwili ugryzłam się w język. Nie byłam zwykle aż tak mściwa, ale obecna sytuacja zdecydowanie nie należała do normalnych.

– Miki, nie – wcięła się Carla. – Nie o to jej chodziło.

Carla zawsze wiedziała, co powiedzieć, żeby mnie uspokoić. Dobrze zrobiła. Gdybym napadła teraz na Kelley, potem tylko bym tego żałowała.

– Chodzi mi o to, że jesteś taka spokojna – pospieszyła z wyjaśnieniem Kelley, mocno się rumieniąc. – Gdyby mnie prawie potrąciła ciężarówka, nie byłabym w stanie zachować takiego spokoju. Tylko o to mi chodziło. Nie miałam na myśli, że w ogóle jesteś dziwna, tylko...

– Wiem.

Przerwałam jej słowotok, bo widziałam po jej drgającej wardze, że jest jej strasznie głupio z powodu tego, co powiedziała. A ja nie chciałam się czuć głupio dlatego, że ona czuje się głupio, bo uraziła moje uczucia. W tamtej chwili jedyną osobą, z którą chciałam porozmawiać, był Luka. Stał kilkanaście metrów ode mnie. Ale równie dobrze mogło to być i kilkaset metrów, ponieważ całym swoim jestestwem dawał wyraźnie do zrozumienia, że nie ma najmniejszej ochoty ze mną dyskutować.

Wtedy pomyślałam o Jacksonie. Obiecał, że wszystko mi wyjaśni, jak już będzie po wszystkim. Cóż, łatwo mu było powiedzieć, skoro wiedział, że gdy już będzie po wszystkim, to nie zadam mu żadnego pytania, bo zwyczajnie będzie gdzie indziej. Parsknęłam pod nosem i pokręciłam głową. Carla, Dee i Kelley spojrzały na mnie dziwnie, ale nadbiegający ratownicy medyczni wybawili mnie z konieczności wyjaśniania mojego zachowania.

Następne pół godziny zlało się w jedną mglistą całość. Ratownicy mnie badali, policjanci spisywali moje zeznania... Chyba też wypisali mandat kierowcy, ale nie byłam pewna.

Z Luką poszło im dużo szybciej niż ze mną. Gdy jeden z ratowników kończył opatrywać moje ręce, Luka skończył rozmowę z policjantem. Odwrócił się do mnie plecami, uniósł dłoń na pożegnanie i odszedł. Nawet na mnie nie spojrzął.

Chciałam zwinąć się w kłębek i rozpłakać. Chciałam uderzyć kogoś, palnąć tak mocno, żeby pękła mi skóra na knykciach. Ruszyć biegiem i nie zatrzymywać się, dopóki nie padnę z wycieńczenia. Uciec i gdzieś się zaszyć.

Kiedy w końcu ratownicy stwierdzili, że mogą mnie puścić do domu, sylwet-

ka Luki ledwo majaczyła w oddali. Już miałam ruszyć za nim biegiem, kiedy nieopodal niemałego zbiegowiska, które przez ten czas powstało, zatrzymał się ciemnoniebieski ford escape – nasz domowy samochód. Tata zaciągnął ręczny i szybko wysiadł. Włosy miał zmierzwiłone, jakby z braku grzebienia próbował uczesać się palcami. Wyglądał na bardzo zmartwionego. Ze zmarszczonym czołem wodził wzrokiem po zebranych ludziach, aż dostrzegł mnie. Oczy mu się rozjaśniły i ruszył w moją stronę szybkim krokiem.

– Zrobiłbyś dokładnie to samo – powiedziałam, gdy chwycił mnie w ramiona.

Nabrałam głęboko powietrza. Pachniał płynem do zmiękczenia tkanin i pianką do golenia. Pachniał tatą. I wspomnieniami z dzieciństwa. Pachniał bezpieczeństwem. Byłam niesamowicie wdzięczna, że tego dnia, akurat tego dnia nie czuć od niego było alkoholem.

Po paru chwilach ścisnął mnie mocniej, po czym puścił i odsunął się na krok, badając wzrokiem moje obrażenia.

– Pewnie tak – powiedział szorstkim głosem – ale to nie zmienia tego, że telefon od Carli zmroził mi krew.

– Nie musiała do ciebie dzwonić.

Rzuciłam jej karcące spojrzenie, ale nie patrzyła w moją stronę. Dyskutowała o czymś zawzięcie z Dee i Kelley.

– Powinnaś była do mnie zadzwonić.

– Wszystko ze mną w porządku.

Ile razy zdążyłam to powiedzieć od powrotu? Czulałam się jak papuga. Najpierw w kółko pytałam „co? co? co?”, a teraz ciągle powtarzam, że wszystko jest ze mną w porządku.

Tata spojrzał na mnie surowo. Zacisnęłam wargi i milczałam. Tak naprawdę byłam wdzięczna Carli za zadzwonienie do niego. Bardzo się cieszyłam, że tu jest.

Zaprowadził mnie do samochodu i otworzył drzwi po stronie pasażera. Zaprosił gestem Carle, Kelley i Dee na tylną kanapę.

– Potrzebujesz towarzystwa? – zapytał cicho, zanim doszły do samochodu.

Pokręciłam głową. Oczywiście bardzo je wszystkie lubiłam, ale teraz chciałam być sama ze swoimi myślami i swoją muzyką.

– Odwiozę je zatem do domów.

Zaczęłam wsiadać do samochodu, gdy poczułam na karku podmuch zimnego wiatru. Zamarłam z jedną nogą w środku, a drugą na zewnątrz. Przecież nie wiał nawet najłżejszy wiatr.

Spojrzałam w jedną, a potem w drugą stronę.

W oddali dostrzegłam Lukę. Stał w oddali i obserwował mnie. Wolał się upewnić, że wszystko ze mną w porządku? A może chciał dopilnować, żebym się nie wygadała?

Wzruszyłam ramionami i już miałam wsiąść do samochodu, kiedy coś mnie powstrzymało. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że nie tylko Luka mnie obserwuje. Jeszcze raz dokładnie się rozejrzałam, ale nie dostrzegłam nikogo więcej. Chcąc nie chcąc, usiadłam na siedzeniu pasażera i zamknęłam za sobą drzwi.

Rozdział siódmy

Obcy sięga w moją stronę swoimi świetlistymi ramionami z palcami przypominającymi szpony. Jackson jest tuż obok. Czekam, aż wystrzeli, ale tego nie robi. Dlaczego nie strzela? Kopnął dłoń obcego, posyłając jego broń w powietrze stromym łukiem.

Broń leci długo, zdałoby się, że bez końca, wirując wokół własnej osi. W końcu upada na podłogę z głośnym stukiem. Potem z kolejnym. I z kolejnym. Łup, łup.

Obudziłam się. Serce mi waliło jak młotem, wszystkie mięśnie miałam napięte. W pokoju panował półmrok. Przez zaciągnięte zasłony wpadało niewiele promieni wrześniowego słońca. Ktoś jest przed domem i wali w drzwi. Jackson! Ale po chwili zorientowałam się, że on najpewniej nie wie, gdzie mieszkam. Może i występuje w moich koszmarach – zarówno tych na jawie, które rozegrały się wczoraj, jak i tych sennych – ale zdecydowanie nie jest częścią mojego codziennego życia.

Z głośnym jękiem przewróciłam się na drugi bok i sennie spojrzałam na zegarek. O rany, jak późno! Błyskawicznie usiadłam. Przespałam dzwonienie budzika, poranną przebieżkę... cholera!, przespałam połowę zajęć! Już miałam zerwać się z łóżka, gdy przypomniałam sobie, że to sobota. Nie było dzwonienia budzika, nie miałam biegać, nie musiałam iść do szkoły. Poczułam jednocześnie ulgę i zawód. Ulgę, bo nie miałam najmniejszej ochoty na znoszenie tych wszystkich spojrzeń, szeptów i gradu pytań o wczorajsze wydarzenia. Zawód, bo w szkole spotkałabym Lukę, a tylko on może odpowiedzieć na wszystkie moje pytania.

Osoba stojąca przed domem ponownie załomotała do drzwi. Jedno trzeba było jej przyznać – łatwo nie rezygnowała.

Wygramoliłam się z łóżka i podeszłam do okna. Rozsunęłam zasłony, podniosłam szybę i wychyliłam się na zewnątrz.

– Hej tam!

Carla cofnęła się z ganku i wychyliła w moją stronę. Właściwie jej widok nie powinien mnie dziwić. Każda inna osoba użyłaby dzwonka. Carla zaczęła przycho-

dzić do mnie, kiedy jeszcze nie sięgała do dzwonka. I już tak bardzo przyzwyczała się do pukania (a czasem walenia) w drzwi, że dotąd ani razu nie zadzwoniła.

– O, cześć, nie śpisz?

Dzisiaj we włosach miała jaskraworóżowe pasemko przy prawym uchu. Przed sobą trzymała tekturową tacę z dwiema kawami.

– Opowiedziałam o twoich wczorajszych wyczynach co najmniej dwudziestu osobom. Głównie dlatego, że nie odbierasz telefonu. Tak to ty byś wszystkim musiała tłumaczyć, co się zdarzyło. – Przechyliła głowę na bok i zmarszczyła brwi. – Jak na kogoś, kto tak długo spał, wyglądasz koszmarnie. – stwierdziła.

– Dzięki... Wyglądam zatem tak, jak się czuję.

Rzeczywiście mimo spania aż do wczesnego popołudnia wcale nie czułam się wypoczęta. Nie bez przyczyny – pomimo skrajnego wyczerpania nie mogłam poprzedniego dnia zasnąć. A gdy już zasnęłam, ciągle się budziłam. Zbyt wiele nawiedzało mnie snów. Zbyt wiele koszmarów.

– Dzwoniłam do ciebie i dzwoniłam – podjęła Carla. – Dlaczego tak właściwie nie odbierasz? Zresztą, mniejsza o to. Schodź na dół i wpuść mnie.

– Już idę, już idę – wymamrotałam. – Swoją drogą: fajne pasemko.

Carla zignorowała mój komplement. A może go nie usłyszała? Tak czy owak, weszła z powrotem na ganek. Miałam już cofnąć się do pokoju i zamknąć na powrót okno, gdy nagle stanęły mi wszystkie włoski na karku. Zastygłam i omiotłam całą ulicę uważnym wzrokiem. Była pusta, ale czułam, że gdzieś tam ktoś jest i mnie obserwuje. Nikogo jednak nie mogłam wypatrzyć poza sąsiadką trzy domy dalej, która robiła coś w ogródku. Ale ona była odwrócona do mnie plecami i całą uwagę poświęcała swoim rabatkom. Po rzuceniu jeszcze jednego spojrzenia na ulicę cofnęłam się do pokoju i zamknęłam okno.

Już miałam zejść na dół, gdy mój wzrok padł na telefon leżący na szafce nocnej. Wzięłam go do ręki – był wyłączony. Pod nim leżała zapisana kartka. Czyli to tata wyłączył moją komórkę. Poczułam nagłą złość, że podjął tę decyzję za mnie. Że to on zdecydował, iż będę dłużej spać, a nie ja. Wzięłam kilka głębokich oddechów i się uspokoiłam. Skarciłam się w myślach. Próba kontrolowania wszyst-

kiego w swoim życiu była głupia i z góry skazana na niepowodzenie. Niemniej jednak zawsze właśnie tak reagowałam na tego rodzaju sytuacje. Zawsze, odkąd... umarła mama.

Podniosłam kartkę od taty, żeby ją przeczytać.

„Pojechałem na ryby. Łosoś powinien dzisiaj brać jak marzenie. Pomyślałem sobie, że dobrze ci zrobi solidne wyspanie się. Jakbyś czegoś ode mnie potrzebowała – zadzwoń.

Tata :)”

Do wszystkich innych wysłała esemesy, ale mi zawsze zostawia karteczki. Zawsze z uśmiechniętą buźką na dole. Powinno mnie to irytować. I czasem irytuje, ale po wczorajszym dniu bardzo mnie pocieszyło to, że chociaż moje życie zostało wywrócone do góry nogami, pewne rzeczy się nie zmieniają. Ucieszyło mnie też to, że pojechał na ryby. Wczoraj wieczorem tyle razy pytał mnie, czy wszystko ze mną w porządku, że miałam wrażenie słuchania zaciętej płyty. Może w końcu uwierzył, że wszystko jest dobrze. Przynajmniej fizycznie. Przez ostatnie kilka miesięcy zarzucił nawet swoje ulubione hobby – przygotowywanie przynęty, wędkowanie, grę w kręgle. Może dzisiejszy wypad na ryby oznacza zmianę na lepsze? Mogłam tylko mieć nadzieję.

Włączyłam telefon. Od razu zaczął piszczeć i wibrować, odbierając całe zatrzęsienie wiadomości od bliższych i dalszych znajomych, a nawet od osób, które ledwo kojarzyłam. Wszyscy pytali o uratowanie siostry Janice. Wyłączyłam telefon z powrotem. Zmieniłam piżamę na flanelowe spodnie i rozciągnięty sweter, włożyłam komórkę do kieszeni, po czym zesłam na dół, żeby wpuścić Carlę.

Weszła bez słowa, zrzuciła buty i poszła za mną do kuchni. Kubki z kawą postawiła na blacie obok równego rzędu pustych butelek po piwie. Ustawione były idealnie równo jedna obok drugiej, wszystkie zwrócone etykietą w stronę kuchni. Patrzyła na nie przez chwilę w milczeniu. Też na nie spojrzałam, próbując sobie przypomnieć, czy tu stały, gdy kładłam się wczoraj spać. Chyba nie. Nie, na pewno

ich tu nie było. Co znaczyło, że tata osuszył je, wszystkie siedem, jak tylko poszłam do swojego pokoju.

Gdy zdiagnozowali raka u mamy, tata rzucił palenie. Pić zaczął już w dniu pogrzebu. A może popijał już wcześniej, tylko ja tego nie zauważałam? Miałam wtedy wrażenie, że z powodu choroby mamy z każdym mijającym dniem traciłam oboje rodziców. A po jej śmierci proces posuwał się z każdą kolejną butelką piwa.

Carla otworzyła lodówkę i zajrzała do środka. Poruszała bezgłośnie ustami, licząc butelki stojące w drzwiach.

– Siedemnaście – podsumowała.

Wynik liczenia uspokoił mnie. Nawet nie zdawałam sobie sprawy z tego, jaka byłam spięta. Ale wszystkie butelki były w domu. Tata nie zabrał żadnej ze sobą na ryby. Dotknęłam palcem wylotu wszystkich butelek stojących na blacie. Były suche, czyli raczej nie wypił ich dzisiaj przed wyjściem.

Tata udaje, że nie ma problemu z alkoholem, bo nie sięga po nic mocniejszego. I zawsze zarzeka się, że nigdy nie będzie prowadzić samochodu na podwójnym gazie. Zawsze chciałam mu wierzyć. Wyglądało na to, że dzisiaj mojej wiary nie zawiódł.

Carla stała oparta bokiem o blat i przyglądała mi się, gdy wstawiałam puste butelki do kartonowego pudełka stojącego w szafce pod zlewem. Gdy już scho- wałam wszystkie, dokładnie przetarłam blat ścierką, chociaż nie było takiej potrzeby. Przyjaciółka cały czas wpatrywała się we mnie w milczeniu. Pewnie czekała na znak, czy chcę z nią pogadać o tym piwie. Nie chciałam.

Ale jak najbardziej chciałam móc porozmawiać z nią o wczorajszym dniu. Chciałam to wyrzucić z siebie tak bardzo, jakbym zaraz miała się udławić niewypowiedzianymi słowami. Zwykle mówiłam Carli wszystko. No, prawie wszystko, ale tego, czego jej nie mówiłam, i tak się domyślała. Ukrywanie przed nią czegoś tak ważnego sprawiało mi niemal fizyczny ból. Ale za każdym razem, gdy już miałam coś powiedzieć, w uszach rozbrzmiewało mi na nowo ostrzeżenie Luki. Nie, nie mogłam jej zrelacjonować tego, co przeżyłam. Poza tym nawet gdybym jej wszystko opowiedziała, jak niby miałyby mi uwierzyć? Sama ledwo wierzyłam w to, co się wczoraj stało. A w końcu ja tego doświadczyłam.

– Jaki smak? – zapytałam, wskazując głową kubki z kawą.

– Tłuściutka podwójna miętowa mokka dla mnie i zwyczajna chudziutka kawa z mlekiem dla ciebie.

Wyjęłam z szafki dwa czekoladowe ciastka i podałam jedno Carli.

– Ciastka? – zapytała, pochylając nieco głowę i unosząc jedną brew.

Pamiętam, jak ćwiczyła tę minę przed lustrem tak długo, aż była zadowolona z rezultatu. Ile miałyśmy wtedy lat? Dziewięć? Od tego czasu opanowała ją do perfekcji.

Zawsze wprawiała mnie tym w błogi nastrój poczucia, że wszystko jest po staremu. Przez chwilę tylko patrzyłam się na Carlę, gorąco pragnąc, by wszystko, co wydarzyło się w międzyczasie, było tylko złym snem. Koszmarem. Załamaniem nerwowym.

Nie ma tak dobrze. Nic nie jest po staremu.

Zmusiłam się do nonszalanckiego (miałam nadzieję) wzruszenia ramionami i odgryzłam kawałek ciastka.

– Sobotnie śniadanie bohaterów.

– A, no tak – powiedziała. – Mamy sobotę.

Sobota była jedynym dniem, kiedy pozwalałam sobie na odstępstwa od moich sztywnych zasad zdrowego żywienia. Zasad, które zaczęłam stosować, kiedy mama zachorowała. Próbowała każdej możliwej terapii, którą tylko zaproponowali lekarze. I kilku innych, których jej nie proponowali. Leczenie naturalne, homeopatia, witaminoterapia, joga... Chcąc ją wspierać, próbowaliśmy z tatą wielu z tych rzeczy razem z nią. Mnie zostało z tego wszystkiego zdrowe jedzenie. Lubię mieć władzę nad tym, co się dzieje z moim ciałem. Co jem, jak często biegam... Ale też jak dobre dostaję stopnie i jak często sprzątam w domu. To wszystko należało do mnie i tylko do mnie.

Właśnie dlatego też nocne koszmary były dla mnie tak wyczerpujące. Nie miałam wpływu na to, co się działo we śnie. A co gorsza, nie miałam też wpływu na to, co się wczoraj stało w moim życiu. Od samego wspomnienia dostałam gęsiej

skórki.

Carla upiła trochę kawy i zlizwała pianę z ust.

– No dobra... Rozmawiałaś z nim już? – zapytała.

– Z nim?

Serce zabiło mi mocniej – skąd wiedziała o Jacksonie?

– No, z nim. Z Luką.

Było coś dziwnego w sposobie, w jaki wymówiła to imię. Zrobiła to jakoś tak... powoli i miękko.

– Z Luką – odparłam, zaciskając usta. – Jasne.

– Ma w sobie coś takiego, ten jego styl bycia. Zamyślony, cichy i samotny nawet w tłumie, jakby całym sobą mówił „podejdź i zainteresuj się mną”. I te ciemne oczy. – Carla westchnęła z rozmarzeniem. – Kręczę mnie takie rzeczy – dodała.

– To może *ty* powinnaś do niego zadzwonić?

Potarła palcem swój podbródek, jakby poważnie rozważała moją propozycję. Przez chwilę miała dziwny wyraz twarzy. Nie mogłam go rozgryźć: tak jakby smutny, rozżalony.

Pokręciła głową.

– Nie, *ty* powinnaś zadzwonić – zawyrokowała. – Widziałam dobrze, jak na ciebie wczoraj patrzył zaraz po tym, gdy niemal nie zginął, rzucając się przed ciężarówkę, żeby cię ocalić. I wyraźnie miałaś dzisiaj z jego powodu bezsenność. Zdecydowanie powinnaś do niego zadzwonić. Żeby się dowiedzieć, czy dobrze się czuje po wczorajszym, i w ogóle. – Uśmiechnęła się szeroko i poruszyła kilkakrotnie brwiami. – Doskonała wymówka, nie?

Patrzyłam na nią, nie wiedząc zupełnie, co powiedzieć. Nie przypominałam sobie, żeby Luka spoglądał na mnie z czymkolwiek poza paniką, kiedy ostrzegał, żebym nie mówiła o grze. I to zdecydowanie nie przez niego się nie wyspałam. Jedyną osobą występującą w moich koszmarach był Jackson.

Właśnie: w koszmarach, nie w snach. Nigdy nie śniłam o chłopakach. A przynajmniej nie w sposób, który Carla miała na myśli. Ale w sumie jeśli miałabym śnić o jakimś facecie, to raczej o kimś bardziej zbliżonym do Luki niż do Jacksona. O kimś, kto nie próbowałby mną rządzić i nie mówił samymi zagadkami. O kimś, przy kim nie byłabym cała zdenerwowana.

– Nie mam numeru jego komórki – wymamrotałam, gubiąc okruszki ciastka.

– A stacjonarny? Powinien być w książce.

Pokręciłam głową.

– Sprawdzałam wczoraj...

– A-ha! – wykrzyknęła triumfalnie. – A więc próbowałaś do niego zadzwonić.

Zignorowałam jej wielce zadowoloną minę. Nie chciałam karmić bestii.

– Nie próbowałam do niego zadzwonić. Szukałam tylko jego numeru, a to co innego. Zresztą nieważne, bo i tak go nie znalazłam. Dopiero niedawno wrócili z ojcem do miasta, pewnie więc nie zdążyli ich wpisać. A może w ogóle nie mają stacjonarnego?

– A w sieci go nie ma?

– Ja go nie znalazłam. Może nie korzysta ze społecznościówek.

– To zdecydowanie powinniście zacząć się umawiać, świetnie będziecie do siebie pasować – parsknęła Carla.

Tak jakbym nie korzystała z serwisów społecznościowych. Miałam swój profil. Kto obecnie nie miał? Różnica była taka, że ja dodałam coś na swój może trzy razy w ostatnich trzech tygodniach, podczas gdy wszyscy inni wrzucali tyle zazwyczaj w godzinę.

Zignorowałam zaczepkę i starałam się mówić obojętnie.

– A kto powiedział o umawianiu się? Próbowałam tylko znaleźć jego numer.

– Powinnaś zadzwonić do specjalistki – odparła Carla, wyciągając swój tele-

fon z kieszeni. – Daj mi chwilę.

Trwało to nieco dłużej niż zaledwie chwilę, ale niewiele dłużej. Dziesięć wysłanych wiadomości, trzy wykonane telefony i pięć minut później Carla miała numer komórki Luki. Ona, Dee i Sara potrafiły zdobyć dowolną informację.

– Dzięki – powiedziałam, wpatrując się w zapisany na serwetce numer.

Carla spojrzała na mnie wyczekująco.

– No co? Muszę się zastanowić, co powiedzieć.

Wahałam się. Nie chciałam teraz dzwonić do Luki. Nie z Carłą stojącą tuż obok. Moje pytania do niego wymagały całkowitej prywatności.

– Tak łatwo się nie wyłgasz – rzuciła Carla, grożąc mi żartobliwie palcem.

– No dobra – westchnęłam. – Wyślę mu esemesa.

Wyciągnęłam telefon z kieszeni i zaczęłam pisać. Nie pisałam dużo – tylko zapytałam, jak się czuje. Głównie dlatego, że Carla uparła się, iż musi przeczytać wiadomość, zanim ją wyślę. Gdy telefon wyświetlił potwierdzenie dostarczenia, uśmiechnęła się szeroko, zarzuciła mi ręce na szyję i mocno mnie przytuliła.

– Tak się cieszę, że w końcu ci się poprawia – wyszeptała mi do ucha.

Zatkało mnie. Ona naprawdę myślała, że chcę poderwać Lukę! Myślała, że w końcu będę się śmiać sama z siebie, a nie tylko wtedy, kiedy się do tego zmuszę. Myślała, że od teraz wszystko będzie tak, jak było kiedyś. Poczułam głęboki żal, bo nie mogła być dalej od prawdy. A ja nie mogłam jej tego powiedzieć. Niczego jej nie mogłam powiedzieć, bo jeśli Luka ma rację, to od mojej dyskrekcji może zależeć jej życie. Pozostało mi więc tylko milczące odwzajemnienie uścisku.

– Chodź, obejrzymy coś – powiedziała nagle Carla.

Ruszyła na poszukiwania pilota na kanapie. Po chwili wyłowiła go spomiędzy poduszek i uniosła triumfalnie w górę. Wzruszyłam ramionami i dołączyłam do niej. Okryłam nas obie puchatym kocem, który moja mama zrobiła na drutach, gdy nosiła mnie jeszcze w brzuchu. Carla włączyła telewizor i zaczęła szukać odpowiedniego kanału.

W czasie oglądania odpisywałam na otrzymane wcześniej wiadomości, kierując wszystkich na profil Carli, gdzie znajdowała się jej obszerna relacja z wczorajszych wydarzeń.

Kilka kreskówek później poszłam do łazienki – głównie w celu napisania kolejnej wiadomości do Luki. Tym razem treść była bardziej konkretna. Godzinę później wysłałam kolejną. I tak w kółko przez cały dzień. Ani razu nie odpisał.

Gdy ruszyłam do łazienki po raz chyba piąty, Carla spojrzała na mnie zaważdiacko i zapytała niewinnym głosem:

– Zapalenie pęcherza?

– Mhm. Złapałam w twojej łazience.

Parsknęła i rzuciła we mnie poduszką.

Gdy mój telefon zadzwonił o wpół do szóstej, niemal wyskoczyłam ze skóry. Ku mojemu rozczarowaniu dzwoniła Kelley, żeby zaprosić nas na kolację do Mark's Texas Hots na Monroe.

Na odwagę, żeby w końcu zadzwonić do Luki, zebrałam się dopiero po północy, gdy tata poszedł już spać i w domu było cicho i spokojnie. Nie odebrał i włączyła się poczta głosowa. Rozłączyłam się, nic nie mówiąc.

Już zasypiałam, kiedy wybudził mnie dźwięk przychodzącej wiadomości:

„nie pytaj bo nie moge odp. Mowilem ci juz. To dla twojego dobra”.

Rozzłościłam się i odpisałam:

„Nie wierzę w to. Zadzwonisz?”.

Rozdział ósmy

Naleśniki? – zapytałam tatę następnego ranka.

Miałam nadzieję, że mój głos brzmi lekko i radośnie, chociaż tej nocy wszystkie sny ponownie wypełniali obcy i ból.

I Jackson. Ciągle stawał mi przed oczami. Kiedy skoczył przede mnie i zasłonił mnie swoim ciałem przed strzałem obcego. Słyszałam jego głos, gdy mówił: „Świetnie ci idzie, Miki”.

Luka wciąż nie odpisał na ostatnią wiadomość. Byłam z tego powodu tak rozdrażniona i zła, że rano zadzwoniłam ponownie i tym razem zostawiłam wiadomość na poczcie głosowej. A potem kolejną. I jeszcze jedną. Czułam się jak jakiś natręt.

– Prawdziwe naleśniki? – zapytał tata podejrzliwie.

Mąka pełnoziarnista zdecydowanie była prawdziwa. Chociaż wiedziałam, że nie o to mu chodziło.

– Z prawdziwym syropem klonowym i plasterkami bananów – odparłam.

Wiedziałam, że gdy już je zrobię i postawię przed nim na stole, zje wszystko, nie zważając na pełnoziarnistą mąkę.

Przygotowałam ciasto i na chwilę przerwałam pracę, patrząc na nowy rząd pustych butelek. Tym razem było ich pięć. Bardzo chciałam je zignorować. Niemal tak bardzo, jak odwrócić się i zapytać tatę wprost, dlaczego je zawsze ustawia na blacie. Chciał, żebym je widziała? A może miał gdzieś, że je zobaczę? Między tymi dwiema możliwościami była ogromna różnica. Mniej więcej taka jak między samobójstwem a morderstwem.

Koniec końców nie spojrzałam nawet na ojca, tylko w milczeniu schowałam butelki do pudełka pod zlewem i przetarłam blat, chociaż znów nie było takiej potrzeby.

Oboje udaliśmy, że nikt niczego nie zauważył. Gdy skończyłam smażyć naleśniki, zasiedliśmy wspólnie do śniadania.

– Jak było na rybach? – zapytałam.

Oczy taty rozjaśniły się niczym oczy dziecka zapytanego o ulubioną zabawkę.

– Złapałem pięciokilowego tęczowego. Zobacz!

Wyciągnął swój telefon i pokazał mi zdjęcie. Tata zawsze wrzuca złapane ryby z powrotem do wody. Nigdy nie widziałam na żywo jego zdobyczy, tylko na zdjęciach. Zdjęcie zostało zrobione pod dziwnym kątem i znalazły się na nim raptem jakieś dwie trzecie ryby, ale tacie zupełnie to nie przeszkadzało. Odłożył telefon i zaczął z pasją opisywać, jak złapał tego „olbrzyma”. Jadłam i słuchałam. Nie dlatego, że jakoś specjalnie interesowało mnie wędkarstwo, ale dlatego, że lubiłam patrzeć na tatę, kiedy był szczęśliwy. Nie chodził na ryby od dobrych paru miesięcy. Dlatego bardzo się cieszyłam, że poszedł wczoraj. Miałam wrażenie, że im częściej i więcej pije, tym mniej interesują go te wszystkie rzeczy, które zwykł kiedyś robić.

A może po prostu picie sprawiało, że normalne życie przestawało go w ogóle interesować?

W połowie opowieści ponownie chwycił telefon i pokazał mi jeszcze jedno zdjęcie. Rozmyte ujęcie rybiego ogona niknącego w wodzie. Nie zdążyłam się mu dokładnie przyjrzeć – chociaż w sumie nie było specjalnie czemu się przyglądać – kiedy odłożył telefon z powrotem na stół i kontynuował swoją opowieść.

Jakiś kwadrans później staliśmy obok siebie przy zlewie – ja zmywałam naczynia, a tata je wycierał. Wtedy właśnie zdecydował się zadać pytanie, które zadawał tyle razy dwa dni temu po historii z ciężarówką.

– Wszystko w porządku?

Nie. Nie mogę spać, mam koszmary, a gdy nie śpię, cały czas zastanawiam się, czy, a właściwie to *kiedy* znowu mnie wciągnie do tej... gry?

– Oczywiście.

Generalnie szczerzy wobec siebie, ale nie zawsze.

Kiwnął głową.

– Wydawało mi się wieczorem, że słyszałem, jak chodzisz w tę i z powrotem.

– Problemy żołądkowe – skłamałam. – Pewnie przez to śmieciowe żarcie w Texas Hots.

– Ty? Śmieciowe żarcie? – zapytał zdziwiony, przerywając na chwilę wycieranie naczyń. – Burger, frytki, wędzony ser i tłusty sos? Jeśli to prawda, to jednak nie jest z tobą wszystko w porządku.

Po tych słowach odłożył ścierkę i przyłożył dłoń do mojego czoła, udając, że sprawdza, czy nie mam przypadkiem gorączki.

Uśmiechnęłam się i lekko odtrąciłam jego rękę.

– Wzięłyśmy to i dużą sałatkę na spólkę z Carlą i Kelley.

– Czyli ty zjadłaś sałatkę, a one całą resztę?

Dobrze wiedział, że tak było. Zapytał czysto kurtuazyjnie.

– W sałatce był grillowany kurczak. I ser.

– Dressing?

– A wiesz, że tak?

Malinowy winegret, niskotłuszczowy.

Tata wpatrywał się we mnie bez słowa z bardzo poważnym wyrazem twarzy.

– Kocham cię – powiedział. – Wiesz o tym.

To było stwierdzenie, nie pytanie.

Na chwilę straciłam oddech. Wiedziałam, że mnie kocha. Ale bardzo rzadko przyznawał to otwarcie.

– Wiem, tato.

Chciałam jeszcze dodać: „Po prostu nie kochasz siebie, a przynajmniej nie na tyle, żeby przestać pić, zanim stanie się coś złego”.

Ale nie było sensu tego mówić. Gdybym to zrobiła, po prostu odwróciłby się i wyszedł z kuchni. Z tatą nie dało się prowadzić trudnych rozmów. A przynajmniej nie wtedy, kiedy dotyczyły właśnie jego. Uśmiechnęłam się smutno.

– Ja cię kocham bardziej.

Uśmiechnął się na to nawiązanie do naszej zabawy z czasów, gdy byłam bardzo mała. Zalały mnie wspomnienia i musiałam odwrócić się pod pretekstem zmożenia gąbki, żeby nie rzucić mu się na szyję i nie wypowiadać ze wszystkiego, co mnie dręczyło. Tak jak to robiłam te naście lat temu, kiedy bałam się potwora czającego się pod moim łóżkiem.

Zadrżałam na wspomnienie Drau wciąganego przez chmurę ciemności do mojej broni – nogi, tułów, ręce, na koniec głowa z tymi niesamowitymi oczami. Wiedział doskonale, co się z nim dzieje, jego koniec nie był szybki i łatwy.

I kto tu jest potworem?

#

Kilka godzin później ślezczałam nad pracą domową w moim pokoju. W końcu dałam za wygraną. Zupełnie nie mogłam się skupić – moje myśli notorycznie wracały do obcych, poczekalni, broni, Tyrone’a, Richelle...

I Jacksona.

Byłam też wściekła na Lukę za jego upór. Nie musiał zdradzać mi największych sekretów. Mogłam przecież ograniczyć się do ogólnych pytań, a on – odpowiadać ogólnikowo, prawda? Chwyciłam telefon, gotowa mu to wszystko wygarnąć (choć pewnie znowu nagrałabym się tylko na jego pocztę głosową, jeśli zostało na niej jeszcze miejsce), kiedy uświadomiłam sobie, że wcale nie potrzebuję Luki.

Nie chce ze mną rozmawiać? Jego sprawa.

Może porozmawia ze mną Richelle Kirkman.

Uruchomiłam komputer i wpisałam jej imię i nazwisko w wyszukiwarce.

Byłam przekonana, że zechce odpowiedzieć na moje pytania. Nawet jeśli jest jakaś zasada zabraniająca rozmawiania z osobami spoza – jak to Luka ciągle ujmował – gry, to Richelle przecież nie była osobą spoza. Siedziała w tym tak samo głęboko jak ja. A nawet jeśli między sobą też nie wolno nam o tym wszystkim rozmawiać, to mogłabym przecież ograniczyć się do ogólnych pytań. Musiało być coś, co mogłaby mi powiedzieć.

Dane pobierały się niesamowicie powoli. Małe kółko na ekranie obracało się i obracało. No dalej, załaduj się!

Nic. Trzy minuty bezowocnego czekania.

– Tato! – zawołałam. – Czy możesz zresetować modem? Połączenie jest koszmarnie wolne.

Nie odpowiedział.

Zbiegłam na dół do gabinetu ojca, ale go w nim nie było. Usłyszałam przez okno pracujący silnik kosiarki. Wziął się do koszenia trawnika. Dobrze, należało mu się od dawna. Trawa zaczynała sięgać połowy łydek. Może sąsiedzi przestaną się na mnie dziwnie patrzeć za każdym razem, gdy wyjdę z domu.

Sama zresetowałam modem. Światelka zaczęły migotać, aby po paru chwilach ponownie się uspokoić. Udało się! Pogratulowałam sobie w myślach i pobiegłam na górę. Miałam plan. Rozwiązanie. Uzyskam odpowiedzi na nurtujące mnie pytania.

Ponownie miałam kontrolę nad swoim życiem.

Uderzyło mnie, że nie byłam tak podekscytowana od miesięcy, jeżeli nie od lat. Ostrożnie poszukałam w myślach szarej mgły. Mój myślowy odpowiednik dotykania językiem bolącego zęba. Mgła czaiła się na skraju świadomych myśli, ale tym razem była mocno przeredzona, a nie gęsta jak mleko.

Ponowiłam wyszukiwanie imienia i nazwiska Richelle. Tym razem wyszukiwarka dość szybko zwróciła całkiem sporo wyników. Pierwszy dotyczył pośredniczki w biurze nieruchomości. To nie ona. Dom pogrzebowy, też nie. Odsyłacz do urzędu statystycznego. Ha! Czwarty wynik kierował do profilu w serwisie społecznościowym. Kliknęłam odsyłacz i po chwili uśmiechnęłam się triumfalnie, ponie-

waż na ekranie pojawiło się zdjęcie Richelle. Udało się! Znalazłam ją! Odzyskałam kontrolę nad biegiem wydarzeń! Zerwałam się z krzesła i zatańczyłam z radości, wczytując się w jej profil...

Zamarłam w pół kroku i opadłam bezwładnie na krzesło.

To nie może być właściwy profil. Nie mogłam nabrać powietrza, zaczęło mi się kręcić w głowie... Wyciągnęłam rękę przed siebie i dotknęłam monitora, jakby chcąc się upewnić, czy jest prawdziwy, czy nie śnię.

Potrząsnęłam głową, zamknęłam oczy, nabrałam głęboko powietrza i ponownie spojrzałam na monitor. Ale profil nadal wyglądał tak samo.

Z lewej strony ekranu widniało zdjęcie Richelle. Wyglądała tak, jak ją zapamiętałam z piątku. Uśmiechnięta, pogodna. Miała na sobie nawet ten swój strój czirliderki. Tylko włosy były spięte w kucyk. Ale błysk w oku ten sam.

Na górze profilu widniały miniaturki innych zdjęć Richelle. Z zespołem czirliderek, w zwykłych ciuchach z grupą koleżanek, z jakimiś dorosłymi (pewnie rodzicami), z małym białym pieskiem... Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że znalazłam właściwą osobę. Ale tytuł profilu... tytuł nie mógł być prawdziwy!

„Strona śp. Richelle Kirkman”.

Może zapomniała się wylogować z profilu i ktoś jej zrobił głupi dowcip? Szybko przewinęłam ekran w dół, żeby przeczytać wpisy.

„Ku uczczeniu pamięci Richelle...”.

„Tęsknię za tobą, Rich, xox”.

„Myślami jestem przy Tobie, Richelle...”.

Same wpisy kondolencyjne znajomych, rodziny, a nawet osób, które pisały wprost, że jej nie znały, ale znały kogoś, kto znał kogoś, kto znał ją.

Pod kondolencjami znajdował się odsyłacz do krótkiego artykułu na stronie lokalnej gazety, w którym opisane były okoliczności śmierci. Przeleciałam wzrokiem streszczenie, ale było zbyt ogólne. Kliknęłam więc odsyłacz i z niecierpliwością czekałam na załadowanie całego artykułu. W końcu wyświetlił się na

ekranie. Zginęła w wyniku upadku, gdy próbowała uratować synka sąsiadów, który w jakiś sposób dostał się na dach swojego domu. Chłopca uratowała, ale sama straciła równowagę, spadła z dachu i zmarła. Nie mogłam uwierzyć w to, co właśnie przeczytałam. Wróciłam do początku tekstu i zaczęłam czytać go uważniej. Uderzyły mnie dwie rzeczy. Po pierwsze, jak Richelle udało się wdrapać na dach? Przecież miała lęk wysokości. Po drugie, data śmierci.

– Nie – jęknęłam cicho.

Zupełnie tego nie rozumiałam. Jeśli wierzyć artykułowi, Richelle umarła ponad pół roku temu.

– Nie! – powtórzyłam głośniej.

To niemożliwe, że nie żyje od tylu miesięcy. W ogóle nie jest możliwe, że ona nie żyje. Przecież zostaliśmy uzdrowieni. Luka i ja wróciliśmy uzdrowieni. To miało się przecież stać po wykonaniu misji. Luka i Richelle tak mówili.

Ale Richelle nie żyła. Od ponad pół roku.

To nie mogła być prawda.

Otworzyłam nową zakładkę w przeglądarce i wpisałam hasło „respawn”.

„Ponowne pojawienie się zabranego bądź zniszczonego wcześniej przedmiotu albo zabitej postaci w grze”.

Luka i ja pojawiliśmy się ponownie. Wróciliśmy z ledwie kilkoma zadrapaniami. A do tego Luka powiedział, że bierze udział w tej grze od ponad roku. Że ciągle go wciąga i wyrzuca. Wiele razy już odnosił obrażenia i wracał uzdrowiony. Ja też przecież byłam ranna i wróciłam prawie bez szwanku. Potrafiła nas ciężarówka! Potem pojawiliśmy się w poczekalni, następnie strzelali do nas obcy, a na koniec wróciliśmy uzdrowieni do prawdziwego życia. Bez złamań, krwi, rozcięć i innych ran zadanych przez Drau.

To nie jest gra. To jakiś koszmar!

Zamknęłam nową zakładkę i wróciłam do studiowania profilu Richelle. Zupełnie nic nie rozumiałam. To nie miało najmniejszego sensu. Nie mogła być martwa od – sprawdziłam ponownie datę śmierci – ponad pół roku. Przecież wi-

działam ją przed dwoma dniami! Rozmawiałam z nią. Śmiałyśmy się razem!

Nagle na wierzch moich myśli wypłynęło wspomnienie słów Jacksona: „Bransoletka to twój kom. Kolor wskazuje stan zdrowia. Nie możesz dopuścić do tego, żeby zmieniła kolor na czerwony”.

Czerwony.

Obrazy przelatywały mi przed oczami jeden za drugim. Zderzak ciężarówki poplamiony krwią moją i Luki. Krew na asfalcie. Krew na złamanej ręce Luki. Krew na moich spodniach.

Oplotłam się ramionami, próbując zachować spokój, bo przypomniałam sobie panikę w oczach Luki, gdy zobaczył pomarańczowy kolor na moim komie. A zanim nas wyciągnęło z misji... ekran na bransoletce Richelle był całkowicie czerwony. Widziałam to. Wszyscy to widzieliśmy. Oni doskonale wiedzieli, co to oznacza. Ale ja nie wiedziałam. Mój Boże, nie wiedziałam aż do tej chwili.

Richelle nie żyje. Ona już nie wróci.

Z głośnym jękiem opuściłam głowę i oparłam ją na zamkniętych w pięści dłoniach. Gardło miałam ściśnięte, poczułam napływające do oczu łzy.

Myślałam, że to naprawdę tylko jakaś pokręcona gra. Przecież Luka tak powiedział, dobrze to pamiętałam. Tyrone też traktował to jak grę. Richelle mówiła, że on chce kiedyś wydać zwykłą grę na tej podstawie...

Tylko Jackson twierdził, że to nie była gra. Tylko on mówił, że to się dzieje naprawdę. Że od naszych działań zależy nasze przetrwanie. Wtedy sądziłam, że mu odbiło. Chciałam wierzyć, że gada głupoty i się myli.

Ręce mi się trzęsły, gdy sięgałam po telefon. Koniec z esemesami, koniec z unikami. Wybrałam numer Luki i gdy zgłosiła się poczta głosowa (jakże inaczej...), zaczęłam wyrzucać z siebie słowa w ekspresowym tempie:

– Ona zginęła. Mój Boże, ona zginęła. Nie żyje, naprawdę nie żyje. Jest martwa! Muszę z tobą porozmawiać. Błagam, Luka, muszę z tobą porozmawiać!

Rozłączyłam się i zaczęłam krążyć po pokoju. Nie oddzwonił. Trzęsącymi się dłońmi, z żołądkiem skręconym w ciasny węzeł, ponownie wybrałam jego nu-

mer.

Znowu poczta głosowa. Moja paplanina była nawet mniej składowa niż za pierwszym razem. Za trzecim razem byłam w stanie wyrzucać z siebie tylko pojedyncze słowa. Właściwie tylko dyszałam do mikrofonu, czekając, że może odbierze. Zapominając, że poczta głosowa nie działa jak automatyczna sekretarka.

Nie odebrał. Nie oddzwonił.

Wpatrywałam się w ekran telefonu, myśląc usilnie, co mogę jeszcze zrobić. Chciałam zadzwonić do Carli, potrzebowałam z nią porozmawiać. Ale nie mogłam jej w to wciągać i narażać na niebezpieczeństwo. Nie mogłam znieść myśli, że Carla też mogłaby zginąć. Tak jak Richelle. A jeśli Luka miał rację, to nawet jeden telefon mógł przypieczętować jej los.

Z dworu dobiegł mnie trzask zamykanych drzwi samochodu. Wyrzłam przez okno i zobaczyłam, jak tata rusza spod bramy. Patrzyłam zdziwiona za odjeżdżającym autem. Po chwili jednak przypomniałam sobie, że tata wspominał wcześniej o zamiarze zrobienia zakupów. Zostałam w domu całkiem sama, co mnie jednocześnie zasmuciło i ucieszyło. Nie mogłam w tej chwili zaufać swojemu zachowaniu. Gdyby tata nie wyszedł z domu, gdyby na przykład wszedł teraz do mojego pokoju, mogłabym wszystko mu opowiedzieć.

Wtedy prawdopodobnie przeszukałby moje rzeczy w poszukiwaniu narkotyków, po czym zawiózłby mnie do psychiatry.

Zrobiło mi się zimno. Objęłam się mocno i roztarłam ramiona. Miałam wrażenie, że ściany pokoju napierają na mnie ze wszystkich stron, skóra kurczy się z każdą sekundą, a krew zamarza w żyłach. Odwróciłam się i spojrzałam na ekran monitora, prosto na zdjęcie Richelle.

Ponownie zadzwoniłam do Luki.

– Luka, proszę, błagam cię, odbierz. Muszę z tobą porozmawiać. Muszę...

Poczułam nagły przyływ gniewu i zakończyłam połączenie. Jestem sama i tylko ja jestem w stanie sobie z tym poradzić. Czyżbym niczego się w życiu nie nauczyła? Wszyscy odchodzą i mnie zostawiają. Babcia, *sofi*, mama...

Koniec końców można polegać tylko na sobie.

Przebrałam się w swój strój do biegania, włożyłam odpowiednie buty, napełniłam butelkę wodą i zamocowałam ją w uchwycie paska. Działalam jak na autopilocie – nie myślałam o tym, co robiłam. Po prostu to robiłam.

Właściwie nigdy nie biegam po południu. Nigdy też nie biegam w niedzielę. Ale to niedzielne popołudnie było wyjątkowe.

„Richelle nie żyje. Richelle nie żyje. Richelle nie żyje”.

Myśl o jej śmierci wypełniała cały mój umysł, a jednocześnie wydawała się bardzo odległa. Patrzyłam dłuższą chwilę na zdjęcie dziewczyny widniejące na ekranie. Gdzieś pod żalością i bólem odzywał się spokojny, wyrachowany głos rozsądku. Muszę zatrzeć ślady. Gra – czy cokolwiek to jest – nie może przeniknąć do prawdziwego życia. Luka nie pozostawił w tym zakresie pola do interpretacji.

Mogłam zapanować i przejąć kontrolę przynajmniej nad tym małym wycinkiem ostatnich wydarzeń.

Podeszłam do komputera, upewniłam się, że przeglądarka pracowała w trybie prywatnym, po czym zamknęłam okno i zresetowałam komputer. W myślach podziękowałam Carli, która nauczyła mnie metody, jaką sama musiała opanować, żeby żaden z jej braci nie widział odwiedzanych przez nią stron. To ona zwróciła mi uwagę, że system operacyjny przechowuje historię odwiedzanych stron, nawet jeśli przeglądarka pracuje w trybie prywatnym. Powiedziała mi też, że jest komenda, za pomocą której można usunąć ten ostatni ślad buszowania w sieci. Nigdy dotąd tego nie potrzebowałam, ale Carla uparła się, żebym zapamiętała tę komendę. Na wszelki wypadek.

Wpisałam polecenie w oknie terminala.

„dscacheutil -flushcache”.

Wszystkie ślady zatarte.

– Żegnaj, Richelle – wyszeptałam.

Nieco otępiąłem zeszłam na dół, wyszłam na dwór, zamknęłam drzwi wejściowe na klucz i ruszyłam podjazdem w stronę ulicy. Moja muzyka! Zapomniałam

wziąć odtwarzacz. Odwróciłam się na pięcie, ale zamarłam w pół kroku. Nie byłam w stanie zmusić się do wejścia z powrotem. Trudno, dzisiaj będę biegać bez muzyki. Odwróciłam się z powrotem w stronę ulicy i wpadłam na kogoś. Czyjeś ręce przytrzymały mnie, ratując przed upadkiem. Uniosłam głowę i spojrzałam w górę na twarz nieznajomego.

Serce zamarło mi w piersi.

– Cześć – powiedział Jackson.

Rozdział dziewiąty

Biegliśmy w milczeniu. Nawet na siebie nie patrzyliśmy. No dobra, to ostatnie stwierdzenie nie było do końca prawdziwe. Co jakiś czas zerkałam ukradkiem na niego. I cały czas zbierałam się w sobie, aby w końcu się odezwać.

Tym razem nie miał na nosie swoich pilotek. Zamiast nich założył czarne sportowe okulary na elastycznym pasku. Ich szkła były tak ciemne, że zastanawiałam się, jak jest w stanie przez nie w ogóle coś zobaczyć.

Przebiegliśmy tak grubo ponad kilometr, zanim w końcu odważyłam się odezwać.

– Co tu robisz? – zapytałam.

– Biegnę.

– Czy chociaż raz mógłbyś nie być skończonym dupkiem?

Chyba nigdy nie chciałam sprawić komuś przykrości tak bardzo jak w tej chwili jemu. Miałam wielką ochotę zdzielić go w łeb.

– Chcesz mnie walnąć w łeb – powiedział.

Zatrzymałam się jak wryta i spojrzałam na niego z mieszanką złości i niedowierzania. Jackson przebiegł jeszcze parę kroków i też się zatrzymał. Nie obejrzał się, tylko potrząsnął głową.

– Nie, nie czytam w twoich...

– ...myślach – dokończyłam za niego. – Tak, już to mówiłeś. Więcej niż jeden raz, jeśli dobrze pamiętam. Ale nie wiem, czy powinnam ci wierzyć. W końcu słyszałam twój głos w mojej głowie. Skąd mam wiedzieć, że ty nie słyszysz moich myśli w swojej?

– Bo ci to mówię. A mówię prawdę.

– Prawdę? Nie rozpoznałbyś jej, gdyby cię w tyłek ugryzła.

Byłam naprawdę wkurzona. Jackson obrócił lekko twarz – na tyle, żebym zobaczyła jego kpiący uśmiezek – ale nic więcej nie powiedział.

Westchnęłam.

– Dlaczego tu przyszedłeś?

– Przyszedłem do ciebie, Miki – odparł. – Chcę spróbować pomóc ci poukładać to wszystko.

Na chwilę straciłam oddech, ale szybko się opanowałam.

– Ale tylko jeśli będę zadawać właściwe pytania? – spytałam.

Kiwnął lekko głową.

– Tak, właśnie.

Ponownie zaczęłam biec. Obawiałam się, że jeśli tego nie zrobię, naprawdę go uderzę. Albo wybuchnę płaczem. Tak czy siak nie wyszłoby z tego nic dobrego. Znowu traciłam kontrolę nad otaczającym mnie światem i zdecydowanie mi się to nie podobało. Moje stopy uderzały o chodnik, szybko wpadając w znajomy rytm. Potrzebowałam tego, czegoś znanego, żeby chwycić się mocno i uspokoić myśli. Czułam, że jeśli tak nie zrobię, do szczytu zwariuję.

Richelle nie żyła, a ja chciałam wiedzieć, dlaczego i jak zginęła. Chciałam wiedzieć, jak to było możliwe. A był to zaledwie ułamek pytań, które kłębiły się w mojej głowie. Musiałam je zadać w sposób nienaruszający zasad, o których mówił Luka. A do tego, ponieważ Jackson uwielbiał odpowiadać zagadkami, musiałam tak formułować pytania, żeby uzyskać choć częściowo przydatne odpowiedzi. Skoncentrowałam się, sięgając po wszystkie sztuczki, których nauczył mnie psychiatra. Regularny oddech, wizualizacja, rozproszenie.

– Obmyślasz sposób zabicia mnie? – zapytał Jackson, na chwilę obracając głowę w moją stronę.

– Coś takiego.

– Nie jestem w tym zbyt dobry, Miki.

– W czym?

– W wyjaśnianiu.

Zaśmiałam się szyderczo.

– Bez kitu.

Po chwili trochę pożałowałam tego stwierdzenia. W końcu próbował. Tak jakby. Trzeba poszukać jakiegoś kompromisu.

– Czy wymówienie jej imienia będzie naruszeniem zasad?

– Sama moja obecność tutaj narusza zasady. Ale są naruszenia... – zawiesił na chwilę głos. – I są „naruszenia”.

Biegliśmy przez parę minut w milczeniu, utrzymując równe tempo.

– Kto ustala te zasady? – spytałam w końcu.

– Powiedzmy, że... ustala je pewien komitet.

Powiedział już wcześniej coś podobnego – kiedy zapytałam go, kto wybrał nazwę bransoletki.

– A ty jesteś w tym Komitecie?

Parsknął pod nosem.

– Nie.

Zwolnił krok do zwykłego chodu. Bez słowa zrobiłam to samo.

– Co się stanie, jeśli poważnie naruszymy zasady? – zapytałam.

Nie odpowiedział. Nie wiedział czy nie chciał mi powiedzieć? Jakakolwiek była odpowiedź na moje pytanie, sprawiała, że Luka nie chciał ze mną o tym w ogóle rozmawiać. A może nie było żadnych konsekwencji? Może to była tylko pusta groźba, w którą Luka uwierzył? Nie byłam jednak na tyle odważna – a może na tyle głupia? – żeby podjąć ryzyko i drażnić temat. Zdecydowałam się więc zmienić strategię. Ogólne stwierdzenia powinny być dobre na początek.

– Ona nie żyje – powiedziałam.

Jackson kiwnął głową. Uznałam to za przyzwolenie na pociągnięcie tematu dalej.

– Od siedmiu miesięcy – dodałam, czując niemal fizyczny ból przy każdej sylabie.

Jackson ponownie kiwnął głową.

– Czyli walczyłam razem z...

– Ciii – syknął przez zęby.

Ostrzegał mnie. Czyli jednak były pewne granice, których lepiej nie przekraczać. Dobra, czyli ani słowa o walce. Niewspominanie o broni i obcych pewnie też było dobrym pomysłem.

– Czyli *spotkałam...* Kogo? Co? Ducha? – zapytałam.

– Nie – odparł.

Zatrzymał się. Stałam krok dalej. Byliśmy w parku, zaskakująco pustym jak na ciepłe niedzielne popołudnie. Jackson podszedł do huśtawek i oparł bark o jeden z drewnianych słupów, wpatrując się we mnie. Był tak samo wysoki i szczupły, jakim go zapamiętałam, a jego czarny strój do biegania dodatkowo podkreślał umięśnienie.

Zdenerwowałam się na siebie za zwrócenie uwagi na coś takiego. Odwróciłam wzrok. Jackson Tate był dla mnie tylko źródłem informacji. Nie miałam najmniejszej ochoty myśleć o nim w innych kategoriach.

– Szybko łapiesz – powiedział ni stąd, ni zowąd.

– Co to niby ma znaczyć? – zapytałam zaskoczona.

Spojrzałam mu w oczy. No, chciałam mu spojrzeć w oczy, jednak oczywiście były skryte za ciemnymi okularami. Chciałabym móc je zobaczyć. Wiedziałabym wtedy, czy patrzy mi prosto w oczy, czy raczej unika mojego wzroku. Jak mawiała moja mama, gdybym dostawała jeden grosik za każde życzenie...

– To, co powiedziałem. Że szybko łapiesz. Zauważyłem, że mówisz ogólnikowo, bezpiecznie.

– Czy to ma w ogóle jakiegokolwiek znaczenie? – zapytałam, rozglądając się po pustym parku. – Kto mógłby nas usłyszeć?

Uśmiechnął się ponuro i groźnie.

– Kto wie? O to właśnie chodzi. To jest właśnie główne zagrożenie. Mogą być wszędzie.

Czy ma na myśli Drau? Wnętrznosci wywróciły mi się do góry nogami, gdy dotarło do mnie prawdziwe znaczenie jego słów: Drau nie występują tylko w grze. Mogą być tutaj, w moim świecie. W moim „prawdziwym” życiu. Ponownie rozejrzałam się po parku. Pusto.

– Czy ty próbujesz mnie przestraszyć?

– Nie. Próbuję odpowiadać na twoje pytania.

Uśmiechnęłam się krzywo i pokazałam mu skierowany w górę kciuk.

– Świetnie ci idzie – rzuciłam.

Opadłam na siedzisko huśtawki, po czym zaczęłam się bujać w przód i w tył, nie odrywając stóp od ziemi.

– Dlaczego przyszedłeś, ale naprawdę?

– Dzwoniłaś do Luki.

– Tak, dzwoniłam do *Luki*. Chciałam z nim porozmawiać. Co to ma niby wspólnego z tobą?

Rozważyłam jego słowa i poczułam, jak z gniewu czerwienieją mi policzki.

– On do ciebie zadzwonił? Poprosił cię, żebyś przyszedł pogadać z tą wariatką, która ciągle do niego wydzwania?

Roześmiał się niskim, lekko zachrypniętym głosem. Tak jakby nie zwykł robić tego zbyt często. Poczułam, jak jego śmiech rezonuje gdzieś w środku mnie.

– Nie dlatego, że jesteś wariatką. Zadzwonił do mnie, by mi powiedzieć, że zamierza złamać zasady i porozmawiać z tobą.

To coś znaczyło. Chociaż wylądowałam w pustym parku z Jacksonem, to, że Luka był gotów naruszyć dla mnie zasady, sprawiło, iż poczułam się doceniona. Coś mi jednak nie pasowało.

– Dlaczego zadzwonił do ciebie i ci o tym powiedział? – zapytałam, marszcząc brwi.

Jackson wzruszył lekko ramionami.

– Albo chciał mojego błogosławieństwa, albo chciał, żebym mu to wybił z głowy.

– I którą opcję wybrałeś?

– Ani jedną, ani drugą. Zbyłem go i dotarłem do ciebie, zanim on zdołał to zrobić.

– Dlaczego?

Nie odpowiedział od razu. Jak już zaczął mówić, nie mogłam się wyzbyć wrażenia, że ukrywa przede mną więcej, niż tłumaczy.

– Wierzę, że tego nie spieprzę.

Odpowiedź była całkowicie w jego stylu. Szczera i bezużyteczna. Ale skoro, jak sam zaznaczył na wstępie, wyjaśnianie rzeczy innym nie idzie mu zbyt dobrze, to musiał uważać, że ma większe niż Luka szanse udzielić mi odpowiedzi nienaruszających zasad. Albo może...

– Czy zasady stosują się do wszystkich tak samo, czy też dla ciebie są luźniejsze?

– Zależy od zasady.

– To nie była odpowiedź.

– Zadaj inne pytanie.

Pierwszym pytaniem, które przyszło mi do głowy, było: „Dlaczego Luka ma w telefonie numer do ciebie, skoro mamy się ze sobą nie kontaktować?”. Prawie je zadałam, ale jako że nie byłam w stanie sformułować go tak, by nie zasugerować, że ja też chcę poznać jego numer, postanowiłam odpuścić.

Niemniej jednak zastanawiałam się, w jaki sposób Jackson tak szybko ustalił, gdzie mieszkam. Richelle powiedziała, że wciągani do gry ludzie pochodzą

z różnych regionów. Dlaczego więc Jackson był na tyle blisko, żeby dotrzeć do mnie przed Luką?

Przypomniałam sobie to dziwne uczucie z wczoraj, gdy stałam przy oknie.

– O nie. Nie. Proszę, powiedz mi, że nie jesteś jakimś łąącym za dziewczynami zboczeńcem.

– Nie jestem jakimś łąącym za dziewczynami zboczeńcem.

Sapnęłam zirytowana i doprecyzowałam pytanie:

– Czy to ty obserwowałeś wczoraj mój dom?

– Tak.

– Szpiegujesz mnie?

– Jednym z moich obowiązków jest dopilnowanie odpowiedniej aklimatyzacji nowych rekrutów.

– Dopilnowanie odpowiedniej aklimatyzacji – powtórzyłam, nieco go prze-drzeźniając. – I masz to zrobić bez nawiązywania kontaktu czy udzielania wyjaśnień?

– Generalnie tak.

– To najbardziej idiotyczna rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam.

– Chyba trochę przesadzasz z tą *najbardziej* idiotyczną.

Nie chciałam wdawać się w słowne gierki czy kłócić o semantykę.

– Czy to ty kierujesz grą?

Podrapał się po brodzie.

– Kiedy jesteśmy na misji, są rzeczy, które ja wiem, a których nie wiedzą inni – odpowiedział. – Ale czy kieruję grą? – Roześmiał się ponuro. – Nie.

– Dowodzisz podczas misji? Czy zatem nie jest twoim obowiązkiem utrzymanie wszystkich z drużyny przy życiu? – zadałam kolejne pytanie.

Nie zauważyłam, jak się poruszył. Nagle stanął przede mną z dłońmi zaciśniętymi na łańcuchach huśtawki i twarzą przysuniętą na może kilkanaście centymetrów do mojej. Czułam lekki zapach cytrusowej pianki do golenia. Ku mojej irytacji naszła mnie nagle ochota przysunięcia się jeszcze bliżej, żeby lepiej poczuć jego zapach.

– Nie ma drużyny – wyszeptał twardo. – Każdy dba o siebie, zapomniałaś?

Nie zapomniałam. I powinnam go znienawidzić za to, że powiedział mi to teraz w taki sposób. Ale było... coś w jego tonie, a może w wyrazie jego twarzy... Coś, co sprawiło, że odniosłam wrażenie, jakby on wcale nie lubił powtarzania tego. Czy też jakby wręcz sam nie wierzył w swoje słowa. Jakby jednak czuł się odpowiedzialny za stracenie Richelle.

– Powiedz mi, co się z nią stało – powiedziałam, unosząc od razu dłoń, żeby uciąć jego szybką ripostę. – Tylko nie mów mi, że zginęła.

Gardło miałam ściśnięte tak mocno, że ledwo mogłam mówić.

– Chcę się dowiedzieć, jak to się stało i kiedy.

– Najpierw powiedz mi, jak do tego doszłaś – odparł. – Bo nie wmówisz mi, że zorientowałaś się, zanim nas wyciągnięto. Widziałem to w twojej twarzy. A Luka by ci nie powiedział.

W pierwszym odruchu chciałam kazać mu spadać. W końcu on sam nie był wcieleniem otwartości. Odpłacenie pięknym za nadobne mogłoby być dla niego dobrą nauką. Ale nie mogłam się na to zdobyć. Nie wtedy. Opowiedziałam mu więc o tym, jak znalazłam profil Richelle, o kondolencjach. A także o tym, jak wyczyściłam historię przeglądarki i zatarłam wszystkie możliwe ślady.

– No proszę – powiedział z czymś, co przy dobrej woli można było wziąć za uznanie.

Uśmiechnął się. Białe zęby i dołek w policzku. Pełny uśmiech Jacksona Tate'a był zdecydowanie przyjemnym widokiem.

Przełknęłam ślinę i odwróciłam wzrok.

– Twoja kolej – powiedziałam. – Wyjaśnij mi brakujące przeszło pół roku.

– Wróciła do miejsca i czasu, z którego pierwotnie wyszła.

Przez parę chwil trawiłam tę informację.

– Richelle wróciła do chwili, w której wyciągnęło ją po raz pierwszy.

Do chwili, w której – w jakiejś alternatywnej rzeczywistości – po prostu zginęła, zamiast trafić do gry. Gry... Nawet w myślach wyczuwam pewien zgrzyt. To nie jest gra. To nie jest zabawa, jeśli część z nas naprawdę ginie.

– Tak jakby nigdy jej nie wyciągnęło? – zapytałam. – Tak jakby nigdy nie walczyła? – Zawahałam się. Czy łamię właśnie zasady? Czy Jackson mi przerwie? W żaden sposób nie zareagował, więc kontynuowałam: – Tak jakbym nigdy jej nie spotkała? Nigdy nie miała szansy prawie się z nią zaprzyjaźnić? Ale przecież ja ją spotkałam! Pamiętam spędzony z nią czas, nasze rozmowy. A co z jej rodziną, z jej znajomymi? Z treści komentarzy na jej profilu wynika, że wszyscy oni uważają, że zginęła ponad pół roku temu.

– Zgadza się.

– W moim przypadku byłaby to ciężarówka – bardziej stwierdziłam, niż zapytałam.

Uratowałabym siostrzyczkę Janice, ale potrąciłaby mnie ciężarówka. Ze skutkiem śmiertelnym.

Żadnych obcych, żadnych walk.

Żadnej kawy z Carlą, żadnych naleśników na śniadanie z tatą.

Nie byłoby też tej rozmowy z Jacksonem.

– I to wszystko, co wydarzyło się potem, po prostu by... zniknęło? Jakby nigdy się nie wydarzyło? Nikt nie będzie niczego o mnie pamiętał z czasu po wypadku?

– Generalnie tak. Poza tymi, których spotkałaś gdzie indziej.

Mówiąc „gdzie indziej”, miał z pewnością na myśli grę, która wcale nią nie była.

– Jak to możliwe? Co to jest? Jakiś paradoks czasowy?

Splątane nici czasu przenikające się nawzajem, łączące się ze sobą i rozchodzące w przeciwne strony.

Myślenie o tym przyprawiło mnie o ból głowy.

Jackson nie odpowiedział od razu. Przez dłuższą chwilę zastanawiał się, po czym uśmiechnął się pod nosem i odezwał lekko żartobliwym tonem:

– Dylatacja czasu. Czas biegnie tym wolniej, im człowiek jest bliższy szybkości światła.

Gdzieś już słyszałam podobne stwierdzenie. Ale co go tak bawiło? Pogrywał ze mną?

– Jaja sobie ze mnie robisz, Jackson? – warknęłam. – Oglądałam ten sam program w czwartek. Ta rozmowa z fizykiem teoretykiem, prawda? Oglądałam to z tatą. Ale on mówił, że dylatacja czasu umożliwia tylko przesuwanie się do przodu na osi czasu, a nie do tyłu. Nie udało ci się. Nie próbuj wkręcić krętacza.

Codziennie oszukuję wszystkich wokół, udając normalną osobę. Doskonale wiem, kiedy ktoś ze mną pogrywa.

Wykrzywił usta w lekko szyderczym, sardonycznym i jednocześnie pociągającym uśmiechu. Dlaczego nagle nabrałam ochoty, by wyciągnąć rękę i go dotknąć? Zacisnęłam dłoń w pięść, żeby przypadkiem tego nie zrobić.

– Masz rację. Oglądałem ten sam program. Ale on tylko prezentował to, co wiedzą *ludzie*.

Sposób, w jaki zaakcentował słowo „ludzie”, sprawił wrażenie, jakby chciał powiedzieć tylko o mieszkańcach Ziemi, ale nie mógł tego powiedzieć wprost. Był ostrożny; też uważał, żeby nie naruszyć zasad.

– W programie nie mogli poruszyć tego, czego ludzie *jeszcze* nie wiedzą.

Innymi słowy – co *obcy* już wiedzą.

– Chodzi o połączenie dylatacji czasu, manipulowania masą i grawitacją oraz kierunkowego tunelu czasoprzestrzennego.

Zmrużyłam oczy.

– Czy ty w ogóle znasz odpowiedzi? – zapytałam. – Wszystko to, co mówisz, może być równie dobrze stekiem bzdur.

– Ale powiedziałem to na tyle przekonująco, że nie możesz być pewna, czy nie mówię prawdy.

– A mówisz?

Zamilkł. Przez chwilę trwał nieruchomo, po czym nagle wyciągnął rękę w moją stronę i odgarnął kosmyk włosów z mojego policzka. W miejscu, którego dotknął, poczułam dziwne łaskotanie. Chciałam zerwać się i odsunąć od niego. Chciałam pochylić się w jego stronę i poprosić, żeby zrobił to ponownie. Targające mną sprzeczne emocje tak mnie zaskoczyły, że koniec końców nie zrobiłam nic.

– Czy odpowiedzi pomagają? – zapytał, rozpraszając mój nastrój.

Nawet nie musiałam się zastanawiać nad odpowiedzią.

– Nie. Zwłaszcza gdy udzielasz ich ty.

– A czemu?

– Bo w zasadzie nic nie tłumaczysz, nic nie wyjaśniasz, a do tego nie wiem, czy powinnam w ogóle wierzyć w twoje słowa.

– Uwierz mi, dokładne wyjaśnienia nie powodują, że ból znika.

Głos był spokojny, ton chłodny, ale z jakiegoś powodu miałam wrażenie, że o bólu wie całkiem dużo.

Rozdział dziesiąty

Bujaliśmy się z Jacksonem na sąsiednich huśtawkach, ja twarzą w jedną stronę, on w drugą. Milczeliśmy tak już od dłuższego czasu, może od kwadransa. A może minęło i pół godziny? Jakoś dziwnie dobrze mi się z nim milczało. Wyciągnęłam z uchwytu przy pasku butelkę i się napiłam. Spojrzałam kątem oka na Jacksona. Pomyślałam o jego ustach na szyjce butelki, potem moich ustach, potem jego ustach... Spuściłam wzrok i wzięłam głęboki oddech, po czym powoli wypuściłam powietrze z płuc. Gdy już się uspokoiłam, zatrzymałam huśtawkę, obróciłam się w bok i wyciągnęłam rękę z otwartą butelką w jego stronę.

Uśmiechnął się lekko i posłał mi dziwne spojrzenie, zupełnie jakby wiedział, o czym przed chwilą myślałam. Ten uśmiech przeniknął mnie na wskroś, docierając do najdalszych zakamarków ciała. Gdy sięgnął po butelkę, jego palce musnęły moje. Przechylił głowę do tyłu i się napił. Przyglądałam się jego grdyce poruszającej się w rytm kolejnych łyków.

– Dzięki – powiedział.

Gdy oddawał mi napój, nasze palce ponownie spotkały się na chwilę.

Oddech miałam dużo szybszy, niż powinnam mieć. Odwróciłam wzrok na czas wkładania butelki z powrotem do uchwytu na pasku. Jackson wstał z huśtawki i zrobił kilka kroków. Czyżby wyczuł moje zmieszanie i skrępowanie? A może to był tylko przypadek...

Rozejrzał się dokoła. Nie zrobił tego nerwowo ani podejrzliwie. Raczej rutynowo, tak samo jak wtedy w poczekalni. Przypomniałam sobie, że tak samo rozglądał się, gdy biegliśmy. Zawsze czujny.

– To jak? Mogę zadać kolejne pytania?

Obrócił się w moją stronę.

– Nie powinniśmy tu o tym mówić.

– Już tu o tym mówiliśmy – odparłam. – Co szkodzi rozmawiać dalej? Poza tym nikogo tu nie ma. Kto niby ma nas podsłuchiwać? Trawa? Drzewa? Ławki?

Przez starannie ukształtowaną przeze mnie maskę spokoju zaczynała już

przebijać frustracja.

– Gdyby się tu zblizali, widzielibyśmy ich z daleka. Ciężko ich przeoczyć, trochę rzucają się w oczy.

Nagle zeszywniał. Powtórzyłam sobie w myślach wszystko, co przed chwilą powiedziałam, i poczułam nieprzyjemny dreszcz.

– Zobaczylibyśmy ich, prawda? – spytałam niepewnie.

– Niekoniecznie.

To zdecydowanie była wiadomość, bez której bym się obyła. Czy to oznacza, że Drau mogli tu być? W tej chwili, w tym parku? Przełknęłam głośno ślinę.

– To gdzie możemy porozmawiać? – zapytałam ciszej. – Czy gdziekolwiek jesteśmy bezpieczni?

Przeszedł kilka kroków w prawo. Zatrzymał się. Zrobił zwrot i przeszedł kilka kroków w lewo. Ze zdziwieniem zdałam sobie sprawę, że dotąd całkowicie spokojny Jackson Tate jest zdenerwowany.

– Zależy od definicji bezpieczeństwa.

Odchylił głowę i spojrzał w niebo.

– Satelity dojrzą nas wszędzie – powiedział.

– Teraz zwyczajnie próbujesz mnie nastraszyć.

Ale czy na pewno tak było? Ta wymiana zdań do niczego nie prowadziła, więc zmieniłam temat.

– Kim byli pozostali na polanie?

– Richelle, Tyrone i Luka.

– Wydawało mi się, że nie wolno nam wymawiać ich imion?

– A powiedziałem coś takiego?

Zmarszczyłam brwi i cofnęłam się myślami do początku rozmowy.

– Nie – przyznałam – raczej nic takiego nie mówiłeś. Chyba tak jakby uniknąłeś udzielenia odpowiedzi. Czy to był jakiś test?

Nie odpowiedział. Westchnęłam ciężko.

– Opowiedz mi o tych z innych polan.

– Widziałaś ich. – W jego głosie wyczułam zarówno uznanie, jak i podejrzliwość. – Nie każdy ich widzi.

– Taa, domyśliłam się. Luka ich nie widział. Ale ty i ja ich widzimy. Kim oni są?

– Mogłabyś ich nazwać pozostałymi drużynami.

– Jak ci nie odpowiada drużyna, użyj innego słowa. Jak *ty* byś ich nazwał?

– Powiedzmy, że to inne osoby takie jak my.

– Czy Luka i Tyrone wiedzą o tych innych drużynach?

– Generalnie wiedzą o nich. Ale nigdy ich nie widzieli.

– A dlaczego ja je widzę?

Jackson wzruszył ramionami.

– Mogłabym cię palnąć. Mam na to naprawdę wielką ochotę.

Byłam tak wkurzona, tak serdecznie miałam już dość jego wykrętnych odpowiedzi, że prawie zrealizowałam swoją groźbę. Zszokowała mnie moja reakcja. Jakim cudem był w stanie wyprowadzić mnie z równowagi? W jaki sposób tak łatwo rozbijał moje mechanizmy obronne?

– Mogłabyś spróbować – odparł.

Odwrócił się w moją stronę i uśmiechnął szeroko. Był wyraźnie rozbawiony. Przez chwilę tylko na niego patrzyłam. Sprawiało mu to przyjemność. A jeśli miałam być szczerą, to mi też. Byłam wściekła na Jacksona, wszystko i wszystkich. Żałowałam, że jest tu ze mną, ale jednocześnie cieszyło mnie to. Że nie zostawił mnie z tym wszystkim samej. I jak tu dojść do ładu z samą sobą?

Wzbudzał we mnie emocje, od których już dawno odwykłam. Z jakiegoś powodu w jego obecności wszystkie moje traumy wydawały się dziwnie odległe i słabe. A ja czułam się silna.

Szermierka słowna z nim sprawiała mi przyjemność, ale jednocześnie sama myśl o tym spowodowała, że poczułam się podle. Bo jedynym powodem, dla którego staliśmy tu teraz i rozmawialiśmy, była śmierć Richelle.

Jackson dostrzegł zmianę w wyrazie mojej twarzy.

– Ona odeszła – powiedział łagodnym głosem. – Nie zmienisz tego. I nie powinnaś czuć się winna tylko dlatego, że żyjesz.

Było coś dziwnego w jego tonie. Jakby chciał, żebym uwierzyła w jego słowa, chociaż sam nie do końca w nie wierzył.

Odwróciłam wzrok. To, że tak łatwo mnie rozgryzł i zrozumiał, zbiło mnie z pantafelku. Miał rację – czułam się winna. Z powodu Richelle, z powodu mamy, z powodu babci i *sofu*. W jaki sposób ja mam żyć dalej, skoro im ta możliwość została odebrana?

– Wykonaliśmy zadanie. Przetrwaliśmy – powiedziałam. – Powinniśmy więc wrócić do prawdziwego życia, do naszych codziennych zajęć. Ona też miała wrócić.

– Nie wszyscy z nas przetrwali. Tylko ci, którym to naprawdę się uda, mogą wrócić. Pamiętasz, co mówiłem o... – Tutaj postukał palcami swój nadgarstek.

„Bransoletka to twój kom. Kolor wskazuje twoje zdrowie. Nie możesz dopuścić do tego, żeby zmieniła kolor na czerwony”.

– To dlatego, że jej... – Ugryzłam się w język, zanim wymówiłam nazwę bransoletki. – Z powodu zmiany koloru. Ponieważ jej kolor zmienił się na czerwony.

Jackson zrobił krok w moją stronę.

– Punkty zdrowia, obrażenia... – Zawiesił na chwilę głos. – Wiesz, co to w ogóle znaczy?

Przytaknęłam. Czasem grałam w różne gry z Carlą i jej braćmi.

– To żargon z gier. Punkty zdrowia to liczba obrażeń, jakie jest w stanie wytrzymać postać.

– Wiesz więc, że gdy pasek życia...

Przerwał, wpatrując się we mnie. Jakby chciał sprawdzić, czy za nim nadążam.

– Pasek zdrowia – wtrąciłam.

Zaczynałam dostrzegać, do czego dążył.

– Tak, pasek zdrowia – przytaknął. – Albo po prostu zdrowie. Tak więc gdy ten pasek stanie się cały czerwony, gra dobiega końca.

Gra dobiega końca. Umierasz.

Strach dopadł mnie niczym stado zajadłych komarów.

A więc takie było wyjaśnienie. Podejrzewałam to, ale część mnie sądziła, że odpowiedź powinna być inna. Że powinno chodzić o coś więcej.

– Ona nie żyje z tego powodu? Czy to na pewno jest tylko gra? Nie jest. Ty sam to powiedziałeś. To nie jest gra, a ona teraz nie żyje. Na zawsze.

Ponieważ jeśli zginiesz w grze, zginiesz naprawdę. No tak, oczywiście! Dlaczego nie wpadłam na to wcześniej? Powinnam była się domyślić.

Zeskoczyłam z huśtawki i przysunęłam się do Jacksona. Dyszałam ciężko ledwo centymetry od jego twarzy.

– W grze się odradzasz. Wracasz do punktu respawnu.

Wyznaczony punkt ponownego pojawienia się. To się stało ze mną i z Luką. Wróciliśmy do momentu, w którym to wszystko się zaczęło. Tuż zanim uderzyła w nas ciężarówka.

– To właśnie się z nami stało, prawda? Odrodziliśmy się. Pojawiliśmy się z powrotem cali i zdrowi. Dlaczego z nią nie stało się to samo?

– Przed chwilą ci powiedziałem dlaczego.

Ponieważ kolor jej bransoletki zmienił się na czerwony. Moje wspomnienia z walki były chaotyczną mieszanką błysków i nieostrych scen. Richelle krzyczała. Jackson wykopał broń z dłoni obcego. Uratował mnie. Dlaczego nie uratował jej?

– Dlaczego jej nie pomogłeś? – krzyknęłam. – Dlaczego jej nie ochroniłeś? Dlaczego pozwoliłeś jej umrzeć? Dlaczego?

Nie zdając sobie do końca sprawy z tego, co robię, zaczęłam walić pięściami w klatkę piersiową Jacksona.

Chwilę później złapał mnie za nadgarstki i unieruchomił moje ręce w uścisku. Trzymał dość mocno, żebym nie mogła go uderzyć, ale nie tak mocno, by sprawić mi ból. Znieruchomiałam. Serce waliło mi jak młotem – ze złości, rozżalenia i strachu. A także dlatego, że dotykał mnie, że jego dłonie były oplecione wokół moich nadgarstków, a nasze twarze dzieliło zaledwie kilka centymetrów.

Puls mi wariował. Czułam, jak rumienią mi się policzki. Wiele osób dotykało mnie w różnych sytuacjach, ale nigdy dotąd nie czułam niczego podobnego.

– Teraz już wiesz – powiedział. – Zadowolona?

Puścił moje ręce.

– Nie – odpowiedziałam, starając się panować nad głosem. – W najmniejszym stopniu.

– Wiem.

Uniósł ręce i objął mnie. Stałam sztywno, zbyt odrętwiała, żeby zareagować i się cofnąć. Powoli przyciągnął mnie do siebie. Pozwoliłam na to. Pozwoliłam mu przycisnąć mnie do siebie i pozwoliłam sobie położyć głowę na jego piersi. Przez kilka chwil tylko oddychałam i słuchałam bicia jego serca.

– Ale wciąż jestem dupkiem – wyszeptał, poruszając swoim oddechem moje włosy.

– Wiem – wyszeptałam w odpowiedzi.

– To dobrze.

Musiał mieć ostatnie słowo.

#

Kiedy wróciłam do domu, zastałam Lukę siedzącego na schodach ganku – zgarbionego, z łokciami opartymi na kolanach i ze zwieszoną głową. Na jego widok zrobiło mi się przyjemnie ciepło w środku. Nie było to jednak tak intensywne uczucie jak w przypadku Jacksona. Teraz doświadczyłam czegoś zupełnie innego – uczucia towarzyszącego spotkaniu z czymś znajomym i kojarzącego się z bezpieczeństwem.

Na dźwięk moich kroków uniósł głowę i otaksował mnie wzrokiem.

– Czekałem na ciebie.

Zatrzymałam się o parę kroków od niego.

– Widzę – odparłam. – Dzięki.

– Za czekanie?

Przytaknęłam.

– Za czekanie. I za to, że w ogóle przyszedłeś. Wiem, że łamiesz zasady.

– Taa – westchnął, uśmiechając się nieco krzywo, ale szczerze. – Wygląda na to, że gdziekolwiek człowiek spojrzy, natrafia na jakieś zasady. Zastanawiam się czasem, czy kiedykolwiek będziemy mogli ustalić własne.

Zupełnie nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć. Nie byłam pewna, czy chcę tworzyć jakiegokolwiek zasady. Czy też je łamać.

– Znalazł mnie – powiedziałam.

Luka uniósł brwi w zdziwieniu.

– Kto?

– J... – Ugryzłam się w język: nie wiedziałam, czy wolno mi wymówić jego imię. Po chwili coś mnie ruszyło i wyrzuciłam ręce w górę w geście bezradności

i frustracji. – To wszystko jest głupie.

Było głupie. Miałam cenzurować każde słowo, bo mogłam być obserwowana przez kogoś niewidzialnego? Byłam w stanie zrozumieć zasadę zachowania pewnej dyskrecji, ale takie podejście zakrawało na paranoję.

– Jackson – powiedziałam. – Jackson poszedł ze mną pobiegać.

Już po powiedzeniu tego przypomniałam sobie, że Jackson też wymawiał imiona pozostałych na głos. Tak więc raczej nie naruszałam żadnej zasady.

Ciężko było przestrzegać reguł, których się właściwie nie znało.

Oczy Luki rozszerzyły się ze zdziwienia.

– A! Spoko...

Nie wyglądał na zbyt zadowolonego.

– Nie spodziewałem się tego – dodał.

– Ja też nie.

Wyciągnęłam do niego rękę. Luka złapał ją i pomogłam mu wstać. Gdy już stał, musiałam odchylić głowę do tyłu, żeby spojrzeć mu w oczy. Zdecydowanie wystrzelił w górę przez ten rok, kiedy go nie było w naszym mieście. Rozrósł się też w barkach i wyciągnęła mu się twarz.

– Dlaczego do niego zadzwoniłeś?

– Ponieważ nie mogłem znieść, jak tobie od...

Urwał, rozkładając ręce, ewidentnie szukając właściwego słowa.

– Odbija? – podpowiedziałam.

– Myślałem raczej o „odwała szajba”, ale „odbija” też może być. – Uśmiechnął się krzywo. – Gdzie on teraz jest?

– Jackson? Zostawiłam go w parku.

– Nie mogłaś dłużej znieść jego towarzystwa?

Zacisnęłam wargi, przypominając sobie, jak się czułam wtulona w ramiona Jacksona z policzkiem na jego piersi, słuchając uspokajającego bicia jego serca. Nie wiem, jak długo tak staliśmy. Gdybym mogła, stałabym tak chyba do końca świata. W pewnym momencie jednak Jackson przestał mnie obejmować i zrobił krok do tyłu, pozostawiając dziwne uczucie zakłopotania.

Gdy mnie obejmował, wydawało się to na miejscu. Ale kiedy już przestał... Zaczęłam mieć różne inne myśli. Nagle poczułam chęć, czy wręcz silną potrzebę odsunięcia się na większą odległość. Stanie tak blisko niego i odczuwanie wciąż zapachu jego skóry i ciepła jego ramion sprawiało, że czułam się bardzo niekomfortowo.

Luka roześmiał się, mylnie odczytując moje milczenie.

– On ma taki wpływ na ludzi – rzucił wesoło.

– Szczerze mówiąc, nie chciałam ryzykować spotkania mojego taty. Gdyby podjechał pod dom akurat w chwili naszego powrotu, ciężko byłoby mi wytłumaczyć, skąd go znam.

Tata posłużył za doskonałą wymówkę. Jackson nie był w stanie wymyślić żadnego kontrargumentu. Albo więc pragnął pożegnać się ze mną tak samo mocno jak ja z nim, albo wyczuł moje skrępowanie i postanowił być miły. Jeśli miałabym na coś postawić, to chyba na to pierwsze.

Wspomnienie taty wywołało chyba wilka z lasu, bo w tym momencie nasz ford zatrzymał się przy krawężniku.

– Świetnie – powiedziałam dokładnie w tej samej chwili co Luka. – Świetnie.

Spojrzelśmy na siebie i wybuchliśmy śmiechem. Co właściwie istotnie świetnie się złożyło, bo tata wysiadający z samochodu zobaczył dwójkę znajomych ze szkoły śmiejących się razem, a nie chłopaka i dziewczynę stojących naprzeciw siebie w milczeniu z niepewnymi minami.

Podszedł do nas, więc przedstawiłam mu Lukę. Wszystko przebiegało bezboleśnie.

– Tato, to jest Luka. Chodzi ze mną do szkoły. Jest w drużynie biegaczy.

Tata uchwycił się ostatniej informacji i uznał, że chłopak namawia mnie do dołączenia do drużyny. Uśmiechnął się szeroko i serdecznie potrząsnął ręką Luki. Zawsze uważał, że zorganizowane uprawianie sportu dobrze by mi zrobiło. Nie śmiałam wyprowadzać go z błędu.

Tata spojrzął na mnie i dopiero wtedy zauważył, że mam na sobie ubranie do biegania. Zmarszczył brwi zdziwiony i powiedział:

– Jest niedziela.

Zawsze uważał, że za dużo biegam i za mało jem, co uznawałam za dość zabawne, bo to nie ja ciągle zapominałam o lunchu.

– Mhm.

Nie chciało mi się tłumaczyć. Co niby miałam powiedzieć? Że naruszyłam mój żelazny plan tygodnia z powodu obcych i dziewczyny, która zginęła ponad pół roku przed tym, jak ją spotkałam?

– Jest bardzo ciepło – powiedziałam, zmieniając temat. – Lepiej zaniosę zakupy do domu, zanim lody się roztopią.

Wyjęłam z uchwytu teraz już pustą butelkę wody i podałam ją tacie.

– Zabierzesz do kuchni? – poprosiłam.

Tata wziął butelkę i wszedł do domu. Luka podszedł ze mną do samochodu.

– Chciałem z tobą porozmawiać – powiedział. – Zanim przenieśli mojego starego. Po tym, jak straciłaś mamę.

Jak straciłam mamę. Najgłupszy eufemizm, jaki słyszałam. Stracić to można chęć do biegania. Moja mama umarła. Ugryzłam się w język, zanim zdążyłam powiedzieć coś, czego bym później żałowała.

– Wiem. Pamiętam. Ale średnio potrzebowałam dobrych rad.

– Rozumiem.

Wiedziałam, że rozumie. Mama Luki umarła, kiedy jeszcze chodziliśmy

do Oakview, w czwartej klasie. Zrobił się z niego wtedy straszny milczek. Wycofał się i rzadko się odzywał przez dobrych parę lat. Kiedy byłam już starsza, wstydziałam się, że zachowałam się wtedy tak jak większość pozostałych dzieciaków – zostawiłam go samemu sobie i zajmowałam sobą, nie starając się jakoś specjalnie podtrzymać znajomości. Gdy doszedł do siebie i ponownie „wszedł w towarzystwo”, byliśmy już w wieku, w którym chłopcy trzymali się z chłopcami, a dziewczyny z dziewczynami. A gdy czasem te dwie grupy mieszały się ze sobą, było dużo chichotu i kuksańców. Gdybym wtedy wiedziała to, co wiem teraz o tym straszliwym bólu towarzyszącym utracie kochanej osoby, zdecydowanie bardziej bym się przyłożyła do podtrzymywania kontaktów z Luką.

Moja twarz musiała zdradzić moje myśli, ponieważ Luka położył mi rękę na ramieniu i odezwał się spokojnym, ciepłym głosem:

– Hej, głowa do góry. Byliśmy wtedy gówniarzami. Co my wtedy wiedzieliśmy o radzeniu sobie ze śmiercią?

Przerwał, zdjął rękę z mojego ramienia i wskazał głową samochód.

– Lody się roztopią – przypomniał.

Sięgnęliśmy po zakupy w tym samym momencie. Zdążyłam już zacisnąć dłoń na uchwytych jednej z siatek, kiedy jego dłoń zacisnęła się na mojej. Cofnęłam się, on pociągnął. Uderzyłam plecami w jego pierś. Nachylił się w momencie, kiedy ja zaczęłam się prostować, w wyniku czego uderzyłam głową w jego podbródek. Kolejny raz tego dnia oboje wybuchliśmy śmiechem. To był rozluźniający, naturalny śmiech.

– Uroczą scenka.

Obróciłam gwałtownie głowę na dźwięk głosu Carli. Wychylała się przez okno po stronie pasażera ze srebrnego vana mamy Sary, który właśnie zatrzymał się za ffordem taty. Za kierownicą siedziała Sara. Carla wodziła oczami ode mnie do Luki i z powrotem.

– Pomóc wam?

Luka zdążył wyprostować się i zrobić krok do tyłu. Chwyciłam siatki z zakupami i uniosłam w górę, aby je pokazać. Sądziłam, że dziewczyny wysiądą i po-

mogą nam zanieść je do domu.

Carla jednak cofnęła się do samochodu, powiedziała coś Sarze przyciszonym głosem, po czym ponownie wychyliła się przez okno.

– Nie dzisiaj! – zawołała. – Bawcie się dobrze.

Powiedziała to z gorzką ironią. Wyczułam w jej głosie tembr, który doskonale znałam.

Carla była wściekła.

Sara nam pomachała. Carla tylko siedziała z założonymi rękami. Samochód ruszył i odjechał. Odprowadziłam go wzrokiem aż do zakrętu.

– Hej, to ty mówiłaś, że lody się rozpuszczą! – zawołał tata z ganku.

Choroba, miał rację. Cokolwiek ugryzło Carlę, musiało poczekać, aż uporam się z zakupami.

Mimowolnie poczułam, że jestem na nią bardzo zła. W moim życiu działa się teraz dużo poważniejsze sprawy, stawka była istotnie większa od dowolnej możliwej przyczyny jej fochów. Dziewczyna, którą dopiero co poznałam, nie żyła. Cały mój świat został wywrócony do góry nogami. A jeśli Jackson miał rację, jeśli naprawdę walczyliśmy o przetrwanie ludzkości, świat nas wszystkich był już od dłuższego czasu wywrócony do góry nogami. Ale Carla tego nie wiedziała. A ja nie mogłam jej niczego wytłumaczyć. Czy miałam więc prawo gniewać się na nią, skoro z niczego nie mogła zdawać sobie sprawy?

Syknęłam z irytacją, chwyciłam siatkę z zakupami, podałam ją Luce, po czym złapałam drugą i ruszyłam w stronę domu.

– Stawiaj siatki za progiem – powiedziałam, idąc za nim. – Kiedy zabierzemy całe zakupy z samochodu, zaniesiemy je do kuchni.

Mama miała obsesję na punkcie butów. Zawsze kazała je zdejmować przy drzwiach i zakładać kaptcie. Nigdy, przenigdy nie chodziliśmy po domu w butach. Było to dla niej bardzo ważne, dlatego stało się też ważne dla mnie. Była to jedna z niewielu drobnych rzeczy, które pozwalały mi zachować przy sobie choćby małą jej część.

Luka postawił siatkę na podłodze po czym stęzał na chwilę i błyskawicznie się odwrócił. Prawie na niego wpadłam i już miałam go zbesztać, kiedy spojrzałam w jego oczy. Rozszerzone strachem. Niebieskie!

Nie musiał nic mówić.

Barwy i dźwięki wybuchły wokół mnie – zbyt jaskrawe i zbyt głośne. Nawet powietrze muskające moją skórę wydawało się zbyt ostre. Palce mi się rozluźniły i uchwyty siatki wyślizgnęły się z dłoni, by rozpocząć dziwacznie powolny lot ku ziemi. Świat zadrżał i zawirował. Zamachałam rozpaczliwie ramionami, próbując utrzymać równowagę.

Luka złapał mnie za rękę i pomógł zachować pion.

Zamrugałam, próbując wyostrzyć wzrok. Dom, otwarte drzwi na ganek, tata – wszystko zniknęło. Ciężko dyszałam, starając się wyrównać oddech. Wszystkie mięśnie miałam niesamowicie napięte, aż do bólu.

Gdy doszłam nieco do siebie, rozejrzałam się. Staliśmy na porośniętej trawą polanie otoczonej gęstym lasem.

Poczekalnia.

Znowu nas wyciągnęło.

Rozdział jedenasty

Za wcześnie – warknął Luka.

Pochyliłam się, opierając wolną rękę na udzie, aby się nie przewrócić. Luka zacisnął swoje palce na mojej dłoni, sądząc zapewne, że tracę równowagę. Wzięłam kilka głębokich oddechów, starając się dojść do siebie. Kręciło mi się trochę w głowie, ale przynajmniej tym razem obyło się bez bólu. Chyba zaczynałam się przyzwyczajać. Jak powiadają – praktyka czyni mistrza. Tylko jakoś myśl o częstym powracaniu do poczekalni nie napawała mnie optymizmem.

Gdy się wyprostowałam, dostrzegłam zmierzającego w naszą stronę Jacksona. Wciąż miał na sobie strój do biegania i przeciwsłoneczne okulary na nosie. Mimo to jakoś wyczułam, że patrzy na mnie – a dokładniej na moją dłoń splecioną z dłonią Luki. Ten widok sprawił, że zacisnął zęby. Czyżby się zezłościł?

Z premedytacją nie spieszyłam się z wyswobodzeniem ręki z uścisku Luki, udając, że nie dostrzegam związku między tym a wyrazem twarzy Jacksona. Przy okazji zauważyłam, że na przegubie miałam swój kom. Z jakiegoś powodu jego obecność spowodowała powrót strachu. Miałam ochotę zerwać bransoletę z ręki i rzucić ją w kierunku drzew. Zdołałam jednak opanować się, wyrównać oddech i uspokoić puls. Rzuciłam okiem na ekran komu – był zielony. Obiecałam sobie w duchu, że tym razem zrobię wszystko, aby taki pozostał.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu Tyrone'a. Stał przy głazach z bardzo poważną miną. Chciałam podejść do niego, pocieszyć, powiedzieć...

Co właściwie mogłam mu powiedzieć? Wszystko, co przychodziło mi do głowy, było niesamowicie płytkie i bezsensowne. Żadne słowa nie przywrócą życia Richelle.

– Szykujemy się – powiedział Jackson.

– Jest nas tylko czwórka – zauważył Luka.

Nie miał racji. Były nas setki. Widziałam ich na innych polanach, lustrzanych odbiciach naszej. Niektóre grupy były małe tak jak nasza, ale część liczyła nawet kilkanaście osób. Jak tylko próbowałam dokładniej się im przyjrzeć, znikwały i znów widziałam tylko drzewa otaczające poczekalnię. Jeśli zaś nie starałam się

ich dostrzec, zaczynałam ponownie dostrzegać ruch. Nieskończona liczba odbić, drużyna za drużyną. Zupełnie jak w lustrach w łazience babci.

– Tym razem będzie nas tylko czwórka – powiedział Jackson.

Skąd on to wszystko wie? Wie, kiedy zostaniemy wyciągnięci. Wie różne rzeczy o misji – to on wszystko wyjaśniał poprzednim razem.

– Miki.

Obróciłam się akurat w odpowiedniej chwili, żeby złapać kaburę rzuconą mi przez Jacksona. Założyłam ją w sposób, który pokazał mi poprzednim razem, po czym podbiegłam truchtem do stojącego na ziemi otwartego metalowego pudełka. Leżały w nim cztery metalowe walce umieszczone w twardej czarnej piance.

Zawahałam się i spojrzałam na Jacksona.

– Czy to ważne, który wezmę? – zapytałam.

– Przytrzymaj rozwartą dłoń nad pudełkiem, grzbietem do góry – odparł. – Broń, której używałaś poprzednim razem, sama wyleci z pudełka.

Zrobiłam, co powiedział. Po chwili istotnie jeden z walców wystrzelił w górę i uderzył w moją rękę. Gwałtowność ruchu trochę mnie zaskoczyła i musiałam się powstrzymać, żeby odruchowo nie cofnąć dłoni. Zacisnęłam palce wokół walca, wsunęłam go do kabury i spojrzałam ponownie na Jacksona. Zauważyłam, że – tak samo jak poprzednio – na udzie ma zamocowaną pochwę z nożem.

– Mogę też dostać jeden taki? – zapytałam, wskazując ruchem głowy noż.

– Broń jest bezużyteczna, jeśli stanowi większe zagrożenie dla ciebie niż dla twojego przeciwnika – odpowiedział beznamiętnie Jackson.

– Ale wszyscy wiedzą, że z nożem szybciej się biega – wtrącił Luka.

Brwi Jacksona uniosły się nad brzegami okularów. Spojrzałam pytająco na Lukę, nie bardzo wiedząc, o co mu chodzi.

– To taki hermetyczny dowcip – powiedział, unosząc rękę w przeproszącym geście. – Popularny wśród graczy. W strzelankach wszyscy noszą ze sobą mnóstwo różnej broni. Jak wyciągną jakąś dużą, na przykład, ja wiem... bazookę,

biegną wolniej. Jak wyciągną coś małego, jak choćby nóż, biegną szybciej.

Kiwnęłam głową.

– Mimo że powinni biec tak samo szybko, ponieważ w obu przypadkach targają ze sobą całą resztę?

– Właśnie tak – potwierdził Jackson. – Pierwszy raz użyli tego gracze w Counter Strike’u.

Luka rzucił Jacksonowi wesołe spojrzenie, po czym obaj wymienili między sobą kiwnięcia głową i półuśmieszki. Tak jakby ta wiedza była z jakiegoś powodu bardzo ważna. Faceci.

Potem Jackson zwrócił się do mnie:

– Ale i tak nie dostaniesz noża. Niezależnie od tego, jak szybko byś z nim biegała. Jeśli wyrwie ci go wróg, może cię nim wypatroszyć.

– Dobra, dobra, łapię. Nie wdawaj się w szczegóły.

Niestety, miał rację. Chociaż wiedziałam sporo o kendo, nożem nigdy nie walczyłam. Nie znaczyło to jednak, że nie mogłam się nauczyć walki nożem. Przesunęłam w myślach zgłębienie tego tematu na szczyt listy rzeczy do zrobienia po powrocie. Jeśli uda mi się wrócić. Zacisnęłam dłoń w pięść tak mocno, że paznokcie wbiły mi się boleśnie w skórę. Nie *jeśli*, ale *kiedy* uda mi się wrócić.

– A ty niby skąd umiesz walczyć nożem?

Jackson przechylił głowę na bok i przez chwilę sądziłam, że nie odpowie na moje pytanie – w końcu był w tym bardzo dobry. Tym razem jednak się odezwał:

– Przeszkolenie z technik walki nożem.

– Serio? – zapytał z wyraźnym uznaniem w głosie Luka. – W sensie zajęcia z tego miałeś? Można to wziąć na zaliczenie?

– W pewnym sensie. Jedenaście miesięcy szkolenia w Fort Worth.

– Znam cię od jakiegoś roku i dopiero teraz mi o tym mówisz? – zapytał

Luka.

Nie doczekał się odpowiedzi. Odniosłam zresztą wrażenie, że informacja skierowana była do mnie, nie do Luki. Niby niewielka różnica, ale istotna. Chociaż nie byłam wtedy w stanie ocenić, jak bardzo. Uznałam po prostu, że z czasem go rozgryzę. Trzeba próbować do skutku.

Jackson zdecydował się uciąć wszelką dalszą dyskusję w swoim stylu – w najciekawszym momencie.

– Nie mamy już czasu na pogaduszki – powiedział. – Musimy ruszać.

Rzuciłam spojrzenie przez ramię w stronę Tyrone'a. Nie odezwał się dotąd ani słowem, po prostu stał przy kamieniach z zaciśniętymi zębami i rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie dżinsów.

Luka pobrał swoją broń z pudełka, po czym zwrócił się ponownie do Jacksona:

– Czwórka nie wystarczy. Nigdy nie ruszaliśmy z mniej niż piątką.

– Mamy tylko czwórkę.

„Nigdy nie ruszaliśmy z mniej niż piątką”. To zdanie sprawiło, że zamarłam. To *ja* byłam piąta poprzednim razem. Zostałam dodana do drużyny, ponieważ ktoś nie zdołał wrócić... Ktoś się nie odrodził. Kto? Chłopak, dziewczyna? Jak wyglądał ten ktoś? O czym marzył? I w jaki sposób Jackson, Luka i Tyrone w ogóle zdołali znieść utratę Richelle tak krótko po straceniu kogoś innego?

Nagle przypomniałam sobie urywki rozmowy Richelle i Tyrone'a, które słyszałam podczas swojego pierwszego przebudzenia w poczekalni:

„– ...samolubny gnojek... Tyle razy wszystkich nas narażał. Zawsze trzymał się z tyłu, kradł punkty za trafienia... Interesował się tylko samym sobą. Tylko tym, czy sam się wydostanie...

– Ale to nie znaczy, że zasłużył na...

– Poważnie cię naraził. Jeśli o mnie chodzi, to sobie zasłużył...”.

Wtedy te słowa nic mi nie mówiły. Teraz w końcu je zrozumiałam. Mówili

o chłopaku, który nie wrócił z poprzedniej misji. Moim poprzedniku.

Z trudem przełknęłam ślinę i odezwałam się chrapliwym szeptem:

– Czekasz na pojawienie się zastępstwa za Richelle.

Luka rzucił mi szybkie spojrzenie i kiwnął głową. Szczękę miał mocno zaciśniętą, bez śladu niedawnego uśmiechu.

– Ale nikt się nie pojawia – odparł ponuro.

Spojrzałam na Jacksona. Stał z ramionami skrzyżowanymi na piersi, patrząc gdzieś w dal.

– Skąd wiesz, że nikogo więcej nie będzie? – zapytał go Tyrone, odzywając się po raz pierwszy od naszego pojawienia się.

– Dobre pytanie, nie? – wymamrotał Luka. – Ale ty nie lubisz odpowiadać na pytania, co, Jack? Lubisz tylko wyszczekiwać rozkazy. Jeszcze przejmować stery i rządzić. W tym też jesteś dobry, co?

Jackson obrócił twarz w stronę Luki, ale nic nie powiedział. Mimo okularów dałabym sobie rękę uciąć, że próbował spiorunować go wzrokiem.

Przez kilka chwil czułam się nieco zbита z tropu. Co się stało z ich kumpowaniem się? Gdzie się podziała ta luźna atmosfera sprzed jakiejś minuty? Luka zerknął na mnie, po czym szybko odwrócił wzrok. Zaczęło we mnie kiełkować pewne podejrzenie. W tym małym pokazie, w tym męskim prężeniu mięśni nie chodziło tylko o to, ile nas stało na polanie. Chodziło też o to, że Jackson i ja biegaliśmy razem. Chodziło o to, że Jackson ubiegł Lukę i pierwszy do mnie przyszedł. A przynajmniej tak mi się wydawało. Już miałam im powiedzieć, żeby sobie darowali, kiedy naszły mnie wątpliwości. A może tylko sobie wyobrażałam to wszystko i chodziło o coś zupełnie innego? W końcu nie mogłam wiedzieć na pewno, miałam tylko niejasne przeczucie...

W takich właśnie chwilach bardzo żałowałam, że nie było ze mną Carli. Ona by bezbłędnie odczytała całą sytuację.

Szybko odgoniłam tę myśl i skarciłam się za nią w duchu. Nie chciałam, żeby Carla choćby zbliżyła się do tego miejsca. Za żadne skarby nie pozwoliłabym

wpakować jej w ten koszmar. Chciałam, by była bezpieczna i szczęśliwa. I normalna. Pragnęłam, żeby wszyscy, na których mi zależało, byli bezpieczni, szczęśliwi i normalni.

Ale gdy spojrzałam na Lukę, Jacksona i Tyrone'a, zrozumiałam, że to jest zwyczajnie niemożliwe. Ponieważ w ostatnich kilku szalonych dniach lista osób, na których mi zależy, powiększyła się o tę trójkę.

– W pudełku były tylko cztery walce – powiedziałam. – Stąd wiedział.

Odwróciłam się na pięcie i ruszyłam w stronę Tyrone'a, stojącego cały czas przy głazie, na którym siedział poprzednim razem. Tylko że tym razem nie było przy nim Richelle. Był bardzo blady i wyglądał na skrajnie wyczerpanego. Przypomniałam sobie, jak klęczał przy ciele Richelle. Jak bezsilnie szlochał.

– To się stało za wcześnie – powiedział.

Jego głos był zupełnie wyprany z emocji tak samo jak wyraz jego twarzy – nawet nie smutny, po prostu beznamiętny.

– Za wcześnie? – zapytałam nieco zdziwiona.

Sądziłam, że ma na myśli czas, jaki upłynął od śmierci Richelle. Chciałam powiedzieć coś pocieszającego, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Dobrze zresztą wiedziałam, że nawet najszczerze wyrazy współczucia całkowicie bledną wobec takiej straty. Nic nie było w stanie sprawić, aby poczuł się lepiej.

– Za wcześnie po ostatnim razie, kiedy nas wyciągnęło.

Mówił strasznie zachrypniętym głosem, jakby całe dnie nic nie robił, tylko krzyczał. Albo płakał. Doszłam do wniosku, że robił pewnie jedno i drugie.

– Potrzebujemy czasu na dojście do siebie – dodał, podnosząc głos i spoglądając w stronę Jacksona. – Oni doskonale o tym wiedzą. Chcą nas wszystkich pozabijać?

Pytanie wydało mi się tym bardziej przerażające, że Tyrone powiedział to w sposób sugerujący, że w zasadzie jest mu wszystko jedno.

– Kto? – zapytałam. – Jacy oni?

Jackson podniósł z ziemi uprząż z kaburą i ruszył w naszą stronę.

– To, co oni wiedzą albo czego nie wiedzą, nie ma najmniejszego znaczenia – stwierdził. – Ważne jest to, że nas wyciągnęło, a to oznacza, że mamy zadanie do wykonania. I wykonamy je.

Albo zginiemy. Nie wypowiedział tych słów na głos, ale nie musiał tego robić. Wszyscy wiedzieliśmy to aż nazbyt dobrze.

– Jacy oni? – zapytałam ponownie.

– Daruj sobie pytania – mruknął Tyrone. – Powie tylko, że decyzje podejmuje pewien komitet.

Jackson rzucił uprząż pod nogi Tyrone'a, który wciąż wpatrywał się w dal. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. Doskonale znałam to spojrzenie. Widziałam je wielokrotnie w lustrze, każdego ranka przez wiele miesięcy po śmierci mamy. Wciąż czasem się na tym łapię.

Tyrone był załamany. Nie, nie tylko załamany – *złamany*. Tak jak ja. Gęsta, szara mgła przytłaczała jego duszę tak bardzo, że nie zdawał sobie sprawy z jej obecności.

I tak było ze mną ponad dwa lata wcześniej. Znałam już sztuczki, których nauczył mnie doktor Andrews. Potrafiłam dostrzec i nazwać ten ciężar spoczywający mi na piersi i nieustanne pragnienie głębokiego wzdychania. Właśnie czułam, jak wracają: i ciężary, i pragnienia.

Z czasem Tyrone zacząłby dochodzić do siebie. Ale akurat czas był tym, czego nie mieliśmy. To dopiero moja druga misja, ale wiedziałam już aż nazbyt dobrze, że będziemy musieli stawić jej czoła niezależnie od tego, czy będziemy gotowi.

– Tyrone – powiedziałam.

Stałam tuż przed nim i ujęłam jego twarz w dłonie, obniżając ją lekko, aby móc spojrzeć mu w oczy.

– Przykro mi. Mnie jest ciężko, a ledwo ją znałam. Nawet nie jestem w stanie sobie wyobrazić, co możesz czuć.

Skłamałam. Doskonale mogłam sobie to wyobrazić. Dobrze wiedziałam, co oznacza żaloba.

Przełknął ślinę. Przez jego twarz przemknęły cienie gniewu i głębokiego żalu.

– W domu nie mogę nawet o niej wspomnieć.

– Z powodu zasad.

Kiwnął głową.

– Z nikim nie mogę o niej porozmawiać. Zaraz zaczęłyby się pytania: kim była, skąd ją znam. A ja nie mógłbym na nie odpowiedzieć. Przez to jest dużo ciężiej. Chciałbym wspominać jej głos, jej oczy, jej uśmiech... – Zawiesił głos. – Nigdy nie miała chłopaka – podjął po chwili. – Teraz już nigdy nie będzie mogła spróbować. – Odwrócił wzrok. – Czekałem, aż będzie nieco starsza – wyszeptał. – Teraz już nigdy tego nie doczekam. Nie powinienem czekać – dodał z żalem.

– Ile ty masz lat? – zapytałam.

– Dziewiętnaście.

– A ile miała...

– Siedemnaście.

Nie, zdecydowanie nie powinienem czekać. Dwa lata to nie jest jakaś straszna różnica.

Żal ścisnął mi klatkę piersiową tak mocno, że miałam problemy z nabraniem powietrza. Richelle nie będzie dane poznać wielu rzeczy. Końca szkoły, egzaminów, studiów...

– Boli na samą myśl o tym – powiedziałam.

– Bardziej boli, kiedy się o tym nie myśli.

Doskonale wiedziałam, co czuł.

– Nic nie jest już takie samo – powiedział, po czym roześmiał się niezbyt miło. – Co wieczór grałem w różne gry. Co wieczór. Grałem i myślałem o *tej* grze.

Robiłem sobie notatki o zasadach, liczeniu punktów, odznakach. Miałem plany, poważne plany. Zarobiłbym na tej grze miliony, wiesz?

Żachnął się i odwrócił ode mnie, ciężko oddychając.

– Za każdym razem, kiedy nas wyciągało, widziałem przy jej imieniu coraz większą liczbę. Była już prawie na wylocie!

Uderzył pięścią w otwartą dłoń tak nagle i mocno, że aż podskoczyłam.

– Była już prawie na wylocie – powtórzył łagodnie. – Była już prawie wolna.

Prawie na wylocie. Prawie wolna.

„Interesował się tylko samym sobą. Tylko tym, czy sam się wydostanie...”.

Poczułam, jakby ktoś właśnie włączył silny reflektor i wszystko nagle wyraźnie oświetlił. Spojrzałam na Lukę.

– Jest sposób na wydostanie się z tej gry? – zapytałam. – Inny niż śmierć?

Zanim Luka zdążył odpowiedzieć, dopadł go Tyrone.

– Jak możesz dalej grać? – zapytał chrapliwym głosem. – Jak możesz śmiać się i żartować, jak możesz mówić o bieganiu szybciej z nożem, tak jakby tu nie chodziło o nasze życie i naszą śmierć? Jakby wynik nie był dla nas rzeczą najważniejszą na świecie, naszą przepustką?

Luka wyglądał na zaskoczonego i zbitego z tropu. Z jakiegoś powodu byłam za to zła na Tyrone'a.

– Nie znalazł się tu z własnego wyboru – powiedział niskim, ale spokojnym głosem Jackson. – Miał w tym zakresie równie wiele do powiedzenia co ty.

Położyłam dłoń na ramieniu Tyrone'a.

– On tylko stara się sobie z tym poradzić na swój sposób – przemówiłam do niego łagodnie. – Tkwi w tym po uszy tak samo jak ty. Jeśli się śmieje, to pewnie dlatego, że jest to lepsze od płaczu, prawda?

A zdecydowanie lepsze od nieczucia absolutnie niczego. Jeśli człowiek zmusi się do śmiechu, do udawania, że wszystko jest w porządku, w końcu naprawdę

poczucie się w porządku. Tak przynajmniej wygląda teoria.

Tyrone wpatrywał się we mnie bez wyrazu, po czym przesunął dłonią po twarzy.

– Nie wiem – westchnął. – Naprawdę nie wiem.

– Tyrone – wciął się Jackson – musisz wziąć broń.

Może tylko mi się zdawało, ale przysięgłabym, że dosłyszałam w jego głosie cień smutku. A może tylko chciałam coś takiego usłyszeć? Przez chwilę nikt nic nie mówił i nikt się nie poruszał. Wtedy Jackson schylił się, podniósł uprząż z ziemi i przytknął Tyrone'owi do piersi. Ten jednak nie wykonał najmniejszego ruchu, aby ją od niego wziąć.

– Będzie mnie to kosztowało – wymamrotał Tyrone.

– Kosztowało? – zapytałam.

– Koszt broni jest odejmowany od twoich punktów – powiedział Tyrone. – Broń podstawowa kosztuje pięćdziesiąt. Uporząż – dwadzieścia pięć. On – wskazał brodą Jacksona – ma jeszcze broń dodatkową, nóż. To kolejne pięć dych odejmowane od jego wyniku.

Wynik. Punkty.

„Za każdym razem, kiedy nas wyciągało, widziałem przy jej imieniu coraz większą liczbę”.

Wszystko zaczęło wskakiwać na swoje miejsce. Zdobywamy punkty, tak jakby to naprawdę była gra. Kiedy rozmawialiśmy o tym w Las Vegas, nie miał na myśli tylko swojej wymyślonej gry. Jeśli zaś ktoś zdobędzie wystarczająco dużo punktów...

– Całkiem sporo liczą sobie za broń i inne takie – warknął Tyrone. – A jak przychodzi do przyznawania punktów za trafienia, to liczą strasznie skąpo.

– Oduść – powiedział groźnie Jackson. – Zachowaj ten gniew dla Drau, Tyrone.

Tyrone posłał mu wściekle spojrzenie. Przez chwilę stał tak, z dłońmi zwi-

niętymi w pięści, zaciśniętą mocno szczęką i dzikim błyskiem w oku. Gdy w końcu się ruszył, sądziłam, że rzuci się na Jacksona. Zamiast tego chwycił uprząż i ją założył.

Jackson wskazał ruchem głowy pudełko z bronią. Zniechęcony Tyrone wyciągnął nad nim rozprostowaną dłoń i ostatni walec wystrzelił w górę. Jackson stał z poważną miną. Obrócił nieco twarz w moją stronę, ale przez te diabelne okulary nie wiedziałam, czy jego oczy podążyły za tym ruchem.

– Masz to przeżyć, Tyrone, słyszysz? – powiedział ledwo słyszalnym głosem. – Nie waż mi się zginąć.

Przełknęłam głośno ślinę, niepewna, co ta scena miała właściwie znaczyć. Chociaż Jackson zwrócił się do Tyrone'a po imieniu, miałam niejasne przeczucie, że ta wypowiedź była skierowana również do mnie.

– Dziwne słowa jak na kogoś, kto twierdzi, że każdy dba tylko o siebie – zauważyłam.

Zapadła krępująca cisza.

– Po prostu nie chcę szkolić kolejnego nowicjusza – odparł po chwili Jackson.

– Dupek – wymamrotał Tyrone, ale już bez złości.

Jackson uśmiechnął się lekko.

– Wyniki – powiedział stojący za mną Luka.

Tyrone obrócił się, a ja podążyłam wzrokiem za jego spojrzeniem na środek polany. Powietrze falowało, tak jak faluje nad rozgrzanym asfaltem w gorący letni dzień. Po chwili powoli zaczął pojawiać się błyszczący, czarny prostokąt. Wyglądał jak ogromny, płaski ekran telewizyjny. Kiedy jednak podeszłam do niego i wyciągnęłam w jego stronę rękę, moje palce przeszły przezeń na wylot. Cofnęłam dłoń. Miejsce, w którym były moje palce, zafalowało, po czym przybrało na powrót wcześniejszy wygląd.

Luka stanął obok mnie, a chwilę później dołączył do nas Tyrone. Na ciemnym dotąd ekranie pojawiło się zdjęcie Jacksona w ubraniu, które miał na sobie po-

przednio. Na nosie miał oczywiście swoje lustrzane pilotki. Była jednak pewna różnica – na ubraniu widoczne były ślady krwi, a na policzku miał ślad po zadrapaniu. Zdjęcie wyglądało bardzo dziwnie. Właściwie nie było to nawet zdjęcie, lecz trójwymiarowe odwzorowanie Jacksona. Sylwetka na ekranie obróciła się wokół własnej osi, po czym przesunęła się w lewy górny róg ekranu, a na środku pojawił się Luka. Na „zdjęciu” stał oparty o ścianę, trzymając się za rękę. Przez rękaw przebijały odłamki złamanych kości. Nabrałam gwałtownie powietrza. Te zdjęcia pochodziły z samego końca poprzedniej walki! Cofnęłam się o krok, czując się mocno nieswojo. Trójwymiarowa sylwetka Luki obróciła się wokół własnej osi, po czym przesunęła się w lewy górny róg ekranu. Wizerunek Jacksona przesunął się w dół, robiąc miejsce Luce.

Następny był Tyrone. Jego sylwetka też obróciła się wokół własnej osi i przesunęła w lewy górny róg ekranu, gdzie zajęła miejsce między Jacksonem a Luką.

Poczułam silną chęć odwrócenia wzroku. Następna będzie Richelle. Albo ja. Tak czy owak, nie miałam ochoty na to patrzeć, ale coś nie pozwoliło mi się odwrócić ani zamknąć oczu i kazało wpatrywać się w ekran.

Najpierw pojawiła się ramka, po czym została wypełniona sylwetką. Serce zabiło mi mocniej w piersi – to była Richelle. Taka, jaka była po ostatniej walce, tuż przed tym, jak nas wyciągnęło. Szara skóra, splątane włosy, cała we krwi, z otwartymi, martwymi oczami. Stojący obok mnie Tyrone wypuścił powietrze z płuc z cichym jękiem. Wpatrując się w ekran, wyciągnęłam w jego stronę rękę i objęłam go. Zadrżał i zeszytywniał, ale się nie odsunął. Ja również zadrżałam, przypominając sobie dotyk Richelle w ciemnym magazynie, tuż przed atakiem obcych. Milczący gest wsparcia. Po mojej twarzy popłynęły łzy.

Mogłyśmy zostać dobrymi koleżankami, ba, byłam pewna, że może nawet byśmy się zaprzyjaźniły. Ale jej nie pomogłam, nie zrobiłam nic, żeby ją uratować. Sama ledwo zdołałam przeżyć. A Jackson? Był zbyt zajęty obcym, który usiłował wyssać mi mózg przez oczy. Czy gdyby mnie tam nie było, zdołałby uratować Richelle? Czy w ogóle spróbowałby ją ochronić?

Zerknęłam w jego stronę – stał wyprostowany, bez ruchu. Zdawał się nawet nie oddychać. „Każdy dba o siebie”. Ciągłe to powtarzał. A potem w parku powie-

dział mi, żebym nie obwiniąta się za to, że żyję, podczas gdy inni zginęli. Ale jeśli sam wierzył w to, co mówił, dlaczego sprawiał wrażenie, jakby dźwigał na swoich barkach wszystkie troski tego świata? Czemu wpatrywał się w ekran z takim napięciem i powagą?

Sylwetka Richelle przesunęła się w lewy górny róg ekranu. Sylwetki wszystkich chłopaków przesunęły się w dół. Richelle znalazła się na samym szczycie.

Teraz na ekranie pojawiła się ja. To znaczy to musiałam być ja, drogą eliminacji. Bo kompletnie nie rozpoznawałam tej dziewczyny, bladej, z dzikim spojrzeniem i twarzą wykrzywioną bólem. W oczach widać było strach wymieszany z determinacją. Wyraz twarzy jasno wskazywał, że ta dziewczyna jeszcze się nie poddaje. Jeszcze.

To byłam ja, a jednocześnie nie-ja. Sylwetka obróciła się wokół swojej osi, po czym przesunęła się w lewo – nad Jacksonem, ale poniżej wszystkich pozostałych.

Obok naszych zdjęć pojawiły się dwie kolumny liczb. Wszystkie poza tymi przy Richelle były białe. Jej liczby miały kolor czerwony. Czerwień jej komu. Czerwień jej krwi.

– Co to jest? – zapytałam.

– Wyniki – odpowiedział Luka. – W pierwszej kolumnie masz punkty za ostatnią misję. W drugiej kolumnie jest łączny wynik za wszystkie dotychczasowe misje. Kolejność wyświetlania zależy od wyniku łącznego.

Wpatrywałam się w liczby na ekranie. Richelle miała najniższy wynik za ostatnią misję, ale najwięcej punktów ogółem, dlatego była na samym szczycie listy.

– Richelle wymiatała – wyszeptałam.

– Zgadza się – powiedział Tyrone łamiącym się głosem. – Wymiatała. I prawie udało jej się wydostać.

Serce mi przyspieszyło, gdy dotarł do mnie sens jego słów.

– Miała w sumie 925 punktów – odczytałam wynik z drugiej kolumny. – Ile

potrzebowała, żeby się wydostać?

– Byłaby wolna, gdyby tylko dobiła do tysiąca – odpowiedział Tyrone.

– Wolna? W sensie... nie musiałyby już brać udziału w... grze?

Jackson zachnął się, ale nie w sposób sugerujący, że się myłę. Sprawiał wrażenie, jakby z jakiegoś powodu nie chciał, abym to wiedziała. Odwróciłam się do niego.

– Gdyby dobiła do tysiąca, mogłaby... co? Opuścić grę? Zostawić to wszystko? Uciec?

– Wszystko powyższe razem wzięte – powiedział Luka.

– To tylko plotka – mruknął Jackson. – Nie wiesz tego na pewno.

– Żeby dobrze zrozumiała... Plotka głosi, że tysiąc punktów oznacza wolność?

Jackson zawahał się, ale w końcu niechętnie kiwnął głową.

– I dostajemy punkty za zabijanie – zerknęłam na Lukę – przepraszam: *eliminowanie* obcych?

Jackson ponownie kiwnął głową.

– Ile?

Nikt mi nie odpowiedział.

– Ile punktów? – powtórzyłam głośniej.

Znowu cisza. Już miałam ponowić swoje pytanie, gdy odezwał się Luka:

– Pięć za strażnika, dziesięć za specjalistę. Dowódca oddziału daje piętnaście, za komandora jest dwadzieścia.

Tak mało... Dobicie do tysiąca musi zajmować niesłychanie dużo czasu. A może właśnie o to chodziło? Może organizatorzy tej cholernej gry chcieli ludzi ludzi obietnicą wolności, której w praktyce nikt nie mógł osiągnąć?

Odwróciłam się do Tyrone'a.

– Mówiłeś o tym w Vegas – urwałam, próbując przypomnieć sobie jego dokładne słowa. – Mówiłeś o premii za kombos i za... trafienia z ukrycia. I jeszcze... o punktach karnych.

Przerwałam i wyężyłam pamięć.

– Kiedy się obudziłam poprzednim razem, rozmawialiście o chłopaku, który był z wami przede mną...

Tyrone wyraźnie spochmurniał.

– On myślał tylko o wydostaniu się – powiedział. – My nie obchodziliśmy go nic a nic.

– Był grieferem – powiedział Luka.

– Kolejne określenie znane tylko graczom? – spytałam.

Kiwnął głową.

– Oznacza kogoś, kto uprzykrza grę innym – kontynuował Luka. – Kradł trafienia. Pozwalał komuś z nas zmęczyć i zranić cel, po czym wcinał się w ostatniej chwili, aby eliminacja obcego poszła na jego konto. Kradł nam punkty i ani trochę go nie obchodziło, czy któreś z nas zginie. Chciał tylko zebrać swój tysiąc i wydostać się z gry.

– Chyba każdy chce się wydostać?

– Owszem, ale nie po trupach.

Zerknęłam na Jacksona. „Każdy dba o siebie”. Z każdą nową informacją coraz bardziej dochodziłam do wniosku, że Jackson nie wierzy w to stwierdzenie. Z tego, co widziałam podczas misji, zdecydowanie nie pasował do definicji griefera. Żadne z nas do niej nie pasowało.

Spojrzałam ponownie na wyniki. Za ostatnią misję Richelle dostała zaledwie 25 punktów. Pamiętałam jednak, jak walczyła... Powinna dostać zdecydowanie więcej.

– Jej wynik jest strasznie niski za ostatnią misję. To dlatego, że zginęła? Odjęli jej za to punkty?

Spojrzałam na Tyrone'a.

– Powiedziałeś, że musimy płacić za broń. Za co jeszcze odejmują nam punkty?

– Dwadzieścia pięć za każdą odniesioną ranę.

Zaczęłam się zastanawiać, ile razy Richelle musiała zostać ranna, żeby skończyć z tak niskim wynikiem. Ile bólu musiała ścierpieć. Zrobiło mi się od tego niedobrze.

– Jeśli twój kom przejdzie poza poziom żółtopomarańczowy, odejmują jeszcze więcej – wtrącił Jackson.

– To znaczy, że ja poprzednio straciłam sporo punktów?

– Tak.

Spojrzałam na jego dziwnie niski wynik i zmarszczyłam brwi. Moją konsternację powiększało to, że pomimo najniższego wyniku z całej grupy był jedynym, przy którego podobiznie widniała jakaś odznaka. Była to brązowa gwiazdka z mniejszą gwiazdką w środku.

– A ty? – zapytałam. – Ty też straciłeś punkty?

Musiał stracić. Przecież sama widziałam, jak zabijał Drau. Ale jego wynik był bardzo niski.

– Wygląda na to, że co misję tracę punkty – odparł z dziwną ironią w głosie.

– Zostawia punkty za eliminowanie obcych dla nas – powiedział Luka.

Z początku nie rozumiałam, o co mu chodziło, ale po chwili przyszło olśnienie. Przypomniałam sobie, jak Jackson kopnął dłoń Drau, żeby go rozbroić, ale do niego nie strzelił. Używał swojej broni tylko wtedy, kiedy naprawdę wymagała tego sytuacja. Kiedy zorientował się, że musi dokonać pełnej demonstracji, żebym załapała, co mam robić. Przypomniałam sobie też, jak zasłonił mnie swoim ciałem przed strzałem Drau. Jak jego twarz wykrzywiła się z bólu, gdy uderzenie sięgnęło celu.

Zupełnie jakby nie chciał zdobywać punktów dla siebie. Albo jakby chciał,

abyśmy my zdobywali punkty zamiast niego.

Spojrzałam jeszcze raz na jego wynik.

– Nie chcesz się wydostać?

– Wolność za tysiąc punktów to tylko plotka – odparł sucho.

– Nie wierzysz w to?

– Nie znam nikogo, kto dobił do tysiąca.

Nabrałam powietrza, aby zadać kolejne pytanie, ale się zawahałam. Jackson bardzo ostrożnie dobierał słowa. Wszystko, co mówił, było istotne. Powiedział do Luki: „Nie *wiesz* tego na pewno”. Nie powiedział: „Nie *wiemy* tego na pewno”. Znaczyło to tylko tyle, że Luka nie miał wystarczającej wiedzy... Ale sam Jackson? Do tego jego stwierdzenie, że nie zna nikogo, kto by dobił do tysiąca, nie było samo w sobie potwierdzeniem ani zaprzeczeniem plotki.

Zmarszczyłam brwi, wpatrując się uważnie w liczby na ekranie.

– Dlaczego poprzednio nie widziałam wyników?

– Pojawiły się, zanim się obudziłaś – powiedział Luka. – Zresztą nie musiałaś ich widzieć, bo nie miałaś jeszcze żadnych punktów.

– Kto jest w grze najdłużej?

Wodziłam wzrokiem między Jacksonem, Luką i Tyrone’em.

– Gdy mnie wyciągnęło po raz pierwszy, Jackson już tu był – powiedział Tyrone.

Kiwnęłam głową i spojrzałam pytająco na Lukę.

– Obaj już tu byli, kiedy ja dołączyłem – stwierdził.

Czyli Jackson jest najstarszy stażem. Ale jego łączny wynik był najniższy... Nawet ja, po jednej zaledwie misji, miałam więcej punktów. Ja, która nie wiedziałam z początku, co mam w ogóle robić. Nade mną był Tyrone. Który był w grze dłużej od Luki...

– Dlaczego masz tak mało punktów? – zapytałam, odwracając się do Tyrone’a.

– Mam więcej od ciebie – odpowiedział wymijająco.

– Ja dopiero tu trafiłam. Nie miałam czasu na nabicie lepszego wyniku. Ty miałeś.

Tyrone przełknął nerwowo ślinę.

– Z początku nie starałem się nabić jak najlepszego wyniku – powiedział. – Myślałem, że to tylko gra. Dobra zabawa. Skupiałem się na zgłębianiu tajników i obmyślaniu *mojej* gry. A potem... kiedy pojawiła się Richelle... – Zawiesił na chwilę głos. – Wtedy też nie skupiałem się na wyniku. Gra była dla mnie szansą na... na spotkanie jej. Na spędzenie z nią czasu.

Zapadła cisza. Przez dobrą minutę biłam się z myślami, po czym zwróciłam się do Jacksona:

– Skoro tkwisz w tym najdłużej ze wszystkich, dlaczego masz taki kiepski wynik?

Wzruszył powoli ramionami, jak to robił już kilkakrotnie wcześniej.

– Może nie jestem wystarczająco dobry.

Łgał jak z nut. Dobrze mu to wychodziło, wręcz doskonale. Celowo utrzymywał swój wynik na tak niskim poziomie. A ja chciałam dowiedzieć się, dlaczego to robił. Z jakiegoś powodu to pytanie wydało mi się najważniejszym, jakie mogłam zadać.

– Czy dostajesz punkty, gdy używasz noża?

– Skaczemy za trzydzieści sekund – powiedział.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Spostrzegawcza jesteś.

– Rozgryzę to – fuknęłam, mrużąc oczy.

– Czyżby? – odpowiedział, uśmiechając się lekko. – Pora wrócić do gry,

Miki Jones.

Rozdział dwunasty

Wyrzuciło nas w ciemnym, zimnym i wilgotnym miejscu. Ciemność była całkowita – nie widziałam nawet czubka swojego nosa. Obleciał mnie strach, dłonie zrobiły się wilgotne, oddech mi przyspieszył... Stałam nieruchomo, starając się zapanować nad reakcją organizmu w oczekiwaniu, aż wzrok dostosuje się do śladowej ilości światła. Mijały jednak kolejne sekundy, a ja nadal nic nie widziałam. Otaczał nas całkowity, nieprzenikniony mrok. Na szczęście słyszałam obok czyjś oddech, czyli nie byłam tu sama.

Usłyszałam trzask, jakby ktoś złamał gałąź na pół, i przestrzeń wokół nas wypełniło zielonkawe światło. Jego krąg miał może kilka metrów średnicy, a w centrum stał Jackson trzymający fosforyzujący pręt, który wyglądał na grubszą wersję świecących bransoletek rozdawanych na festynach i koncertach. Na skraju kręgu światła widziałam zarysy sylwetek Luki i Tyrone'a. To Luka oddychał tak głośno, że go słyszałam: wręcz dyszał. Po chwili zorientowałam się, że ja również oddychałam szybko i ciężko. Zamknęłam na chwilę oczy i skupiłam się na uspokojeniu oddechu. Wdech, zatrzymać powietrze, wydech. Wdech...

Po kilku powtórzeniach byłam już spokojna, chociaż głębokie oddechy sprawiły, że nozdrza wypełnił mi nieprzyjemny zapach siarki i mokrych kamieni przypominający nieco woń klatki chomika Kelley.

Otworzyłam oczy i rozejrzałam się dokoła. Niewiele było widać, pręt trzymany przez Jacksona nie dawał zbyt wiele światła. Widziałam tylko majaczące tuż za kręgiem światła nierówne, kamienne ściany. Podłoże również było z kamienia. Spojrzałam w górę, ale nie dostrzegłam sklepienia. Gdziekolwiek byliśmy, sufit musiał być bardzo wysoko. Jaskinia? Duży tunel? Nie miałam pojęcia. Ale myśl o klatce chomika nasunęła mi nowe skojarzenie: guano nietoperzy?

W odległym zakamarku umysłu usłyszałam słaby szept – taki sam jak wtedy, gdy byliśmy w zaułku w Las Vegas. „Wróg”. Coś tu było oprócz nas, skryte poza kręgiem światła. Instynkt podpowiadał mi, że było raczej dalej niż bliżej. Uczucie zagrożenia nie było intensywne, raczej lekka gęsia skórka niż pełna panika.

Spojrzałam na Jacksona i wskazałam palcem usta, unosząc pytająco brwi. Jackson przysunął się do mnie i nadstawił ucha. Czyli mogliśmy rozmawiać, byle

nie za głośno.

– Gdzie jesteśmy? – wyszeptałam mu do ucha.

Jackson odwrócił głowę i przysunął usta do mojego ucha.

– W jaskini – wyszeptał.

Uśmiechał się, słyszałam to w jego głosie. Naigrwanie się ze mnie weszło mu wyraźnie w nawyk.

Wzięłam głęboki oddech i zacisnęłam dłonie w pięści, hamując gniew. Jednocześnie jednak supeł w moim żołądku nieco się rozluźnił. W końcu gdyby coś miało nas zaatakować, raczej by nie dowcipkował.

– A gdzie znajduje się ta jaskinia? – wyszeptałam słodkim głosem.

– W Puerto Rico – odparł. – Jesteśmy w jednym z największych systemów jaskiń na świecie. A dokładniej w odizolowanej części tego systemu, która jeszcze nie została zbadana.

Nieco mnie zaskoczył tak wyczerpującym wyjaśnieniem. Spodziewałam się raczej kolejnych półsłówek. Postanowiłam pójść za ciosem i wskazałam ruchem głowy świecący pręt.

– Czy światło nas nie zdradzi?

– Zdradził nas sam fakt przybycia – powiedział już normalnym głosem, rezygnując z szeptu. – Lepiej więc będzie dla nas, gdy będziemy cokolwiek widzieć.

To mnie pocieszył, a niech go.

– Nasze przybycie? Tak jak w Vegas? – spytałam, przypominając sobie słowa Tyrone'a z tamtego wieczoru.

– Mhm – przytaknął Tyrone. – Ale tutaj nie ma zbyt wielu ludzi, żeby nas zamaskować, wyrzuciło nas więc nieco dalej. W ten sposób jest mniejsze ryzyko, że Drau poznają nasze dokładne położenie. A teraz, gdy już tu jesteśmy, nasze komy nas maskują, co zdecydowanie utrudnia im namierzenie. Niemniej jednak szykujmy się na długi spacer.

Spojrzałam na Jacksona.

– A dlaczego nie wyrzuci nas od razu przy Drau? Czy taki atak z zaskoczenia nie byłby lepszy?

– Raczej nie rozgłaszają swojego położenia – odparł. – Znamy je tylko w przybliżeniu. Nasze komy mogą ich namierzyć dopiero po dotarciu na miejsce.

– Wrzucają nas więc na ślepo? Mniej więcej wiedzą, gdzie nas posłać, ale nie do końca?

– Jak już znajdziemy się we właściwej okolicy, komy załatwiają całą resztę – powiedział, wzruszając ramionami.

To też było średnio pocieszające.

– Jeśli w Vegas Drau wiedzieli, że tam jesteśmy, zanim jeszcze weszliśmy do tego budynku, dlaczego nie zaatakowali nas pierwsi? – zapytałam. – Dlaczego nie wyszli na zewnątrz, żeby nas dorwać, zanim dotrzemy na miejsce?

– Nie chcą ryzykować, że ktoś ich zobaczy. Jeszcze nie. Nie są gotowi na ujawnienie się ludzkości. Wolą ścierać się z nami w zamkniętych pomieszczeniach lub właśnie – tu zatoczył ręką szeroki krąg – podziemnych jaskiniach, żeby uniknąć wykrycia.

Zmarszczyłam brwi.

– Dlaczego?

– Łatwiej im będzie wybić ludzi, jeśli ci nie będą wiedzieli, z kim mają walczyć.

Wstrząsnęłam się na samą myśl o tym.

– Dlaczego więc nie powiemy komuś o nich?

– Niby komu? – zapytał Jackson lekko kpiącym tonem.

– Policji? Rządowi? Nie wiem, no. – Rozłożyłam ręce i spojrzałam w stronę Luki i Tyrone'a w poszukiwaniu wsparcia.

– A oni uznaliby za prawdę to, co mówimy ot tak, bez żadnych dowodów? –

zapytał Luka. – A możesz mi wierzyć, że gra nie pozwoli nam zabrać ze sobą niczego, co mogłoby posłużyć do udowodnienia istnienia obcych.

– Skąd wiesz?

– Bo już próbowałem – westchnął. – Raz zabrałem swoją broń. Wsadziłem ją do kieszeni, żeby móc ją obejrzeć czy komuś pokazać w normalnym świecie. Niestety, zniknęła podczas powrotu. Innym razem zrobiłem zdjęcia telefonem, ale po odrodzeniu w jego pamięci nie było ani jednego.

– W sensie: żadne nie wyszło?

– W sensie: nie było żadnych zdjęć. Tak jakbym ich nigdy nie zrobił. Usunęli je. I uprzedzając twoje pytanie: tak, próbowałem więcej niż raz. Możesz mi więc zaufać, że powiedzenie komukolwiek o grze i o Drau nie wchodzi w rachubę. Gdybym zagadnął cię tydzień temu i powiedział, że uczestniczę w grze, która tak naprawdę jest walką z inwazją obcych, uwierzyłybyś mi?

Miał rację. Uznałabym, że mu odbiło.

Jackson rzucił Tyrone'owi nieaktywny świecący pręt, po czym odwrócił się do mnie i spojrzał mi w oczy.

– Chcesz komuś o tym powiedzieć? To my jesteśmy tym kimś, Miki – powiedział. – To my bronimy Ziemi. Nie dotarło to jeszcze do ciebie?

Zaczynało docierać. Ale bynajmniej nie podobała mi się ta perspektywa.

– My i pozostałe drużyny – dodałam.

Spojrzałam na Lukę, żeby sprawdzić, czy moje stwierdzenie go zaskoczy. Nie wyglądał na zdziwionego, co znaczyło, że wiedział o pozostałych, chociaż ich nie widział.

Jackson rzucił kolejny pręt Luce. Tyrone i Luka aktywowali swoje pręty i zamocowali je do upręży, żeby mieć wolne ręce. Czekałam na swoje światło, ale się nie doczekałam.

– Nie zapomniałeś przypadkiem o kimś? – wysyczałam.

– Chodziłaś kiedyś po jaskiniach? – odpowiedział pytaniem.

Pokręciłam głową.

– Łatwo stracić orientację. Nie ma horyzontu, a do tego nie zawsze możesz liczyć na komfort poruszania się w poziomie. Im więcej będzie światła, tym więcej będzie wokół nas tańczyć cieni. A one tylko wzmagają dezorientację. Poza tym nie chcę, żebyś sobie gdzieś poszła i się zgubiła. Jeśli będziesz musiała trzymać się mnie, nigdzie się nie zapodziejiesz.

– Pieprzone, protekcyjne bzdury – warknęłam. – Gdybym miała własne źródło światła, byłabym mniej zdezorientowana, a nie bardziej.

Zerknęłam na Lukę. Nie patrzył na nas, ale zmarszczył brwi i pokręcił lekko głową. Uznałam, że jemu też nie podoba się zachowanie Jacksona, ale miał niewiele do powiedzenia.

– Poza tym, co się stało z zasadą, że każdy dba o siebie? – dodałam.

– Naginam zasady.

Przewróciłam oczami.

– A jeśli z jakiegoś powodu znajdę się gdzie indziej niż ty?

– Pilnuj, żeby się tak nie stało.

Ruszył do przodu i – chcąc, nie chcąc – musiałam ruszyć za nim, żeby pozostać w kręgu światła. Nie bałam się ciemności ani nie miałam klaustrofobii, ale też nie chciałam się tych przypadłości nabawić. Po kilku minutach Jackson sięgnął do tyłu i chwycił mnie za rękę. Miał ciepłe palce, moje za to były lodowate. Miałam ochotę chwycić mocno jego dłoń i nigdy już jej nie puścić. I właśnie dlatego wyzwoiliłam swoją rękę z jego uchwytu.

– Dlaczego mamy te świecące pręty? – zapytałam. – Dlaczego nie dali nam tych latarek mocowanych na kaskach, jakie mają grotolazi w telewizji?

– Nie mamy kasków.

Choroba, racja.

– Ale dlaczego świecące pręty? – nie ustępowałam.

W zasadzie było to bez znaczenia, ale chciałam wiedzieć. Potrzebowałam wyjaśnień, kontroli. Więcej informacji oznaczało, że mniej zależało od innych, a więcej ode mnie. Ponieważ koniec końców każdy mógł liczyć tylko na siebie.

– Nie potrzebują baterii. Dają światło tak długo, jak będziemy go potrzebowali. Gdybyśmy polegali na ludzkiej technologii, prędzej czy później padłoby zasilanie i poruszałibyśmy się zupełnie po omacku.

Zrobił coś ze swoim prętem i spowila nas całkowita ciemność. Nabrałam gwałtownie powietrza i zeszywniałam. Po chwili zbliżył się do nas Luka i dotarło do nas jego światło. Wtedy Jackson włączył z powrotem swoje. Ku mojemu zdziwieniu odczepił pręt od swojej uprząży i zamocował na mojej.

– Lepiej? – zapytał.

– Tak.

Było zdecydowanie lepiej.

– Dlaczego nie dałeś mi światła na samym początku?

Byłam jednocześnie zła, że tego wtedy nie zrobił, i wdzięczna, że jednak się na to zdecydował.

– Wydało mi się to dobrym pretekstem, żebyś była blisko mnie – odpowiedział cicho, by nikt poza mną tego nie usłyszał.

Oddech zamarł mi w płucach. Nie, na pewno nie chodziło mu o to samo, o czym właśnie pomyślałam. Wmówiłam sobie, że chciał trzymać mnie blisko siebie, bo jestem nowa i mogłabym coś schrzanić. I starałam się nie zgłębiać zbyt uważnie innych podejrzeń, by przypadkiem nie okazały się uzasadnione. Ambiwalencja była moją podstawową reakcją obronną na jego zachowania.

– Dlaczego zmieniłeś zdanie?

– Ewidentnie czułaś się nieswojo, a nie tego chciałem.

Spojrzałam na niego, zupełnie nie rozumiejąc jego pobudek. Nie wiedziałam, co mam o nim myśleć ani co właściwie powinnam czuć.

– Przyznajesz się więc do popełnienia błędu?

– Nigdy. – Roześmiał się w taki sam sposób, w jaki to zrobił w parku. Dźwięk jego śmiechu wprowadził mnie w dziwne samopoczucie. – Nie możesz się zdecydować, czy mnie uwielbiasz, czy nienawidzisz? – zapytał.

– Mówisz, jakby istniały tylko dwie skrajności. Uwielbienie i nienawiść. To bardzo silne emocje. Skąd przekonanie, że jesteś wart którejkolwiek z nich?

Powiedziałam to kpiącym tonem, celowo nie patrząc na Jacksona. Czułam jednak na sobie jego wzrok. Luka parsknął. Słyszał więc całą wymianę zdań.

Jackson nachylił się do mnie i powiedział cicho, tak żebym usłyszała go tylko ja.

– Jeśli masz głowę na karku, Miki Jones, wybierzesz nienawiść.

Przewróciłam oczami.

– Dlaczego? – spytałam. – Co jest niby w tobie takiego strasznego? No, poza tym, że jesteś irytującym dupkiem kochającym dwuznaczności?

Luka stanął między nami.

– Zatrzymaliśmy się tu z jakiegoś konkretnego powodu? – zapytał.

– Możesz to uznać za moją zachciankę – odparł Jackson, aktywując kolejny świecący pręt i mocując go do swojej uprząży.

Stuknęłam palcem w swoje światło.

– Więc... to nie jest ludzka technologia?

– Nie.

– Dlaczego więc nie zabrać jednego takiego ze sobą do normalnego świata? Pokazać komuś? Mielibyśmy dowód.

– Próbowałem, nawet dwa razy – powiedział stojący za mną Tyrone. – Zniknęły. Zupełnie jak zdjęcia Luki czy jego broń.

– A gdyby ci się udało? – zapytał Jackson. – Zapomniałeś o zasadach? Że nie możemy nikomu powiedzieć nic o grze? Skąd pomysł, że pożyłbyś wystarczająco długo, by komuś to pokazać?

Lekkość, z jaką to powiedział, przyprawiła mnie o zimny dreszcz.

Gdy ruszył do przodu, zrozumiałam to, co powiedział wcześniej o świetle. Cienie istotnie zachowywały się dziwnie. Tańczyły na podłożu i na ścianach, wirowały, dygotały, a potem nagle znikwały, jakby na powrót połknięte przez ciemność.

W Vegas Jackson powiedział, że w ciemności Drau poruszają się ospale. Dlaczego więc rozbili obóz w jaskiniach, do których nigdy nie dociera światło dzienne? Zaczęłam się zastanawiać, ile o nas wiedzą, jak bardzo nasze przybycie nas zdradziło. A także, gdzie tak właściwie jesteśmy i co dokładnie mamy zrobić? Pozostało mi liczyć na to, że pożyję wystarczająco długo, by zdołać wszystkiego się dowiedzieć.

Szliśmy bardzo długo. By zabić monotonię marszu, rozmyślałam o różnych rzeczach. Ale im więcej myślałam, tym bardziej czułam, że tracę kontrolę. Tym razem nie było obok mnie Richelle, z którą mogłabym pogadać o czymś, o czymkolwiek – żeby tylko myśli nie zboczyły na niebezpieczną ścieżkę, na końcu której nie czekało nic przyjemnego.

Powietrze było chłodne, ale poruszaliśmy się na tyle szybko, że nie czułam zimna. Niemniej jednak martwiłam się o to, co zrobimy, jeśli temperatura otoczenia spadnie jeszcze bardziej.

– Nie mamy chyba odpowiednich ubrań na taką eskapadę. – Słowa zaczęły płynąć same z siebie, bez większego udziału świadomości. – A wnętrza jaskiń... Widziałam taki program, w którym speleolodzy mówili, że muszą bardzo uważać, bo wnętrza jaskiń są niesamowicie kruche. Że nawet zwykłe dotknięcie może zniszczyć...

Urwałam, bo Jackson nagle zatrzymał się i odwrócił w moją stronę. Światło z mojego pręta odbijało się dwoma bladymi ognikami w jego okularach. Miał je na nosie nawet w ciemnej jaskini. Zaczęłam bezwiednie nucić pod nosem: *I wear my sunglasses at night...*¹. Urwałam i zaczęłam się śmiać, chyba nieco zbyt głośno. Mój śmiech wrócił do mnie, zwielokrotniony echem.

Jackson przysunął się bliżej. Był tak blisko mnie, że przed oczami miałam praktycznie tylko jego klatkę piersiową. Ni stąd, ni zowąd pomyślałam o tym, jak dobrze było złożyć głowę na jego piersi wtedy w parku...

– Miki, nie możesz tu wszystkiego kontrolować – powiedział.

– Ja...

Chciałam coś powiedzieć, zaprotestować, ale nie dał mi dojść do słowa.

– Jesteśmy tutaj i robimy, co robimy. Nie mamy w tym zakresie żadnego wyboru.

– Mówisz, jakbyśmy mieli wybór w jakimkolwiek innym zakresie.

Jego palce musnęły grzbiet mojej dłoni, zupełnie jak tamtego wieczoru w Vegas.

– Moglibyśmy usiąść i nie ruszać się z miejsca. Jest to jakiś wybór. Ale nie polecam.

– Co zatem polecasz?

Stał blisko, bardzo blisko. Na policzku czułam jego oddech.

– Wziąć się w garść i czerpać przyjemność ze spaceru.

#

Jackson prowadził nas przez istny labirynt tuneli. Wszystko wokół było strasznie dezorientujące: spowijająca wszystko ciemność, ograniczona widoczność, tańczące nieustannie cienie, brak innych źródeł światła poza prętami. Czasem nie wiedziałam nawet, gdzie dokładnie jest pion. Wnętrze jaskini było wyprane z kolorów. Otaczały nas tylko różne odcienie szarości zabarwione na niezdrowy zielonkawy kolor przez świecące pręty. Wszystko w zasięgu wzroku zdawało się nieostre i jakby rozmyte. Tunele ciągle wiły się i rozwidlały. Próbowałam zorientować się, kiedy idziemy przed siebie, a kiedy w górę, ale bez powodzenia. Nie byłam w stanie nawet ustalić, ile czasu już tak szliśmy. Zazwyczaj dało się iść w wyprostowanej pozycji, ale czasem tunele były tak wąskie albo tak niskie (i ciężko było odróżnić ścianę od podłoża), że musieliśmy pełznąć i przeciskać się przez szczeliny. Od dłuższego czasu nie zwracałam już uwagi na liczne siniaki i obtarcia na całym ciele. Mimo to Jackson sprawiał wrażenie, jakby zawsze doskonale wie-

dział, gdzie trzeba iść. Nie zawahał się ani razu przy żadnym rozwidleniu. Raz poszedł w prawo, innym razem w lewo, potem znowu w lewo, w prawo... A my szliśmy za nim.

Co jakiś czas przystawał i wpatrywał się w tunel pozostawiony za naszymi plecami.

– Co robisz? – zapytałam za którymś razem.

– Droga powrotna będzie wyglądała inaczej. Staram się więc zapamiętać najbardziej charakterystyczne punkty.

– Ale przecież nie będziemy musieli wracać, prawda? – spytałam zdziwiona.

– Wyciągnie nas zaraz po wykonaniu misji. Czy nie?

Schylił się i ułożył kilka odłamków skalnych w niewielki stos. Robił to już wcześniej.

– Na wszelki wypadek. Lepiej dmuchać na zimne – powiedział Luka, stając przede mną i przyglądając mi się badawczo. – Wszystko w porządku?

– Tak, w porządku – przytaknęłam.

Odwróciłam się i przyglądałam przez dłuższą chwilę tunelowi za nami. Starałam się zapamiętać pas jaśniejszej skały wysoko na ścianie. Był bardzo charakterystyczny – przypominał wygięty dziób ptaka.

Po chwili podszedł do nas Jackson. Ostentacyjnie przyjrzał się najpierw mi, potem Luce i na koniec znowu mi. Skrzywił się i spróbował przepchnąć się między nami.

Luka nie ruszył się z miejsca, zacisnął szczękę i spojrzał wściekle na Jacksona pomiędzy zmrużonych powiek. Obaj stali tak bez słowa przez parę sekund, po czym Luka jednak zrobił krok do tyłu. Poczulałam się jak połec mięsa rzucony między dwa toczące pianę pitbule. Tyle że w naturze pitbula leży walka. Nawet jeśli nie ma o co walczyć.

Luka wskazał brodą spory stos głazów przed nami zaraz przy kolejnym rozwidleniu.

– Dobre miejsce na kampienie – powiedział.

– Kampienie? – spytałam, nie rozumiejąc.

– Przypadamy za głazami i zdejmujemy wroga, gdy ten przebiega koło nas – rzucił z tyłu Tyrone.

Spojrzałam na niego przez ramię i uniosłam pytająco brwi.

– W grach to doskonały sposób na szybkie zdobycie dużej liczby punktów.

– Aha – stwierdziłam. – To już rozumiem. Czasem tak robię.

Luka otworzył szeroko oczy w zdziwieniu.

– Zawsze z Carlą przyczajamy się tak w paintballu – wyjaśniłam.

– No tak, rozumiem – powiedział Luka, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu. – Ale „Carla” i „bieganie” raczej nie występują w jednym zdaniu. Nawet wtedy, gdy jest mowa o paintballu.

– Ona nie wierzy w wylewanie potu, jeśli nie chodzi o taniec. – I (lub) face-ta. – Tak więc zazwyczaj tylko leżymy w ukryciu i czekamy.

– Ale jeśli przeciwnik zorientuje się, gdzie się przyczaiłyście, macie przerabane – rzucił Tyrone.

– Istotnie – przyznałam. – Dlatego dotąd jeszcze nie wygrałyśmy.

– Trochę mnie zdziwiłaś – odezwał się Luka. – Carla chodzi na paintball? Trafienie taką kulką z farbą trochę boli.

– I potrafi nabić niezłego siniaka – powiedziałam, kiwając głową. – Ale nie zapominaj, że Carla ma samych braci. Gdyby nie grała z nimi w paintball, nie mogłaby bawić się na ich urodzinach.

– Mojej siostrze to by chyba nie zrobiło różnicy – powiedział Luka. – Nie poszłaby na paintball nawet wtedy, gdyby ktoś jej za to zapłacił.

– Cóż, twoja siostra ma tylko jednego brata. Więc i presja jest mniejsza. A Carla...

– Ilu ona ma tych braci?

– Dwóch starszych i dwóch młodszych.

Luka patrzył przez chwilę w przestrzeń, po czym spojrział z powrotem na mnie.

– Może kiedyś powinniśmy pójść wszyscy razem.

– Eee... tak... pewnie... czemu nie – wydukałam, zerkając na Jacksona.

Był dziwnie cichy. Spodziewałabym się raczej, że przerwie nasze pogaduszki, zanim na dobre się rozkręcimy. Ale jakoś nie przerywał nam. Stał kilka kroków dalej, z głową przechyloną lekko na bok i nieodgadnionym wyrazem twarzy. Gdybym miała go opisać, to powiedziałabym, że wyglądał na zadumanego. Smutnego. Ale nie byłam w stanie zgadnąć, co mogło być tego powodem.

– Jak sądzisz, Jack? – zapytał Luka. – Dobre miejsce na kempienie?

– Byłoby dobre, Luka – odparł Jackson – gdyby Drau nas szukali. Ale oni czekają, aż do nich przyjdziemy.

– Dlaczego? – zapytałam. – Powiedziałeś wcześniej, że wiedzą, iż tu jesteśmy. Dlaczego nie wysłali choćby zwiadu, jakiegoś patrolu? To nie Vegas, nie ryzykują, że ktoś postronny ich zobaczy. Nie ma tu żywej duszy poza nami.

Żaden z nich nawet na mnie nie spojrział. Byli zbyt zajęci zabijaniem się nawzajem spojrzeniami. No, przynajmniej Luka wpatrywał się wściekle w Jacksona, który miał cały czas na nosie te swoje okulary, w związku z czym mogłam tylko zgadywać, że odwdzięcza się tym samym. Zrobiłam krok do tyłu, żeby nie stać na linii „strzału”. Kimże byłam, żeby przeszkadzać dwóm macho w stroszeniu piórek?

– Przede wszystkim, po co marnować czas i energię na szukanie nas, skoro doskonale wiedzą, że przyjdziemy do nich? – zapytał w końcu Jackson.

Pocieszająca myśl, nie ma co. Już kolejna tego dnia.

– Czekają, aż do nich przyjdziemy, żeby nas mogli zdjąć jak jakieś śmiecio-we moby – powiedział Tyrone wyraźnie zniesmaczonym głosem.

Rzuciłam mu pytające spojrzenie.

– Śmieciowe moby?

– Termin z gier MMO – wyjaśnił. – Wrogowie, którzy nie są groźni, ale są wkurzający. Podróżują stadnie i padają jak muchy. Zero wyzwania.

– Jak strzelanie do ryb pływających w beczce?

– Tak właśnie.

– Czyli do nas to się ma nijak – powiedział Jackson spokojnym, ale bardzo stanowczym głosem. – Drau nie zdejmą nikogo z nas, bo nas nie jest łatwo zabić.

Może i nie tak łatwo, ale mimo wszystko można nas zabić. Ta myśl mnie otrzeźwiła. Odwróciłam się i spojrzałam na Tyrone'a. Stał oparty o ścianę z jedną nogą zgiętą w kolanie i stopą wspartą na kamieniu. Wodził wzrokiem między Luką a Jacksonem z kamienną miną.

– Skończyliście pogaduszki? – zapytał, unosząc brwi. – Ruszamy dalej czy jak?

– Jeśli ruszenie dalej oznacza chodzenie, to jestem za – powiedziałam. – Ale nie mam ochoty się więcej czołgać. Plecy już mnie od tego bolą.

Na podkreślenie swoich słów wsparłam dłoń na biodrach i wygięłam plecy do tyłu, aby rozluźnić nieco mięśnie.

– Czuję się, jakbyśmy łazili już kilka dni.

Tyrone odepchnął się od ściany.

– Tak właściwie jak długo już tu jesteśmy? – zwrócił się do Jacksona.

– Sześć, może siedem godzin – padła odpowiedź.

– Co? – zapytałam, nie dowierzając.

Musiałam kompletnie stracić poczucie czasu – nie podejrzewałam, że szliśmy aż tak długo.

– Gdy jesteśmy na misji, mamy większą wytrzymałość – pospieszył z wyjaśnieniami Luka. – Możemy wytrzymać dużo dłużej niż normalnie. Jesteśmy też o wiele szybsi. Nie krępują nas fizyczne ograniczenia naszych normalnych ciał.

Przypomniałam sobie, że mówił już coś podobnego w Vegas. Wspomniał wtedy, że ma to coś wspólnego z naszymi komami.

– Czy to oznacza, że nie musimy też jeść i pić? – spytałam.

– I odlewać się – wciął się Tyrone z czymś, co przy odrobinie dobrych chęci można by uznać za cień uśmiechu.

– Wiesz, dzięki – sarknęłam, przewracając oczami.

Starłam się nie pokazać po sobie, jak bardzo cieszy mnie jego próba zażartowania. Niezależnie od tego, jak głupi był to żart. Doskonale wiedziałam, jakie to jest trudne, gdy ma się serce połamane na miliony kawałków, a wypowiedzenie każdego słowa wymaga niebywałego wysiłku.

Nagle przypomniałam sobie jeszcze coś, co powiedział Luka poprzednim razem, gdy byliśmy jeszcze w poczekalni. Że w grze nie jesteśmy żywi w typowym sensie. Mój dobry humor odszedł w niebyt, bo jednocześnie zdałam sobie sprawę, iż na koniec niektórzy z nas mogą w ogóle nie być żywi.

Przełknęłam z trudem ślinę i odwróciłam twarz, żeby żaden z nich nie odczytał z niej moich myśli.

– Koniec odpoczynku. Teraz się rozdzielamy – powiedział Jackson.

– Rozdzielamy? – Na samą myśl o tym poczułam narastającą falę paniki. – Beznadziejny plan. Nie oglądałeś w życiu żadnego horroru? Powinniśmy się trzymać razem.

– Nie – odparł głosem nieznoszącym sprzeciwu. – Luka, idziesz z Tyrone'em. Miki, ty pójdziesz ze mną.

– Nie sądzę, że powinniśmy się rozdzielać.

– Decyzja nie podlega dyskusji.

– A więc to dyktatura, nie demokracja? – zapytałam zdenerwowana.

Mięśnie na twarzy Jacksona stężyły. Zwykle nie tłumaczył swoich rozkazów, dlatego też zdziwił mnie, gdy się odezwał:

– Do naszego celu prowadzą dwie drogi. Jedna od północy, druga od południa. Musimy zająć się obiema. Wysłanie po jednej grupie każdą z nich będzie szybsze niż uderzenie jedną grupą na jedno dojście, a potem przejście do drugiego. Jakieś sugestie?

Sposób, w jaki zadał to pytanie... Tak jakby naprawdę chciał usłyszeć moją opinię. Jakby chciał, abym zdecydowała. Poczułam, że moja odpowiedź będzie miała znaczenie, chociaż nie miałam bladego pojęcia dlaczego. Przecież to nie ja tu dowodzę.

– Dobra, rozdzielamy się – powiedziałam po rozważeniu wszystkich za i przeciw. – Z taktycznego punktu widzenia to ma największy sens. Co nie zmienia faktu, że mi się to nie podoba.

– W porządku.

Odwrócił się do Tyrone’a.

– Ty i Luka pójdziecie od północy – rzucił.

Luka stanął w rozkroku z rękami skrzyżowanymi na piersi.

– Miki zostaje ze mną – zakomunikował. – Będę na nią uważać. Ochronię ją.

Ejże! Co mu odbiło? Zanim zdołałam wymyślić stosowną odpowiedź, odezwał się Jackson:

– I właśnie dlatego Miki idzie ze mną – warknął. – Uważać na nią? Chronić? To doskonały sposób, żeby dać się zabić, Luka. Miki potrafi zadbać o siebie.

Odniosłam wrażenie, że naprawdę wierzy w to, co mówi.

– On ma rację – wtrącił się Tyrone bezbarwnym tonem. – I dobrze o tym wiesz, Luka. Jeśli będziesz starał się ją chronić, będziesz musiał dzielić uwagę między nią a to, co się będzie wokół was działo. A przez to możesz zginąć. A co gorsza, z tego samego powodu ona też może zginąć.

Przy ostatnim zdaniu wyczułam w jego głosie tyle bólu, że zaczęłam się zastanawiać, czy właśnie nie to przytrafiło się Richelle. Czy ona próbowała chronić Tyrone’a i przez to zginęła? Pamiętałam, że wykrzyczała jego imię na chwilę przed

tym niesamowitym krzykiem bólu.

Luka zmrużył gniewnie oczy, ale nie odpowiedział Tyrone'owi. Całą swoją złość zarezerwował dla Jacksona.

– Czyli rozumiem, że ty masz zamiar pilnować tylko swojego tyłka, Jack? – wysyczał, bardzo mocno akcentując ostatnie „k”. – Nic cię nie obchodzi, co się stanie z Miki, prawda?

To nie była prawda. Obchodziło go to. Z jakiegoś powodu Jacksona obchodziło, co się ze mną stanie. Wiedziałam o tym, ale nie do końca ufałam temu uczuciu. Z tego, co zdążyłam się o nim dowiedzieć, Jackson nie grywał w otwarte karty. Za każdym jego działaniem kryła się wielowarstwowa motywacja. Wszystko miało drugie, trzecie, czwarte, piąte dno. Nie wiedziałam, skąd miałam tę pewność, ale ją miałam.

Do tego nie sądziłam, żeby Luka zachowywał się fair. Jackson kilkakrotnie ratował mi skórę w Vegas.

– Spójrz na swój kom – powiedział Jackson, lekko potrząsając głową.

Zawsze był taki spokojny, taki opanowany. Czego było trzeba, żeby coś w nim pękło?

Luka uniósł przegub swojej ręki do oczu i się skrzywił.

– O co chodzi? – spytałam.

– To komy decydują, jak się dzielimy – powiedział Luka, tłumiąc gniew w głosie i wpatrując się wściekle w Jacksona. – Mój nic nie pokazuje, ale spójrz na kom Tyrone'a.

Tyrone uniósł dłoń tak, żebym zobaczyła ekran jego bransolety. Na brzegach widoczna była zielona obwódka, ale większą część ekranu zajmował obraz korytara, w którym staliśmy. W lewym górnym rogu zaś znajdowała się mała mapa z czterema małymi, zielonymi trójkątami. Czterema. Te trójkąty to my.

– To mapa. Jego kom działa jak GPS – wyjaśnił Luka, obracając swoją dłoń tak, żebym mogła zobaczyć ekran jego bransolety.

Był cały zielony.

– Mój kom nie powie mi, gdzie mamy iść. Twój też nie. Czyli jedno z nas musi pójść z Jacksonem, a drugie pójdzie z Tyrone'em.

Wyraz twarzy Luki sprawił, że przez chwilę naprawdę się bałam, że rzuci się na Jacksona i zacznie się z nim bić.

– Hej – powiedziałam, próbując załagodzić sprawę. – Przecież to nie wina Jacksona. To nie on decyduje, kto co robi.

– Czyżby? – warknął Luka, wpatrując się w niego z mordem w oczach.

Byłam zdezorientowana. Nie do końca rozumiałam całą sytuację. Przysięgłabym, że na polanie zachowywali się jak najlepsi kumple. Nie przypominałam sobie też, żeby odnosili się do siebie z taką wrogością na poprzedniej misji. Może więc rozdzielenie ich na jakiś czas będzie najlepszym wyjściem?

– Pójdę z Jacksonem – powiedziałam.

Luka głęboko odetchnął, po czym podszedł do mnie i spojrzał mi w oczy.

– Uważaj na siebie – powiedział cicho. – Mamy zakupy do rozpakowania po powrocie.

Spoglądał na mnie jeszcze przez chwilę, po czym odwrócił się i zniknął z Tyrone'em w swojej odnodze korytarza.

Chwilę potem Jackson ruszył naszą. Bez słowa dołączyłam do niego. Przez dłuższy czas szliśmy równym, hipnotyzującym tempem. Musieliśmy przemierzać te korytarze całe wieki... a co najmniej kilka dni. Odpłynęłam w głowie do miejsca, w którym mogłam nie myśleć. Prawa, lewa, prawa, lewa...

Nagle nasze światło zgasło i otoczyła nas nieprzenikniona ciemność. Tak gęsta, że aż ciężko było oddychać. Ktoś mnie pochwycił od tyłu żelaznym uchwytem, zasłaniając mi dłońią usta, zanim zdążyłam wydać z siebie krzyk. Próbowałam się wyrwać, ale napastnik tylko wzmocnił chwyt, wypierając z moich płuc resztki powietrza. Brakowało jeszcze chwili, abym straciła przytomność. Pozostało mi więc tylko jedno wyjście. Licząc na zaskoczenie napastnika, rozluźniłam obie nogi, aby opaść bezwładnie i osunąć się na ziemię.

Rozdział trzynasty

Moja dywersja się nie powiodła. Przeciwnik tylko mocniej zacisnął mi dłoń na ustach i przycisnął otaczające mnie w pasie ramię, biorąc na siebie cały mój ciężar i unieruchamiając. Wszelkie próby wyswobodzenia się były z góry skazane na porażkę. Ktokolwiek mnie obezwładnił, był zdecydowanie silniejszy ode mnie. Moje myśli zaatakowała panika, ale udało mi się ją odrzucić. Musiałam szybko coś wymyślić! On był silniejszy, ja musiałam więc okazać się od niego sprytniejsza.

Musiałam...

– Ciii – wyszczał napastnik do mojego ucha.

To wystarczyło. Głos był aż nazbyt znajomy i błyskawicznie zorientowałam się, kto mnie trzyma i dlaczego. Przestałam walczyć i kiwnęłam lekko głową, na ile pozwalała mi zaciśnięta na ustach dłoń. Miałam nadzieję, że zrozumie, co chcę przekazać. Nie będę już się rzucać i postaram się zachowywać cicho.

Jackson zdjął dłoń z moich ust i poluzował chwyt w pasie. Nie unieruchamiał mnie, tylko gdzieś prowadził.

Ciemność była absolutnie nieprzenikniona. Jackson musiał jakoś zgasić oba nasze światła w chwili, gdy tylko zdał sobie sprawę z istnienia zagrożenia. Zrobił to tak szybko, że nawet tego nie zauważyłam.

Ponieważ oczy chwilowo były bezużyteczne, wyteżyłam słuch, usiłując wyłowić jakiś dźwięk niewywoływany przez naszą dwójkę. Nagle Jackson szarpnął mną i przesunął za siebie. Stałam uwięziona między twardą, zimną ścianą a jego szczupłym, wysportowanym ciałem. Chwycił moją dłoń i przesunął na kaburę z bronią. Zrozumiałam, co chciał mi przekazać, i wyciągnęłam walec, który błyskawicznie dostosował się do kształtu dłoni. Po chwili poczułam to dziwne połączenie z bronią, które znałam już z poprzedniej misji.

Miałam problemy z oddychaniem, a do tego kończyny trzęsły mi się od nadmiaru napięcia. Zacisnęłam usta i starałam się jak najciszej oddychać, żeby nie zdradzić naszej obecności. Uniosłam broń, ale nie miałam pojęcia, w którą stronę ją skierować. Jackson uspokajająco położył swoją dłoń na mojej. Ewidentnie nie chciał atakować tego, przed czym się chowaliśmy. Chciał, żeby wróg nas minął.

Przynajmniej na razie.

Otaczająca ciemność była przytłaczająca. Nie mogłam oddychać ani nawet myśleć.

Czułam poruszającą się miarowo pierś Jacksona. Oddychał powoli i spokojnie, nie tak szybko i nerwowo jak ja. To wystarczyło, żebym zdołała się nieco uspokoić. Dam radę! Mogę ukrywać się w ciemności, a w razie czego mogę też walczyć.

Ponownie wyteżyłam słuch, ale nie słyszałam żadnych odgłosów kroków czy rozmowy. Jedynymi dźwiękami, jakie wyłapywałam, były nasze oddechy, które w tej całkowitej ciszy brzmiały jak sapanie wielkich lokomotyw parowych. W jakiś sposób jednak wyczuwałam, że obcy są gdzieś niedaleko. Poczułam znajomy ból w mięśniach, we wnętrznościach i w płucach. Taki sam jak wtedy w Vegas, gdy szykowaliśmy się do wejścia do budynku. Miałam ochotę rzucić się do walki albo uciec z krzykiem.

Przez głowę pędziły mi paniczne myśli: czy skoro my czujemy ich, oni też wyczuwają nas? Jeśli tak, to czy nas znajdą? Jeśli tak, to czy nas zabiją?

Uciekać! Musimy uciekać!

Byli blisko, na tyle blisko, że gdybym wyciągnęła rękę, mogłabym ich pewnie dotknąć. Wiedziałam, że są tuż obok, chociaż nie mogłam polegać na żadnych zmysłach – tylko na swoim instynkcie.

Moje nerwy były napięte jak postronki. Miałam wrażenie, że lada chwila popękają jeden po drugim niczym zbyt mocno naciągnięte struny gitary. Wtedy Jackson włączył z powrotem swoje światło. Zielona poświata oświetliła korytarz oraz dwie idące nim postacie – prawie ludzkie, ale jednak nie do końca. W chwili gdy dotarł do nich blask z pręta Jacksona, ich ciała rozbłysły oślepiającym, białym światłem – niczym magnez na lekcji chemii.

Coś kazało mi zamknąć oczy, żeby rozbłysk mnie nie oślepił, ale i to niewiele pomogło – światło było tak jasne, że przebiło się przez powieki i zobaczyłam całe konstelacje gwiazd.

Niewiele widząc, zdałam się na instynkt. Poderwałam broń w górę i skiero-

wałam ją w stronę poruszających się obcych. Byli niesamowicie szybcy. Widziałam ich tylko dlatego, że zostawiali za sobą świetlistą smugę.

Wycelowałam w ciemność przed nimi.

Wydawało mi się, że po wydarzeniach w Vegas będę przygotowana na to, co nastąpi. Ale gdy walec w mojej dłoni wydał z siebie przenikliwy pisk i wyrzucił w kierunku Drau chmurę ciemności, cała stężałam. Siła odrzutu poderwała mi ramię. Ciemność momentalnie otoczyła Drau, wprost go wessała w całości. Nasunęło mi się skojarzenie ameby wchłaniającej pożywienie.

Ułamek sekundy później Drau po prostu nie było. Zniknął, niczym zdmuchnięty płomień zapalki.

Drugi obcy rzucił się w naszą stronę. Jackson ciął swoim nożem i rozplątał ciało wroga. Drau obnażył zęby, sycząc z bólu, a moje nozdrza zaatakował ostry, drażniący zapach. Krew obcego? Zanim zdążyłam jakkolwiek zareagować, Drau wystrzelił ze swojej broni i posłał miriady jaskrawych iskier w stronę Jacksona. Ten rzucił się w bok, ale nie zdołał uniknąć wszystkich „pocisków”. Skrzywiłam się na wspomnienie tego przeszywającego na wskroś bólu, który musiał teraz czuć. Dobrze go pamiętałam.

Z głośnym krzykiem skoczyłam między Jacksona a obcego. Muszę go obronić, ochronić! Zlikwidować drugiego obcego. Wystrzeliłam. Przeszywający pisk towarzyszący wciągnięciu Drau przez chmurę ciemności wystrzeloną z mojej broni przyprawił mnie o gęsią skórkę. Przez moment poczułam się dziwnie nieswojo. Jaki ból musiał czuć obcy? Szybko jednak otrząsnęłam się z tych myśli. To był wróg. Poza tym nie miałam wyboru – jeśli ja go nie zabi... wyeliminuję, on zrobi to ze mną.

Nadmiar adrenaliny sprawił, że cała się trzęsłam. Zakręciło mi się w głowie. Oparłam się wolną dłonią o ścianę tunelu, łapiąc z trudem oddech i starając się zapanować nad buntującym się ciałem. Wtedy do mnie dotarło, że pokonałam obu Drau! Wyeliminowałam ich, zanim zdążyli wyrządzić nam poważniejszą krzywdę. Wyprostowałam się i zauważyłam, że Jackson aktywował mój świecący pręt. Serce biło mi coraz spokojniej, strach był już zaledwie bladym wspomnieniem, chociaż nie udało mi się jeszcze całkowicie unormować oddechu.

Uniosłam głowę i spojrzałam na Jacksona. Przyglądał mi się z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Stał nieco przekrzywiony, ewidentnie starając się nie obciążać jednej nogi. Nie mogłam odczytać wyrazu jego twarzy, ale wystarczyła mi jego postawa. Nie był zadowolony.

– Jakiś problem? – zapytałam, mrużąc oczy.

– Chciałem przesłuchać tego drugiego – odparł. – Następnym razem może zaczekaj ze strzałem, dopóki nie uzyskam więcej informacji, co?

Och... To dlatego użył noża zamiast swojego walca.

– Przesłuchać? – zapytałam zdziwiona. – To Drau umieją mówić? – Nie słyszałam, żeby wydawali jakiegokolwiek artykułowane dźwięki. Ani podczas walki, ani wcześniej, gdy nas mijali, zanim ich zaatakowaliśmy. Nie rozmawiali ze sobą.

– Czy znają angielski?

– Nie.

Zamknęłam oczy i odliczyłam do dziesięciu.

– A twoje „nie” tyczy się którego z moich pytań?

Przysięgłabym, że kącik jego ust drgnął w sugestii uśmiechu.

– Nie znają angielskiego.

Cóż, przynajmniej uzyskałam jakąś odpowiedź.

– Cieszę się, że się dobrze bawisz moim kosztem – rzuciłam.

Nachylił się do mnie.

– Ja też się cieszę – wyszeptał mi do ucha. – Od bardzo dawna nie miałem okazji do śmiechu. A teraz ty mi ją dajesz. I za to ci dziękuję.

– Proszę bardzo – wyszeptałam w odpowiedzi.

Poczułam się dziwnie. Jackson nigdy nie mówił ani nie robił tego, czego się po nim spodziewałam. Skrzyżowałam więc ramiona na piersi i przeniosłam ciężar ciała na prawą nogę, naśladując jego pozę. – A następnym razem, gdy będziesz chciał któregoś z nich przesłuchać, poinformuj mnie o tym, zanim zacznę strzelać.

– Słuszna uwaga, tak zrobię – odparł.

– I skoro już przy tym jesteśmy, to może następnym razem ostrzeż mnie przez postukanie w ramię, zamiast chwycić mnie od tyłu i zakrywać dłonią usta.

– Wystraszyłem cię?

Nie byłem jeszcze gotowa przyznać się przed nim do tego.

– Zdezorientowałaś mnie – powiedziałam. – Mogło to nas kosztować życie.

Przez kilka chwil milczał, zanim ponownie się odezwał.

– Wystraszyłem cię – stwierdził. – Przepraszam.

Jackson przeprosił. Zaniemówiłam.

– Przy okazji – podjął po chwili – spodziewałem się, że zapytasz, czy znam ich język.

– Lubię być nieprzewidywalna.

– Nie chcesz wiedzieć?

Oczywiście, że chciałam wiedzieć. Było to najwyraźniej tak ewidentne, że nie musiałam tego mówić na głos. Po chwili Jackson odpowiedział:

– Nie, nie znam.

Tylko tyle. Poczułam się jednak spokojniej, pewniej. W końcu Jackson podzielił się informacją, o którą w zasadzie nie prosiłam, to coś znaczy.

Staliśmy tak przez chwilę naprzeciwko siebie.

– Dobrze się spisałaś.

Na jego twarzy znów pojawił się ten niesamowity, mroczny i zarazem seksowny uśmiech. Dołki na policzkach i równy rząd bielutkich zębów.

– Chyba mi się podobasz, Miki Jones.

Uśmiechnęłam się bezwiednie. On chyba też mi się podobał, a to nie było zbyt mądre. Zdecydowanie nie było zbyt mądre.

#

Zaczynałam czuć pierwsze oznaki postępującego zmęczenia. Poziom adrenaliny wyprodukowanej podczas walki z Drau już dawno opadł. Ile już tak szliśmy? Godziny, dni? Tak czy owak zdawałam sobie sprawę z tego, że wkrótce nogi odmówią mi posłuszeństwa. Jackson szedł przede mną, prowadząc przez kręte korytarze. Narzucił spore tempo i sprawiał wrażenie, że w najmniejszym stopniu nie odczuwał wyczerpania. A moje mięśnie z każdym krokiem stawały się bardziej odrętwiałe. Jakiś czas temu sięgnął ręką do tyłu, chwycił mnie za dłoń i naprowadził moje palce na zwisającą z tyłu na wysokości bioder pętlę jego uprząży. Byłam już na tyle zmęczona, że kiedy kazał mi ją chwycić, nie znalazłam w sobie dość siły, aby zaprotestować. Od tej pory cały czas trzymałam się jego uprząży i chyba tylko dlatego wciąż byłam w stanie utrzymać narzucone przez niego tempo.

– Wszystko w porządku?

Jego głos wyrwał mnie z otępienia. To były pierwsze słowa, jakie którekolwiek z nas wymówiło od bardzo długiego czasu.

– A niby dlaczego mnie o to pytasz?

Pomimo starań ton mojej riposty zdradził nieufność. Z nie do końca jasnych nawet dla mnie powodów nie chciałam przyznać się przed nim do wyczerpania. Pewnie byłam na to zbyt uparta. Jeśli on mógł iść dalej, to ja też mogłam. A może chciałam udowodnić, że jestem równie silna co on? Pozostałość po czasach trenowania kendo. Jako że byłam jedyną dziewczyną w grupie, musiałam być szybsza, lepsza i silniejsza od każdego z chłopaków. Chociaż teraz chyba najpewniej zwyczajnie nie ufałam troskliwej wersji Jacksona. Ta maska po prostu do niego nie pasowała.

– Podejrzewasz mnie o jakieś ukryte motywy dociekania, czy wszystko z tobą w porządku?

Wpatrywałam się w jego plecy, szerokie ramiona, smukłe biodra, niesforne fale włosów opadające niemal do ramion. Był diabło przystojny nawet w tym dziwnym, zielonkawym świetle.

– Tak właściwie to uważam, że za wszystkim, co robisz, stoją jakieś ukryte motywy.

– Nie masz o mnie najlepszego mniemania, co?

Sprawił wrażenie raczej rozbawionego niż urażonego.

– Uznałam, że ponieważ ty masz o sobie tak wygórowane mniemanie, to ja już nie muszę mieć nawet średniego.

Nie mogłam się powstrzymać od kolejnego docinka. Prawda jednak była taka, że w pewnym sensie podziwiałam złożoność jego osobowości. Imponowało mi to, że zawsze wszystko analizował i planował. Zawsze miał nad wszystkim kontrolę.

Parsknął. Ten dźwięk sprawił, że zrobiło mi się przyjemnie ciepło w środku.

– A skoro już pytasz, to ze mną wszystko w porządku – dodałam akurat w chwili, gdy stopa wpadła mi do rozpadliny w podłożu i musiałam mocniej przytrzymać się jego upręży, aby nie upaść.

W zasadzie powiedziałam prawdę. Poza narastającym zmęczeniem wszystko było w jak najlepszym porządku. Miałam własne źródło światła i dzięki wcześniejszym wyjaśnieniom Jacksona wiedziałam, jaki jest nasz cel. Miałam pewną kontrolę nad wydarzeniami. Na tyle, na ile w ogóle można było mówić o kontroli w sytuacji, kiedy on ciągnął mnie niczym zepsuty samochód, diabli wiedzą, ile kilometrów pod powierzchnią ziemi, na spotkanie z kolejną grupą śmiertelnie niebezpiecznych obcych.

– Jackson, mogę cię o coś zapytać?

– Pytaj – odparł. – Może nawet odpowiem.

Żartowniś z niego.

– Co dokładnie miałeś na myśli, kiedy powiedziałeś, żebym wzięła się w garść i czerpała przyjemność z przechadzki?

– Jak się czujesz? – odpowiedział pytaniem.

Zmarszczyłam ze złości brwi. Znowu unikał udzielenia prostej odpowiedzi.

Moją irytację potęgowało pytanie o samopoczucie. Na pewno wyczuwał moje zmęczenie i chciał, żebym się do tego przyznała. Cóż, jeśli istotnie na to liczy, to się przeliczy. Miałam wiele lat doświadczenia w unikaniu przyznawania się do różnych rzeczy.

– Już ci mówiłam, że ze mną wszystko w porządku.

Puściłam jego uprząż, zacisnęłam zęby i włożyłam wszystkie siły w dotrzymanie mu kroku. Żeby udowodnić, iż wcale nie potrzebuję jego pomocy.

Nie osiągnęłam jednak zamierzonego celu. Jackson sięgnął ręką za plecy, złapał mnie za nadgarstek i ponownie naprowadził moje palce na pętlę.

– Nie o to mi chodzi – powiedział. – Pytam, jak się czujesz, będąc tutaj, pod ziemią, zmierzając ku nieznanemu? Jak się czułaś w Vegas? Jak się czułaś dziś, kiedy walczyliśmy z Drau? Jak się czujesz, kiedy cię wyciąga z normalnego życia?

Już otworzyłam usta, aby mu odpowiedzieć, ale po chwili na powrót je zamknęłam. Jak się z tym wszystkim czułam? Ba! Dobre pytanie...

– Przerazona. Zagubiona. Oszołomiona.

– I?

Tym jednym słowem rzucał mi wyzwanie. Popychał mnie, tak jakby chciał wejść mi do głowy i czytać moje myśli. Ale przecież on już to robił! Od chwili, gdy zaczął mówić do mnie w moich myślach, wołając mnie po imieniu, Jackson Tate nie opuszczał ich nawet na chwilę.

– Jak się czujesz? – powtórzył swoje wcześniejsze pytanie nagłym tonem.

Z jakiegoś powodu pomyślałam o Tyronie i o tym, jak tutaj – w grze, jak to nazywał – zdawał się bardziej skoncentrowany, bardziej...

– Żywa – wyszeptałam.

Wtedy na dobre zdałam sobie z tego sprawę. Gdy byłam na misji, nie czułam tej ciężkiej, szarej mgły przytłaczającej każdą moją myśl, utrudniającej wszystko, co robiłam.

– Czuję się żywa, euforycznie żywa.

– O to właśnie mi chodziło – powiedział poważnym, spokojnym tonem. – Nie masz nic do powiedzenia, jeśli chodzi o samo uczestnictwo w tym wszystkim. Czy tego chcesz, czy nie, i tak cię wyciągnie. Możesz jednak czerpać z tego przyjemność.

Zaniemówiłam. Czy on to mówił poważnie?

– Czerpać przyjemność? – zapytałam, gdy odzyskałam zdolność mowy. – Zabijamy jakieś dziwaczne stworzenia i ryzykujemy przy tym własne życie. Kimkolwiek był ten koleś, którego zastąpiłam, jedno jest pewne: on nie żyje. Richelle też nie żyje. Nikt nam nie dał wyboru, nikt nas nie zapytał o zdanie. W jaki niby cudowny sposób mam z tego czerpać przyjemność?

– Chwytając oburącz za ster i kierując tym koszmarem zamiast zwijania się w kłębek gdzieś w kącie i biernego obserwowania wydarzeń.

Powiedział to niesłychanie intensywnym, poważnym głosem. Każda sylaba wręcz krzyczała, że on doskonale wie, o czym mówi. Doskonale wie, co ja teraz czuję.

Czy wie też, że sama jego obecność wprawia mnie w euforyczny stan? Czy wie, co ze mną robi?

– Nazywasz to, co się przydarzyło na poprzedniej misji, sterowaniem koszmarem? – zapytałam.

– Nad czym mogłem zapanować, nad tym zapanowałem.

W mgnieniu oka wróciły do mnie spojrzenia. Jackson wykopujący broń z dłoni Drau i krzyk Richelle. Czy o to mu chodziło z panowaniem nad tym, nad czym można zapanować? Czy musiał wybrać jedną z nas, ponieważ wiedział, że nie jest w stanie uratować obu? Przeróżająca odpowiedzialność.

– A dowodem tego, że zapanowałeś nad sytuacją, jest to, że utrzymałeś mnie przy życiu?

– Tak.

– Jackson... Jak długo już sterujesz koszmarami?

Przez dłuższy czas milczał. Słyszałam tylko chrzęst kamyków pod naszymi podeszwami. Odezwał się w momencie, gdy zaczynałam już tracić nadzieję, że kiedykolwiek mi odpowie.

– Zbyt długo. Wieczność.

– Dlaczego więc nie dobijesz do tysiąca, żeby się od tego uwolnić?

Kolejne przedłużające się milczenie.

– Dla mnie jest tylko jeden sposób, żeby się od tego uwolnić, Miki.

Każda sylaba jego wypowiedzi brzmiała tak, jakby miała tysiąc podtekstów i ukrytych znaczeń. Nie byłam jednak w stanie dostrzec żadnego z nich. Już miałam go o to zapytać, ale w ostatniej chwili ugryzłam się w język. Jeśli chciałby mi powiedzieć, już by to zrobił. Zamiast tego zapytałam o co innego:

– Czy kiedykolwiek nachodzi cię myśl, żeby się poddać? Stwierdzić, że już więcej nic nie robisz, i rzucić to w diabły?

Zatrzymał się tak nagle, że wpadłam na niego z rozpędu. Zrobiłam krok do tyłu i spojrzałam w górę na jego twarz. Był wściekły.

– Nie, nigdy – wycedził. – I ty też nigdy tego nie zrobisz.

– A skąd to możesz wiedzieć? – wypaliłam.

– Bo do tej pory się nie poddałaś pomimo wszystkiego, co cię spotkało – odparł. – Jesteś wojownikiem. Walczyłaś o to, żeby być najlepszą na treningach kendo. Walczyłaś o swoją mamę. Walczyłaś ze swoim żalem. Walczyłaś o to, żeby być normalna.

Wpatrywałam się w jego twarz całkowicie zbita z tropu i oszołomiona.

– Skąd ty to wszystko wiesz? – wydukałam. – Skąd wiesz o mnie tyle rzeczy?

Zrobił krok w moją stronę. Staliśmy teraz tak blisko, że nasze ubrania niemal się o siebie ocierały. Potem powoli, niesamowicie powoli, uniósł swoje dłonie do mojej twarzy i delikatnie sunął palcami wzdłuż mojej szyi, aż spotkały się czubkami na karku. Objął swoimi dłońmi moje policzki i delikatnie uniósł mi twarz.

Cała zeszywniałam, a serce łomotało mi w piersi. Spróbowałam przełknąć ślinę, ale kompletnie zaschło mi w ustach. W miejscach, w których dotykał mojej skóry, czułam przyjemne, ciepłe mrowienie.

– Znam cię – wyszeptał.

Powiedział to z takim przekonaniem, że prawie mu uwierzyłam. Prawie też uwierzyłam, że ja znam jego. Że jest coś takiego w nas obojgu, co sprawia, że do siebie pasujemy niczym dwa sąsiednie elementy tej samej układanki.

Pokręciłam głową.

– Nie znasz mnie – powiedziałam cicho. – Nie możesz mnie znać.

Nie wiem, jak długo tak staliśmy. Byliśmy tak blisko siebie, że czułam jego oddech na moich ustach. I kaburę jego broni wbijającą mi się w biodro.

Minimalnie obniżył swoją głowę.

Oddech miałam tak szybki, że w każdej chwili groziła mi hiperwentylacja. Moje serce waliło tak mocno, jakby lada chwila miało wyrwać się z piersi. Szum krwi w uszach był niemal ogłuszający. Czułam, że powoli odpływam.

Rozchyliłam usta i wbiłam spojrzenie w jego wargi. Pocałuje mnie. Tu, w podziemnym labiryncie, z dala od świata, z dala od rzeczywistości. A ja mu na to pozwolę. Czułam wręcz iskry przeskakujące po moich nerwach. Miałam wrażenie, że zaraz zacznę świecić...

Ale pocałunek nigdy nie nastąpił.

Jackson zacisnął usta, uniósł głowę i odwrócił twarz. Ledwo zapanowałam nad chęcią pochwycenia go i przyciągnięcia z powrotem. Jego ciało było niesamowicie sztywne, a jego ruchy – wyraźnie wymuszone. Podejrzewałam, że tylko udaje, iż patrzy na coś za moimi plecami. Po prostu chciał spojrzeć na coś, co nie było mną. Zacisnął zęby i mięśnie jego szczęki zadrżały pod skórą twarzy.

Urok chwili minął. Czy raczej on celowo pozwolił mu minąć.

Czułam jednocześnie zawód i ulgę. On ciągle robił ze mną to samo – sprawiał, że stawałam się zamotana, po czym zostawiał mnie samą, aż się rozplączę.

Miałam nadzieję, że z nim działa się to samo. Tylko tak byłoby sprawiedliwie. Niemniej jednak jaskinia znajdująca się całe kilometry pod ziemią, podczas misji wybijania wszystkich Drau, jakich napotkamy, nie była moim wymarzonym miejscem ani czasem na pocałunek. Chociaż nie miałam wątpliwości, że gdy tylko jego usta zetkną się z moimi, będę stracona dla świata. Niezależnie od miejsca i czasu.

– Dobra – powiedział, opuszczając dłonie i odsuwając się na krok. – Wygrałaś. Nie znam cię, a ty nie znasz mnie. – Zawiesił głos, po czym dodał ciszej: – Nie próbuj mnie poznać, Miki. Nie spodobałoby ci się to, czego byś się dowiedziała.

Z początku nie wiedziałam, o czym on mówi. Po chwili przypomniałam sobie jednak naszą wcześniejszą sprzeczkę, kiedy twierdził, że mnie zna, a ja mu mówiłam, że jednak nie. Teraz się ze mną zgodził, ale jednocześnie wytrącił mnie swoimi słowami z równowagi. Bardzo tego nie lubiłam.

Wpatrywałam się w niego, czekając na dalsze wyjaśnienia, aż w końcu straciłam cierpliwość. Tego już było za wiele.

– Dość już mam twoich niejasnych stwierdzeń – wycedziłam. – Co jest niby w tobie takiego okropnego? Masz błony między palcami? – Chwyciłam jego dłoń i rozpostarłam palce, udając, że szukam czegoś między nimi. – Szósty palec u stopy?

– Skazona motywacja.

Wyrzuciłam ręce w górę w geście bezradności.

– I co ja mam na to odpowiedzieć? Co mam o tym myśleć? Jesteś mistrzem wysyłania sprzecznych sygnałów. Jesteś najbardziej pokręconym, aroganckim, egocentrycznym, wkurzającym...

– Możesz mnie nazwać dupkiem nieco później – wszedł mi w słowo. – Teraz jesteś na skraju wyczerpania. – To powiedziawszy, przykucnął, po czym usiadł na ziemi, opierając się plecami o ścianę korytarza i rozprostowując nogi przed sobą. – W związku z czym będziemy teraz odpoczywać.

Już miałam zaprotestować, ale w ostatniej chwili zdałam sobie sprawę z tego, że to jest z jego strony ustępstwo. On to robił dla mnie, bo przecież to nie on

był zmęczony. Zdusiłam więc protest w sobie i usadowiłam się obok. Poczułam ogromną ulgę w nogach. Chyba nie doceniałam poziomu swojego zmęczenia.

– Możesz się o mnie oprzeć – powiedział Jackson.

– Ja... – zaczęłam, ale nie dał mi dojść do słowa.

– Oprzyj się o mnie. – Tym razem zabrzmiało to jak polecenie, nie propozycja.

Nie chcąc się sprzeczać, przysunęłam się do niego i oparłam o jego ramię.

– Nie tak.

Chwycił mnie za ramiona i przesunął nieco w bok. Teraz opierałam się plecami o jego pierś, a moja głowa spoczywała na jego ramieniu. Wyprostowałam nogi tak jak on. Może nie było najwygodniej, ale i tak czułam się zdecydowanie lepiej niż minutę temu. Jackson oparł delikatnie swoją brodę na czubku mojej głowy.

– Śpij – powiedział cicho, niemal wymruczał.

– A ty?

– Ja będę czuwał. Tkwę w tym już bardzo długo. Nauczyłem się nie odpoczywać w trakcie misji.

– A Luka i Tyrone?

– Oni też nie muszą odpoczywać. Ty musisz się jeszcze przyzwyczaić do skoków. Na kolejnej misji albo jeszcze na następnej będziesz funkcjonować tak jak my. Robożołnierze.

I znowu – odrobina humoru, jakby naigrawał się z samego siebie.

– To miało mnie podnieść na duchu? Bo wiesz, może cię to zdziwi, ale jakoś nie skaczę z radości na myśl o kolejnych misjach.

Niemal krzyknęłam, gdy znów poczułam jego dłonie na moich ramionach, po czym westchnęłam, gdy zaczął rozmasowywać moje mięśnie. Długie palce, silne dłonie... Część napięcia odeszła i w końcu mogłam się rozluźnić.

– Jak długo już tu jesteśmy? – zapytałam.

– Nieco ponad siedemnaście godzin.

– Ale gdy wrócimy, to trafimy dokładnie w tę samą chwilę, z której nas zabrało?

– Tak.

Powieki same mi się zamknęły. Po około minucie, walcząc z sennością, zadałam kolejne pytanie.

– Odpowiadasz na wszystkie moje pytania. Co się stało z zasadami?

– Wciągnęło nas tu, jesteśmy w... – zawiesił głos, a gdy odezwał się ponownie, wyczuwałam w jego tonie wesołość – ...tym, co Luka nazywa grą. Zasady nie mają zastosowania, możemy więc rozmawiać o wszystkim.

– Zaakceptowałeś tę nazwę? Już się nie zżymasz na nazywanie tego grą?

– Z braku lepszego określenia.

– Czy naprawdę istnieją te wszystkie zasady, czy też wymyślasz to wszystko, żeby nas łatwiej kontrolować?

Dosłyszałam cichy świst w jego spokojnym dotąd oddechu.

– Wydaje ci się, że mnie rozgryzłaś? – spytał.

– Wystarczająco, żeby poznać w tobie maniaka kontroli. Odpowiedz na pytanie... proszę?

– Są zasady – odparł krótko, po czym po chwili dodał: – przy czym część z nich sam wprowadzam.

– Z innymi – wtrąciłam.

– Innymi?

– Tymi, którzy kierują drużynami z pozostałych polan. Tymi, które widzimy tylko ty i ja. Czy to oni tworzą ten komitet, o którym wspominałeś?

– Nie ma żadnych drużyn – odpowiedział machinalnie. – Każdy dba o siebie.

– Ciągłe to powtarzasz, ale wiesz co? Nie kupuję tego. Bo w tej chwili

właśnie dbasz o mnie. Tak jak i poprzednio.

Na chwilę zapadło milczenie.

– Kim są ci inni w innych poczekalniach? – zapytałam.

– Nie ma żadnych innych poczekalni – odpowiedział. – Wszystko, co widziałas, było częścią jednej i tej samej poczekalni.

– Czy oni nas widzą?

– Część z nich, owszem.

– A dlaczego ja ich widzę, a Luka i Tyrone nie?

Ponownie wyczułam zaburzenie w spokojnym rytmie oddechu Jacksona. Wiedziałam, że cokolwiek mi teraz powie, będzie albo półprawdą, albo zwykłym kłamstwem.

– Ponieważ jesteśmy podobni do siebie – odparł po chwili milczenia. – Ty i ja.

– Znowu mówisz niejasno. – Westchnęłam i zmieniłam podejście. – Tak więc dopóki jesteśmy tutaj, w grze, możesz mi opowiadać o rzeczach, o których nie możemy mówić w prawdziwym świecie?

– Tak – odparł.

– Czyli nie chodzi o to, żebym ja nic nie wiedziała – stwierdziłam. – Chodzi o coś innego. Chodzi o ludzi, tych zwykłych ludzi. Żeby oni nie usłyszeli. Albo o podsłuchujących Drau. Mam rację?

– Tak.

– Tutaj Drau nie mogą nas podsłuchiwać?

– Nie.

Przez chwilę trawiłam te nowe informacje, po czym zdecydowałam się przedstawić swoją teorię:

– Ponieważ do szpiegowania nas muszą wykorzystywać ludzką technologię.

Jak choćby satelity, o których mówiłeś w parku. A ludzka technologia nie obejmuje terenu gry. Czy mam rację?

– Zgadza się.

Przysięgłabym, że był zadowolony, kiedy to mówił. Tak jakby od początku chciał, żebym sama to wszystko wykombinowała. Dlaczego jednak zwyczajnie nie powiedział mi tego wszystkiego na samym początku?

Westchnęłam. Czułam się jak na podchodach. Udzielał tylko tych informacji, o które zapytałam. Ani słowa ponad to. A gdybym tak zadała pytanie otwarte?

– Opowiedz mi o nich – rzuciłam. – O Drau.

– Informacja to władza? – odpowiedział w swoim stylu: pytaniem.

– Zbyt ograne?

– Może – przyznał. – Ale mimo to prawdziwe. Pochodzą z planety, na której... warunki są trudne. Trudny teren, niesprzyjający klimat, niewielkie ilości surowców, groźne drapieżniki.

– Ale przynajmniej jest słonecznie. Układ podwójny, dobrze pamiętam?

– Proszę, jednak słuchasz tego, co mówię – stwierdził z przekąsem.

– Każdego słowa.

Zdjął dłonie z moich ramion i objął mnie rękami, przyciągając do siebie. Zadrżałam lekko i wzięłam głęboki oddech. Półyżalam na podłodze ciemnej jaskini w objęciach chłopaka. I to nie było jakiego chłopaka – Jacksona Tate’a. Wkurzającego, aroganckiego, cudownego, zdolnego, tak przyjemnie ciepłego Jacksona Tate’a.

– Przez tysiące lat walczyli ze sobą nawzajem na swojej planecie. I koniec końców zniszczyli ją.

– Zniszczyli? – zapytałam. – Całkowicie? W sensie: wysadzili ją w powietrze?

– Prawie. Obrócili w jałową pustynię. Nie stosowali broni jądrowej, ale to

byłoby dobre porównanie. Wyobraź sobie, co by zostało z Ziemi, gdyby nagle wszystkie kraje odpaliły wszystkie pociski jądrowe, jakie tylko mają.

Zadrżałam na samą myśl o tym.

– Całe wieki egzystowali w takim zniszczonym świecie, kombinując, jak by tu uciec z planety, którą sami unicestwili. Człowiek by pomyślał, że nauczyli się na własnych błędach. Że przez czas, w którym ich technologia osiągnęła poziom umożliwiający przeniesienie się na inną planetę, zmieniają swoją mentalność.

– Ale nie zmienili? – zgałam.

– Nie. Wybijali do nogi całe gatunki. Ograbiali planety ze wszystkich przydatnych surowców. Swoją szlak znaczyli kolejnymi zniszczonymi światami. Są bezlitosnymi drapieżnikami. Nie obchodzi ich, co i jak niszczą. W zasadzie to sprawia im to przyjemność. Im dłużej jakaś planeta się broni, tym bardziej ich to bawi.

Cała historia nie należała do najprzyjemniejszych, ale jej ostatni fragment szczególnie mnie zmroził.

– W Vegas wspomniałeś, że nasi przodkowie uciekli na Ziemię, aby żyć wśród ludzi...

– Wybrali Ziemię, bo była podobna do naszej rodzimej planety. Mogli tu nie tylko przeżyć, ale też się rozmnażać. DNA było podobne, nawet ludzie wyglądali podobnie. Tak samo skład atmosfery, temperatura i dostępne pożywienie.

– Skąd to wszystko wiesz?

Poczułam na swoich plecach, jak wzrusza ramionami.

– Nie chodziło tylko o podobieństwa fizyczne – powiedział, odpowiadając na niezadane przeze mnie pytanie. – Nasi przodkowie uważali, że ludzie są waleczni, odważni i honorowi. Że będą walczyć o to, co jest ważne – tłumaczył mi spokojnie.

– Strasznie uogólniasz – stwierdziłam z powątpiewaniem. – Nie wszyscy ludzie tacy są.

– Zgoda – przytaknął. – Ale tych dobrych jest więcej niż tych złych.

Pokręciłam głową.

– Nie spodziewałam się, że z ciebie taki optymista.

– Jestem pełen niespodzianek.

Nie zareagowałam na kolejne niejasne i tajemnicze stwierdzenie. Musiałam sobie to wszystko poukładać w głowie. Coś tu nie grało. Nie miałam pojęcia, dlaczego Jackson mi to wszystko mówi. Nie był specjalnie otwarty, a miałam wrażenie, że jeśli zapytam o cokolwiek z tych rzeczy Luke, nie uzyskam żadnych odpowiedzi. Bo Jackson mu pewnie nic z tego nie powiedział. Dlaczego więc mówi to wszystko mnie?

– Muszę to wszystko przetrwać – powiedziałam.

Mimo najlepszych starań mój głos był bardzo niewyraźny. Z powodu ogarniającego mnie zmęczenia zaczynałam mieć problemy z mową. W jasnym myśleniu wyczerpanie też zdecydowanie nie pomagało. Normalnie po takiej dawce informacji, z takim mętlikiem w głowie, roztrząsałabym to godzinami. Teraz ledwo byłam w stanie powstrzymać opadanie powiek.

Mogłam przysiąc, że poczułam jego usta na moim policzku. Po chwili stwierdziłam jednak, że to musiała być tylko moja wyobraźnia.

– Śpij, Miki – wyszeptał mi do ucha, tym razem już na pewno muskając ustami mój policzek. – Będę czuwał nad tobą.

Rozdział czternasty

Nie wiem, jak długo spałam w objęciach Jacksona, ale po przebudzeniu czułam się znacznie lepiej. Jackson zaś zdążył już wrócić do swojej rutyny – on szedł przodem, ja podążałam za nim. Zadałam jeszcze kilka pytań o Drau, naszych przodków, o grę, ale on chyba wyczerpał już swój dzienny limit wypowiedzianych słów.

Przypomniałam sobie, jak ujął moją twarz w dłonie i nachylił się do mnie. Jak jego usta dzieliły od moich zaledwie centymetry. Nie mogłam uwierzyć, że przez chwilę naprawdę miałam ochotę go pocałować. Teraz wróciłam do chęci przyłożenia mu. Mocno.

Po jakimś czasie zobaczyliśmy Lukę i Tyrone'a idących z naprzeciwka. Opowiedziałam im o spotkanych Drau (Jackson oczywiście milczał).

– My napotkaliśmy trójkę – powiedział Luka, gdy skończyłam swoją opowieść. – Potem kom Tyrone'a nakierował nas na waszą pozycję.

– Trójkę? – zapytałam zdziwiona. – Sądziłam, że będzie ich tu więcej.

– Nie podoba mi się to – wymamrotał Tyrone.

Mnie też zdecydowanie to się nie podobało.

– Może uznali, że nie potrzebują wystawiać silnych posterunków, ponieważ nie sądzą, że ktokolwiek ich tu znajdzie? – zasugerował Luka.

Nie wydawał się jednak zbyt przekonany. Pokręciłam głową.

– Nawet jeśli, to i tak poszło nam zbyt łatwo – powiedziałam. – Poza tym, czy to nie jest przypadkiem tak, że wyczuli naszą obecność, gdy tylko nas tu wrzuciło? Nawet jeśli nie byli w stanie określić, gdzie dokładnie się pojawiliśmy, to wiedzą o naszej obecności, prawda?

Spojrzałam na Jacksona, szukając u niego potwierdzenia moich domysłów.

– Zgadza się – rzucił.

– I wracamy do bycia straszną gadułą – wymamrotałam, parafrazując Tyrone'a.

Tyrone parsknął, ale Jackson nijak nie zareagował na moją zaczepkę.

– Wróćmy może do Drau... – zaproponował Luka.

– Ci, których napotkaliśmy, ledwo umieli walczyć – powiedziałam, przywołując sobie w myślach wcześniejsze starcie. – Zupełnie jakby byli w tym całkiem zieloni.

Ponownie spojrzałam na Jacksona w nadziei, że jakoś ustosunkuje się do moich słów, ale najwyraźniej słuchanie mnie zupełnie mu wystarczało. Choć... było coś jeszcze. Miałam dziwne wrażenie, że on chce, żebym to rozgryzła sama. Ale dlaczego?

– Czy to ma znaczenie? – zapytał Jackson.

Z początku myślałam, że odpowiada na moje zadane w myślach pytanie. Dopiero po chwili zorientowałam się, że nawiązuje do poziomu wykszolenia spotkanych Drau. Nie ciągnął tematu i zerknął na swój kom.

– Ruszamy – powiedział, kierując się w głąb odchodzącego w bok korytarza.

Tyrone bez słowa podążył za nim.

Korytarz był wystarczająco szeroki, żebyśmy mogli iść dwójkami ramie w ramię. Po paru krokach Luka zrównał się ze mną.

– Walczyli jak świeżaki? – zapytał, podejmując przerwana rozmowę. – Dlaczego tak sądzisz?

– Cóż, pamiętam, co się działo w Vegas... – odparłam, wzdrygając się na samo wspomnienie tamtych wydarzeń. – Tamci Drau byli tacy szybcy... A wy jeszcze powiedzieliście, że nocą są wolniejsi, prawda?

– No tak...

– Powiedziałaś mi wtedy, że istotnie byli wolniejsi i że nie chciałabym ich zobaczyć podczas dnia. Ale ci Drau tutaj... Zdawali się jeszcze wolniejsi. Po prostu wydaje mi się to... dziwne.

– Może dlatego, że jesteśmy głęboko w jaskiniach – zasugerował. – Tutaj jest dużo ciemniej niż na powierzchni. Może to ich dodatkowo spowolniło.

– No może...

Nie byłam jednak o tym przekonana.

– Ale w takim razie dlaczego założyli bazę właśnie tutaj, wiedząc, że w tych ciemnościach są znacznie wolniejsi i że ciężko im będzie się bronić? – zapytałam po chwili. – Tu musi chodzić o coś innego. Było ich niewielu i nie byli dobrze wyszkoleni. Wygląda to, jakby opuścili to miejsce i zostawili na straży tylko mało wartościowy oddział.

Przyspieszyłam kroku, aby zrównać się z Jacksonem.

– Jeśli wiesz coś więcej, to teraz jest dobry moment, żeby nam to powiedzieć.

– Coś więcej? – zapytał, nawet nie patrząc w moją stronę.

– Dlaczego założyli tu bazę?

– Nie wiem nic na pewno – odparł. – Ale jeśli mam zgadywać, to pewnie z uwagi na odludność tego miejsca. Nawet speleolodzy nie wiedzą o tych jaskiniach, więc nie ma ryzyka, że wpadną na nich jacyś ludzie. A do tego jest tu wystarczająco dużo miejsca na ich potrzeby.

– Dlaczego więc te patrole były takie słabe? – nie dawałam za wygraną.

W odpowiedzi tylko wzruszył ramionami.

Chwyciłam go za ramię i zmusiłam do zatrzymania się. Chociaż tak naprawdę nie byłam wystarczająco silna, żeby zmusić go do czegokolwiek. Pozwolił mi się zatrzymać. Może więc będzie jednak skłonny udzielić jakichś odpowiedzi? Z nim nigdy nic nie było wiadomo.

– Czy my właśnie wchodzimy w zasadzkę? – zapytałam zdezorientowana.

– Nie – odparł, po czym zwrócił się do Luki i Tyrone’a: – Sytuacja jest zbliżona do tej w Arizonie.

Obaj kiwnęli głowami. Czyli doskonale wiedzieli, o co mu chodzi. Tylko ja nadal nie byłam ani odrobinę mądrzejsza.

– A jaka była sytuacja w Arizonie? – zapytałam, wodząc wzrokiem między Luką a Tyrone’em.

Obaj milczeli i wbili wzrok w Jacksona, który zacisnął wargi i również milczał. Po kilku chwilach jednak się odezwał.

– Łatwiej ci będzie to zrozumieć i w to uwierzyć, gdy zobaczysz sama – powiedział bezbarwnym tonem.

Wyglądało na to, że nie dowiem się nic więcej. Spodziewałam się, że po prostu pójdzie dalej bez słowa, jak to miał w zwyczaju. Stał jednak przez ponad minutę w milczeniu i dopiero wtedy ruszył. Parsknęłam.

– Przewidywalny – rzuciłam pod nosem.

Niczym nie zdradził, że mnie usłyszał. Po kilku krokach odezwał się jednak, nie odwracając głowy:

– I dobrze mi z tym.

Tyrone podążył za Jacksonem, a ja z Luką ponownie szliśmy obok siebie.

– Opowiedz mi o Arizonie – poprosiłam.

– To był słabo chroniony kompleks – odparł. – Drau zostawili tylko szkieletową obsadę. Ewidentnie nie spodziewali się, że ich tam zaatakujemy. Sądzieli, że są dobrze zakamuflowani. Weszliśmy i wyszliśmy bez większych problemów.

Jego wyjaśnienie, zamiast uspokoić, tylko mnie bardziej zaniepokoiło. Nie chodziło o to, co powiedział, lecz o to, czego nie powiedział. Coś w jego głosie mówiło mi, że tamta misja wcale nie przebiegła tak gładko, jak sugerował. Rzuciłam okiem na jego twarz, ale nic z niej nie wyczytałam poza determinacją i napięciem. Cokolwiek tam się wtedy stało, Luka nie miał zbyt miłych wspomnień.

– Nie sądzisz, że wyciągnęli wnioski z tamtej sytuacji? – podjęłam po chwili.
– Że tym razem może na nas czekać pułapka?

– Nie – powiedział Tyrone z dziwną pewnością w głosie. – Drau mają pewną dziwną cechę... Tak jakby zupełnie nie uczyli się na własnych błędach. Jakby po-

szczególne grupy nie informowały pozostałych o różnych wydarzeniach.

– Bo tak właśnie jest – wtrącił Jackson, zatrzymując się i odwracając do nas.
– Drau są gwałtowni, lubią przemoc. Są drapieżnikami. Wyobraźcie sobie dumne lwy przepelnione nieopanowaną agresją. Czują pewne więzi społeczne, ale też nieustannie ze sobą rywalizują. Tak jak drapieżniki na Ziemi. Jest to jedna z rzeczy, które działają na naszą korzyść. Chociaż potrafią przeprowadzać groźne, doskonale skoordynowane ataki, ciągle walczą między sobą. Poszczególne grupy są tylko luźno powiązane ze sobą. W wielu przypadkach potrafią rzucić się nawzajem do gardeł, zamiast współpracować. Komunikacja między nimi jest szczątkowa i niewydolna. Prawa ręka często nie wie, co robi lewa, jak mówi stare powiedzenie.

Przez chwilę chciałam zwrócić mu uwagę, że on również nie jest mistrzem skutecznej komunikacji, ale po krótkim zastanowieniu zrezygnowałam. Zamiast tego zdecydowałam się pociągnąć go za język.

– Jeśli tak jest u nich kiepsko z wzajemną komunikacją i organizacją, jakim cudem zdołali podbić tak wiele planet?

– Dzięki nieustępliwości, brutalności, bezwzględności i zwykłej przewadze liczebnej – odparł nieprzyjemnym tonem Jackson.

Jak zwykle musiał mieć ostatnie słowo.

Ruszyliśmy dalej. Po kilku minutach odezwał się Luka:

– Ta ich natura drapieżnika musi wyzwać astronomiczną wręcz potrzebę rywalizacji z innymi i między sobą.

– To ma sens – powiedział Tyrone, rzucając spojrzenie przez ramię. – Sprawa, że czują potrzebę podbijania kolejnych planet, mimo że nie potrafią zbyt wiele ze sobą współpracować.

– Zupełnie tak, jak było z wyścigiem kosmicznym – wtrąciłam.

Poczułam na sobie spojrzenia całej trójki. Nawet Jackson się zatrzymał i wyraźnie czekał, aż powiem coś jeszcze. Byłam kompletnie zaskoczona. Przecież nie powiedziałam niczego odkrywczego. A może nie wiedzieli, o co mi chodziło?

– No wiecie, rywalizacja kosmiczna z lat pięćdziesiątych dwudziestego wie-

ku? Kiedy Sowieci wystrzelili sputnik, co doprowadziło do wyścigu na Księżyc?

– Chcesz powiedzieć, że Drau są zupełnie niczym ludzie? – zapytał Jackson.

Coś w jego głosie wzbudziło we mnie przekonanie, że odpowiedź na jego pytanie będzie bardzo ważna.

– Nie wiem. Nie znam Drau wystarczająco dobrze – powiedziałam, posyłając wzrokiem nieme pytanie: „A czyja to wina?”. – Niektórzy ludzie zdecydowanie zachowują się jak drapieżniki. Wielu rywalizuje ze sobą nawzajem. – Zawiesiłam na chwilę głos. – A niektórzy są zwyczajnie skrytymi, małomównymi, egoistycznymi...

– ...dupkami – dokończył za mnie Jackson z lekko ironicznym uśmiechem.
– Rozumiem. Idziemy.

Jak powiedział, tak zrobił.

Zaskoczony Tyrone uniósł brwi. Luka przybrał zaciętą minę i patrzył to na mnie, to na Jacksona. Wzruszyłam ramionami i ruszyłam przed siebie. Mogłam wyjaśnić zachowanie Jacksona z takim samym powodzeniem – czy też raczej z takim samym brakiem powodzenia – jak oni. Każda zaś próba dochodzenia jego motywacji przyprawiała mnie o ból głowy. Z jednej strony odnosiłam wrażenie, że Jackson dąży do tego, żebym go lepiej poznała. Z drugiej strony odgradzał się ode mnie grubą ścianą, przez którą nie przebiłby się nawet czołg.

Luka przyspieszył kroku, zrównując się z Tyrone'em i zostawiając mnie z tyłu.

– Luka – zapytałam – co się dzieje z Drau, gdy ich trafiamy naszą bronią? W jednej chwili stoją przed nami, a w kolejnej już ich nie ma. Wygląda to tak, jakby pochłaniała ich jakaś czarna ameba. Wiesz, te duże jednokomórkowce, o których uczyliśmy się na biologii? Mam wrażenie, jakby Drau byli wchłaniani i... trawieni przez tę czarną maź.

Luka spojrzał na mnie ponuro.

– Przykro mi, Miki – odparł – ale nie wiem, co się z nimi dzieje. Mam jednak podobne skojarzenia co ty. – Skrzywił się. – Staram się więc o tym nie myśleć.

Zanim zdążyłam powiedzieć coś więcej, Jackson zatrzymał się i uniósł dłoń.

– Broń – rzucił twardo.

Wyciągnęłam swój walec i poczułam tak silny przypływ adrenaliny, że aż zakręciło mi się w głowie i musiałam oprzeć się drugą ręką o ścianę. A już miałam nadzieję, że z każdym użyciem będzie coraz łatwiej. Niestety, prawda była inna. Nadal ogarniało mnie takie samo przerażenie jak za pierwszym razem. Jackson chwycił mnie za ramię i odciągnął w bok tak, że staliśmy obok siebie, opierając się plecami o ścianę korytarza. Tyrone i Luka przypadli do przeciwległej ściany. Czułam się tak, jakbym miała w środku naprężoną do granic możliwości sprężynę.

Staliśmy w ciszy. Każda sekunda wydawała się rozciągać w całą wieczność. Nagle instynkt nakazał mi zamknąć oczy. Ułamek sekundy później Jackson rzucił komendę.

– Zamknąć oczy!

Światło, które momentalnie pojawiło się przede mną, było tak jaskrawe, że bez trudu przebiło się przez powieki. Czułam się tak, jakby ktoś próbował laserem wypalić mi źrenice.

Żołądek zacisnął się w ciasny węzeł, nogi odmówiły posłuszeństwa i poczułam, jak osuwam się na ziemię.

– Padnij – warknął Jackson, opierając dłoń na moim barku, lekkim naciskiem polecając mi zostać na ziemi. – Teraz – rzucił.

Rozwarłam powieki na parę milimetrów, żeby światło mnie nie oślepiło. Zobaczyłam sylwetki dwóch obcych zmierzających w moją stronę z drugiego końca zalanego światłem korytarza. Poruszali się szybko i płynnie. Jaśniejąca, szklista skóra, prawie ludzkie rysy... Jackson stał już na nogach przy moim prawym ramieniu. Poderwałam się do przykłąku, nabrałam powietrze do płuc i wycelowałam. Przy wydechu skoncentrowałam całą siłę woli na walcu. Ku mojemu zadowoleniu z otwartego końca wyleciała znajoma, oleista masa.

Ale tym razem nie było tak łatwo. Obcy rzucili się na boki i mój strzał kompletnie chybił. Byli szybsi od poprzedniej dwójki. Nie będzie ich tak łatwo zdjąć.

Luka mówił, że Drau dzielą się na strażników, specjalistów, dowódców i komandorów. Którymi byli ci dwaj? Gdzie na tej skali plasowała się tamta dwójka napotkana wcześniej? W jaki sposób miałam ich niby rozróżnić?

Wstałam z klęczek i wpadłam w znany rytm kata poznany na treningach kendo. *Okuri-ashi* – postawa podstawowa. *Zenshin kotai* – w przód i w tył. *Hira-ki-ashi* – obrót. Musiałam być w ciągłym ruchu, nie mogłam pozostać w jednym miejscu na dłużej niż mgnienie oka. Jeśli zatrzymam się, żeby dobrze wycelować, trafią mnie. Unikałam ich ataków z szybkością i pewnością wyuczonymi podczas długich treningów i walk na turniejach. Walczyłam podświadomie, nie zastanawiając się nad kolejnymi posunięciami. Przerazenie tylko przyspieszało moje ruchy.

Zobaczyłam nadciągających kolejnych dwóch obcych. Po chwili z bocznej odnogi wypadło jeszcze trzech. Niedługo potem straciłam rachubę. Nie miało to zresztą znaczenia; liczyły się tylko obrót, szybkie wycelowanie i strzał. Metalowy walec w mojej dłoni był lodowato zimy. Odrzut podrywał moje ramię po każdym strzale, ale coraz lepiej dawałam sobie radę z przeciwdziałaniem mu. Kendo nauczyło mnie nie tracić koncentracji pod wpływem stresu. Nie było czasu na kombinowanie i planowanie. Była tylko walka – albo ja ich, albo oni mnie.

Nauczyłam się już nie patrzeć im w oczy, ale to nie chroniło mnie przed ich bronią. Wiele razy czułam palący ból towarzyszący tysiącom malutkich, świetlistych igieł wbijających się w moje ciało. Padnięcie, przewrót, strzał, unik, wyprost, kolejny strzał. Nie dopuszczałam do świadomości ogarniającego mnie strachu, cały czas utrzymując go na skraju myśli. Byłam całkowicie skupiona na walce, jednak gdzieś podświadomie wyczuwałam, że coś jest nie w porządku. Byli zdecydowanie szybsi od tych spotkanych wcześniej, bardziej zorganizowani, choć wciąż nie dorównywali umiejętnościami ani szybkością tym z Vegas.

Tyrone trafił jednego z nich. Potem chyba Luka zdjął następnego. Obróciłam się i ujrzałam kolejnego tuż przede mną. Instynkt wrzeszczał w mojej głowie, nakazując ucieczkę. Przemogłam się jednak i zaatakowałam, jednocześnie starając się nie patrzeć obcemu w oczy. Strzeliłam i trafiłam. Moja broń wydała znajomy, wysoki i przenikliwy dźwięk. Poderwałam głowę i zupełnym przypadkiem, na ułamek sekundy, spojrzałam obcemu wciąganemu do mojej broni w oczy. Lśniące jak rtęć oczy, wirujące niczym burzowe chmury, z wąskimi, wydłużonymi źrenicami. Prze-

rażające, mordercze i piękne zarazem.

Oczy drapieżnika.

Czy mi się zdawało, czy też naprawdę dostrzegłam w nich strach? Ból?

Wątpliwości dopadły mnie niczym stado komarów. A co, jeśli to, co robimy, jest złe? Skąd miałam wiedzieć, że ci obcy są naprawdę tacy, jakimi rysuje ich Jackson? Co dawało mi prawo odbierania im życia? Owszem, atakowali nas za każdym razem, gdy na nich natrafialiśmy. Ale w końcu to my wkraczaliśmy na ich terytorium. A co, jeśli są takimi istotami jak ci dziwni obcy w *Star Treku*, którzy chcieli tylko obserwować życie na innych planetach?

Ale jeśli byłoby to prawdą, dlaczego nas atakują? Dlaczego nie próbują jakoś nawiązać z nami kontaktu?

Jedno było pewne – od tego obcego nie uzyskam żadnych odpowiedzi. Dokonał żywota wessany przez czarną amebę wystrzeloną z mojej broni.

Ciężko oddychając i cała się trzęsąc, rozejrzałam się wokół. Jackson patrzył na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy, celując w miejsce, w którym przed chwilą stał obcy.

– Pilnujesz mnie? – zapytałam.

– Nie mogę dopuścić, żeby coś ci się stało – odpowiedział.

Nie takiej odpowiedzi się spodziewałam. Do tego nie udało mi się wyczytać niczego z jego tonu. Nie może dopuścić, żeby coś mi się stało, bo jestem członkiem drużyny, czy też dlatego, że zależy mu na mnie? Biorąc pod uwagę upór, z jakim ciągle powtarza, że nie ma czegoś takiego jak drużyna i każdy dba o siebie, pierwsza możliwość była raczej mało prawdopodobna. Ale wybranie bramki numer dwa pociągało za sobą inne pytanie: dlaczego chcę coś dla niego znaczyć, dlaczego chcę, żeby mu na mnie zależało? Było to pytanie, z którym wolałam się jeszcze nie mierzyć.

– Nie żałuj tych istot. Nie miej dla nich żadnych uczuć – powiedział ostrym tonem. – Wierz mi, że one nie pożałowałyby ciebie.

– Skąd to wiesz? Skąd wiesz, co właśnie myślę?

– Ponieważ miałem takie same naiwne myśli, gdy zaczynałem. Daj im tylko okazję, a cię zabiją. A jeśli przypadkiem będą głodni, to zjedzą cię żywcem. Lubią jeść świeże, krwiste mięso.

Po tych słowach podwinął lewy rękaw aż po bark, odkrywając straszne blizny. Wyglądało to tak, jakby coś wyrwało mu z ramienia całe płaty mięsa i potem przykleiło niedbale z powrotem.

Nabrałam gwałtownie powietrza i odruchowo się cofnęłam. Przypomniałam sobie obnażone zęby Drau w magazynie w Vegas.

– Ale przecież leczy nas – powiedziałam przez ściśnięte gardło. – Leczy nas, gdy wracamy z misji.

– Prawda? – wyszeptał miękko Jackson. – To nie przydarzyło mi się w grze.

Była to chyba najstraszniejsza rzecz, jaką dotąd słyszałam. Czyli Drau nie są ograniczeni do tej alternatywnej rzeczywistości? W jakiś sposób dostali się do prawdziwego świata i zaatakowali Jacksona. Co prawda wtedy w parku mówił, że mogą nas podsłuchiwać, ale sądziłam, że chodziło mu tylko o satelity. Nawet przez chwilę nie podejrzewałam, że mogą kryć się gdzieś niedaleko. Wystarczająco blisko, aby nas zaatakować.

Wyciągnęłam dłoń w stronę jego ramienia, ale Jackson cofnął się gwałtownie i opuścił rękaw. Nie zdążyłam nic więcej zrobić ani powiedzieć, bo dołączyli do nas ciężko dyszący ze zmęczenia Luka i Tyrone. Zastanawiałam się, czy Jackson opuścił rękaw, żeby nie zobaczyli jego blizn czy żeby ja ich nie dotknęła.

– Jest ich więcej? – zapytał Luka.

Staliśmy wszyscy w ścisłej grupie, plecami do siebie i z bronią w gotowości.

Rozglądałam się nerwowo po okolicy, ale nie dostrzegłam nigdzie ani śladu wrogów.

– Dlaczego nie skaczemy? – zapytałam. – Zdaje się, że dorwaliśmy wszystkich.

Nie mogłam się zdobyć na wypowiedzenie słowa „zabiliśmy”.

Jackson zrobił kilka kroków przed siebie i obrócił się powoli dokoła.

– Oni nie byli celem misji – powiedział. – Natrafiliśmy na nich czystym przypadkiem. Tędy.

Ledwo skończył mówić, ruszył w prawą odnogę korytarza. To stamtąd nadeszło najwięcej obcych. Nie mając większego wyboru, podążyliśmy za Jacksonem.

Zerknęłam na Lukę.

– Co się wydarzyło w Arizonie? – spytałam.

Miałam nieodparte wrażenie, że odpowiedź na to pytanie jest bardzo istotna.

Jego twarz stężała, po czym wzruszył ramionami.

Chyba chciał pobić Jacksona pod względem bezużyteczności udzielanych odpowiedzi.

– Luka, jeśli wiesz coś ważnego, powiedz mi – nalegałam. – To może ocalić mi życie.

Spojrzał na mnie z bardzo zaciętą miną.

– Jeśli tutaj jest inaczej, niż było w Arizonie, nie ma potrzeby, żebyś to wiedziała – powiedział w końcu. – To było zbyt straszne, żeby opowiadać o tym tak po prostu. Sam wolałbym o tym zapomnieć.

– A jeśli tutaj jest tak samo, jak było w Arizonie?

– To wkrótce sama poznasz prawdę.

Ton jego głosu przyprawił mnie o ciarki na plecach. Nigdy dotąd nie był taki posępny.

Nie używaliśmy już naszych fosforyzujących prętów do oświetlania drogi. Pojawienie się obcych spowodowało rozświetlenie całego powietrza białą poświatą, która utrzymywała się długo po ich... zniknięciu. Ściany korytarza, którym teraz szliśmy, były gładko wypolerowane. Przez długi czas nie napotkaliśmy żadnego Drau, żaden nie próbował nas powstrzymać. Dręczące mnie wąpli-

wości z każdą chwilą tylko narastały.

Nagle poczułam, jak stają mi wszystkie włoski na karku. Zwolniłam kroku i zostałam nieco z tyłu za grupą. W pewnym momencie instynktownie obróciłam się, uniosłam broń i wystrzeliłam. Nie zdążyłam jednak uniknąć strzału Drau. Tysiące drobnych igieł uderzyło mnie prosto w klatkę piersiową, powodując niesłychanie silny, piekący ból.

Rozdział piętnasty

Ból sprawił, że zatoczyłam się do tyłu. Gdyby nie ściana, na którą wpadłam, z pewnością upadłabym na ziemię.

– Miki! – krzyknął Tyrone gdzieś po prawej.

Nie spuszczałam wzroku z Drau. Był tylko jeden, bez żadnego wsparcia. Za-
uważałam rzeczy, których nie dostrzegałam, gdy walczyliśmy z wieloma naraz.
Wtedy widziałam oślepiająco jasne światło i czułam tylko strach. Teraz widziałam
wyraźniej połyskliwą, szklaną powierzchnię ciała Drau. To chyba nie była skóra,
jak dotąd sądziłam. Wyglądała na jakiś kombinezon okrywający całe ciało obcego,
z otworami na oczy i usta. Nie widziałam nigdzie nosa ani uszu.

Pierwszy strzał chybił celu. Przesunęłam broń i wystrzeliłam ponownie.
Drau stał w milczeniu, gdy ciemność wystrzeliła z mojej broni w jego kierunku.
Wydawał się... skamieniały z przerażenia.

Tym razem trafiłam. Ciemność spowiła wroga i pożarła w całości. W ostat-
nim ułamku sekundy oczy Drau napotkały moje i przeszył mnie niesamowicie silny
ból. Po chwili jednak obcy zniknął i powoli odzyskiwałam czucie. W całym ciele
czułam iskry bólu – uczucie podobne do tego, które towarzyszy krwi wpływającej
ponownie do zdrtwiałej kończyny.

– Miki!

Luka dopadł do mnie, gdy osunęłam się na jedno kolano. Tuż za nim był Ty-
rone.

Uniosłam wzrok i dostrzegłam stojącego kilka metrów dalej Jacksona. Tkwił
nieruchomo z bronią wycelowaną w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał obcy.
Gdybym go nie wyeliminowała, Jackson zrobiłby to za mnie. Znowu mnie pilno-
wał.

– Wszystko w porządku – wysapałam.

Luka przykucnął obok mnie z mieszanką zmartwienia i niepewności wypis-
aną na twarzy. Przyjrzał mi się uważnie, po czym uśmiechnął się słabo.

– Niezły strzał – powiedział. – Ale jakiegokolwiek punkty, które za to dosta-

niesz, zje z nawiązką kara za ranę. Masz pecha, mała.

Wzięłam głęboki oddech i poczułam ostry, silny ból. Zamrugałam, usiłując pozbyć się sprzed oczu wirujących plam. Przy trzecim oddechu ból zelżał. Teraz czułam się raczej, jakbym dostała obuchem, a nie została dźgnięta nożem. Uniosłam przegub ręki i spojrzałam na ekran swojego koma. Był w przeważającej części zielony, z niewielkim dodatkiem żółtego. Nie było więc tak źle.

Jackson podszedł do nas i zatrzymał się w milczeniu. Po paru sekundach wyciągnął do mnie rękę. Gdy po chwili wahania chwyciłam ją, pomógł mi wstać. Miał bardzo ciepłą dłoń. Albo to moja była taka zimna. Przez chwilę trzymał jeszcze moją rękę, po czym puścił i się odwrócił. Ani słowa pocieszenia, tylko ten krótki dotyk.

– Jakoś przeżyję – wymamrotałam. – Fajnie, że zapytałeś.

– Skąd wiedziałaś, że on tam był? – zapytał, patrząc w miejsce, gdzie był trafiony przeze mnie Drau.

Chociaż pytanie było proste i zadał je na pozór niedbałym tonem, czułam, że od mojej odpowiedzi wiele zależy.

– Po prostu wiedziałam – odparłam. – Instynktownie. Tak jak wcześniej, kiedy zaatakowała nas ta duża grupa, skądś wiedziałam, żeby zamknąć oczy, zanim rozbłyśły te jasne światła. I żeby paść na ziemię, zanim padł pierwszy strzał.

– To ja ci powiedziałem, żebyś to zrobiła.

– Owszem – powiedziałaś nieco zirytowana – powiedziałaś. Ale ja już wtedy to robiłam. Im dłużej jestem w... tej grze, tym więcej rzeczy robię instynktownie.

Nic na to nie odpowiedział, tylko lekko kiwnął głową. Oczywiście nie wiedziałam jego oczu. Podświadomie wiedziałam jednak, że patrzy na mnie. I że podoba mu się to, co widzi. Że jest... ja wiem? Najlepszym słowem byłoby chyba: dumny. Owszem, pilnował mnie i ochraniał, ale też ufał, że potrafię sama o siebie zadbać. Ale nie dawało mi spokoju jeszcze coś innego. Był jednocześnie zadowolony i zły. Ambiwalentny. Dobrze jednak wiedziałam, że nie ma najmniejszego sensu pytać, dlaczego tak jest. Jackson nie zwykł odpowiadać na takie pytania. Ja jednak

potrafiłam być cierpliwa. Musiałam tylko odkryć sposób, w jaki należy zadać pytanie. Wtedy uzyskam odpowiedź.

– A skąd *ty* wiedziałeś, że Drau tam jest? – zapytałam.

Byłam pewna, że doskonale to wiedział. Zdawał sobie sprawę z zagrożenia, ale czekał. Chciał się przekonać, czy ja też je wyczuję. Dlaczego?

– Po prostu wiedziałem – odpowiedział. – Instynktownie.

Zaśmiałam się krótko i kiwnęłam głową tak samo jak on przed chwilą na moje stwierdzenie.

Luka i Tyrone wymienili zdeorientowane spojrzenia, ale nic nie powiedzieli. Jackson uznał temat za zamknięty i ruszył dalej korytarzem, a ja poszłam za nim.

Wciąż czułam skutki strzału Drau. Każdy oddech powodował klucie, ale był to tępy ból, jak zakwasy po wytężonym treningu.

W pewnym momencie Jackson ponownie uniósł rękę i bez słowa przypadł plecami do ściany. Wszyscy zrobiliśmy to samo, a on wyjrzał powoli, bardzo powoli, za zakręt korytarza. Wyraźnie zadowolony z tego, co zobaczył – lub że niczego nie zobaczył – dał nam znak, abyśmy ruszyli za nim.

Gdy minęliśmy kolejny zakręt, zobaczyłam światło jasne jak lipcowe słońce. Blask wzmacniały białe ściany, biała podłoga i biały sufit – wszystko wypolerowane na wysoki połysk. Zatrzymałam się porażona tym, co jeszcze zobaczyłam.

W jaskini, czy też raczej hali, było pełno ludzi. Nie obcych, ludzi.

Martwych ludzi.

Całą halę wypełniały liczne rzędy leżących na wznak dziewczyn. Wszystkie miały zamknięte oczy i obnażone kończyny. Na piersiach i biodrach miały paski białego materiału, przypominające sportowe staniki i krótkie spódniczki. Na pierwszy rzut oka zdało mi się, że unoszą się w powietrzu. Po bliższym przyjrzeniu się dostrzegłam białe łóżka na kółkach. Tak jasne, że zlewały się w jedno ze ścianami i podłogą. Biel na tle bieli.

Powietrze wypełniał jednostajny szum, przerywany co jakiś czas krótkimi

piknięciami i sykami. Po chwili dostrzegłam, że klatki piersiowe wszystkich dziewczyn unoszą się miarowo, w idealnej synchronizacji.

Myliłam się więc, wcale nie były martwe.

Były co do jednej podłączone rurkami do jakichś maszyn. Nie rozpoznałam, czy maszyneria była produkcji ludzkiej, czy obcej. Rozpoznawałam jednak część przyrządów i potrafiłam odgadnąć zastosowanie pozostałych.

Trzy tygodnie po rozpoczęciu chemioterapii mama trafiła na OIOM z zapaleniem płuc. Żeby nie zwariować podczas odwiedzin, wypytywałam pielęgniarki o wszystkie urządzenia, do których mama była podłączona. Wiele tutejszych przyrządów wyglądało podobnie. Były pikające monitory i syczące respiratory. Z nóg lub z okolic obojczyków dziewczyn sterczały idące do innych maszyn rurki. Jedna z pielęgniarek powiedziała, że służą do mierzenia poziomu tlenu we krwi i innych takich. Rurki wystające z klatek piersiowych odprowadzały płyn z płuc i zapobiegały ich zapadnięciu się.

– O rany – wysapał Luka, przeczesując palcami włosy. – Stary, to nie wygląda dobrze. Jest ich zbyt dużo.

– Co to za miejsce? – zapytałam. – Kim są te dziewczyny?

– To jest większe od tamtego, co znaleźliśmy w Arizonie – powiedział Luka, kręcąc głową, jakby nie słyszał mojego pytania. – To nie wygląda dobrze, Miki.

– To wręcz wygląda bardzo źle – wtrącił Tyrone. – Ochrona była zbyt słaba na coś tak wielkiego. Nawet jeśli byli pewni, że nie uda nam się ich znaleźć. Taka garstka strażników na coś takiego?

Spojrzał na Jacksona.

– Myślisz, że to pułapka?

– Jeśli tak, to strasznie kiepska – odparł Jackson. – Raczej poszczęściło się nam. Może trafiliśmy na jakąś reorganizację albo część strażników wysłali do wzmocnienia obrony innego miejsca.

Coś w jego głosie przykuło moją uwagę. Tak jakby sam nie do końca wierzył w to, co mówił. Ponownie też przeklełam w myślach te cholerne lustrzanki,

przez które nie widziałam jego oczu i nigdy nie wiedziałam, kiedy na mnie patrzy.

– To nieistotne – powiedział, wruszając ramionami. – Koniec pogaduszek, czas wziąć się do roboty. Tyrone, zajmij się zapasami. Rozwal wszystko, co da się rozwalić. Luka, Miki, pomożecie mi z maszynami.

– Kim one są? – zapytałam ponownie. – Co jest z nimi nie tak?

– Nic nie jest z nimi nie tak – powiedział Jackson ostrym, ponurym tonem. – Co jednak nie znaczy, że wszystko jest z nimi w porządku.

Typowa odpowiedź Jacksona. Zupełnie bezużyteczna.

Odwróciłam się na dźwięk tłuczonego szkła. Zobaczyłam Tyrone'a stojącego przy przeciwległej ścianie. Czy raczej tym, co początkowo wzięłam za ścianę, a co okazało się rzędem szaf o gładkich, szklanych drzwiach. Tyrone rozbił drzwi jednej z nich i teraz zgarniał ręką zawartość półek na ziemię. Wszystko, co nie potłukło się od uderzenia o podłogę, niszczył butem.

– Nic nie jest z nimi nie tak? – zwróciłam się ponownie do Jacksona. – Są nieprzytomne i podłączone do tej całej maszynerii.

Zmarszczyłam nos. Zapach unoszący się w powietrzu był dziwny. Zapach szpitala wymieszany z czymś organicznym, przywodzącym na myśl zbiornik z kompostem. Zdecydowanie nie była to przyjemna woń.

Jackson nie miał najmniejszego zamiaru udzielać dalszych wyjaśnień. Powinam pewnie cieszyć się, że w ogóle odpowiedział.

– Do roboty – rzucił ostro.

Luka podszedł do rzędu łóżek znajdującego się najbliżej Tyrone'a. Z dziwnym grymasem wyłączył respirator. Klatka piersiowa dziewczyny opadła i już więcej się nie podniosła.

Ten widok przywołał jedno z moich najstraszniejszych wspomnień – ostatni oddech mamy. Świst wydychanego powietrza, a potem... cisza. Nagle poczułam się wyrwana z teraźniejszości i rzucona z powrotem do tamtej sali szpitalnej.

– Zaczekaj! Nie! – Skoczyłam do przodu, ale Jackson chwycił mnie za ramię

i osadził w miejscu.

– To nie są ludzie – powiedział, wyłączając najbliższy respirator.

– Co ty robisz? – krzyknęłam. – Zabijasz je!

Odrąciłam jego rękę i sięgnęłam do wyłącznika, żeby na powrót włączyć maszynę. Może jeszcze zdążę ją uratować! Gdzieś w mojej głowie świtała myśl, że nie działałam racjonalnie. Ale w tej chwili byłam w stanie myśleć tylko o mamie leżącej w łóżku – takiej szarej, takiej małej, takiej... martwej.

– Pomóż mi go powstrzymać! – krzyknęłam do Luki, zapominając, że przecież on przed chwilą wyłączył respirator innej dziewczyny.

Jackson ponownie chwycił moją rękę.

– Nie mamy czasu na kłótnie – powiedział cicho i spokojnie. – Mogą tu mieć alarm. Lada chwila może na nas spaść kolejna fala Drau. Tym razem dobrze wyszkolonych Drau, a nie świeżych rekrutów.

– Przed chwilą zabiłeś niewinną dziewczynę! – krzyknęłam w odpowiedzi.

Zrobiło mi się niedobrze. Jackson okazał się potworem. Przypomniałam sobie, jak objął mnie w parku. Jak przyłgnęłam twarzą do jego piersi. Jak sprawił, że chociaż przez kilka chwil czułam, że świat normalnieje. Wtedy pozwoliłam mu się objąć. Pozwoliłam mu też obejmować mnie, kiedy spałam. Prawie pozwoliłam mu się pocałować. Ufałam mu, ba, lubiłam go. A teraz zabija niewinne dziewczyny! I Luka robi to samo... Do tego wygląda na to, że obaj oczekują, iż pójdę w ich ślady. Tylko że tym razem to nie byli obcy, którzy – jeśli ja ich nie zabiję – zabiją mnie. To byli ludzie!

Ponownie sięgnęłam do wyłącznika respiratora, próbując powstrzymać obficie napływające do oczu łzy.

Jackson westchnął ciężko, ze zniecierpliwieniem.

– Miki, opanuj się. To nie są ludzie!

Obróciłam się twarzą do niego, ciężko dysząc, wypełniona złością, strachem i odrazą. Pamiętałam dobrze rzędy pacjentów w szpitalu, siedzących w odchyła-

nych fotelach, poddawanych chemioterapii. Mężczyzn, kobiety, dzieci... mamę.

– Tylko dlatego, że są nieprzytomne? – zapytałam przez łzy. – Dlatego, że tkwią w śpiączce. To wciąż ludzie!

– Nie, nie są ludźmi. I nigdy nimi nie były. Spójrz – powiedział, wskazując na rurkę, która jeszcze jakiś czas temu pompowała płyn do brzucha dziewczyny.

Przyglądałam się jej, próbując dostrzec to, co chciał mi pokazać.

Rurka wnikała w ciało dziewczyny powyżej pępka. To znaczy wnikałaby powyżej pępka, gdyby on tam był. Ale brzuch leżącej był płaski. Pokręciłam głową.

Jackson wyrwał garść przewodów elektrycznych podłączonych do karku nieżywej już dziewczyny, po czym rozejrzał się dokoła. Najwyraźniej nie znalazł tego, czego szukał, bo wyciągnął z pochwy swój nóż. Krzyknęłam z przerażeniem, kiedy zamaszystym ruchem przeciął czaszkę leżącej. Ostrze przeszło przez kość jak przez masło! Miałam wrażenie, że zaraz zwymiotuję.

Jackson stuknął czaszkę koło śladu po cięciu rękojeścią noża, sprawiając, że czubek głowy odskoczył niczym pokrywa bidonu.

Pustego bidonu.

Głowa dziewczyny była zupełnie pusta.

W środku nie było mózgu, nie było krwi – nie było niczego. Żadnego śladu, nic. Puste pudełko z kości. Jedyne krew wyciekała z przeciętych naczyń na skórze głowy.

– Bez mózgu, bez pępka – wyszeptałam.

– One nigdy się nie urodziły, nigdy nie miały pępowiny – powiedział Jackson. – To jest placówka eksperymentalna obcych. Wyhodowali je tu, aby wykorzystywać do przenoszenia własnych jaźni. Są kombinezonami, które mieli nosić Drau. Ale my pokrzyżujemy ich plany.

– Wtedy w parku – wyszeptałam – kiedy zapytałam, kto mógłby nas usłyszeć, powiedziałam, że przecież zobaczylibyśmy Drau. Odpowiedziałeś,

że niekoniecznie. Pomyślałam, że to dlatego, iż potrafią przejmować ludzką technologię, jak choćby satelity. Że mogą nas w ten sposób podsłuchiwać. Ale... – Nie mogłam znieść widoku dziewczyny leżącej na łóżku. Nie mogłam jednak też odwrócić wzroku. – Ale to nie była cała prawda. Mogą też stać tuż obok nas, a my się nie zorientujemy. Bo potrafią się doskonale schować. Wejść w ludzkie ciało.

Groza ścisnęła mi gardło.

– Tak... – powiedział i nagle urwał.

Wtedy coś do mnie dotarło. Jego blizny. Takich ran nie mógł spowodować człowiek. Czy też raczej ludzkie ciało z kryjącym się w środku obcym. Te rany zadał mu Drau. W prawdziwym świecie. Zaczęły mi się trząść dłonie. Jackson wyciągnął rękę i ścisnął na krótko jedną z moich.

– Teraz naszym zadaniem jest dopilnowanie, żeby nie mogli nigdy wykorzystać tych... powłok – powiedział spokojnie. – Dlatego też, Miki, musisz nam pomóc. Ruszaj do następnego rzędu łóżek.

Stałam jak skamieniała, wpatrując się w niego rozszerzonymi oczami. Myślałam o tym, co kiedyś powiedział. Że nie uwierzę w to, co powie, dopóki nie zobaczę tego na własne oczy. Zdecydowanie wolałabym jednak tego nie widzieć.

– Idź – dodał nagłaco, wyrywając mnie z otępienia.

Podbiegłam do następnego rzędu łóżek. Kątem oka dostrzegłam, jak Jackson wyciąga rurkę tracheotomijną z gardła dziewczyny. Nie myślałam, po prostu mechanicznie wykonywałam kolejne czynności. Wyłączyłam respirator, wyciągnęłam rurkę... Wtedy mój wzrok padł na twarz dziewczyny. Była dokładnie taka sama jak tej, która leżała na poprzednim łóżku. Jasnobrązowe włosy, długie rzęsy, wysoko osadzone kości policzkowe. Była śliczna. W jej rysach było coś dziwnie znajomego. Poruszałam się szybciej, wyciągając kolejne rurki, odłączając maszyny. Kolejne łóżko i kolejne, i kolejne... A na wszystkich identyczne dziewczyny o identycznych twarzach.

Wtedy, ni stąd, ni zowąd, naszła mnie straszna myśl. Obróciłam głowę i spojrzałam na Jacksona.

– Czy to je boli?

Moje pytanie odbiło się echem od ścian i sufitu hali. Ręce Jacksona zamarły na wyciąganej właśnie rurce. Nie podniósł jednak wzroku.

– Nie mają mózgow – stwierdził. – A co za tym idzie, nie mają gdzie przetwarzać sygnałów bólu. Nie robisz im krzywdy. Poza tym nie można zabić czegoś, co nigdy tak naprawdę nie żyło.

Miał rację, ale i tak czułam się podle. Odepchnęłam wszystkie uczucia w kąt umysłu i robiłam swoje łóżko po łóżku, przy akompaniamencie szkła tłuczonego przez Tyrone’a. Przy każdym wyłączanym respiratorze musiałam jednak powtarzać sobie, że te dziewczyny nie żyją i tak naprawdę nigdy nie żyły. Były jakimiś dziwacznymi klonami bez mózgow. Mogły oddychać tylko dzięki maszynom. Były zaledwie powłokami, które miały zostać wykorzystane w wojnie z ludzkością. Szpiegami doskonałymi, a może nawet doskonałą skrytobójczą bronią.

Starłam się uspokoić oddech i nie stracić mojej niezbyt stabilnej równowagi psychicznej. Smród, który czułam wcześniej, przybierał na sile z każdym kolejnym łóżkiem. Szpitalny zapach nakładający się na słodkawą woń, przypominającą swąd płonącej gumy zmieszany z zapachem świeżego bekonu i plantacji grzybów, koło której kiedyś z tatą przejeżdżaliśmy. Rzuciłam okiem na pozostałych i zauważyłam, że Luka przyciska do nosa wierzch dłoni, operując przy maszynach tylko jedną ręką. Nie tylko ja czułam ten smród.

– Gotowe – powiedział kilka minut później, docierając do końca swojego rzędu łóżek.

– Gotowe – powiedział po chwili Jackson.

– Co to za diabelny smród? – zapytał Tyrone.

Przełączyłam wyłącznik ostatniego respiratora, wyciągnęłam ostatnią rurkę i wyszarpnęłam ostatnie przewody.

– Gotowe – wykrztusiłam, ledwo powstrzymując nudności.

Zmusiłam się do zrobienia głębokiego wdechu i niemal zwymiotowałam. Przyjrzałam się uważnie ciału leżącemu przede mną i dostrzegłam pewne rzeczy, które wcześniej umknęły mojej uwadze.

Skóra na stopach dziewczyny była dziwna. Była blada i połyskliwa, a do tego wszystkie palce miała pokryte nabrzmiałymi pęcherzami. Przesunęłam wzrok na jej łydki i dostrzegłam więcej pęcherzy. Obróciłam się i zbadałam ciało na wcześniejszym łóżku. Kończyny tej dziewczyny były w jeszcze gorszym stanie. Od jej stóp odpadały całe płaty skóry, a pęcherze sięgały ud. Kolejna dziewczyna nie miała części skóry na dłoniach, a ramiona miała dziwnie odbarwione.

Wtedy udało mi się w końcu zidentyfikować tę dziwną woń – to był smród rozkładu. Wszystkie ciała gniły, przy czym te, przy których obecnie staliśmy, były w zdecydowanie gorszym stanie niż te leżące na łóżkach bliżej wejścia. Przełknęłam ślinę, starając się powstrzymać podchodzącą do gardła żołąć.

– Chyba już wiem, dlaczego to miejsce było tak słabo chronione – powiedziałam głośno.

Poczułam na sobie badawcze spojrzenia pozostałej trójki.

– Z tymi dziewczynami jest coś nie tak. Cokolwiek Drau planowali, to... – wykonałam kilka szybkich gestów rękami, szukając właściwego słowa – ...ta partia im się nie udała. One gniją, rozkładają się. Stąd ten smród. Drau nie dbają już o nie, bo nie wyszły im tak, jak chcieli.

Wskazałam na stopy dziewczyny, przy której stałam.

– Po co chronić coś, co jest zepsute?

Jackson podszedł do mnie i przyjrzał się uważnie pęcherzom i gnijącej skórze. Przez cały czas jego twarz pozostawała całkowicie bez wyrazu.

– Masz rację – powiedział.

Nie wydawał się specjalnie zaskoczony. Nagle naszła mnie zwariowana myśl: co, jeśli Jackson od początku wiedział, dlaczego jest tu tak niewiele i tak słabo wyszkolonych Drau? Chciał się przekonać, czy dojdę do sedna? Pokręciłam głową i odrzuciłam tę myśl. Dlaczego niby miałby to robić? Dlaczego miałby nam tego nie mówić?

– Czy to jest sprawdzian? – zapytałam cicho, żeby tylko on mógł mnie usłyszeć.

Obrócił się do mnie twarzą.

– Sprawdzian czego?

– Nie wiem – odparłam. – Ty mi powiedz.

– Gdyby to był sprawdzian, zdałabyś go z wyróżnieniem.

Skoro tak, to dlaczego był z tego powodu taki zły?

– Zaczekajcie tutaj – powiedział głośniej, po czym ruszył przez pomieszczenie i pociągnął za klamkę drzwi, które dostrzegłam dopiero teraz.

Klamka obróciła się, ale drzwi ani drgnęły. Jackson wyciągnął swoją broń, dotknął boku walca, po czym wystrzelił w stronę drzwi. Tym razem jednak zamiast czarnej, mazistej masy z lufy wystrzelił silny strumień pary.

– Widziałam kiedyś w telewizji taki program, w którym pokazywali, jak pewna firma w Teksasie używa maszyn wystrzeliwujących wodę pod takim ciśnieniem, że strumień przecinał stal – powiedziałam.

Jackson nie odpowiedział. Z drugiej strony – czego się spodziewałam? Włożył broń z powrotem do kabury i stuknął lekko klamkę, wskutek czego ta upadła na ziemię z głośnym brzękiem. Wszedł do pomieszczenia po drugiej stronie i ostentacyjnie przymknął za sobą luźne skrzydło drzwi.

Spojrzałam na Lukę i Tyrone'a.

– Czy on zawsze to robi?

– Robi co? – zapytał Luka ostrożnie.

– Bierze chwilę dla siebie?

Powiedziałam to dość złośliwym tonem, ale było mi wszystko jedno. Na poprzedniej misji też zniknął na kilka chwil pod koniec, kiedy czekaliśmy na skok. I teraz robi to ponownie.

– Nie zawsze – powiedział Luka.

– Dlaczego utrzymywali je przy życiu, skoro cała partia była wadliwa? – zapytał Tyrone, przypatrując się ze zmarszczonymi brwiami jednej z dziewczyn. –

Dlaczego po prostu nie zniszczyli ich i nie zrobili nowych?

– Może mieli nadzieję, że część się uda? – odpowiedziałam w roztargnieniu, wciąż wpatrując się w drzwi, za którymi zniknął Jackson. – Gdy przypalisz tacę ciastek, nie wyrzucasz wszystkich od razu, tylko czekasz, aż ostygną, w nadziei, że kilka będzie wciąż... – Zawahałam się, zdając sobie sprawę, jak nie na miejscu jest ta analogia. Ale skoro powiedziało się „A”, to wypada powiedzieć „B”. – ...jadalne – dokończyłam.

– To było obrzydliwe – powiedział Luka, krzywiąc się.

– Prawda.

Dalej patrzyłam na przyknięte drzwi. Może powinnam posłuchać Jacksona i po prostu tu na niego poczekać? Ale to w końcu nie ja zdecydowałam, że wezmę udział w tym koszmarze. Mogłam zwinąć się w kłębek i czekać na rozwój wydarzeń albo zrobić to, o czym mówił Jackson, gdy byliśmy we dwójkę w labiryncie korytarzy: chwycić za ster i samodzielnie obrać kierunek. Jeśli informacja to władza, musiałam dowiedzieć się jak najwięcej. W tym odkryć, co kryje się za tamtymi drzwiami.

Zrobiłam krok do przodu, ale Luka zablokował mi drogę wyciągniętą ręką.

– Miki – powiedział ostrzegawczym tonem.

Oprócz ostrzeżenia wyczułam w jego głosie olbrzymią troskę. To tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że muszę koniecznie zobaczyć, co Jackson tam robi.

– Czy wiecie, co on tam robi? – zapytałam.

Luka i Tyrone wymienili spojrzenia, które mogły oznaczać, że owszem, wiedzą, albo że nie mają ochoty wiedzieć.

Ale ja zdecydowanie miałam ochotę się tego dowiedzieć. Zanurkowałam pod ramieniem Luki i pobiegłam do drzwi, zanim zdążył mnie powstrzymać. Szarpnęłam za skrzydło i zamarłam. Pomieszczenie miało wielkość sporego schowka na szczotki. Było tu dużo zimniej niż w głównej hali. Z każdym oddechem z moich ust wylatywał mały obłoczek pary. W środku stało jedno łóżko,

na którym też leżała dziewczyna. Wyglądała jednak inaczej: miała dużo ciemniejszą karnację, była też drobniejsza i chyba niższa, chociaż tego ostatniego nie mogłam być pewna. Chorobliwa szarość skóry utrudniała ocenę, ale wyglądała też na starszą.

Jackson podniósł głowę i spojrzał na mnie. Palce miał zaciśnięte na przewodach wystających z szyi dziewczyny. Nie mogłam nic wyczytać z jego wyrazu twarzy, ale nie wydawał się specjalnie zaskoczony moją obecnością.

– Czy ty kiedykolwiek robisz to, co ci się mówi? – zapytał.

Pokręciłam głową.

– Lubię sama podejmować decyzje i wolę wszystko zobaczyć na własne oczy.

Przez głowę przebiegał mi cały tabun myśli. Dlaczego przymknął za sobą drzwi? Dlaczego ta dziewczyna została oddzielona od pozostałych? Dlaczego nie chciał, żebym ją zobaczyła?

Wtedy zobaczyłam coś, co sprawiło, że wszystkie te pytania stały się nieistotne. Ta dziewczyna miała pępek.

– Ona nie jest tylko powłoką – wyszeptałam. – Ona jest człowiekiem.

– To jest pierwotny dawca – powiedział Jackson bezbarwnym tonem.

– Czyli co? Wykorzystują ją do stworzenia tej armii? – zapytałam, wskazując palcem za plecy.

– Tak.

– Ale przecież te klony wyglądają zupełnie inaczej...

– Drau zbierają materiał genetyczny i przekazują go do takich ośrodków rozrzuconych po całym świecie – powiedział Jackson, spoglądając na ciało dziewczyny. – Z tego jeszcze nie pobrali wszystkiego, co chcieli. Utrzymywaliby jej ciało przy życiu jeszcze przez jakiś czas, po czym rozesłaliby próbki, a ją unicestwili.

– Wykonasz więc robotę za nich i zabijesz ją teraz? – zapytałam ze złością. – Nie możesz tego zrobić! Jackson, ona przecież nie jest taka sama jak tamte! Ona

nie jest... – Machnęłam ręką, szukając właściwego słowa. – Jej nie wyhodowali. Ona jest człowiekiem!

– Nie zabijam jej – odparł Jackson. – Ona już nie żyje.

Spojrzałam na pracujące maszyny, rurki i przewody.

– Skąd to wiesz? Może wciąż można ją uratować? Może moglibyśmy...

Jackson bez słowa wyciągnął swój nóż.

– Nie! – krzyknęłam, rzucając się na niego i zaciskając obie dłonie na jego nadgarstku.

Poczułam, jak pod moimi palcami naprężają się jego ścięgna. Wyrwał rękę z uścisku, po czym zamaszystym ruchem ciął...

Górna część czaszki dziewczyny upadła z głuchym stukiem na podłogę. Wewnątrz widać było wyraźne plamy krwi... ale nie było mózgu. Zabrali jej mózg! Zadrżałam i objęłam się ramionami.

– Dlaczego to zrobili? – zapytałam drżącym głosem. – Dlaczego wyjęli jej z głowy mózg?

Myślałam, że mi nie odpowie. Gdy jednak mi odpowiedział, pożałowałam zadania tego pytania.

– To dla nich przysmak.

Gapiałam się na niego z otwartymi ustami.

– Potrzebują tylko jej ciała – kontynuował. – Działający mózg jest im zupełnie niepotrzebny. Więc go usunęli.

Zakryłam usta dłonią, starając się stłumić okrzyk strachu i odrazy.

– Ona już nie żyje – powiedział ponownie Jackson, tym razem łagodniej.

Unióśł głowę i obrócił do mnie twarz. Bardzo chciałam zobaczyć jego oczy, poznać kryjące się w nich emocje, odnaleźć w nim bratnią cząstkę człowieczeństwa. Ale widziałam tylko samą siebie odbitą w lustrzanych szklach jego okularów. Błądą i wstrząśniętą.

Nagle poczułam, że mam już tego dość.

Bez słowa sięgnęłam do jego twarzy, zerwałam mu lustrzanki z nosa, zanim zdążył zareagować, i spojrzałam głęboko w oczy.

Nieludzkie, szare oczy. Piękne i przerażające zarazem. Lśniące niczym rtęć.

Rozdział szesnasty

Odrodziłam się z gracją słonia w składzie porcelany. Stałam na podjeździe, zwrócona twarzą w stronę drzwi wejściowych, trzymając w ręku siatkę z zakupami. Tak jakby minęły nie blisko dwa dni, ale zaledwie dwie sekundy.

Uszy siatki wyślizgnęły mi się z dłoni i zsunęły po palcach. Wszystko działo się nienaturalnie wolno – tak samo jak przed wyciągnięciem. Świat zadygotał i zawirował. Zamachałam rozpaczliwie ramionami, próbując utrzymać równowagę.

Poderwałam głowę i napotkałam spojrzenie Luki. Jego oczy były na powrót brązowe.

Od razu przypomniał mi się Jackson, a raczej jego oczy. Jego piękne, prze-rażające oczy. W głowie miałam mieszankę dezorientacji i paniki. Pytania pojawiały się jedno po drugim i każde domagało się natychmiastowej odpowiedzi. Ale Jacksona tu nie było, a Luki nie mogłam o to zapytać.

Miałam wrażenie, że upadek siatki na ziemię trwał całą wieczność. W końcu uderzyła o chodnik, pękła i puszki potoczyły się we wszystkie strony. Ale toczyły się wolno, zbyt wolno. Podniosłam wzrok i dostrzegłam tatę wychodzącego z domu. Poruszał się, jakby przedzierał się przez wodę sięgającą jego piersi. Zdziwienie wpełzało na jego twarz w lodowcowym tempie. Tylko ja i Luka poruszaliśmy się z normalną szybkością.

Czułam silny ucisk tuż za oczami, a mięśnie szczęki miałam napięte niczym postronki. Po chwili usłyszałam głośne pyknięcie w uszach i – jak to ujął poprzednim razem Luka – *pafl!*, wróciliśmy. Świat zwiększył obroty i tata momentalnie znalazł się obok ze zmarszczonymi ze zmartwienia brwiami i wyciągniętą w moją stronę ręką.

Przyklękłam i zaczęłam zbierać uciekające puszki, chętnie wykorzystując tę okazję do uniknięcia spojrzenia ojcu w oczy. Nie miałam ochoty na rozmowę z nim, przynajmniej nie teraz. Byłam na skraju załamania nerwowego. Powłoki, martwa dziewczyna, maszyny...

I oczy Jacksona. Na samo wspomnienie przebiegł mi po plecach zimny dreszcz. Te nieludzkie, srebrzystoszare oczy Jacksona.

– Miki?

Głos taty. Stał tuż obok, zatrzymując nogą jedną z odtaczających się puszek. Sporym wysiłkiem woli powstrzymałam się od podniesienia wzroku. Ręce mi się trzęsły, zaczęłam więc szybciej zbierać puszek, żeby tata nie zauważył mojego stanu.

– To musi być mój dzień niezdarności – wymamrotałam.

Na szczęście głos mi się nie trząsał tak jak dłonie. Kątem oka dostrzegłam, że Luka zdążył już zanieść swoją siatkę do domu. Stał teraz na ganku i przyglądał mi się spokojnie. Dużo lepiej przyjmował odradzanie się. Nie było w tym zresztą nic dziwnego – miał znacznie większą praktykę. Ale nawet on opierał się jednym bokiem o barierkę, jakby również miał problemy z utrzymaniem pionu.

Czy on wie o Jacksonie? Czy widział jego oczy?

Podejrzywałam, że odpowiedź na oba pytania byłaby przecząca. Ledwo mogłam uwierzyć, że Jackson pozwolił mi je zobaczyć. Początkowo myślałam, że po prostu byłam dla niego za szybka i zwyczajnie nie zdążył mnie powstrzymać. Po namyśle doszłam jednak do wniosku, że mógł spokojnie zatrzymać moją rękę, ale z jakiegoś powodu tego nie zrobił. Pozwolił mi zerwać okulary z nosa. Czy chciał, żebym zobaczyła jego oczy? Jeśli tak, to dlaczego? Niestety, nie miałam szansy go o to zapytać. Wyciągnął rurkę z gardła martwej dziewczyny, wyrwał przewody z jej karku i skoczyliśmy, zanim otrząsnęłam się z szoku. Czy to też zaplanował? Chociaż może pokładałam zbyt dużą wiarę w jego umiejętności przewidywania i planowania. Niemniej jednak naprawdę wierzyłam w to, co powiedział o sterowaniu koszmarem. Ewidentnie był w tym mistrzem.

Poza tym, nawet gdybym zdołała zadać wszystkie pytania, zanim nas stamtąd wyciągnęło, miałam naprawdę nikłe szanse na uzyskanie jakichkolwiek odpowiedzi. Mowa była przecież o Jacksonie – mistrzu uników i zdradzania jedynie drobnych fragmentów informacji, którymi akurat uznał za stosowne się podzielić.

Teraz przynajmniej wiedziałam, dlaczego zawsze nosił te swoje okulary. Ku pewnemu zaskoczeniu jednocześnie czułam się zszokowana i dziwnie spokojna. Gdy się nad tym lepiej zastanowiłam, doszłam do wniosku, że gdzieś w podświa-

domości doskonale wiedziałam, co ujrzę. Czy nie ostrzegał mnie w kółko, że on zdecydowanie nie jest „tym dobrym”?

Jedna z puszek odtoczyła się w trawę i musiałam podejść dwa kroki w kucki, aby po nią sięgnąć. Ku memu przerażeniu tata był szybszy. Gdy dotarłam do brzegu trawnika, on już tam był i zanim się zorientowałam, nasze spojrzenia się spotkały.

– Nie przejmuj się – wyszeptał. – To tylko chłopak. Po prostu bądź sobą, a wszystko będzie w porządku.

Wpatrywałam się w niego, intensywnie mrugając i próbując zrozumieć, o co mu chodzi. W końcu trybiki w mojej głowie zaskoczyły. Myślał, że moje dziwne, niezdarne zachowanie wynika z tego, że na ganku stoi Luka! Carla z kolei zachowała się tak, a nie inaczej, bo podejrzewała, że go podrywam. Tata znowu miał wypisaną na twarzy mieszaninę nadziei i zadowolenia. Myślał, że zainteresowanie się chłopakiem sprawi, iż w końcu będę na powrót normalna. Przygryzłam policzek, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Czułam, że jeśli zacznę się śmiać, to nie będę w stanie przestać i dobrze to się nie skończy.

Kiwnęłam lekko głową, co chyba zadowoliło tatę, bo uśmiechnął się ciepło, podał mi puszkę i wstał.

– Zostawię zakupy waszej dwójce – powiedział głośno. – Ja mam jeszcze trochę roboty.

I zniknął w głębi domu.

Szybko rozpakowaliśmy siatki i udało mi się zabrać Lukę na dwór, zanim ponownie spotkaliśmy tatę.

– Wszystko w porządku? – zapytał Luka.

Próbowałam się powstrzymać. Naprawdę próbowałam. Ale to było silniejsze ode mnie. Odrzuciłam głowę do tyłu i wybuchłam głośnym śmiechem z rodzaju tych, które wyciskają z oczu łzy i zarazem sprawiają, że ludzie krzywią się i odwracają wzrok. Dobrze wiedziałam, że balansuję na krawędzi. Ale nie byłam w stanie zrobić kroku w tył na stabilny grunt.

– Miki, spójrz na mnie – powiedział Luka, ujmując moją dłoń i splatając swoje palce z moimi.

To wystarczyło, żeby zakotwiczyć mnie w rzeczywistości i uratować od utraty zmysłów. Zdołałam zdusić śmiech do nerwowego chichotu, a chwilę potem zupełnie się uspokoić.

– Chyba trochę się wygłupiłam – wymamrotałam, rozmyślnie ignorując jego prośbę i wpatrując się w przestrzeń obok niego.

Wierzchem dłoni otarłam z policzków łzy i ruszyłam w stronę ulicy. Luka obszedł mnie i zagroził drogę. Wciąż trzymał mnie za rękę. Zaczęłam powoli wyswabzać swoje palce. Chciałam stanąć na nogi samodzielnie, bez niczyjej pomocy. Nie mogłam zacząć polegać na innych. Powinnam liczyć tylko na siebie – nie wolno mi było o tym zapominać.

– Pierwsze kilka razy, kiedy mnie wrzucało z powrotem... – zaczął Luka, ale urwał, odwracając wzrok i spoglądając wzdłuż ulicy z zaciętą miną. – Pierwsze kilka razy byłem zupełnie do niczego po powrocie. Przez kilka godzin stałem pod prysznicem. Cały się trząsałem i... – zawiesił głos – ...ryczałem. Nie miałem z kim pogadać, nikt nie mógł mi pomóc zrozumieć, co się dzieje. Tak mi przykro, Miki. Nie powinienem skazywać cię na to samo, żebyś musiała przechodzić przez to wszystko całkiem sama.

Zdążyłam ugryźć się w język, zanim odpaliłam, że nie byłam całkiem sama. Że kiedy odchodziłam od zmysłów po dowiedzeniu się o śmierci Richelle, Jackson pomógł mi wszystko poukładać. Problem polegał na tym, że nie byłam nawet pewna, co o tym wszystkim myśleć. Co to dla mnie znaczyło, co on dla mnie znaczył. Przez chwilę sądziłam, że łączy nas jakaś niewidzialna nić i że mu na mnie zależy. Potem jednak zobaczyłam te jego nieludzkie oczy i zaczęłam podejrzewać, że tak naprawdę jest moim wrogiem. Otworzyłam usta i niemal opowiedziałam Luce wszystko, co zobaczyłam tuż przed skokiem.

– W porządku, nie zamartwiaj się – powiedziałam. – Przestrzegalesz przecież zasad.

Luka posłał mi swój zwyczajowy, nieco krzywy uśmiech.

– Zasady są po to, żeby je łamać, nie? W każdym razie chciałbym, byś wiedziała, że w razie czego możesz spokojnie do mnie uderzać. Jeśli masz jakiegokolwiek pytania czy wątpliwości, postaram się odpowiedzieć na nie najlepiej, jak tylko zdołam.

– Zrobiłbyś to?

– Przecież właśnie to powiedziałem.

– Dobra, w takim razie mam do ciebie kilka pytań.

Tak naprawdę było ich więcej niż kilka. Ale tylko jedno dręczyło mnie niczym dawno nieleczonego ząb.

– Czy kiedykolwiek widziałeś Jacksona bez okularów?

Luka uniósł wysoko brwi.

– Dobra, przyznaję – wykrztusił – nie spodziewałem się takiego pytania. Chcesz to wiedzieć z jakiegoś konkretnego powodu?

Skrzyżowałam ramiona na piersi i spojrzałam w bok. Czy Jackson jest jednym z nich? Czy szpieguje dla nich? Czy jest... powłoką? Czy tam w środku kryje się obcy? Powinnam po prostu powiedzieć Luce, co widziałam. Ale to byłaby swego rodzaju zdrada. Nie chciałam wbijać Jacksonowi noża w plecy. Chciałam tylko upewnić się, że on nie wbija noża w *moje* plecy – już nie metaforycznego.

– Powiedziałeś, że postarasz się odpowiedzieć, a nie, że będziesz mi odpowiadać własnymi pytaniami.

Luka przeczesał włosy palcami i zmarszczył brwi.

– Zgoda, tak powiedziałem. Odpowiadam więc na twoje pytanie: nie, nigdy nie widziałem go bez okularów.

Kolejne pytania cisnęły mi się na usta. Czy nigdy go to nie dziwiło? Czy nie zastanawiał się, dlaczego Jackson nigdy nie zdejmuje szkieł? Ale zadanie tego rodzaju pytania sprawiłoby, że Luka nabrałby podejrzeń. A ja jeszcze nie byłam gotowa zdradzać sekretu Jacksona. Najpierw musiałam porozmawiać z nim samym i zapytać o to wprost. Zmieniłam więc temat.

– Widziałeś już taką halę z tymi wszystkimi... ludźmi, prawda? W Arizonie?

– Była dużo mniejsza. Nie było tylu... – Urwał i rozejrzał się nerwowo, jakby chciał się upewnić, czy nikt nas nie podsłuchuje. – Nie było tylu rzędów... ludzi. Ale reszta się zgadza.

– Te... – Nie mogłam się zdecydować, jakiego słowa użyć. – Te dziewczyny... Czy możemy je nazywać powłokami?

– Chyba tak – odparł, ponownie rozglądając się po okolicy. – Tak, chyba możemy je tak nazwać.

– Czy wyglądały dla ciebie znajomo?

Zmarszczył brwi i pokręcił powoli głową.

– Nie, dlaczego pytasz?

– Sama nie wiem – westchnęłam. – Coś w nich nie daje mi spokoju.

Luka patrzył na mnie, ewidentnie czekając na kolejne pytanie. Czułam narastającą frustrację, bo wiedziałam, że coś mi umyka. Że nie dostrzegam czegoś bardzo ważnego.

– Czy zauważyłeś, że wszystkie wyglądały tak samo?

Luka przytaknął.

– Ten sam pierwotny dawca – odparł.

Pierwotny dawca... Tak właśnie Jackson nazwał martwą dziewczynę w tym małym pomieszczeniu.

– Ale powłoki, które znaleźliście w Arizonie, pochodziły od innego dawcy?

– Uhm.

Wyczuwałam w jego głosie zdenerwowanie. W sumie nie było się czemu dziwić. Drau porywali dziewczyny, zabijali je, zjadali ich mózgi, a potem sztucznie utrzymywali ciała przy życiu, aby wykorzystywać DNA do hodowania armii pozbawionych świadomości klonów. Również zresztą sztucznie utrzymywanych przy życiu. Do tego klony, które znaleźliśmy, z jakiegoś powodu się im nie udały igniły

od środka. Kto by się nie denerwował?

– Czy porywają też na dawców mężczyzn? Czy tworzą męskie powłoki? – zapytałam nieco zbyt gwałtownie.

Na moje szczęście Luka chyba nie zauważył nic dziwnego w moim tonie. Znowu zmarszczył brwi, rozważając moje pytania.

– Nie wiem – powiedział po chwili. – Ja widziałem tylko dziewczyny. Choć z drugiej strony byłem tylko w dwóch takich miejscach, nie mam więc zbyt dobrego przeglądu.

Ulga, na którą miałam nadzieję, nie nadeszła. To, iż Luka nie widział męskich powłok, nie oznaczało, że nigdzie ich nie było. Przez parę chwil zastanawiałam się nad kolejnym pytaniem.

– Luka – zaczęłam niepewnie – czy kiedykolwiek słyszałeś ich mowę?

Wiedział oczywiście, że pytam o Drau. Zmarszczki na jego czole się pogłębiły.

– Nie sędzę. Słyszałem, jak... – Rzucił mi ukosem zagadkowe spojrzenie. – Słyszałem ich krzyk. Tuż pod koniec, jeśli wiesz, o co mi chodzi? Ale żeby mówili? Porozumiewają się chyba telepatycznie...

Nagle poczułam się bardzo nieswojo.

– A my? – zapytałam. – Znaczy: czy ty możesz porozumiewać się telepatycznie z innymi? Albo może słyszałeś kogoś mówiącego w twojej głowie?

Zmarszczki zamyślenia już chyba na stałe zadomowiły się na jego czole. Powoli pokręcił głową.

– Nie, dlaczego pytasz?

Wzruszyłam ramionami, bardzo się starając, żeby wyglądało to swobodnie.

– Jackson powiedział, że miał zamiar przesłuchać jednego z Drau – powiedziałam. – Zastanawiałam się, jak chciał tego dokonać.

Zamierzał to zrobić telepatycznie? Bo jest jednym z nich? Ta myśl zmroziła

mnie do najgłębszych zakamarków duszy. Bardzo nie chciałam, żeby Jackson okazał się jednym z wrogów.

Po twarzy Luki widziałam, że chce mnie o coś zapytać. Nie dałam mu tej możliwości. Nie wiedziałam, czy chciałabym odpowiedzieć.

– Naprawdę doceniam, że odpowiadasz na moje pytania – powiedziałam. – Chciałabym jednak wiedzieć, dlaczego to robisz.

Wyglądał na skołowanego.

– Bo mnie o to poprosiłaś.

– Wcześniej też prosiłam, a ty odmówiłeś – zauważyłam. – Co się zmieniło?

– Powiedziałem przecież. Przykro mi, że zostawiłem cię wtedy samą sobie. Że nie wyjaśniłem ci wszystkiego.

– Wiem. I nie mam ci tego za złe.

Częściowo powiedziałam prawdę. Nie byłam najlepsza w tym całym wybaczeniu.

– Ale dlaczego teraz mówisz mi różne rzeczy?

Wyglądał na zakłopotanego. Wzruszył ramionami.

– Jackson odpowiadał na twoje pytania przed ostatnią misją i nie zginął powolną i bolesną śmiercią. Szybką i bezbolesną zresztą też nie. Uznałem więc, że możemy rozmawiać. Dopóki jesteśmy ostrożni.

– No dobra, to ma sens – przyznałam. – Bardzo ostrożnie doбираłam kolejne słowa. – Zgadza się, że powinniśmy cały czas uważać. Sądzę, że jeśli będziemy mówić o tym wszystkim w prawdziwym świecie, naprawdę może nam grozić niebezpieczeństwo. W domu obok mogą mieszkać powłoki obcych. Omiotłam wzrokiem ulicę, po czym ponownie spojrzałam na Lukę. – Po tym, co dzisiaj widzieliśmy, rozumiałam, że te zasady naprawdę mogą być potrzebne.

– Nigdy nie twierdziłem, że nie są.

Poczułam na skórze chłodny powiew. Problem w tym, że nie było żadnego

wiatru. Był gorący, słoneczny dzień, a powietrze wręcz lepiło się do skóry. Ponownie rozejrzałam się po okolicy. W zasięgu wzroku nie było nikogo innego. Na wszelki wypadek jeszcze raz zlustrowałam ulicę i pobliskie domy.

– Czy kiedykolwiek widziałeś jednego... nie powłokę... prawdziwego, tutaj, w prawdziwym świecie? – zapytałam.

Luka wyglądał na równie przerażonego samą możliwością co ja.

– Nie. – Pokręcił głową. – To by było...

– Owszem, to by było. Czuję się, jakbym grała w jakimś horrorze.

– Albo jakbyśmy śnili jakiś koszmar – wymamrotał Luka.

Chwycić ster i pokierować koszmarem. Może to właśnie było to, co robił Jackson. Może sterował nami, kierował nas dokładnie tam, gdzie chciał, żebyśmy się znaleźli? Niczym szachista przesuwający figury czy władca marionetek.

– Czy wiesz, co robił Jackson, zanim skoczyliśmy z powrotem do naszej rzeczywistości?

– Kiedy byliście we dwójkę w tamtym pokoju? Chyba wiem. A jeśli mam rację, to robił to dlatego, żeby żadne z nas nie musiało.

Żebyśmy nie musieli zabijać ciała, które kiedyś było człowiekiem. Zadrżałam na samą myśl o tym.

– Ona już nie żyła – powiedziałam, chcąc zapewnić Lukę, że Jackson nikogo tak naprawdę nie zabił. – Nie była żywa jako taka. Wyjęli... – Przełknęłam ślinę, po czym nabrałam głęboko powietrza. – Wyjęli jej z głowy mózg. To dla nich przysmak.

Szok na twarzy Luki stanowił dokładne odzwierciedlenie moich odczuć w tamtym pomieszczeniu.

– Poradzisz sobie – powiedział łagodnie. – Ja w tym tkwię od roku i się trzymam. Tym razem było nieco dziwnie, bo wyciągnęli nas ponownie tak szybko po poprzedniej misji. Ale zwykle między kolejnymi skokami mija kilka tygodni.

– Kto tak właściwie wysłał nas na te misje? – zapytałam równie łagodnym

głosem. – Kto umieszcza broń w poczekalni? Kto zlicza punkty?

Luka pokręcił głową i nic nie odpowiedział. Zapewne po prostu nie znał odpowiedzi. Podejrzywałam to zresztą, ale stwierdziłam, że nie zaszkodzi zapytać. Po chwili wzruszył ramionami.

– Jackson mówi, że decyzje... – zaczął.

– ...podejmuje pewien komitet – dokończyłam za niego.

Staliśmy naprzeciwko siebie, oddaleni może o metr, patrząc sobie w milczeniu w oczy. Jednocześnie jednak dystans między nami wydawał mi się astronomiczny. Chciałam go zapytać o tak wiele rzeczy! Wiedziałam jednak, że nie będzie potrafił odpowiedzieć na moje pytania, a przynajmniej nie na wszystkie. Znałam tylko jedną osobę, która mogła to zrobić. Nie wiedziałam jednak, kiedy znowu go spotkam.

– Luka, podaj mi numer do Jacksona.

Zawahał się zdziwiony moją prośbą.

– Po co ci on?

– Czyli znasz numer – zauważyłam, unikając odpowiedzi na jego pytanie.

– Owszem, bo mi go dał – odparł. – Jeśli sam go ci nie dał, to nie wiem, czy ja powinienem.

Przyjrzałam się uważnie twarzy Luki. Miałam wrażenie, że jego niechęć do podania mi numeru komórki Jacksona nie miała nic wspólnego z grą. Chodziło tylko o to, jakim jest człowiekiem.

– Nie wiesz, czy powinienem, jednak nie ze względu na grę, ale ponieważ on wysoko ceni swoją prywatność?

– Cóż... tak... Tak samo jak nie podałbym mu twojego numeru, nie pytając cię najpierw o pozwolenie.

– A podałybyś mój adres?

Luka otworzył szeroko oczy.

– Nie! – zapewnił gorąco. – Nigdy. Nie bez pytania cię o zgodę.

– Czyli nie podałeś mi mojego adresu, gdy mi powiedziałaś przez telefon, że zamierzasz złamać zasady i porozmawiać ze mną?

– Nie.

– Jakim więc cudem pojawił się przed moim domem akurat, gdy wychodziłam pobiegać?

Luka otworzył usta, zamknął je, po czym ponownie otworzył.

– Nie wiem – powiedział w końcu.

– Nie ma sprawy, Luka – powiedziałam pojednawczo. – Prawdopodobnie jest na to jakieś proste wyjaśnienie.

Może Jackson śledził mnie aż do domu po pierwszej misji? Może ma jakieś swoje sposoby na zdobywanie informacji? Albo jest hakerem. Albo łączącym za ludźmi i podglądającym ich natrętem – dobra, kimś takim na pewno jest. W końcu przyznał się do obserwowania mojego domu. Nieważne. Tak czy owak miałam już pewność, że potrzebnych odpowiedzi nie uzyskam od Luki, ponieważ on zwyczajnie za mało wiedział.

Pod wpływem chwili zrobiłam krok do przodu i przytuliłam się do niego. Było to całkiem przyjemne i nieco dziwaczne zarazem. Czułam się trochę, jakbym przytuliła Carlę, z tym że Luka był zdecydowanie wyższy, szerszy w ramionach i miał silnie umięśnioną klatkę piersiową. Czułam się bezpiecznie i miło.

Było zupełnie inaczej niż w przypadku Jacksona.

Luka poklepał mnie po plecach kilkoma nerwowymi ruchami, po czym odchrząknął i cofnął się o krok.

– No to, eee, do zobaczenia jutro – powiedział niepewnie.

Było oczywiste, że chciał powiedzieć coś zupełnie innego.

– Zaczekaj. – Zatrzymałam go. – Odpowiedz mi na jeszcze jedno pytanie. Jeśli mamy się teoretycznie w ogóle ze sobą nie kontaktować poza grą, dlaczego Jackson dał ci swój numer?

– Nigdy nie mówiłem, że nie możemy kontaktować się ze sobą poza grą, tylko że nie możemy o niej tu rozmawiać.

– No tak – powiedziałam, zdobywając się na uśmiech. – Wychodzi więc na to, że wszyscy łamiemy wszystkie zasady.

– Na to wygląda.

Cofnął się kilka kroków wciąż zwrócony do mnie twarzą. Przystanął i uniósł rękę w geście pożegnania.

– Jakbyś czegoś potrzebowała, zadzwoń, dobra?

– Dobra.

I to tyle. Patrzyłam za nim, dopóki nie zniknął za rogiem ulicy. Nie weszłam jednak do domu. Stałam na podjeździe wpatrzona w przestrzeń, ciesząc się słońcem ogrzewającym mi plecy.

Rozdział siedemnasty

Zaakceptowanie tego, że przemierzanie jaskiń, walka i sen w objęciach Jacksona zajęły łącznie blisko dwa dni, podczas gdy w moim świecie, moim prawdziwym świecie, minęło zaledwie kilka chwil, wymagało sporej gimnastyki myślowej. Mój „prawdziwy świat”. Czyżby? A może teraz moją rzeczywistością są misje? Roztrząsanie tego przyprawiło mnie tylko o nudności.

Cóż, jeśli to nadal prawdziwy świat, jest sporo rzeczy, z którymi muszę sobie jakoś poradzić. Znajomi, tata, praca domowa, pranie. Ciężko jest to wszystko ogarnąć. Przez niespełna dwa dni próbowałam przede wszystkim przeżyć. Tutaj zaś muszę się zmierzyć z tym, że z jakiegoś powodu Carla jest na mnie wściekła. A do tego dla niej od jej odjazdu w samochodzie Sary minęło zaledwie dwadzieścia minut. Martwienie się jej humorem, podczas gdy na moich barkach spoczywały rzeczy o wiele poważniejsze, wydawało się absurdalne. Z drugiej jednak strony w tym świecie, w którym mojemu życiu nic nie zagrażało na każdym kroku, jej problemy były istotne.

Weszłam na palcach do domu, nie chcąc, aby tata mnie usłyszał. Ostatnia rzecz, na jaką miałam teraz ochotę, to poważna rozmowa między ojcem a córką na temat chłopaków. Wspięłam się po schodach na górę, odszukałam komórkę i zadzwoniłam do Carli. Przełączyło mnie na pocztę głosową. Odsunęłam telefon od ucha i spojrzałam na ekran zbita z tropu. Poczta głosowa? Od kiedy Carla nie odbiera absolutnie wszystkich telefonów?

Zadzwoniłam ponownie i tym razem odebrała.

– Jak tam twój dzień? – zapytała od razu.

To nie było podchwytliwe pytanie, ale z jakiegoś powodu miałam wrażenie, że tym razem kryło się za nim coś więcej.

– Bombowo – odpowiedziałam.

Moja cierpliwość była na wyczerpaniu. Cokolwiek ją gryzło, z pewnością bledło w porównaniu z moimi przejściami. Przełknęłam ślinę, starając się odsunąć tę myśl od siebie. Takie myślenie było strasznie samolubne. To nie Carla odpowiadała za to, że nie mogłam jej o wszystkim opowiedzieć. A skąd ma wiedzieć, co mi

się przydarzyło, jeśli jej o tym nie powiem? Wyteżyłam wszystkie siły, aby przybrać swobodny ton.

– Co się z tobą dzieje? – zapytałam.

– Och, nie wiem.

To powiedziawszy, zamilkła.

Zaczęłam się zastanawiać, czy dzisiaj ze wszystkim już będę miała pod górkę. Głupie przeniesienie zakupów z samochodu do domu przypominało przedzieranie się przez pole minowe.

Po kilku sekundach powiedziała:

– Chciałabyś może opowiedzieć mi o czymś, co ci się dzisiaj przydarzyło, Miki?

Po tych słowach w końcu mnie olśniło. Musiała myśleć, że miałam wobec Luki jakieś zamiary i o tym jej nie powiedziałam. No tak, oczywiście! Jeśli ona miała wobec niego jakieś plany, zagadałaby mnie na śmierć przed spotkaniem z nim, po nim i prawdopodobnie też w trakcie. Miała mi za złe, że jej nie uprzedziłam, i było mi z tego powodu trochę głupio. Ale przecież wszystko zrozumiała na opak!

– Nie miałam żadnych planów wobec Luki. Gdybym miała, powiedziałabym ci o nich – stwierdziłam, starając się utrzymać swobodny ton. – Wpadł do mnie bez zapowiedzi, gdy byłam pobiegać. Czekał na ganku, aż wrócę. I tyle.

– Aha – powiedziała, ale w jej głosie można było wyczuć, że wciąż jest zła. – I?

No tak. Musiała myśleć, że mam jej do powiedzenia więcej, niż miałam w istocie.

– Przedstawiłam go tacie, któremu udało się nie narobić mi zbyt wiele wstydu. Ulotnił się, kiedy wnosiliśmy zakupy do domu.

– I?

Ewidentnie oczekiwała czegoś więcej. Co zaspokoi w końcu jej ciekawość?

– Nie ma żadnego „i” – powiedziałam trochę już zmęczona tłumaczeniem. – To wszystko, *finito*. Tak, wiem, mało ciekawe. Po wszystkim pogadaliśmy trochę na podjeździe, po czym Luka poszedł do domu.

– I to wszystko?

– Tak, to wszystko.

– Na pewno?

– Tak.

– Na sto procent? – zapytała z wyraźną złością.

– O co ci chodzi? – zapytałam ponownie, też już porządnie zirytowana.

– Luka zasługuje na więcej niż twoje knucie za plecami!

– Co? Ja nie knu... Ja nie... Co?

Gdybym jej lepiej nie znała, stwierdziłabym, że Carla jest zazdrosna. Albo wyobraża sobie jakieś niestworzone rzeczy.

– Widziałam cię.

Powiedziała to niskim, nieprzyjemnym głosem, podszytym wyraźnym wyrzutem.

W pierwszym odruchu pomyślałam, że widziała, jak mnie wyciąga z prawdziwego świata i jak walczę na misji. Ale to było przecież niemożliwe. Nas nie było tu, a jej w żadnym wypadku nie mogło być tam. Zatem wkurzyło ją coś zupełnie innego.

– Carlo, co ci się wydaje, że widziałas?

– Widziałam, jak trzymacie się z Luką za ręce. Na podjeździe, kiedy podjechałyśmy z Sarą.

Mówiła więc o tych kilku chwilach, które wydarzyły się tuż przed tym, jak nas wyciągnęło. Przewinęłam je w swojej głowie, ale nadal nie rozumiałam, o co jej chodzi.

– Nie trzymaliśmy się za ręce – powiedziałam. – I nie rozumiem, o co się tak wkurzasz? Czy to nie ty nalegałaś, żebym do niego zadzwoniła? I teraz się wściekasz, że nosiliśmy razem zakupy?

Nagle, jak tylko skończyłam mówić, doznałam olśnienia. Przypomniałam sobie wszystko, co Carla mówiła o Luce od pierwszego dnia szkoły. Odbiło jej na jego punkcie. W kółko paplała o tym, jak bardzo zmienił się przez ten rok, kiedy mieszkał poza stanem. Jak bardzo wyrósł i zmężniał. To ona zawsze ciągnęła nas na miejsce obserwacyjne pod starym dębem, kiedy on biegał po torze lekkoatletycznym. Nie zwracałam na to uwagi, bo przecież zawsze tam chodziłyśmy.

Carla ma chętkę na Lukę? Nie, to nie mogła być prawda. Powiedziałyby mi o tym. Zamknęłam oczy i ścisnęłam palcami nasadę nosa. To zdecydowanie nie był właściwy czas, aby z nią o tym rozmawiać.

– Carla, nie trzymaliśmy się za ręce. Sięgnęliśmy w tym samym momencie po siatkę z zakupami. Cała sprawa wyda ci się dużo mniej ciekawa, gdy przestaniesz do niej dodawać rzeczy, które nie miały miejsca.

– Ach tak? – parsknęła Carla. – Porozmawiajmy zatem o rzeczach, które zdecydowanie miały miejsce. Spotkałaś się z Luką zaraz po tym, jak przestałaś się ślimaczyć z tym chłopakiem w pilotkach. Od kiedy jesteś taką szmatą?

– Chłopak w pilotkach?

I czy moja przyjaciółka nazwała mnie właśnie szmatą?

– W parku?! – Carla już właściwie krzyczała, a nie mówiła. – Zapomniałaś, że Sara mieszka zaraz za rogiem? Widziałam, jak się z nim ślimaczysz. Poznałam go od razu, chociaż tym razem miał inne okulary. I tak właściwie nie wiem, co mnie boli bardziej: to, że mnie co do tego okłamałaś, czy też to, iż zupełnie olałaś, że to ja go sobie pierwsza zaklepałam.

Carla płakała. Słyszałam to w jej głosie.

– Carla, nie, czekaj, wszystko ci się pomyliło. Ja nie... Ja wcale...

– Jak on ma na imię? – Carla wpadła mi w słowo. – Skąd go znasz? Kiedy rozmawialiśmy o nim w piątek po szkole, nawet słowem się nie zająknęłaś, że go

znasz. W czym jeszcze mnie okłamałaś?

– Nie znam go – odpowiedziałam. – Dokładniej: nie znałam go jeszcze wtedy, w piątek.

Byłam zbyt zdenerwowana i chociaż wszystko, co mówiłam, było prawdą, doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, że nie brzmi to zbyt przekonująco.

– Wyszłam na przebieżkę i tak się złożyło, że on też biegł tą trasą. Pobiegliśmy więc razem.

– Nie biegasz w niedziele! – krzyknęła Carla.

– Cóż, w tę niedzielę biegałam.

To znaczy dziś. Zaledwie kilka godzin temu. Czy to naprawdę było zaledwie kilka godzin temu? Czułam się, jakby od mojej rozmowy z Jacksonem w parku minęła cała wieczność.

– I na zakończenie udanej przebieżki ślimaczyłaś się z nim przy huśtawkach? Z chłopakiem, którego dopiero co poznałaś?

– Nie ślimaczyłam się z nim – westchnęłam ciężko. – On mnie tylko na chwilę objął. Miałam...

Co ja właściwie miałam? Chwilę słabości i pozwoliłam dopiero co poznanemu chłopakowi mnie objąć? Nic dziwnego, że Carla uważała, że kłamię.

– Miałam kiepski humor, wkurzyłam się i objął mnie na pocieszenie. Tylko tyle!

Carla zbulgotała ze złości.

– Oszczędź to sobie dla kogoś, kto zechce tego wysłuchiwać – rzuciła do słuchawki i się rozłączyła.

Wpatrywałam się oniemiała w milczący telefon. Rozłączyła się. Carla rozłączyła się ze mną. Jedyna osoba w moim życiu, na którą zawsze mogłam liczyć, że mnie nie opuści. A ona właśnie mnie opuściła. Rozłączyła się i mnie opuściła. Czułam się koszmarnie.

Po paru chwilach przyszła złość. Carla była w końcu moją przyjaciółką, bliską przyjaciółką. Zawsze wszystkich pojednywała i łagodziła konflikty. Zawsze stosowała domniemanie niewinności. Czy nie powinna przynajmniej wysłuchać mnie do końca, zanim spisała mnie na straty?

Ale też o to właśnie się wszystko rozbijało. Nie mogłam jej powiedzieć wszystkiego, ba, nic jej nie mogłam powiedzieć, chociaż przez to odsuwałyśmy się od siebie.

Wiedziała tylko tyle, ile jej się wydawało, że widziała. Naoczne świadectwo skażone doskonałą znajomością mnie i jednocześnie brakiem wiedzy o tym, co się ostatnio działo. Niepokój przytłaczał mnie niczym ołowiany płaszcz. Ręce aż świerzbiły, żeby coś zrobić, ale jednocześnie nie byłam w stanie się ruszyć. A przecież musiałam coś zrobić. Musiałam...

– Miki!

Głos taty z dołu.

– Skończyło się pranie. Czy możesz wyjąć i złożyć to, co jest w suszarce, i załadować ją na nowo praniem z pralki?

W normalnych okolicznościach jęknęłabym i próbowałabym się wykręcić. To jednak nie były normalne okoliczności, więc wręcz ucieszyłam się na możliwość zajęcia się czymś. Czymś, co odciągnie myśli od mojego pokręconego podwójnego życia. Zeszłam do piwnicy, gdzie mieliśmy pralnię, i zajrzałam do suszarki. Same prześcieradła i ręczniki, złożenie ich nie powinno zająć wiele czasu. A ja potrzebowałam czegoś, co mi zajmie czas do końca świata lub przynajmniej do wieczoru. Chwyciłam więc pierwsze z brzegu prześcieradło i zabrałam się do prasowania go. Dobra, żmudna praca dla moich rąk. Ach, gdybym mogła tak samo łatwo zająć czymś moje myśli.

Po jakimś kwadransie do pralni wszedł tata. Przez jakiś czas tylko stał w milczeniu i przyglądał się mi.

– Zastanawiałem się, co ci zajmuje tyle czasu – powiedział. – Co robisz?

– Prasuję.

– Prześcieradła? Kto prasuje prześcieradła?

– Ja.

– Nigdy dotąd ich nie prasowałam.

– A teraz prasuję.

Przypatrywał mi się przez dłuższy czas ze zdumieniem, po czym odwrócił się bez słowa i wyszedł. Przycisnęłam żelazko mocno do materiału i przesuwałam je wzdłuż deski. Prześcieradło miało szarawy, lekko perłowy odcień. Było minimalnie jaśniejsze od oczu Jacksona.

Tej nocy zrobiłam coś, czego nie robiłam od lat. Wyszłam przez okno w moim pokoju i usiadłam na płaskim dachu nad gankiem. Oparłam się plecami o ścianę pod oknem i wbiłam wzrok w niebo. Kiedy byłam mała, przesiadywałyśmy tak z mamą w ciepłe, bezchmurne noce. Mama zawsze mocno trzymała mnie za koszulkę, chociaż nie było w zasadzie ryzyka, że spadnę.

Obserwowałyśmy gwiazdy, a ona próbowała rozpoznawać gwiazdozbiory. „To chyba Wielka Niedźwiedzica – mówiła. – A to chyba jest Kasjopeja”. Czasem miała rację, a czasem się myliła. Nie miało to jednak najmniejszego znaczenia – po prostu lubiłam obserwować z nią nocne niebo.

Dzisiaj księżyc był zaledwie cienkim sierpem na ciemnognatowym akşamie nieba, ale w porównaniu z jaskiniami i korytarzami, w których spędziłam ostatnie dwa dni, i tak było jasno. Sąsiednie domy i latarnie stojące wzdłuż ulicy dawały zbyt wiele światła, aby móc nazwać noc naprawdę ciemną. Do tego dochodziła jeszcze luna znad centrum miasta.

Wpatrywałam się w niebo, ale tak właściwie to nie widziałam księżycy ani gwiazd. Wbiłam wzrok w przestrzeń i czekałam na ten dreszczyk, który mi powie, że on jest gdzieś w okolicy. Że stoi na ulicy i obserwuje mnie.

Dreszcz się nie pojawił.

On się nie pojawił.

Smak rozczarowania był gorzki i dławił niczym rozgryziona aspiryna.

Gdy weszłam z powrotem do pokoju i zamknęłam za sobą okno, było już dobrze po północy. Spojrzałam w oczy własnego odbicia w okiennej szybie.

Coś nie pozwoliło mi odwrócić wzroku, jakaś nieuchwytna myśl. Skoncentrowałam się i przed oczami stanęła mi inna twarz. Coś kazało mi się jej przyglądać. Co w niej było takiego? Gładka cera, jasnobrązowe włosy, wysoko osadzone kości policzkowe. Znajoma, ale jednocześnie nie do końca.

Nagle poczułam się, jakby ktoś zdzielił mnie pięścią w brzuch.

Dziewczyny leżące na łóżkach. Powłoki. Już wiedziałam, dlaczego ich twarze wydawały mi się znajome.

Wyglądały jak żeńska wersja Jacksona Tate'a.

#

Moja przebieżka w poniedziałkowy poranek nie poszła gładko. Nie mogłam wypędzić z głowy męczących myśli, a ciało nie potrafiło znaleźć właściwego rytmu. Oczekiwałam na nadejście euforii, ale się nie doczekałam. Przez dłuższą część nocy nie mogłam zresztą zasnąć. Do tego to, że ostatni raz biegłam razem z Jacksonem, zdecydowanie nie ułatwiało sprawy. Stopy uderzały raz za razem o chodnik w pogoni za porankiem, a przed oczami tańczyły mi miriady różnych obrazów: oczy Jacksona, powłoki wyglądające jak on, ludzie w pozostałych poczekalniach, których widziała tylko nasza dwójka. I to, że jest telepatą, i przemawiał do mnie w moich myślach, a według Luki Drau są właśnie telepatami.

Tyle pytań i wątpliwości, ale żadnych odpowiedzi i wyjaśnień.

Dalsza część dnia wcale nie wyglądała lepiej. Na lekcji angielskiego Carla nie odezwała się do mnie nawet słowem. Posyłała mi za to ciągle pełne urazy, oskarżycielskie spojrzenia. Po raz pierwszy, odkąd pamiętam, cieszyłam się, że mamy tylko jeden wspólny przedmiot. Nie zniosłabym tych niemych wyrzutów na każdych zajęciach. W końcu nie zrobiłam nic złego!

Chociaż jeśli to była prawda, to dlaczego czułam się z jakiegoś powodu winna?

Wszyscy pozostali znajomi w szkole rzucali mi ukradkowe spojrzenia, starając się nie stawać po stronie żadnej z nas i nie pytać wprost, o co między nami poszło.

– Do zobaczenia na lunchu, Miki – powiedziała Kelley po dzwonku.

Minę miała jednocześnie pełną nadziei i ostrożną. Tak jakby sądziła, że wspólne zjedzenie lunchu na stołówce albo spowoduje wielki wybuch, albo wszystko naprawi.

Pokręciłam głową.

– Obiecałam Maylene, że podczas lunchu pomogę jej przygotować się do sprawdzianu z hiszpańskiego – powiedziałam. – Będziemy siedziały w bibliotece.

– Aha, dobra. To do zobaczenia – wypaliła Kelley z wyraźną ulgą.

Najwyraźniej uznała, że wybuch jest jednak bardziej prawdopodobny.

Dee pomachała na odchodne, a Carla posłała tylko ostatnie ponure spojrzenie, zanim zniknęła mi z oczu.

Po zajęciach postanowiłam zaczekać na Lukę przy jego szafce, ale on nie przychodził. Dopiero po blisko półgodzinie sterczenia jak kołek przypomniałam sobie, że przecież dzisiaj ma trening na bieżni. Poszłam więc na naszą miejscówkę pod starym dębem, mając nadzieję na spotkanie tam Carli i porozmawianie z nią. Pod drzewem nie było jednak nikogo. Kolejne pudło.

Skierowałam się więc do księgarni. Zwykle wpadałyśmy tam z Carłą. Ja kupowałam nowe mangi, a ona brała różne czasopisma modowe i o *scrapbookingu*. Kiedyś obie wyklejałyśmy, ale od śmierci mamy nie mogłam zebrać się w sobie na tyle, żeby przelać te wspomnienia na ślicznie udekorowane kartki. Brzęk dzwonka przy drzwiach księgarni niespodzianie wprawił mnie w smutek. Nie chodziło o to, że nigdy nie poszłam sama do księgarni. To mur wyrosły między mną a Carłą sprawiał, że mijając te drzwi bez niej, czułam się jakaś niekompletna. Przejrzałam półki z mangami i z rozczarowaniem stwierdziłam, że nie ma jeszcze nowego numeru mojej ulubionej serii.

– Przepraszam – zaczepiłam sprzedawczynię – czy macie najnowszy tom *Bleach*?

Dziewczyna sprawdziła coś w komputerze.

– Już wszystkie wykupiono – powiedziała z przepaszającą miną – ale mogę zamówić.

– Dziękuję – odparłam.

Uczucie bezsilności i rozczarowania przybrało na sile. Miałam nadzieję, że nowy album mangi chociaż częściowo uratuje ten dzień.

Gdy dotarłam do domu, zorientowałam się, że dzisiaj odbierali śmieci i tym razem to ja miałam wystawić worki. Na śmierć o tym zapomniałam! Tata nie będzie zachwycony... Sama byłam na siebie zła. Nie zwykłam zapominać o takich rzeczach. Kolejne niepowodzenie tego dnia do rozczarowania i frustracji dodało irytację. Próbowałam tłumaczyć się sama przed sobą, że przecież to tylko śmieci, a nie jakiś koniec świata, że nie zawałam czegoś naprawdę ważnego. Bez większych efektów.

Zamarłam, skupiając się na swoich uczuciach. Odnosiłam wrażenie, jakbym wszystkie kończyny miała z ołowiu, a na skraju myśli czaiło się przekonanie, że oto zawodzę, że nie jestem wystarczająco dobra. Że tracę kontrolę nad własnym życiem. Nie czułam się tak źle od bardzo długiego czasu. Sytuacja była na tyle poważna, że musiałam sięgnąć po kolejną, dawno nieużywaną sztuczkę z arsenału stworzonego wspólnie z doktorem Andrewsem i intensywnie pocieszać się w duchu. Dzień niestety staczał się po równi pochyłej.

Z ciężkim westchnieniem powlokłam się podjazdem w stronę ganku, kiedy z sąsiedniego domu wyjrzała nasza sąsiadka, pani Gertner.

– Miki! – zawołała, machając ręką.

– Dzień dobry, pani Gertner. Wszystko u pani w porządku?

To był błąd. Poważny błąd. Ale byłam zbyt rozkojarzona i zorientowałam się, co tak właściwie robię, dopiero w chwili wypowiedzenia pytania. Za późno.

– Och, moja droga, niestety nie, niestety nie – powiedziała zatroskanym

głosem, załamując ręce i wznosząc oczy do nieba. – Przez tydzień nie mogę normalnie usiąść, wyobrażasz to sobie? Lekarz powiedział, że od razu mi się poprawi, ale co on tam wie. Zrobiłam wszystko tak, jak mówił. Regularnie kąpię się w tej gorzkiej soli, biorę wszystkie lekarstwa, które mi przepisał, ale nic nie pomaga. Czuję się koszmarne, moja droga, po prostu koszmarne.

Nie byłam do końca przekonana, o czym ona właściwie mówi, ale miałam pewność, że nie chcę się dowiedzieć. Nagle odpłynęłam. Znowu miałam to dziwne uczucie, że ktoś mnie obserwuje. Przybrałam współczującą minę i kiwałam regularnie głową na słowa pani Gertner, ukradkiem rozglądając się po okolicy.

Sąsiadka zadała mi jakieś pytanie, ale jako że nie dosłyszałam dokładnych słów, tylko skinęłam głową i mruknęłam coś pod nosem. To wystarczyło, by rozpoczęła kolejną tyradę.

Aż mnie świerbiło, żeby się odwrócić i spojrzeć za siebie. Byłam niemal pewna, że on stoi gdzieś za moimi plecami i mnie obserwuje. Ale pani Gertner nie przestawała mówić; przez jakieś pół godziny opisała mi z najdrobniejszymi szczegółami swoją operację hemoroidów, zwińczając tym samym mój parszywy dzień zgniłą wisienką.

Myślałam, że zaraz wyjdę z siebie, ale wciąż pamiętałam, jak lata temu pani Gertner przychodziła, gdy bawiłyśmy się z Carlą przed domem, i przynosiła nam ciasteczka. Za każdym razem, gdy wypadł mi ząb, ona dawała mi dolara. Dostałam od niej prezent na każde urodziny aż do dwunastego roku życia. Każdy pieczolowicie zawinięty w ładny papier i przewiązany kolorową wstążką z wielką kokardą. Nie miałam serca przerwać jej i umknąć do domu. Słuchałam więc opowieści ze wszystkimi krwawymi szczegółami. Uratował mnie dopiero jej budzik przypominający o kolejnej partii leków.

Błyskawicznie skorzystałam z okazji: wymamrotałam życzenia szybkiego powrotu do zdrowia i dałam nogę. Gdy dotarłam do ganku, skryłam się w cieniu za słupem i rozejrzałam dokładnie po okolicy. Cały czas byłam pewna, że ktoś mnie obserwuje. Nie mogłam jednak nikogo dostrzec.

A jeśli to wcale nie jest Jackson? A jeśli to Drau? Jedna z tych powłok?

Przez chwilę przez myśli przeleciało mi straszne podejrzenie, że może

pani Gertner jest powłoką? Albo ta dziewczyna z księgarni? Maylene? Którykolwiek z uczniów w szkole? Albo nawet jeden z nauczycieli? Sąsiad z pobliskiego domu? Listonosz? Ktokolwiek...

Nie, to było niemożliwe, wpadałam w paranoję. Musiałam wziąć się w garść, bo w przeciwnym razie będzie po mnie. A zamierzałam jeszcze trochę pożyć.

Weszłam do domu, zdjęłam buty i poszłam na górę, do swojego pokoju. Rzuciłam torbę na łóżko, ale sama nie mogłam usiedzieć. Chwyciłam więc odkurzac i powoli, metodycznie przeszłam się po całym domu, wpadając w bezpieczną rutynę i dzieląc każde pomieszczenie na małe prostokąty.

– Dzisiaj na kolację będzie zapiekanka z kurczaka – powiedział tata, wchodząc do domu.

Tego dnia wypadła jego kolej na gotowanie. Musiał dostrzec wahanie na mojej twarzy, ponieważ uśmiechnął się ironicznie.

– Chudy ser, mnóstwo brokułów, świeże pomidory i pieczarki – powiedział.

– Fajnie – odparłam.

Nadal nie było to mistrzostwo świata zdrowego żywienia, ale przynajmniej się starał.

Gdy już skończyłam odkurzać, zrobiłam sobie sałatkę do tatowego dania, które nie było nawet takie złe. Przy stole rozmawialiśmy o zwiastunach paru filmów, które interesowały nas oboje. Stopniowo smutek i zdenerwowanie zaczęły blednąć i powoli odzyskiwałam wewnętrzny spokój. Przynajmniej do czasu, kiedy tata skończył mówić o filmach i uznał za stosowne diametralnie zmienić temat.

– Słuchaj no, ten chłopak... Luka, tak? – zaczął. – Chcesz o nim porozmawiać?

Włożyłam do ust pełny widelec zapiekanki, żeby uniknąć konieczności odpowiadania na to pytanie. Tata jednak wpatrywał się we mnie bez słowa, dopóki nie przełknęłam. Musiałam więc coś powiedzieć.

– To tylko znajomy ze szkoły.

– Czy wy, eee...

Tata pieczołowicie ułożył widelec na talerzu, po czym sięgnął po szklanekę wody i przesunął ją o parę milimetrów w prawo. Następnie odchrząknął i przesunął szklanekę o parę milimetrów w lewo.

Nabrałam kolejny pełny widelec. Uznałam, że jeśli będę miała usta zapchane jedzeniem, nie będę musiała się odzywać.

– Byłem mniej więcej w twoim wieku, kiedy... – zaczął mówić nieco nieskładnie tata. – To znaczy była taka dziewczyna, starsza ode mnie o kilka lat, i miała takie...

O rety! Przełknęłam jedzenie i uniosłam w górę rozprostowaną dłoń. Tata przerwał, spojrzał na mnie zdziwiony i zamrugął.

– Tato, nie rób tego – powiedziałam. – Gdy już coś powiesz, to potem nie będziesz mógł tego cofnąć.

Chociaż bardzo chciałam, żeby mógł to zrobić.

Tata wyduł wargi i pokiwał głową.

– Czy ty, eee... – podjął po chwili, uciekając wzrokiem w bok. – Czy mama kiedyś... To znaczy, czy masz w szkole lekcje o... eee... higienie? Chyba jesteś jeszcze zbyt młoda, żeby...

O rany! Nie, nie, nie. Mój tata miewał gorsze chwile, ale tak źle jeszcze nigdy nie było.

Uniosłam obie ręce w górę w pojedynczym geście i pochyliłam głowę.

– Tato, tak, szkoła, lekcje higieny – wyrzucałam szybko słowa. – Wszystko pod kontrolą.

– No tak, tak. Bo wiesz, są pewne rzeczy, na które musisz uważać. Różne choroby i...

– O rany – powiedziałam, opuszczając ręce z plaskiem na blat stołu. – Zapomniałam ci powiedzieć, że rozmawiałam dzisiaj z panią Gertner. Opowiadała mi długo o swojej operacji hemoroidów. Mówię ci, fascynujące.

Tata wpatrywał się we mnie lekko zbity z tropu. Czy wcześniej też miał taki dziwny tik nerwowy w kąciку ust?

– Lepsze od tego, o czym próbuję z tobą właśnie porozmawiać? – zapytał.

– Tak, mniej więcej.

Rozejrzał się po stole, jakby szukając inspiracji, po czym ponownie spojrzął mi prosto w oczy. Miałam ochotę wpełznąć pod stół i zostać tam, aż pójdzie spać. Nabrał głęboko powietrza.

– Sądzę, że powinnaś z tym poczekać, aż... – Opuścił wzrok, zrobił poważną minę i pokiwał głową. – Aż skończysz jakieś pięćdziesiąt lat.

– Pięćdziesiąt – powtórzyłam z ciężkim westchnieniem. – Tato, nie musisz przeprowadzać ze mną tej rozmowy. Mam opanowane najważniejsze podstawy.

Mina mu wyraźnie stężała.

– Oczywiście nie z doświadczenia – pospieszyłam z wyjaśnieniem.

To akurat była w zasadzie prawda. Kiedy inne dziewczyny umawiały się z chłopakami, ja tkwiłam w żałobie. No, raz grałam w butelkę w szóstej klasie. Kto wtedy nie grał? Wciąż pamiętam mój pierwszy pocałunek z jęczyczkiem. Zakręciłam butelką i wypadło na Rolanda Davisa. Skuliłam się i przytknęłam sztywno swoje wargi do jego, kiedy on nagle wepchnął swój gruby język do moich ust. Zapiszczałam i niemal go zdzieliłam. Carla uśmieła się do łez. Po paru chwilach ja też dołączyłam do ogólnej wesołości. Kiedy to sobie przypominam, to robi mi się trochę żal Rolanda. Nie przypominam sobie, żeby on się śmiał.

W ósmej klasie z Samem Pittem doszłam do etapu trzymania się za ręce i kilku niewinnych całusów. Chodziliśmy ze sobą chyba bity miesiąc. To tyle, jeśli mowa o moich doświadczeniach z chłopakami.

No, a teraz był Jackson, który ani razu mnie jeszcze nie pocałował, ale który trzymał mnie w objęciach i sprawił, że miałam ochotę go pocałować.

Zezłościłam się na siebie i błyskawicznie odgoniłam tę myśl. Takie rozmyślenia mogą wyłącznie wpakować mnie w kłopoty. Brakowało mi tylko zawodu miłosnego do kompletu. Jackson Tate był tak niebezpieczny, jak to tylko możliwe.

A ja byłam raczej ostrożną dziewczyną.

– Tylko podręcznikowe podstawy, naprawdę – dodałam, ponieważ tata wciąż wpatrywał się we mnie w milczeniu.

W końcu pokiwał głową i wrócił do jedzenia.

– Jak ci się podoba pogoda? – zapytałam, żeby przerwać ciszę. – Ciepło, nie?

Ponieważ wykazywał znikomą ochotę rozmawiania o pogodzie, rzucając tylko co jakiś czas parę słów, przypominało to raczej monolog o słońcu i błękitnym niebie. Po wyrazie twarzy ojca widziałam wyraźnie, że myślami wciąż jest przy temacie chłopaków. Po kilku minutach wstałam i zebrałam talerze. Ochocho zajęłam się ładowaniem zmywarki. Dało mi to doskonałą okazję, żeby unikać kontaktu wzrokowego. Gdy skończyłam, tata siedział już przed telewizorem i mogłam spokojnie udać się do swojego pokoju.

– Idę odrobić lekcje – wymruczałam pod nosem.

Zamknęłam za sobą drzwi, oparłam się o nie i odetchnęłam z ulgą. Nawet nie zdawałam sobie sprawy z tego, jaka byłam spięta. Ale szczęśliwie dzień zbliżał się już do końca. Jutro na pewno będzie lepiej. Zaraz po tej myśli do oczu napłynęły mi łzy. Ile razy powtarzałam to sobie przez te wszystkie lata? Ile razy musiałam zmuszać się do wstania rano z łóżka? Ile razy starałam się uwierzyć sobie samej, że kolejnego dnia w końcu wszystko będzie w porządku?

Jak dotąd nie doczekałam się spełnienia tych pragnień. No, jeśli nie liczyć paru chwil w grze. Jeśli miałabym być ze sobą szczerą, to musiałam przyznać, że kilka razy czułam się tam normalnie. Co za ironia losu! Jedyne chwile, kiedy czuję się w porządku, zdarzają się w alternatywnej rzeczywistości, gdy walczę z obcymi najeżdżającymi Ziemię. Jakkolwiek by na to spojrzeć, to nie było normalne.

Chociaż, z drugiej strony, może jednak jest? Może w grze czułam się w porządku, ponieważ wiedziałam, że robię coś bardzo ważnego? Mój smutek, moja strata – wszystko karłało w zestawieniu z inwazją obcych. Jackson zdaje się święcie przekonany, że ratujemy świat. Czwórka nastolatków ratuje świat. Przewróciłam oczami. Jasne.

Zmieniłam ubranie na starą, wyciągniętą koszulkę i flanelowe spodnie, po czym zabrałam się do odrabiania pracy domowej z matmy. Dałabym wiele za możliwość pomówienia z Jacksonem. Zaczęłam się zastanawiać, czy on to robi specjalnie – unika mnie, żeby nie musieć odpowiadać na moje pytania.

Roześmiałam się na głos. Oczywiście, że robi to specjalnie. Przecież wie, gdzie mieszkam, gdzie mam zwyczaj biegać. Wystarczyłoby, gdyby dołączył do mnie rano i przebiegł się ze mną kawałek. Moglibyśmy pogadać, mógłby mi wiele rzeczy wyjaśnić. To, że tego nie zrobił, mówiło wystarczająco wiele.

Odgoniłam myśli o Jacksonie i postarałam się skoncentrować na pracy domowej. Szło mi jednak jak po grudzie. Byłam bardzo zmęczona, co w zasadzie nie powinno nikogo dziwić, jeśli weźmie się pod uwagę, jaką część minionej nocy przespałam. Śniłam o oczach Jacksona, powłokach i martwej dziewczynie, którą zabił, chociaż tak właściwie to ona była już martwa. Od samego myślenia o tym kręciło mi się w głowie.

Byłam wykończona. Nie minęła jeszcze dziesiąta, a już walczyłam z sennością i ledwo powstrzymywałam opadanie powiek. W pewnym momencie, w tej ulotnej chwili między jawą a snem, usłyszałam dziwne stukanie. Po kilku minutach rozległo się ponownie. Ktoś stukał w moje okno.

Wzdłuż pleców przebiegł mi zimny dreszcz.

Znowu ten sam stuk.

Ostrożnie podeszłam do okna i wyjrzałam. Serce zabiło mi bardzo mocno, niemal boleśnie.

Ciemne ubranie, ciemne okulary i jasne włosy lekko lśniące w świetle księżyca.

Jackson Tate siedzący po turecku na dachu ganku mojego domu.

Rozdział osiemnasty

Otworzyłam okno.

– Co ty wyprawiasz? – wyszeptałam.

Jego odwiedziny sprawiły, że czułam się jednocześnie oszołomiona, zaniepokojona i podekscytowana.

– Wpadam w odwiedziny.

– Teraz? – zapytałam, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Jak się tu dostałeś?

– Wspiąłem się.

Patrzyłam na niego, zupełnie nie wiedząc, co mam zrobić. Czy powinnam wyjść do niego na dach ganku, czy raczej zaprosić go do środka? Rozejrzałam się nerwowo po ulicy, aby upewnić się, że sceny nie widzi żaden z sąsiadów. W zasięgu wzroku nie było nikogo... jeszcze. Ale w każdej chwili ktoś mógł się pojawić.

– Właź do środka – poleciłam mu szeptem, odsuwając się od okna. – Zdejmij buty i nie narób hałasu.

Chwilę później Jackson stał w pokoju dosłownie tuż obok mnie. Pozostawiłam okno otwarte na wypadek konieczności szybkiej ewakuacji. Zaciągnęłam jednak częściowo zasłonę, żeby nikt z ulicy nie mógł nas podglądać.

– Buty? – zapytał wyraźnie zdziwiony.

– Nie chodzimy po domu w butach. Moja mama była pod tym względem bardzo stanowcza.

A ja przejęłam to po niej. Był to jeden z moich drobnych sposobów zachowania jakiejś jej części przy sobie.

– A może będziemy udawać, że stoimy w przedpokoju, a ja będę stał w miejscu, żeby nie zdeptać podłogi? Czy wtedy mogę zostać w butach? Bo wiesz, niespecjalnie uśmiecha mi się wyskakiwanie na zewnątrz w samych skarpetkach, gdyby nagle pojawił się twój ojciec.

Zmroziło mnie na tę myśl. Przed oczami duszy stanęła mi wizja Jacksona skaczącego na dach ganku i zostawiającego za sobą swoje buty – dowód mojej przewiny.

– Dobra – stwierdziłam po krótkim namyśle. – Zostań w butach. Ale żadnego łażenia.

– Na pewno? – zapytał. – Jeśli to dla ciebie takie ważne, mogę je zdjąć.

Sprawił wrażenie jednocześnie rozbawionego i szczerego.

Wyteżyłam słuch, próbując ustalić, czy tata ogląda telewizję na dole. Nic nie usłyszałam. Musiał więc pójść do łóżka. Tylko czy zdążył już zasnąć?

– Nie zdejmuj – wyszeptałam.

Jackson dotrzymał słowa i nie ruszał się z miejsca. Nie omieszkał jednak rozejrzeć się dokładnie po moim pokoju. Półka z książkami była na wyciągnięcie jego ręki, przejechał więc palcami po grzbietach, odczytując tytuły. Miałam tam pełny przekrój: *Małe kobietki* Louisy Alcott, *Grę Endera* Orsona Scotta Carda, *Frankensteina* Mary Shelley, *Buszującego w zbożu* Jerome'a Davida Salingera, komplet książek Christophera Moore'a, dzieła zebrane Jane Austen, mocno zużyty, wielokrotnie czytany cykl o Harrym Potterze, odziedziczone po mamie horrory Stephena Kinga z pozaginаныmi rogami kartek, *Ostatnie życzenie* i *Krew elfów* Sapkowskiego...

Zatrzymał dłoń na tych ostatnich.

– O, tych nie znam – wymruczał pod nosem. – Ale *Gra Endera* jest mega.

– Świetnie się czyta, prawda – zgodziłam się. – Czytałeś resztę?

– Część.

Spróbowałam wyobrazić go sobie zagłębianego w lekturze *Małych kobietek*. Ledwo powstrzymałam chichot.

Przesunął dłoń na drugą półkę, na której trzymam mangę.

– O, czytasz *Bleach*?

- Jedna z moich ulubionych – przytaknęłam.
- Ale nie masz ostatniego albumu.
- Nie było już w księgarni.

Przeniósł wzrok z książek i komiksów na mnie, ale nie powiedział nic więcej. Przez głowę przewalały mi się różne uczucia. Ekscytacja spowodowana jego obecnością, obawa przed nakryciem nas przez tatę, zaskoczenie odwiedzinami, a także zdziwienie, że toczyliśmy taką do znudzenia zwyczajną rozmowę. Najważniejsze jednak było to, że wszystkie te uczucia były wyraźne. Otrzeźwiły mnie i nie czułam się już tak przytłoczona jak jeszcze niespełna godzinę wcześniej.

Na samym początku szeptaliśmy, ale z każdą minutą mówiliśmy coraz głośniej. A to mogło być niebezpieczne.

- Co tu robisz? – zapytałam, wracając do szeptu.
- Odpowiem na pięć pytań – powiedział, również zniżając ton. – Potem muszę iść.
- Przeszedłeś tu tylko po to, żeby odpowiadać na moje pytania?
- Tak – odparł. – I żeby cię zobaczyć.

O! Dobra, tego się nie spodziewałam. Zupełnie nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć. Palnęłam więc oczywiście coś, czego absolutnie nie powinnam mówić.

- Dlaczego nie przyszedłeś wczoraj? Albo dzisiaj rano, żeby ze mną pobiegać? Przez cały dzień wariowałam, próbując wszystko ogarnąć.
- Wczoraj nie mogłem. Dzisiaj rano też nie. Dopiero jakieś dwadzieścia minut temu wróciłem do miasta. – Uśmiechnął się lekko. – I policzę to jako pierwsze pytanie.

Przewróciłam oczami.

- Nie, to nie liczy się jako pierwsze pytanie. – Wzięłam głęboki wdech i zapytałam prosto z mostu: – Czym jesteś? Jesteś jednym z Drau? Albo powłoką?

Serce waliło mi tak mocno, że miałam wrażenie, jakby zaraz miało wyrwać

się z klatki piersiowej.

– Gdy ostatnim razem sprawdzałem, byłem normalnym chłopakiem – powiedział, unosząc jeden kącik ust w lekkim uśmiechu. – Chcesz sama się przekonać?

To pytanie było tak niepodobne do niego, że mnie zatkało. Po chwili poczułam, że cała się czerwienię, co dodatkowo zwiększyło moje zdenerwowanie. Zdecydowanie nie należałam bowiem do typu rumieniących się z byle powodu podlotków.

Roześmiał się cicho.

– Nie, nie jestem jednym z Drau – podjął. – I nie, nie jestem też powłoką.

– Skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę? Skąd mam wiedzieć, że mogę ci zaufać?

Przez ponad minutę po prostu stał bez słowa, patrząc mi w oczy. Potem chwycił za brzeg koszulki i podciągnął ją pod szyję. Szczeka mi opadła i zaniemówiłam. Dzinsy wisiały mu luźno na biodrach, odsłaniając częściowo gumkę bokserek. Powyżej była gładka skóra i ładnie wyrzeźbione mięśnie, akcentowane przenikającym przez zasłonę światłem latarń. Wyglądał jak model z reklamy bielizny. Już po photoshopie.

– Co ty wyrabiasz? – wyszeptałam gwałtownie, gdy tylko odzyskałam mowę, zerkając nerwowo na drzwi.

Gdyby w tej chwili wszedł mój ojciec, chyba spaliłabym się ze wstydu.

Chwyciłam jego koszulkę i spróbowałam ściągnąć ją na powrót w dół. Moje palce otarły się lekko o jego tułów i poczułam, jak mięśnie jego brzucha reagują na mój dotyk. Poczułam dziwne mrowienie w czubkach palców jak przy przeskokowaniu iskry ze swetra czy metalowej framugi drzwi. Szybko opuściłam dłonie i wręcz odskoczyłam od niego.

– Udowadniam, że nie jestem powłoką – powiedział spokojnie.

– Co...

Nagle zrozumiałam. Na środku jego cudownie gładkiej, opalanej skóry

pięknie umięśnionego brzucha znajdował się pępek. A poniżej spod gumki bokse-
rek wystawało kilka jasnobrązowych włosów. Nie patrzeć w tamtą stronę, zdecydo-
wanie nie patrzeć w tamtą stronę,

– Super, dzięki. Udowodniłeś. Teraz opuść już koszulkę.

– Na pewno?

Uśmiechał się, słyszałam to w jego głosie. Nie miałam zamiaru się jednak co
do tego upewniać. Wbiłam zęby w dolną wargę i odchyliłam głowę do tyłu, wbi-
jając wzrok w sufit. Byłam zdeterminowana pozostać w tej pozycji, dopóki
nie opuści tej przeklętej koszulki.

– Już możesz przestać wpatrywać się w sufit – powiedział. – Wszystko za-
kryte.

Zerknęłam ukradkiem i z ulgą odkryłam, że mówił prawdę. Uznałam jednak,
że lepiej się mieć na baczności. Na wszelki wypadek.

– Dobra, nie jesteś więc powłoką i twierdzisz, że nie jesteś jednym z Drau.
Ale twoje oczy... – Zawiesiłam na chwilę głos. – Nigdy wcześniej nie widziałam
u nikogo nic podobnego. Tylko... u nich.

– Tak, mam oczy takie same jak Drau. I nie znajdziesz u nikogo podobnych.
Ale tak samo jest w przypadku twoich oczu.

Zmroziło mnie.

– Jak to? Luka... – urwałam.

Oczy Luki miały ten sam kolor co moje tylko w grze. W prawdziwym świe-
cie były inne. W tym świecie były ciemnobrązowe. A Richelle... Spróbowałam so-
bie przypomnieć jej zdjęcie, które znalazłam w sieci. Jakiego koloru miała oczy?
Nie pamiętałam, ale z pewnością nie były niebieskie jak w grze.

– Jakiego koloru są oczy Tyrone’a poza grą? – zapytałam.

Jackson wzruszył ramionami.

– Nie wiem – odparł. – Na pewno nie niebieskie i na pewno nie są to szare
oczy Drau.

– Miliony ludzi mają niebieskie oczy – zaprotestowałam, chociaż podświadomie wiedziałam, co Jackson za chwilę powie.

– Nie takie jak twoje.

Miał rację. Gdy ludzie widzą mnie pierwszy raz, zazwyczaj przypatrują się ze zdziwieniem moim oczom.

– Wyjaśnij – powiedziałam. – Proszę.

Kątem oka dostrzegłam, jak się rozgląda. Czyżby poważnie rozważał możliwość, że ktoś może nas podsłuchiwać w moim pokoju? Najwyraźniej samo pomieszczenie uznał za bezpieczne, bo jedynie zamknął okno.

– Pamiętasz, jak opowiadałem ci o naszych przodkach? O tym, jak osiedlili się wśród ludzi i mieszały z nimi? Mieli dzieci, potem ich dzieci miały dzieci...

– Tak, pamiętam – przerwałam jego wywód.

– Moje oczy, twoje też, są takie, jakie są, ponieważ mamy dużo silniejszy pewien zestaw alleli.

– Allele to geny, prawda?

– W pewnym sensie tak. W tym przypadku my mamy silniejszy fragment niehumanicznego DNA.

– Czyli Tyrone i Luka też mają te obce geny, ale ty i ja mamy supergeny?

Otworzył usta, zawahał się, zamknął je z powrotem, po czym wzruszył ramionami.

– Można to i tak ująć – stwierdził. – Opis naukowy jest tu nieistotny. Ważny jest efekt. Jesteś silniejsza, szybsza i bardziej wytrzymała od większości rówieśników.

– Sądziłam, że zawdzięczam to kendo i bieganiu.

– Po części tak, ale to nie jest cała prawda. Dostrzegasz też rzeczy, których inni nie dostrzegają.

– Mówiąc „inni”, masz na myśli Lukę i Tyrone’a?

Kiwnął głową.

– A mówiąc o rzeczach, które widzę, masz na myśli pozostałe części poczekalni i tych innych ludzi? Pozostałe... drużyny?

Wahałam się, czy mogę użyć tego słowa, skoro ciągle powtarzał, że nie jesteśmy drużyną i każdy dba o siebie. Chociaż przecież on najbardziej dbał o innych spośród nas wszystkich. Ciągle mnie pilnował i ochraniał. Sprawiał wrażenie naszego anioła stróża.

– I ty też ich widzisz – dodałam – tych z innych drużyn?

– Tak.

– Powiedz mi coś więcej o nich. Czy kiedykolwiek współpracujemy z nimi? Czy oni wiedzą o nas? Czy...

Jackson wyciągnął ręce i ujął moją twarz w swoje dłonie. Moje pytania rozwiąły się, wyparte całkowicie przez przejmujące uczucie towarzyszące dotykowi jego ciepłych dłoni.

– Muszę już iść – powiedział. – Poza tym to było już więcej niż pięć pytań.

Przysunął się bliżej.

– Zaczekaj – wyszeptałam.

Nie mogłam się ruszyć. Serce waliło mi jak młotem, częściowo w nadziei a częściowo ze strachu, że nachyli się i jego usta zetkną się z moimi.

– Nie możesz tak po prostu sobie pójść.

– Owszem. – Uśmiechnął się lekko. – Mogę.

Przesunął kciukiem po mojej dolnej wardze, sprawiając, że oddech zamarł mi w płucach.

– Muszę – dodał.

– Dlaczego przyszedłeś tu dzisiaj? – zapytałam, ledwo przeciskając słowa przez ściśnięte gardło.

– Bo potrzebowałam odpowiedzi na swoje pytania. Bo pozostawienie cię samej sobie, gdy podejrzewałam mnie o bycie powłoką Drau, byłoby nie w porządku. Bo, chociaż stoi to w sprzeczności ze wszystkim, czym jestem i czym muszę być, nie mogę znieść myśli, że jesteś tu sama, pełna wątpliwości i niepokoju.

– Co masz na myśli? – zapytałam lekko zdezorientowana. – Czym musisz być?

– Teraz już zdecydowanie przekroczyłaś limit pięciu pytań. Przykro mi, Miki, że nie mogłem przyjść do ciebie wczoraj ani dzisiaj rano. Naprawdę musiałem być gdzie indziej.

Chciałam zobaczyć jego oczy. Chciałam patrzeć na niego, a nie na jego okulary. Sięgnęłam do jego twarzy, ale zareagował szybko i unieruchomił mój nadgarstek w mocnym uścisku.

– Jest jeszcze jeden powód, chyba najistotniejszy – dodał niskim, ledwie słyszalnym głosem. – Przyszedłem, bo chciałem cię zobaczyć.

Po tych słowach puścił mój nadgarstek i zrobił krok w tył.

– Naprawdę muszę już iść.

– Zaczekaj, proszę! Ostatnie pytanie, obiecuję. Dlaczego Richelle zginęła?

Nie pytałam o kwestie techniczne i on dobrze o tym wiedział. Pytałam, dlaczego jej nie uratował. Nie byłam jednak na tyle okrutna, żeby zapytać o to wprost.

– Richelle była najlepsza w grze z nas wszystkich – powiedział po chwili milczenia. – Wiedziała, kiedy należy zaatakować, a kiedy trzeba trochę odpuścić. Wiedziała, że gdy jej kom staje się pomarańczowy, trzeba wycofać się na z góry upatrzone pozycje i się bronić. Wiedziała, że nie wolno dopuścić do tego, żeby stał się czerwony.

Zamilkł.

Zastanawiałam się, czy wspomina teraz, jak powiedział mi o tym, że bym właśnie do czegoś takiego nie dopuściła.

– Miki, nie mogę być wszędzie naraz – podjął po chwili. – Staralem się chro-

nić ciebie i Tyrone'a. Richelle zdecydowała się zaatakować, zamiast bronić. A ja nie zdołałem dopaść do niej na czas. Dlatego nie żyje.

Mówił to całkowicie beznamiętnym tonem, zupełnie wypranym z emocji, co tylko czyniło jego słowa bardziej smutnymi. Niezależnie od doboru słów winił siebie, nie Richelle. I to poczucie winy trawiło go cały czas.

Każdy dba o siebie. Każdy – oprócz niego samego. Uważał, że w ten sposób najlepiej utrzyma wszystkich przy życiu. Moim zdaniem się mylił. Ale to nie była właściwa chwila, żeby mu to powiedzieć.

– Jackson... – wyszeptałam.

Było mi go strasznie żal. Nie myśląc o tym, co robię, zrobiłam krok w jego stronę i oparłam dłoń na jego piersi, na wysokości serca. Czułam pod palcami rytmiczne bicie. I napięte mięśnie. Mówienie, że to nie była jego wina, nie miało najmniejszego sensu. Nie uwierzyłby mi.

Chwycił moją rękę tuż nad nadgarstkiem, obrócił wnętrzem dłoni do góry, po czym nachylił głowę i przycisnął swoje wargi do mojej skóry. Przez całe ciało przebiegł mi silny dreszcz, zmuszając do nagłego nabrania powietrza.

Jego usta przesunęły się na mój przegub.

Stałam jak zamurowana, niemal fizycznie czując krew pędzącą w moich żyłach.

Chciałam, żeby zrobił to ponownie. Chciałam przycisnąć swoje wargi do jego. Chciałam, żeby wypełniło mnie to euforyczne uczucie. Chciałam...

Uniósł głowę i puścił moją rękę.

Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, cokolwiek zrobić, otworzył okno, wydostał się na dach ganku, po czym zeskoczył na dół i zniknął w ciemności. Próbowałam wypatrzeć go wśród cieni, ale bez powodzenia. Przepadł jak kamień w wodę. Jakby nigdy go tu nie było.

No i jak ja niby miałam teraz zasnąć? Mocno wątpiłam, czy uda mi się choć na chwilę zmrużyć oczy. Jednak zaledwie kilka minut po położeniu głowy na poduszce zaczęłam powoli odpływać. Ostatnią świadomą myślą była konstatacja,

że oto mam dwa zmartwienia mniej. Jackson nie był ani powłoką, ani jednym z Drau. Na to pierwsze widziałam namacalny dowód. A co do tego drugiego... Cóż, z jakiegoś powodu zwyczajnie wierzyłam mu na słowo.

Może więc będę spała spokojnie.

Wsunęłam rękę pod głowę i obróciłam twarz, tak żeby moje usta dotykały wnętrza przegubu w tym samym miejscu, które pocałował Jackson.

#

– Chcesz jeden? – zapytała Lizzie.

Podkreśliła głośność radia, niedbale trzymając kierownicę tylko jedną ręką. Obie szyby były otwarte na oścież, wobec czego wiatr hulał po całym samochodzie. Jechałyśmy niezmiernie szybko, tak jak Lizzie lubiła. Od tamtego wydarzenia, gdy miała piętnaście lat, stała się trochę taka „młoda gniewna”. Nie wiem, co się wtedy stało, nigdy nie chciała o tym mówić. Sądzę, że nie powiedziała nawet mamie ani tacie. Ale cokolwiek to było, odmieniło ją z dnia na dzień.

Wiem tylko, że w jednej chwili siedziałyśmy na kanapie, oglądając jakiś głupawy program w telewizji, a w następnej ona była już blada i spocona. Wyglądała, jakby zaraz miała zwymiotować. Bełkotała tylko – zdałoby się, że bez sensu – o śmierci, zabijaniu i umieraniu, po czym straciła przytomność. Mama szybko zawiozła ją do szpitala, ale lekarze nie mogli ustalić, co jej jest. Przez całe miesiące przeprowadzali różne badania. Na pewien czas nawet zatrzymali Lizzie na obserwację. Po jakimś czasie trochę jej się poprawiło. Wróciła do domu, skończyła szkołę, nawet dostała się do college’u. Nigdy jednak nie była już taka jak dawniej.

Spojrzała na mnie i wyciągnęła w moją stronę otwarte pudełko cukierków, potrząsając nim zachęcająco. Miała wolne w college’u i przyjechała właśnie na dwa tygodnie do domu. Bardzo cieszyłam się z jej obecności. Mimo sześciu lat różnicy między nami wciąż chętnie spędzała ze mną czas.

Sięgnęłam do pudełka i wzięłam cukierek. Roześmiała się i skierowała wzrok z powrotem na drogę. Przyglądałam się jej – tak dawno jej nie widziałam.

Nagle dostrzegłam zmianę w wyrazie jej twarzy – uśmiech zamarł na jej ustach, całe ciało zeszywniało. Wygięła plecy, wciskając się w siedzenie, wdepnęła mocno prawą nogą w hamulec i zacisnęła obie ręce na kierownicy, skręcając nią gwałtownie w bok. Z piskiem opon samochód wpadł w poślizg; Lizzie zaczęła krzyczeć. Oderwałam wzrok od niej i spojrzałam na drogę przed nami. Z naprzeciwka zbliżały się z olbrzymią prędkością dwa duże światła i metalowa osłona chłodnicy wielkiej ciężarówki.

To, co wydarzyło się potem, działo się jakby w zwolnionym tempie. Maską naszego samochodu złożyła się w harmonijkę, a przód ciężarówki przybliżał się i przybliżał... Uszy wypełnił mi zgrzyt rozrywanego metalu. Ciężarówka miażdżyła samochód niczym blaszaną puszkę – z nami w środku.

Zamrugałam i chciałam rzucić się w bok, ale nie mogłam się poruszyć. Ciało odmawiało mi posłuszeństwa. Każda jego komórka krzyczała z obezwładniającego bólu. Było mi zimno, tak bardzo zimno. Poczulałam się nagle strasznie zmęczona. Pragnęłam tylko zamknąć oczy i odpocząć.

Usłyszałam, jak szepcze moje imię.

Zmusiłam się do otwarcia oczu.

Lizzie patrzyła na mnie, ale jej twarz wyglądała inaczej. Cały bok głowy i jeden policzek miała we krwi. Jej oczy były szare i wirowały niczym srebrzyste chmury.

Ale to było przecież niemożliwe. Lizzie miała zielone oczy, takie jak mama.

Ponownie wyszeptała moje imię. Spojrzałam w dół – ja też byłam cała zakrwawiona. Nie mogłam się poruszyć, ponieważ unieruchamiały mnie kawałki karoserii przebijające mnie na wylot. Miałam wrażenie, jakbym patrzyła na kogoś innego, stojąc gdzieś z boku.

– Muszę wytrzymać do momentu, kiedy mnie wyciągną – powiedziała. – Poproszę ich, żeby ciebie też wyciągnęli. Wszystko będzie w porządku.

Przełknęłam z trudem ślinę. Ze zdziwieniem odkryłam, że nie czuję specjalnego strachu. Tak jakby to wszystko przydarzyło się komuś innemu. Chciałam powiedzieć, że ma rację, że lada chwila nas wyciągną. Nie mogłam jednak wydobyć

z siebie ani słowa. Czułam dziwny, metaliczny smak. Gdy otworzyłam usta, coś ciepłego pociekło mi na brodę.

Krew?

Opadły mi powieki. Byłam taka zmęczona...

Słyszałam głos Lizzie, rwany, nasiąknięty strachem. Raz po raz wymawiała moje imię. Ale nie brzmiało to tak jak zazwyczaj. Jej głos był jakiś słaby, a wymawiane imię... nie było moje... Ona nie wołała Miki. Wołała Jacksona. Ale tak nie powinno być, prawda? Nie mogłam sobie przypomnieć.

Spróbowałam ponownie otworzyć oczy, ale bez powodzenia.

– Spójrz na mnie – powiedziała Lizzie z wyraźnym bólem. – Otwórz oczy, spójrz na mnie.

Polecenie, nie prośba. Zawsze chciała mną rządzić.

Otworzyłam jednak oczy.

– Posłuchaj mnie – powiedziała, z trudem wymawiając poszczególne słowa.
– Posłuchaj mnie. Musisz wziąć coś ode mnie. Oni tak robią. Chyba wiem jak. Mogę ci pokazać. Musisz przeżyć. Spójrz na mnie. Spójrz na mnie!

Zamrugałam, usiłując skupić wzrok. Poczułam jej dłoń na moim nadgarstku. Przyciskała swoje palce poniżej nasady mojego kciuka.

– Ledwo wyczuwam twój puls – wyszeptała przez łyzy. – Musisz to zrobić teraz. Spójrz mi w oczy. Wiem, jak bardzo chcesz żyć. Poddaj się instynktowi. On ci powie, co robić.

Wpatrywałam się w nią, próbując skoncentrować się na jej słowach, próbując zrozumieć. Coś wewnątrz mnie rozumiało. Wpatrywałam się w nią. Oczy zaczęły mnie piec i boleć. Czułam olbrzymie ciśnienie, jakby ktoś wbijał mi palce w oczodoły. Moje pole widzenia zawężyło się i zawężyło, aż widziałam tylko oczy Lizzie – wirującą szarość przechodzącą w szarawą zieleń. Aż nagle znowu były zielone. Takie jak zawsze dotąd.

#

Krzyczałam głośno, próbując się wyswobodzić. Coś trzymało mnie mocno i nie chciało puścić. Coś...

– Cii, Miki, wszystko jest w porządku. To był koszmar, tylko zły sen.

Tata. To tata mnie trzymał i podciągał do pozycji siedzącej, żeby móc mnie lepiej objąć. Jedną ręką głaskał mnie po głowie.

Byłam cała złana potem. Ciężko dyszałam, a serce waliło mi w piersi w szaleńczym tempie. Gdy mama umarła, miałam koszmary co noc. Śniłam, że leżę w zimnej ziemi. Słyszałam grudki upadające na wieko trumny, gdy zasypywali grób. Przestałam jednak miewać te sny jakiś czas temu, od ostatniego minęło już wiele miesięcy. To był pierwszy zły sen od dłuższego czasu.

– Taki sam jak zwykle? – zapytał tata.

Pokręciłam głową.

– Nie – odparłam. – Tym razem był inny. To było... Chyba śniłam o wypadku samochodowym.

Tata sięgnął ręką w bok i włączył moją lampkę nocną. Zamrugałam oślepiena jasnym światłem. Gdy mój wzrok przystosował się do nowych warunków, spojrzałam na tatę. Włosy sterczały mu we wszystkie strony, a na szczęce pojawiły się już czarne kropki świeżego zarostu.

– Kto to jest Lizzie? – zapytał tata. – Wykrzykiwałaś to imię.

– Lizzie. Tak, tak miała na imię. We śnie chyba była moją siostrą. Miała zielone oczy i miałyśmy innych rodziców, nie ciebie i mamę. Wtedy nadjechała ciężarówka i...

Ona zginęła.

Świadomość tego przytłoczyła mnie niczym ciężki, ołowiany odważnik. Ja tego nie widziałam we śnie. Gdy tata mnie obudził, Lizzie jeszcze żyła.

Ale wiedziałam z całą pewnością, że ona nie żyje. Że to ja ją zabiłam.

Rozdział dziewiętnasty

Brzęczyk budzika wdarł się przemocą w mój płytki sen. Chciałam przewrócić się na drugi bok, naciągnąć kołdrę na głowę i pójść z powrotem spać. Zebrałam się jednak w sobie, wstałam, przebrałam się i ruszyłam na przebieżkę. Zdołałam już prawie zapomnieć o koszmarze, ale nie mogłam przestać myśleć o Jacksonie. Nie wiedziałam, co mam w ogóle sądzić o jego odwiedzinach i o tym, że przyszedł specjalnie po to, by odpowiedzieć na moje pytania, podczas gdy normalnie wszelkie odpowiedzi trzeba z niego wręcz wołami wyciągać.

Pamiętałam dobrze to uczucie, gdy pocałował mój przegub.

Myślałam o tym, biegnąc. Dopiero całe zatrzęsienie esemesów, które znalazłam na swoim telefonie, gdy wróciłam do domu, sprowadziło mnie na ziemię. Wyglądało na to, że wszystkich znużyło już oczekiwanie, aż sama z siebie opowiem o mojej kłótni z Carłą, i przeszli do dopytywania się wprost. Na telefonie czekały na mnie wiadomości od Dee, Kelley i Sary, ba, była nawet jedna od Emily – takiej jednej dziewczyny, z którą czasem się spotykamy. Wszystkie chciały się dowiedzieć czegoś o Luce. Sara dodatkowo pytała o Jacksona. Wygląda na to, że Carla była u niej w domu, kiedy rozmawiałam z nim w niedzielę w parku, i obie nas widziały. Dee chciała wiedzieć, dlaczego Carla jest na mnie zła. Wszystkie wiadomości dotyczyły Carli, Luki albo Jacksona, ale żadna z nich nie pochodziła od kogoś z tej trójki.

Niemniej jednak trzeba było przyznać Carli, że musiała być bardzo rozmowna. Gadała chyba z każdym oprócz mnie.

Tak więc ewidentnie była na mnie zła. Część mnie chciała powiedzieć „no i co z tego”? Ale to była Carla, z nią musiałam się jakoś pogodzić. Inaczej nie byłabym w porządku wobec samej siebie. Co nie zmieniało faktu, że nie zrobiłam tak naprawdę żadnej z rzeczy, o które mnie oskarżała. I nie miałam zamiaru pozwalać jej karać mnie za coś, co tylko jej się wydaje, że zrobiłam. Jej fochy przez minione dwa dni wystarczały aż nadto. Powinna dostać jakąś nagrodę za bierną agresję.

Gdy już przebrałam się w szkolne ciuchy i wysuszyłam włosy, w trakcie śniadania zadzwoniłam do niej. Nie odbierała. Gdy włączyła się poczta głosowa,

przełknęłam łyżkę jogurtu z musli i zostawiłam wiadomość:

– Cześć, Carla! Ja też jestem na ciebie zła. Nie powinnaś tak po prostu się rozłączać. Słyszałaś kiedyś o czymś takim jak rozmowa? Chcesz informacji? Oto one. Chłopak nazywa się Jackson Tate. Nie miałam żadnych planów związanych z nim w niedzielę. Byłam zdenerwowana, bo dowiedziałam się, że jedna dziewczyna, którą poznałam na treningach kendo... – przećwiczyłam sobie to wyjaśnienie pod prysznicem. Było to co prawda kłamstwo, ale niewielkie – ...nie żyje. Wysłałam więc pobiegać, by oczyścić umysł, a że on też właśnie wyszedł pobiegać, to potruchtaliśmy trochę razem i akurat w parku miałam małe załamanie. Na jakieś trzydzieści sekund przestał być dupkiem i mnie objął, dopóki się nie pozbierałam.

Z tym że to nie do końca było tak. Jackson nie był dupkiem. No, nie przez cały czas. Był zupełnie inny, niż mi się z początku wydawało.

Ale trzeba dokończyć wyjaśnienia.

– Zostawiłam go w parku i pobiegłam do domu, gdzie czekał na mnie Luka. Wpadł zupełnie bez zapowiedzi. Nie mieliśmy żadnych planów, więc to nie jest tak, że ci o czymś nie powiedziałam. A ponieważ wciąż był u mnie, kiedy podjechałyście, to nie za bardzo miałam kiedy zadzwonić i podzielić się nowiną. No i to tyle.

Przerwałam na chwilę, próbując odgadnąć tok myśli Carli, gdy będzie odsłuchiwała wiadomość. Chciałam dodać coś, co sprawi, że się uśmiechnie i mi wybaczy. Przypomniałam sobie, co powiedziała w piątek Kelley i Dee. Tak, to mogło być dobre.

– Ale Jackson jest istotnie bardzo przystojny.

Oj, był. I nie tylko przystojny. Był bardzo złożony i miałam pewność, że zostało jeszcze wiele do odkrycia.

– Rzeczywiście, aż się prosi, żeby go schrupać.

Zamknęłam oczy i przywołałam z pamięci jego smakowitą sylwetkę. Umięśniony brzuch, rozbudowana klatka piersiowa – istne dzieło sztuki.

– I, no, Luka w sumie też jest przystojny. Do zobaczenia na angielskim.

Włożyłam miskę do zmywarki, po czym zamarłam, wpatrując się w stojącą na blacie butelkę po piwie. Tylko jedna butelka. To chyba dobrze, prawda? Tak mi się przynajmniej wydawało. Po chwili sięgnęłam i przysunęłam ją bliżej, żeby jej się lepiej przyjrzeć.

– Tylko jedna – powiedział tata za moimi plecami nieco zbyt wesołym głosem.

– Widzę – odparłam, rzucając okiem przez ramię.

Włosy miał jeszcze mokre, był więc świeżo po prysznicu. Twarz miał już gładko ogoloną. I uśmiechał się do mnie. Niemniej jednak nie mogłam się pozbyć wrażenia, że coś jest nie tak. Nie byłam jednak w stanie ustalić, co konkretnie. Chwyciłam pustą butelkę, wstawiłam ją do pudełka pod zlewem i wytarłam blat ścierką.

– Blat nie był brudny – powiedział tata.

Przełknęłam ślinę i odwróciłam się twarzą do niego.

– Wiem, ale to silniejsze ode mnie.

– Miki, nie możesz zawsze wszystkiego kontrolować.

Wyciągnął do mnie rękę i uściśnął moją dłoń. Nie wspominał o koszmarze, ale uznałam, że częściowo o to mu właśnie chodzi.

– Ostatnio mam wrażenie, że niczego nie mogę kontrolować – powiedziałam. – Nawet we śnie.

Zaraz po tym wyznaniu pożałowałam go. Łzy cisnęły mi się do oczu, nie byłam w tym dobra, w rozmawianiu z nim, w mówieniu o moich emocjach. Tak naprawdę to z nikim nie umiałam o tym rozmawiać. Miałam wrażenie, że jeśli uchylę choćby rąbka, wszystkie wypłyną na zewnątrz i stracę kontrolę nad czymkolwiek.

Przypomniałam sobie, jak pękłam podczas rozmowy z Jacksonem w parku. I potem z Luką na podjeździe, kiedy wróciliśmy z misji, a ja zaczęłam się śmiać jak wioskowy głupek. Zaczynało mnie to przerażać. Nie mogłam dopuścić, żebym się taka stała. Moje życie musiało być uporządkowane niczym liczydło – wszystkie

koralki w równych rządkach.

– Nikt nie jest w stanie kontrolować swoich snów – powiedział tata. – Czy chodzi o tego chłopaka?

Zależy, którego chłopaka miał na myśli. Westchnęłam.

– Nie.

– Czy pokłóciłaś się z Carlą? – indagował łagodnym głosem.

To był jego tatusiowy głos. Przypominał mi wczesne dzieciństwo, kiedy podnosił mnie po każdym upadku i naklejał plaster z Kubusiem Puchatkiem na zdarte kolano. Teraz coraz rzadziej używał tego głosu – był już tatą, nie tatusiem. Cóż, pewnie między innymi na tym polegało dorastanie.

Spojrzałam mu w oczy. Czasem zupełnie nic nie łapał, ale zdarzało się, że pewne rzeczy dostrzegał aż za dobrze.

– Tak, pokłóciłyśmy się. Skąd wiedziałeś?

– Jogurt z musli drugi dzień z rzędu – powiedział, wskazując głową zmywarkę.

Musiał zauważyć, jak wkładałam miskę.

– Nie przypominam sobie, kiedy ostatni raz w zwykły dzień jadłaś śniadanie sama.

Miał rację, normalnie Carla by już dawno tu była. Wielokrotnie to ona szykowała śniadanie, podczas gdy ja kończyłam brać prysznic po porannej przebieżce.

Co mi przypomniało...

– A tak w ogóle... Hmm... Wypiłeś tylko jedno piwo? Ograniczasz?

Nie były to najzręczniejsze pytania, ale skoro tata sam zaczął dyskusję o jego piciu, czego nigdy dotąd nie robił, chciałam pociągnąć go za język. Przeczytałam trochę różnych artykułów w internecie i nawet byłam na kilku spotkaniach grupy Alateen. Jeśli tylko zechciałby ze mną o tym rozmawiać, może udałoby mi się namówić go na pójście na jedno spotkanie...

– Miki – powiedział, nie puszczając mojej ręki. – Nie mam żadnego problemu. Po prostu od czasu do czasu lubię wypić sobie piwo. Mnóstwo ludzi lubi sobie strzelić kufelek po dniu pracy, żeby spuścić parę. Czasem ledwo wytrzymuję w robocie, potrafi być bardzo stresująca. Szczególnie teraz, w dobie kryzysu...

To akurat wiedziałam. Tata pracował w banku przy kredytach hipotecznych. To zdecydowanie nie było wesołe i optymistyczne miejsce.

Wbił spojrzenie w jakiś punkt na ścianie za moimi plecami, unikając spojrzenia mi w oczy.

– Nie mam problemu, wszystko pod kontrolą. Nie jestem z gatunku tych, których dzieci wracające ze szkoły znajdują zapitych do nieprzytomności na kanapie z trzema pustymi butelkami po whisky zalegającymi na podłodze.

W tym momencie coś mnie tknęło. Tata powiedział o *trzech* pustych butelkach. Kierowana instynktem wyjęłam dłoń z jego uścisku, otworzyłam lodówkę i policzyłam butelki stojące na półce w drzwiach. Prychnął urażony, ale zignorowałam go. Otworzyłam szafkę pod zlewem, wyjęłam pudełko i policzyłam puste butelki. Na wszelki wypadek policzyłam jeszcze raz.

Poczułam napływ złości i bólu.

Jesteśmy z tatą generalnie szczerzy wobec siebie, ale nie zawsze. Tym razem on zdecydowanie nie był ze mną szczerzy.

– Jedna na blacie – wycedziłam chłodno. – I trzy kolejne włożone od razu do pudełka w nadziei, że nie zauważę. Dlaczego zatem w ogóle jakąś zostawiłeś? Dlaczego mnie okłamałeś? Dlaczego nie zostawiłeś wszystkich na wierzchu, ignorując to, że się martwię? Tak jak zwykłeś to robić od lat?

– Cztery piwa w jeden wieczór to nie jest dużo dla dorosłego mężczyzny – odparł, wciąż uciekając spojrzeniem.

– Dorosły mężczyzna nie powinien kłamać swojej nastoletniej córce! – Na brałam głęboko powietrza, żeby uspokoić głos. Jak to mówią, więcej zdziałasz miłym słowem. – Najpierw mówisz, że nie będziesz pić, a potem ja wracam do domu i znajduję butelki na blacie. Zamiast pójść na spotkanie ze swoimi kolegami od wędkowania, zostajesz sam w domu i...

– Chodzę na spotkania – wszedł mi w słowo.

– Od miesiący nie byłeś na żadnym. Zostajesz w domu i pijesz, sam. A teraz zaplanowałeś małe oszustwo, bym pomyślała, że wypijeś mniej niż w rzeczywistości. Dlaczego to zrobiłeś? To po prostu... – rozłożyłam ręce i potrząsnęłam głową – ...dziwne. Wiesz, że komplikuje to sprawy między nami, a mimo to wciąż pijesz. Kiedy mama żyła, nigdy nie wypijeś więcej niż parę piw tygodniowo. Teraz jest to co najmniej kilka butelek dziennie!

Oczy mu się zwężyły i zmarszczył gniewnie czoło.

– Mówisz, jakbyś miała przygotowaną jakąś listę.

Bo miałam. Znalazłam ją na stronie o alkoholizmie. Ale to chyba nie był najlepszy moment, żeby o tym mówić.

– Cztery piwa w jeden wieczór to nie jest dużo dla dorosłego mężczyzny – powtórzył.

– Powtarzasz się jak zacięta płyta! Kogo próbujesz przekonać, mnie czy siebie samego? Tu nie chodzi o dokładną liczbę, tylko o to, że pijesz je absolutnie codziennie. Że nawet gdy mówisz, że nie będziesz pił, to i tak otwierasz butelkę albo trzy, albo sześć. I osuszasz je wszystkie. Owszem, masz problem, tato. Proszę cię. Tato, proszę...

Głos zaczął mi się załamywać, więc urwałam i przełknęłam ślinę. Pokręciłam głową, usilnie starając się nie rozpłakać. Tata, Carla, gra, powłoki. Bycie zmuszaną do zabijania, żeby samej nie zginąć.

I Jackson. Przy wszystkich odpowiedziach, których już mi udzielił, wciąż miałam masę pytań.

Cały mój świat rozpadał się na malutkie kawałki, a ja nie miałam zielonego pojęcia, jak go poskładać z powrotem. Nie wiedziałam, jak mam powstrzymać coraz szybsze staczanie się po równi pochyłej.

Tata zacisnął zęby, jeszcze bardziej zwężył oczy i nabrał powietrza przez nos tak, że zadrgały mu płatki nozdrzy. Był wyraźnie zły.

– Nie rozmawialiśmy o tym – powiedział. – Rozmawialiśmy o tobie i Carli.

– Nie, nie rozmawialiśmy o tym. Tak naprawdę to w ogóle nie rozmawialiśmy. Wymienialiśmy tylko słowa.

Cofnął głowę, jakbym go właśnie uderzyła. Przez chwilę wpatrywał się we mnie ze zdziwieniem.

– Nastolatki – westchnął, po czym odwrócił się i wyszedł z kuchni.

– To nie ze mną jest problem! – zawołałam za nim.

W odpowiedzi usłyszałam tylko odgłos zamykanych drzwi frontowych. Nie zatraskiwanych, zamykanych. Z cichym, delikatnym kliknięciem.

I to on mi mówił, że nie mogę wszystkiego kontrolować? Przewróciłam oczami.

Cieszyłam się, że już sobie poszedł.

Byłam też wściekła, że tak po prostu odwrócił się i wyszedł.

Byłam rozbita, przestraszona, a do tego czułam się odpowiedzialna za naszą kłótnię, chociaż przecież nie byłam jedyną winną.

#

Gdy kończyłam przygotowywać drugie śniadanie, mój telefon zawibrował, powiadamiając o nadejściu nowej wiadomości. Westchnęłam ciężko. Nie odpowiadałam jeszcze na żadną z dziesiątek wcześniejszych. Najwyraźniej nie dadzą mi spokoju, dopóki im nie odpowiem. Wysłałam więc do wszystkich znajomych esemesy z informacją, że pogadam z nimi w szkole. Wrzuciłam drugie śniadanie do torby i ruszyłam w stronę drzwi, kiedy w końcu zadzwoniła do mnie Carla.

– Więc nazywa się Jackson Tate? Bomba. I jest dupkiem? Naprawdę? Może czuje się po prostu niezrozumiany? – wyrzuciła z siebie Carla, nie zwracając sobie głowy czymś tak trywialnym jak przywitanie się. – Jestem pewna, że tak naprawdę jest bardzo miły. Przecież wszyscy chłopcy, którzy wyglądają tak jak on, są bardzo mili, prawda?

Zaśmiałam się cicho, ciesząc się na dźwięk jej głosu. Nawet jeśli wciąż wy-

dawała się nieco wkurzona.

– Lubisz sądzić po pozorach, co? – zapytałam.

Teraz to ona się roześmiała, chociaż odniosłam wrażenie, że ten śmiech jest trochę wymuszony. Nie wybaczyła mi jeszcze, ale była gotowa udawać, że tak właśnie było. Cóż, przynajmniej zrobiliśmy krok we właściwym kierunku. Ja w sumie też jej jeszcze do końca nie wybaczyłam.

– Cóż, Luka to miły facet, a jest diablo przystojny – powiedziała.

– Owszem, miły jest – zgodziłam się.

Kwestię przystojności postanowiłam pozostawić bez komentarza. Tak na wypadek gdyby moje podejrzenia co do zamiarów Carli wobec niego były uzasadnione.

– Myślisz, że pan Shomper pokaże nam dzisiaj film?

Carla płynnie przeskoczyła na zupełnie inny temat, jak to miała często w zwyczaju. Co prawda nie wybaczyła mi jeszcze wszystkiego, ale przynajmniej chciała jakoś załagodzić sytuację między nami.

– Bo wiesz, nie przeczytałam rozdziału – dodała.

Jęknęłam. Mieliliśmy przeczytać fragment *Władcy much* Goldinga! Z tym wszystkim, co się działo przez weekend, zupełnie wyleciało mi to z głowy.

– Ja też nie.

– Jak to? Serio? – zapytała szczerze zaskoczona Carla.

Musiało to być dla niej sporym szokiem. W końcu byłam „królową prac domowych” – zawsze pamiętałam o tym, co było zadane, ba, zwykle miałam wszystko zrobione już kilka dni wcześniej.

– Sprawa tej dziewczyny musiała naprawdę cię poruszyć – dodała łagodniejszym głosem.

– Owszem. Do tego ostatnio martwię się też paroma innymi rzeczami.

Zamknęłam oczy, licząc po cichu, że przyjmie gałązkę oliwną.

– Jak miała na imię? – zapytała.

Otworzyłam usta i się zawahałam. Ostatecznie jednak uznałam, że zdradzenie samego imienia nie może nijak zaszkodzić.

– Richelle.

Bez nazwiska. Nie chciałam zdradzać zbyt wielu informacji, żeby nie sprowadzić na Carlę kłopotów.

– Jak umarła?

Została zamordowana przez obcych, gdy walczyła o ocalenie ludzkości.

– Ratowała synka sąsiadów i nieszczęśliwie spadła z dachu – powiedziałam lekko łamiącym się głosem.

– Przykro mi – powiedziała łagodnie Carla.

Wiedziałam, że nie miała na myśli tylko śmierci Richelle, chodziło jej też o naszą kłótnię.

Jakaś częśćka mnie nie chciała wyżyć się urazy, chciała wygarnąć jej, jak bardzo jej zachowanie mnie zraniło, zwłaszcza że to właśnie ona zawsze starała się łagodzić wszystkie spory, wysłuchać drugiej strony. A kiedy naprawdę tego potrzebowałam, odwróciła się ode mnie plecami. Nie chciałam jednak przeciągać naszego konfliktu dłużej, niż to było konieczne.

– Mnie też – powiedziałam.

– OK.

Ton jej głosu mówił jednak coś innego. Nie powiedziała tego z całym przekonaniem, wcale nie było jeszcze „OK”; doskonale wyczułam w jej głosie wahanie. Przycisnęłam do czoła dłoń zwiniętą w pięść. Nie mogłam teraz tego ciągnąć, tak więc postanowiłam udawać, że nie dostrzegłam pokładu sprzecznych emocji za tym ostatnim słowem.

– Do zobaczenia na zajęciach – powiedziałam.

– Do zobaczenia! – odpowiedziała Carla i zakończyła rozmowę.

Parę minut później dotarłam do szkolnego budynku. Wbiegłam po schodach na piętro i skierowałam się do ostatniej sali w korytarzu.

Angielski był jedyną lekcją, na którą chodziłyśmy wszystkie cztery – ja, Carla, Kelley i Dee. Do klasy wchodziłam z duszą na ramieniu. Problem polegał na tym, że nasza kłótnia nie była już sprawą prywatną. Wiadomości od nich były niespecjalnie subtelnymi próbami wyciągnięcia ode mnie szczegółów sprzeczki. Było więc pewne, że Carla rozmawiała o wszystkim z Dee, Kelley, Sarą – nawet z Emily – i cholera wie z kim jeszcze. Pomimo wzajemnych przeprosin wciąż miałam do niej żal i nadal byłam lekko zła. Ale też nieco ją rozumiałam. Z punktu widzenia Carli liczyły się suche fakty. A za fakty uważała to, co jej zdaniem widziała. Ja zaś niestety nie mogłam wszystkiego jej opowiedzieć, aby należycie dopełnić obrazu sytuacji i wyjaśnić niejasności.

Nie zmieniało to faktu, że okazywane mi przez nią odrzucenie było niczym nóż wbity w plecy. To, że wyciągnęła już sam nóż, nie znaczyło, że rana przestała boleć.

Usiadłam na swoim miejscu z tyłu sali obok Carli, bliżej okna i zaraz za Dee. Kelley siedziała przed Carłą. Zazwyczaj siedziałam bliżej tablicy, ale ponieważ to była jedyna lekcja, którą miałyśmy wszystkie cztery, wybierałam miejsce blisko nich. Teraz jednak miałam ochotę włożyć do uszu zatyczki, nie odzywać się i ignorować pytające spojrzenia Dee i Kelley. To byłoby jednak tchórzostwo.

Carla patrzyła na mnie przez chwilę, która mnie wydawała się wiecznością, po czym uśmiechnęła się lekko.

– Omawiałyśmy kostiumy – powiedziała.

Dopiero po chwili zorientowałam się, że ma na myśli bal przebierańców na Halloween.

– Wchodzisz w to? – zapytała.

– Eee...

Nie chciałam się zgadzać, dopóki nie dowiem się czegoś więcej.

– Ja idę przebrana za musztardę – podjęła Carla – Dee będzie keczupem,

a Kelley idzie jako majonez. Wpadłyśmy na to wczoraj.

Trochę mnie ubodło, że podjęły decyzję beze mnie i dowiadywałam się jako ostatnia.

– Z czego zrobicie butelki? – zapytałam nieco zdziwiona ich pomysłem.

Wszystkie pozostałe przebrania, które wcześniej rozważały, wiązały się z bardzo wysokimi obcasami i bardzo krótkimi spódniczkami.

Carla uśmiechnęła się jak kot, który właśnie zjadł kanarka.

– Nie będzie żadnych butelek, tylko by przeszkadzały. Myślałyśmy o lycrze. Ja założę żółtą, Dee pójdzie w czerwonej...

– A Kelley w kremowej – dokończyłam za nią. – Łapię. Nie wiem jednak, czy inni zorientują się w waszych przebraniach. Kolorowa lycra średnio się kojarzy z przyprawami, wiesz? Załóżcie na głowy odchylane zatyczki?

Od razu pożałowałam tych słów, ponieważ przed oczami stanęła mi scena, gdy Jackson odciął czubek głowy powłoki. Przeszył mnie zimny dreszcz.

Carla się roześmiała. Jej śmiech pomógł mi odsunąć to wspomnienie w najdalsze zakamarki pamięci.

– Może – powiedziała. – Chociaż myślałyśmy raczej o perukach pod kolor lycry. Może przykleimy sobie do brzuchów etykiety, nie wiemy jeszcze dokładnie. No więc? Wchodzisz w to? – zapytała, unosząc jedną brew.

Jeszcze przed chwilą byłam zła, że nie powiedziały mi o tym i nie zaprosiły mnie wczoraj. Teraz usilnie szukałam jakiejś sprytnej wymówki. Zanim jednak zdołałam coś wymyślić, ponownie odezwała się Carla:

– Nie... czekaj... musztarda, keczup i majonez starcza tylko na nas trzy. W barach zazwyczaj nie ma czwartej butelki. Cóż, chyba musisz wymyślić dla siebie coś innego.

– Na to wygląda.

Schyliłam się i sięgnęłam do torby po *Władcę much*. Głównie po to, żeby nie dostrzegły na mojej twarzy żalu i rozczarowania. Gdy wyprostowałam się z wydo-

bytą książką, moja twarz już niczego nie zdradzała. Czułam się urażona, znieważona i wkurzona na koleżanki, że obmyśliły sobie stroje na bal, zupełnie mnie pomijając. Niezła mieszanka uczuć. Nie byłam w stanie orzec, czy byłam zła na swoją złość, czy też wręcz cieszyłam się z tego powodu, ponieważ w końcu poczułam coś innego niż bezsilny gniew czy ból. Nie wytrzymałam i się roześmiałam. Spojrzały na mnie, jakby nagle wyrosły mi ośle uszy.

– Wszystko w porządku – powiedziałam.

Prawdę mówiąc, perspektywa założenia przylegającej idealnie do ciała, a więc pokazującej zupełnie wszystko, kolorowej lycry z dopasowaną kolorystycznie peruką albo przykrywką niespecjalnie mi się podobała. Nagle doznałam olśnienia.

– Może wystąpię jako ninja – oznajmiłam.

Jeśli w ogóle pójdę na ten bal. Całkowicie czarne przebranie – albo granatowe, jeśli zdecydowałabym się na mój strój do kendo – maska i *bokken* na plecach. Tak, to mogłoby fajnie wyglądać. Obróciłam głowę i spojrzałam Carli prosto w oczy.

– Aha, Carla – powiedziałam niskim głosem. – Nie zachowuj się jak jędra. Albo wszystko jest między nami w porządku, albo nie. Udawanie jest bez sensu.

Spokój, z jakim udało mi się to powiedzieć, zaskoczył mnie samą. Oczy Carli się rozszerzyły.

– Ninja – powiedziała, całkowicie ignorując moją ostatnią uwagę, co mogło oznaczać, że jednak woli zachować przyjazne stosunki. – Czarna lycra, świetny pomysł. Włosy masz naturalnie ciemne, to nie będziesz nawet potrzebowała peruki.

Pokiwała energicznie głową z zadowoloną z siebie miną i spojrzała na Kelley i Dee, które przysłuchiwały się naszej wymianie zdań z nieskrywanym zaciekawieniem. Na ich twarzach można było zauważyć wyraźną ulgę, że Carla i ja z powrotem ze sobą rozmawiamy. Jednocześnie jednak dostrzegałam u nich lekką niepewność, jakby wciąż wyczuwały, że nie wszystko jest jeszcze w całkowitym porządku.

Żadna z nas nie zdążyła jednak powiedzieć nic więcej, ponieważ do sali

wszedł pan Shomper, pchając przed sobą stolik na kółkach ze starym kineskopowym telewizorem. Poczulałam ogromną ulgę. Wózek utknął w drzwiach i pan Shomper przez chwilę mocował się z nim, posapując. Nauczyciel miał koło siedemdziesiątki, jego twarz była poorana zmarszczkami i plecy pochylone wiekiem. Nie przeszkadzało mu to jednak być doskonale zorganizowanym i skrupulatnym. Zawsze zadawał niezmiernie precyzyjne i szczegółowe prace domowe. Lubiłam go, aczkolwiek byłam w tym uczuciu odosobniona. Z głośnym zgrzytem wózek pokonał w końcu drzwi. Pan Shomper odetchnął, stęknął i zamknął je za sobą.

– Dzisiaj film, fajnie – powiedziała Kelley. – Nie przeczytałam rozdziału.

– Ja też nie – dodała Dee, przewracając oczami. – Nie przeczytałam jeszcze ani słowa, miałam zamiar po prostu obejrzeć film. Teraz nie będę musiała tego robić w domu.

– Szczęśliwy traf – wtrąciłam. – Ja też nie przeczytałam rozdziału i obawiałam się, że przy moim szczęściu będzie dzisiaj kartkówka.

Dee i Kelley wpatrywały się we mnie szeroko otwartymi ze zdumienia oczami.

– Nie przeczytałaś rozdziału? – zapytała Kelley.

– Ty zawsze wszystko czytasz – dodała Dee.

– Miałam mnóstwo rzeczy na głowie.

Dziewczyny przeniosły wzrok na Carlę, która przybrała bardzo zamyśloną minę. Obie zapewne uznały, że miałam na myśli właśnie ją i naszą kłótnię. Co w pewnym stopniu było prawdą. Ale gdy leżałam minionej nocy w ciemności, wsłuchując się, jak trzeszczą belki domu, nie myślałam wyłącznie o tym, jak bardzo nie lubię kłócić się z Carlą. Myślałam też o Luce, Tyronie i Richelle. Myślałam o obcych, o powłokach, które zlikwidowaliśmy, i o tej dziewczynie w chłodni.

Głównie jednak myślałam o...

Tok moich myśli przerwało skrzypnięcie otwieranych drzwi do sali. Uniosłam wzrok, aby zobaczyć, kto wchodzi, i nagle mnie zatkało. Nie mogłam oddychać ani nawet myśleć.

Do sali wszedł Jackson Tate.

Miał na sobie bladobłękitne dżinsy z dziurami na kolanach i przetarciami na szwach. Ciemnoszara koszulka z krótkimi rękawami opinała mu się na ramionach i klatce piersiowej. Płócienny plecak przerzucony niedbale przez jedno ramię wyglądał na równie zużyty co spodnie. Włosy miał w artystycznym nieładzie, a oczy oczywiście skryte za ciemnymi okularami – tym razem były to brązowe okulary na elastycznej opasce. Każdy inny wyglądałby zwyczajnie głupio, gdyby przyszedł do szkoły w ciemnych okularach. Jackson Tate jednak wyglądał... oszałamiająco.

Miał swój specyficzny styl i zdecydowanie zdawał on egzamin. Nie byłam odosobniona w tej ocenie – praktycznie każda dziewczyna obecna w sali wpatrywała się w niego jak w obraz.

Po pewnym zastanowieniu jego obecność nie zdziwiła mnie jakoś wyjątkowo. Wcześniej było naprawdę dość sygnałów wskazujących na to, że prędzej czy później pojawi się w Glenbrook. Carla, Dee i Kelley rozmawiały o nowym przystojnym chłopaku w pilotkach w dniu, w którym wyciągnęło mnie po raz pierwszy. Potem Carla była na mnie wkurzona, bo widziała mnie w parku z chłopakiem, którego ona sobie „zaklepała”. Czyli w sumie wiedziałam, że to on jest tym nowym w szkole. Ale wiedzieć a zobaczyć go stojącego w tej samej klasie, na moim terenie, to dwie różne rzeczy.

Zastanawiałam się, dlaczego nie było go w szkole wczoraj. Po chwili przypomniałam sobie, jak mówił, że nie było go w mieście.

Dee nabrała gwałtownie powietrza i zaczęła coś nerwowo szeptać Carli. Kelley otworzyła szeroko oczy, złożyła razem dłonie i przytknęła koniuszki palców do lekko rozwartych ust. Szepty pozostałych dziewczyn zlewały się w jednostajny pomruk. Nie rozglądałam się jednak, żeby poznać dokładne reakcje innych. Nie mogłam oderwać wzroku od Jacksona, który podszedł do pana Shompera i podał mu kilka kartek. W czasie, gdy nauczyciel zapoznawał się z zawartością dokumentów, Jackson odwrócił się twarzą w stronę sali i powoli rozejrzał.

Pan Shomper powiedział coś do niego, ale nie słyszałam słów, ponieważ szum mojej własnej pędzącej tętnicami krwi zupełnie mnie ogłuszył. Chwilę potem Jackson ruszył wzdłuż rzędu ławek, szukając wolnego miejsca.

Serce waliło mi tak mocno, iż dziwiłam się, że jeszcze nie przebiło się przez żebra. W sali były dwa wolne miejsca – jedno przy ławce po lewej obok mnie, a drugie – po prawej ręce Carli. Nie mogłam się zdecydować, gdzie bym wolała, aby usiadł. Ale było to w sumie nieistotne, bo przecież nie miałam najmniejszego wpływu na jego decyzję. Przecisnął się między ławkami i usiadł po stronie Carli. Uśmiech na jej twarzy poszerzył się tak bardzo, że groził spotkaniem się kącików ust z tyłu głowy. Uznałam, że w sumie dobrze się stało. Carla dopiero co zaczęła znowu się do mnie odzywać. Gdyby Jackson usiadł po mojej stronie, mogłoby to na powrót popsuć stosunki między nami.

Gdy Tate zajmował swoje miejsce, pan Shomper kończył przeglądać przekazane mu kartki. Spojrzał znad nich na Jacksona, zerknął jeszcze raz na dokumenty, po czym powiedział swoim skrzeczącym głosem:

– Panie Tate, nie wiem, jakie obowiązywały zasady w pana poprzedniej szkole, ale tutaj, w Glenbrook, nie pozwalamy uczniom nosić na lekcjach nakryć głowy ani ciemnych okularów.

– Rozumiem, proszę pana – odparł Jackson. – Nie mam żadnego nakrycia głowy.

W sali zapanowała cisza jak makiem zasiał. Wszyscy oczekiwali w napięciu na wybuch nauczyciela.

Pan Shomper zamrugał.

– Okulary, panie Tate.

– Zalecenie lekarza, proszę pana. Znajdzie je pan w dokumentach, które panu przekazałem. Jest tam pismo od lekarza z adnotacją pedagoga.

Jackson mówił spokojnym, całkowicie neutralnym i bezwzględnie grzecznym głosem.

– Panie Tate, nie są mi znane żadne przypadłości wymagające noszenia ciemnych okularów – powiedział ostro pan Shomper. – Proszę je zdjąć. W tej chwili.

Zerknęłam na Jacksona. Co się stanie, gdy zdejmie okulary? Co się stanie,

gdy inni zobaczą jego oczy? Czy przydarzy im się to co mnie, gdy spojrzałam w oczy Drau? Zadrzałam na to wspomnienie. Pomyślałam jednak, że on do tego nie dopuści. Wyjdzie z sali albo znajdzie inny sposób na uniknięcie odkrycia jego prawdziwej natury.

Jackson potarł dłonią szczękę.

– Czy słyszał pan może o mroczkach? Degeneracji plamki żółtej? Ślepcie śnieżnej? Jaskrze? Wszystkie te przypadłości wymagają stałego noszenia ciemnych okularów.

Wszyscy uczniowie obecni na sali wstrzymali oddech. Nikt nigdy dotąd nie rzucił wyzwania panu Shomperowi. Ale czy Jackson tak naprawdę rzucił mu wyzwanie? Jego głos nie był prowokacyjny; cały czas był absolutnie grzeczny.

Przez parę chwil pan Shomper wpatrywał się w Jacksona, po czym zrobił coś, czego nigdy wcześniej u niego nie widziałam. A uczęszczałam na prowadzone przez niego lekcje angielskiego już drugi rok. Uśmiechnął się.

Był to dość niemiły widok. Zęby miał żółte, z kilkoma brązowymi plamkami. Jego przeraźliwie blada skóra zmarszczyła się tak mocno, jakby lada chwila miała pęknąć.

– Słuszna uwaga, panie Tate – powiedział w końcu. – Wygląda na to, że trafi pan argumentować swoje stanowisko. Z przyjemnością przeczytam pański esej na temat *Władcy much*. – Uśmiech zniknął z jego twarzy. – Ile razy przedstawiał pan tę argumentację nieufnemu nauczycielowi?

– To moja osiemnasta szkoła, proszę pana.

Osiemnaście szkół!?! Nawet pan Shomper wyglądał na zaskoczonego.

– Licząc razem ze szkołami podstawowymi i gimnazjalnymi – dodał Jackson, tak jakby czyniło to tę liczbę mniej oszalamiającą.

#

Wieczorem, już po umyciu zębów, gotowa do snu, podeszłam do okna i wyj-

rzałam na zewnątrz. Nie czułam gęsiej skórki ani tego dreszczyku, który towarzyszył każdemu pojawieniu się Jacksona, ale i tak go wypatrywałam. Miałam nadzieję, że jednak się pojawi. Angielski był naszą jedyną wspólną lekcją i chociaż szukałam go na przerwach po szkolnych korytarzach, nie widziałam go już więcej tego dnia. Szczerze mówiąc, byłam rozczarowana.

Już miałam odejść od okna i położyć się spać, kiedy dostrzegłam białe zawiniątko na dachu ganku. Podniosłam szybę i wychyliłam się na zewnątrz, żeby je podnieść. Była to książka zawinięta w białą plastikową siatkę przymocowaną taśmą pakową do dachówek. Bezwiednie się uśmiechnęłam. To musiał być prezent od Jacksona.

Zerwałam taśmę, rozsypałam zawiniątko i zajrzałam do środka. Czułam się niczym kilkuletnie dziecko zagląające w święta pod choinkę.

W środku czekał na mnie najnowszy tom *Bleach*. Przygryzłam dolną wargę, usiłując powstrzymać szeroki uśmiech wkradający się na moją twarz.

Zza okładki wystawał róg złożonej na pół kartki papieru. Wyciągnęłam ją, rozłożyłam i przeczytałam zapisaną na niej wiadomość:

Prawie musiałem podarować Ci mój egzemplarz. W dwóch księgarniach nakład był już wyprzedany, ale w końcu w trzeciej się udało. Jest cały Twój.

Nie było podpisu, ale go nie potrzebowałam. Było oczywiste, od kogo jest ten prezent. Serce biło mi radośnie jak dziecku w cukierni, któremu rodzice właśnie powiedzieli, że może wybrać, co tylko zechce. Przestałam powstrzymywać uśmiech i pozwoliłam kącikom moich ust rozjechać się na boki.

Roześmiałam się cicho, po czym odłożyłam mangę na stolik nocny. Sięgnęłam na półkę z książkami, wzięłam mój egzemplarz *Ostatniego życzenia*, włożyłam do siatki i zawiązałam pakunek. Nie wkładałam za okładkę żadnej kartki, nie było takiej potrzeby. Wychyliłam się przez okno i przymocowałam siatkę do dachu. Wybrałam inne miejsce niż to, w którym czekała na mnie manga, w nadziei, że w ten sposób Jackson zorientuje się, iż to jest paczka dla niego, a nie, że jego prezent nie został dostrzeżony.

Zadowolona z zamocowania siatki do dachu ganku wciągnęłam się z powrotem do pokoju, usiadłam na podłodze i czekałam. Po paru minutach zwyciężył sen. Gdy obudziłam się z obolałym od leżenia na podłodze biodrem i wygiętą pod dziwnym kątem szyją, książki już nie było.

Rozdział dwudziesty

Znowu był piątek. Zdołałam przetrwać tydzień bez wyciągania mnie do gry. Dzień w dzień obawiałam się, że ponownie tam trafię, chociaż Luka wyraźnie powiedział, że między kolejnymi misjami mija zwykle więcej czasu. Czułam niesamowitą ulgę, że miał rację.

„co jst ziel. I lisciaste?”.

Przewróciłam oczami, gdy czytałam tę wiadomość, uważając, żeby pani Devon nie przyłapała mnie na używaniu telefonu podczas lekcji. Miała na tym punkcie istnego hopla. Po kryjomu odpisałam mu.

„Sałata?”.

Kilka razy dziennie wysyłaliśmy sobie głupawe dowcipy.

„zielony lisc”.

Powstrzymanie się od jęknięcia wymagało dużego wyężenia siły woli. Pani Devon rozejrzała się po sali. Dla niepoznaki naskrobałam parę liczb na kartce, czekając, aż odwróci ode mnie wzrok. Gdy było już bezpiecznie, wysłałam kolejną wiadomość.

„Co jest brązowe i maziste?”.

„obrzyd. Mam na to odp?”.

Uśmiechnęłam się pod nosem.

„Brązowa maź”.

Wydawało mi się, że Luka jęknął na drugim końcu sali. Pani Devon wstała i zaczęła powoli kroczyć między rzędami ławek. Wsunęłam szybko telefon do kieszeni i naskrobałam jeszcze trochę liczb. Gdy nauczycielka mijiała mnie, wpatrywałam się w podręcznik, nie rejestrując jednak treści strony.

Miniony tydzień – a w zasadzie niemal dwa tygodnie, jeśli policzyć czas spędzony w grze – był dziwaczny pod wieloma względami. Moje stosunki z Carłą wciąż się jeszcze nie uspokoiły. Byłyśmy na takim dziwnym etapie jak para próbująca pozostać przyjaciółmi po rozstaniu. Z tym że w naszym przypadku nie

było przecież mowy o żadnym rozstaniu i zupełnie nie byłam w stanie zrozumieć, dlaczego ona wciąż mnie unika.

Wczoraj już wydawało mi się, że wszystko wróciło do normy, bo przyszła do mojego domu na śniadanie, tak jak zwykła to robić przed tym całym nieporozumieniem z Jacksonem i Luką. Dzisiaj jednak nie przyszła. Za każdym razem, gdy z nią rozmawiałam, miałam wrażenie stąpania po cienkim lodzie. Jeden fałszywy krok i mogła.

Dostałam kolejną wiadomość od Luki – jakby czytał mi w myślach.

„nie przejmuj się. Czsm ludzie ptrzb troch przestrz”.

Pani Devon ponownie rozejrzała się po sali. Pochyliłam głowę, udając, że rozwiązuję zadania, a tak naprawdę czytając ponownie wiadomość od Luki. Doskonale rozumiałam potrzebę strzeżenia przestrzeni osobistej i utrzymywania pewnego zdrowego dystansu wobec innych, ale to nie zmieniało mojego poczucia porzucenia. Dee zachowywała się w stosunku do mnie normalnie, Kelley w zasadzie też. Ale Emily i Sara tylko uśmiechały się, nie odzywając się zbyt często.

A Jackson... Jackson zdawał się mnie unikać. No dobra, może mnie nie unikał, ale zdecydowanie nie starał się mnie spotkać. Oczywiście gdybym miała być ze sobą całkowicie szczerą, ja również niespecjalnie szukałam jego towarzystwa. Problem był złożony: wokół niego zawsze kręciło się wiele osób, a ja i tak odnosiłam już wrażenie, że wszyscy się na mnie gapią z powodu napiętej sytuacji z Carlą. Do tej pory byliśmy jak papużki nierozłączki, a teraz czasem wręcz siebie unikałyśmy.

Każdego ranka widziałam Jacksona na angielskim. Czasem przyłapywałam go z twarzą zwróconą w moją stronę, jakby mnie obserwował. Nie mogłam mieć jednak co do tego pewności, bo jego oczy zawsze były skryte za okularami.

Za to ja regularnie go obserwowałam. Spędziliśmy tyle czasu razem w grze – dosłownie całe dni – że czułam się, jakbym znała go dłużej niż w rzeczywistości. Zabawne, ale spędziłam z nim zdecydowanie więcej czasu niż z niektórymi osobami, z którymi od lat chodzę do tej samej szkoły.

Niemniej jednak przez cały tydzień nie znaleźliśmy się sam na sam nawet

przez chwilę. Ludzi ciągnęło do niego i zawsze był otoczony przynajmniej kilkoma osobami. Spędzał mnóstwo czasu z Luką, ale chyba tylko jego tak wyróżniał. Na stołówce codziennie podchodził zamienić parę słów do innych osób. Był znajomym wszystkich – i nikogo. Uznałam, że w dużej mierze dzieje się tak z uwagi na urok nowego w szkole. Poza tym był naprawdę przystojny i do tego w szkole zachowywał się tak samo jak w grze – był pewny siebie, rzeczowy, arogancki i buńczuczny. Na wiele osób działało to jak magnes – i to nie tylko na dziewczyny. Charyzma, o tak! Miał jej sporo. Chociaż chyba każdy, kto zmieniałby szkołę tak często jak on, prędzej czy później wyrobiłby sobie podobne umiejętności. Taki społeczny kameleon.

Zastanawiałam się, jaki jest naprawdę pod tym całym kamuflażem.

Chciałam, żeby był tym chłopakiem, który trzymał mnie w objęciach w parku. Tym, który tulił mnie do snu w jaskiniach.

Co wieczór wyglądałam przez okno na dach ganku, ale nie pojawił się już ani razu. Miałam wielką ochotę porozmawiać z nim; miałam tyle pytań! Niestety, nie dał mi okazji ich zadać i chociaż częściowo cieszyłam się z zachowywanego przez niego dystansu, jakąś cząstkę mnie bolało to w sposób dotąd mi nieznany.

Ciągle wracałam myślami do pocałunku, jaki złożył na moim przegubie. Czy żałował tego później? Może dlatego mnie teraz unikał...

Gdy wpadaliśmy na siebie na szkolnym korytarzu, był wobec mnie bardzo uprzejmy, ale jednocześnie utrzymywał bezpieczny dystans. Traktował mnie w ten sam sposób, w jaki traktował wszystkich innych – jak zwykłą znajomą ze szkoły. Tak jakby nigdy nie obejmował mnie, gdy odchodziłam od zmysłów, jakby nigdy nie chronił mnie przed obcymi czy nigdy nie kupił dla mnie najnowszego albumu mojej ulubionej mangi. Tak jakby celowo budował między nami mur. Powoli, cegła po cegle.

Po głębszym zastanowieniu musiałam jednak przyznać, że ja robiłam to samo. Nie szukałam jego towarzystwa, nie dawałam mu okazji na spotkanie w cztery oczy. Tak było bezpieczniej.

Czasem jednak, kiedy odwracałam się i wydawało mi się, że patrzy w moją stronę, dostrzegałam na jego twarzy ten figlarny, jakby trochę smutny uśmiezek.

W takich chwilach nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że ten uśmiech jest przeznaczony tylko dla mnie.

Gdy zadzwonił dzwonek kończący lekcję, zaczęłam się powoli pakować. Nie spieszyłam się; wolałam przeczekać szaleńczy pęd do drzwi. W środę i czwartek padało, ale piątek był przyjemnie słoneczny i ciepły. Stwierdziłam więc, że drugie śniadanie zjem na powietrzu.

Opuściłam szkołę i poszłam wzdłuż sali gimnastycznej w stronę tylnego wejścia do budynku. Z sali dobiegły mnie czyjeś głosy i odgłos kozłowanej piłki. Zajrzałam do środka akurat w chwili, gdy Jackson pakował piłkę do kosza. Grali sam na sam z Luką, przerzucając się co rusz sarkastycznymi docinkami.

Zdawali się doskonale znać swój styl gry, tak jakby grali ze sobą już wcześniej – i to często. Przyglądałam im się przez pewien czas, aż zrozumiałam coś, co wcześniej nie dawało mi spokoju. Gdy Jackson biegł ze mną w niedzielę, zastanawiałam się, skąd Luka ma jego numer. Teraz w końcu zrozumiałam, że nie miało to żadnego związku z grą. A Jackson nie przebywał tak często w towarzystwie Luki tylko dlatego, że razem walczyli z obcymi. Byli przyjaciółmi. Jeśli łączyła ich typowa męska przyjaźń, pewnie nawet słowem nie wspominali o grze w prawdziwym świecie.

Osiemnaście szkół. I zabijanie obcych w wolnym czasie. Miałam wrażenie, że prawdziwe przyjaźnie były w jego przypadku rzadkością.

Wtedy dostrzegł mnie Luka. Uniósł rękę w pozdrowieniu i się uśmiechnął.

Odmachałam mu, odwróciłam się i odeszłam. Nie byłam pewna, czy chciałam, żeby Jackson mnie zauważył.

Chociaż ładna pogoda wywabiła na dwór wiele osób, większość z nich tłoczyła się przy trzech stołach piknikowych stojących nieopodal bocznego wejścia do szkoły i na trawiastym pagórku od strony ulicy. Minęłam bieżnię, doszłam aż do boiska do baseballu i wdrapałam się na samą górę odkrytej trybuny. Po prawej miałam doskonały widok na nasz dąb oraz przerwę w siatce prowadzącą na ścieżkę i leżącą dalej drugą ulicę. Tę, po której biegłam w dniu, gdy wyciągnęło mnie po raz pierwszy. Tę, na której zginę, jeśli umrę w grze.

Oderwałam wzrok od tamtego miejsca i spojrzałam na puste boisko. Byłam zupełnie sama, co całkowicie mi odpowiadało, bo chciałam dokończyć *Władcę much*. Nagle przypomniałam sobie, że umówiłam się wcześniej na drugie śniadanie z Carlą. Nie chciałam, by sobie pomyślała, że wystawiłam ją do wiatru. Wyjęłam więc telefon i wysłałam krótką wiadomość z informacją o tym, gdzie jestem.

Odchyliłam się na ławce, zamknęłam oczy i skierowałam twarz ku słońcu. Starłam się oczyścić umysł z natłoku myśli i skoncentrować tylko na miłym ciepłym promieni padających na moją skórę.

– Nie jesteś głodna?

Nabrałam gwałtownie powietrza, wyprostowałam się i otworzyłam oczy. Obok mnie siedział Jackson.

– Co ty tu robisz? – zapytałam.

– Zatrzymałaś się przy sali gimnastycznej, ale nie odezwałaś się ani słowem.

– Myślałam, że mnie nie zauważyłeś. Nie chciałam przeszkadzać wam w grze.

Przez dłuższy czas milczał.

– Zawsze cię zauważam – powiedział w końcu.

Odwróciłam twarz, żeby ukryć rumieniec. Ostentacyjnie schowałam telefon i zaczęłam przetrząsać torbę w poszukiwaniu przygotowanej rano śniadaniówki. W końcu moja ręka natrafiła na plastikowe pudełko. Wyjęłam je, postawiłam na kolanach i wpatrywałam się w nie bez słowa.

– Gdzie twoja świta? – zapytał Jackson.

– Moja co?

– Twoje koleżanki. Te, z którymi zawsze przebywasz. Jedna z nich nazywa się Deepti, zgadza się?

– Woli, jak się mówi na nią Dee.

Kiwnął głową.

– Jest jeszcze Kelley i... ta blondynka. Chodzi razem z nami na angielski, a ja jeszcze mam razem z nią hiszpański, ale ciągle zapominam, jak ma na imię. Chodzi mi po głowie Carrie, ale wiem, że to nie to.

– Carla – powiedziałam, kręcąc głową. – Nigdy jej nie mów, że zapomniałeś, jak ma na imię. Zwariowałyby.

– Dlaczego? – zdziwił się.

„Bo zaklepała sobie ciebie. Bo ciągle myśli tylko o chłopakach. Bo uważa, że jesteś diablo przystojny”. Rumieniec ponownie wystąpił mi na policzki. Carla nie była jedyną osobą, która tak uważała. Ale jak mogłam tak myśleć, wiedząc, co kryje się za tymi okularami? Wiedząc, kim tak naprawdę jest i co robi? I – co chyba najważniejsze – jak mogłam wciąż pragnąć jego towarzystwa, gdy przez cały tydzień wysyłał mi sprzeczne sygnały, tak jakby grał ze mną w jakąś głupią grę, której zasady znał tylko on?

Cały czas wpatrywałam się bez słowa w śniadaniówkę. Nie chciałam tak o nim myśleć.

Po paru chwilach, które wydawały mi się wiecznością, Jackson zdecydował się przerwać milczenie.

– Ona nie jest odpowiednią dziewczyną dla mnie, Miki.

Sposób, w jaki to powiedział, w jaki zaakcentował moje imię, sprawił, że serce zaczęło mi bić szybciej. Nie byłam w stanie udawać, że nie wiedziałam, co miał na myśli.

– Eee... Nie widziałam cię zbyt często w tym tygodniu.

– Codziennie byłem na lekcji angielskiego.

Nie o to mi chodziło i musiał doskonale o tym wiedzieć. Westchnięcie, które nastąpiło po chwili, potwierdziło moje domysły.

– Miki, próbuję trzymać się z dala od ciebie – powiedział dziwnym tonem. – Nie jestem miłym facetem.

I znowu te tajemnicze ostrzeżenia.

– Mówisz to, żeby przekonać mnie czy siebie?

– Siebie nie muszę przekonywać, w końcu jestem sobą. Znam swoje motywacje. Możesz mi uwierzyć, że nie są szczytne.

Rzuciłam na niego spojrzenie spod rzęs.

– Próbujesz mnie więc odstraszyć – burknęłam. – Oczywiście dla mojego dobra. Mimo to przychodzisz tu za mną, żeby porozmawiać w cztery oczy. Czy tylko ja dostrzegam tutaj sprzeczność?

Uśmiechnął się lekko.

– Wiem, że nie powinienem tu z tobą siedzieć sam na sam. Ale jednak siedzę. Ponieważ chcę tego, czego chcę, a nie tego, co jest dla ciebie najlepsze. Co w zasadzie dowodzi prawdziwości moich wcześniejszych słów. Nie jestem miłym facetem. Nie ma tu żadnej sprzeczności.

– To nie ty decydujesz, co jest dla mnie najlepsze – powiedziałam łagodnie. – I dlaczego twierdzisz, że nie jesteś miłym facetem? Przecież uratowałeś mi życie. I to więcej niż raz.

Westchnął ciężko.

– Mam swoje powody, ale są one bardzo samolubne – powiedział. – Nie oszukuj się, że jestem dobry i miły. – Pokręcił głową. – Po prostu nie.

Zupełnie nie wiedziałam, co mam na to powiedzieć.

Przysunął się bliżej mnie na ławce, aż zetknęliśmy się ramionami. Może zrobił to, by nikt nie mógł nas podsłuchać. Chociaż wolałam wierzyć, że po prostu chciał być blisko mnie. Siedzenie tuż obok niego na pustej trybunie było przyjemne, chociaż mój wewnętrzny alarm dzwonił na cały regulator.

– Chciałabym, żebyś odpowiedział na parę pytań – powiedziałam łagodnie, cały czas wbijając wzrok w spoczywającą na moich kolanach śniadaniówkę. – Zanim...

Zanim co dokładnie? Zanim zaczniemy umawiać się na randki? Chodzić razem, trzymając się za ręce? Zanim się pocałujemy? Co ja sobie wyobrażałam?

Co on sobie wyobrażał? Mogliśmy myśleć o zupełnie różnych rzeczach. To ja powinnam się przekonywać, że nie warto się nim interesować. Jackson był humorzasty, apodyktyczny, zarozumiały i upiorny. Zdecydowanie nie był typem chłopaka, o którym kiedykolwiek pomyślałabym w ten sposób, w jaki teraz myślałam o nim.

To był właśnie ten problem. Ja naprawdę myślałam o nim w ten sposób.

A on mówił te wszystkie rzeczy, przez które byłam przekonania, że on też myśli o mnie w ten sposób. Chociaż z jakiegoś powodu uważał, że nie jest to w moim dobrze pojętym interesie.

– Byłoby miło, gdybyś był mniej tajemniczy.

Uśmiechnął się, błyskając na chwilę bielą zębów.

– Teraz ty jesteś tajemnicza, bo nie mówisz mi, dlaczego uważasz, że jestem tajemniczy.

– Ja...

Zacisnęłam usta i pokręciłam głową. Celowo wszystko mieszałam.

Pochylił się do przodu i oparł się przedramionami na udach, spoglądając przed siebie, na puste boisko do baseballu.

– Pytaj – powiedział. – Może nawet odpowiem.

Obróciłam się, zwracając się twarzą do niego i przekładając jedną nogę na drugą stronę ławki. Plastikowa śniadaniówka zatańczyła niebezpiecznie na moim udzie, ale na szczęście nie spadła.

– Czy mogę...

Wyraźnie czekał, aż dokończę pytanie. Ale nie potrafiłam się przemóc.

– Czy możesz co? – zapytał po chwili.

– Czy mogę cię zobaczyć bez okularów? Chciałabym móc patrzeć ci w oczy, jak rozmawiamy.

Uniósł kącik ust w tym mrocznym, seksownym, złowrogim uśmiechu.

– Już mnie widziałaś bez okularów i wiesz, co się za nimi kryje. Nie obawiasz się, że wyszę z ciebie całe życie?

– Jeśli chciałbyś się mnie pozbyć, nie ratowałbyś mojego życia w grze – zauważyłam.

Przestał się uśmiechać.

– Może planuję coś gorszego? – rzucił ponurym głosem.

Przewróciłam oczami.

– Przestań udawać, że tak bardzo sam siebie nienawidzisz. I daruj sobie te tajemnicze pogroźki. Może byśmy tak po prostu porozmawiali? Tak normalnie? Bo na razie sprawiasz wrażenie, jakbyś chciał mnie odstraszyć.

– Bo chcę – powiedział i zawahał się na chwilę. – Masz obsesję na punkcie normalności. Czasem wykroczenie poza normę jest dobre. To sprawia, że jest się wyjątkowym.

Zaschło mi w ustach z nerwów. Byłam pewna, że nie powiedział tego ot tak. Chciał mi powiedzieć, że to ja jestem wyjątkowa.

– Jackson, co my tu robimy? – zapytałam.

Uśmiech wrócił na jego twarz.

– Rozmawiamy – odparł.

Specjalnie udawał, że mnie nie zrozumiał. Obrócił się do mnie twarzą. Nastroszyłam brwi, nawet nie próbując ukryć frustracji.

– Wyglądasz bardzo uroczo, kiedy się złościś, Miki Jones. Twoje policzki przybierają taki ładny, różowy kolor – powiedział, przesuwając czubkami palców po mojej twarzy – i tak fajnie mrużysz oczy.

Próbowałam się roześmiać, ale zabrakło mi powietrza.

– Wyglądam uroczo, kiedy mrużę oczy?

– Zawsze wyglądasz uroczo.

Potrząsnęłam głową. Nigdy dotąd nie myślałam o tym, czy wyglądam uroczo. I nigdy mnie nie obchodziło, co ktokolwiek może sądzić o moim wyglądzie. Aż do teraz.

Obrócił się, przekładając jedną nogę nad ławką i siadając w ten sam sposób, w jaki ja siedziałam. Następnie sięgnął ręką do swoich okularów i przesunął je wysoko na czoło. Wpatrywałam się w jego oczy, badając uważnie każdy szczegół. Jego tęczówki miały ten sam specyficzny szary odcień co oczy Drau. Ale jednocześnie wyglądały ludzko. Drau mieli podłużne, pionowe źrenice jak ziemskie gady. Miało to sens, jeśli istotnie na ich planecie było niesamowicie jasno. Mogli w ten sposób dowolnie je zwężać, żeby blask dwóch słońc ich nie oślepił.

Ale źrenice Jacksona były okrągłe, ludzkie. Rzęsy miał długie, sterczące i nieco ciemniejsze, niż się spodziewałam, a same oczy były rozstawione dość szeroko. Brwi miał proste, w tym samym jasnobrązowym kolorze co włosy. Jedną przecinała krótka blizna. Czy była pamiątką po ataku tego Drau, który rozorał mu ramię? Czy może po czymś innym? Zanim zdążyłam zastanowić się nad tym, co robię, wyciągnęłam rękę i przesunęłam palec wskazujący wzdłuż blizny. Jackson uniósł brwi, a ja opuściłam dłoń. Cały czas nie spuszczałam wzroku z jego oczu.

Były dokładnie takie, jakimi je zapamiętałam. Przeróżające, obce i piękne zarazem.

– Czy potrafisz robić to, co oni robią? – wyszeptałam.

Doskonale pamiętałam to uczucie, kiedy spojrzałam w oczy Drau. Ból, niemożność złapania oddechu, jakbym tonęła, uczucie oddalania się od swojego ciała. Tak jakby obcy wysysał życie z mojego ciała.

Twarz mu stężała. Rozmowa na ten temat ewidentnie nie wchodziła w grę.

Musiałam zmienić taktykę.

– Jak oni to robią? – spytałam. – Co dokładnie robią?

– Nie znam odpowiedzi na wszystkie twoje pytania – odparł – ale powiem ci wszystko, co wiem.

„Będę mówił ogólnikami. Nie będę mówił o mnie ani o tym, co mogę, a cze-

go nie mogę zrobić”. Nie powiedział tego, ale te niewypowiedziane zdania zawisły w powietrzu między nami.

– To jak strojenie radia – kontynuował. – Gdy napotykają twój wzrok, szukają właściwej częstotliwości. Ludzkie ciało działa w pewnym sensie na prąd. Chodzi mi o potencjały czynnościowe, które wprawiają w ruch mięśnie, pobudzają do pracy nerwy, komórki mózgowe, wszystko. – Rozejrzał się nerwowo i zniżył głos. – Drau wychwytyują ładunki elektryczne w twoim ciele i wyciągają je z niego, zupełnie jakby opróżniali baterię. Dlatego masz wrażenie, że wysysają z ciebie życie; bo w pewnym sensie tak właśnie się dzieje. Gdy kończą, zostawiają martwe ciało bez najmniejszej iskierki życia.

Cała zadrżałam. Jego opis doskonale pasował do moich odczuć w magazynie w Las Vegas.

– Dlaczego oczy?

– To trudne pytanie. Nie ma za bardzo od kogo uzyskać odpowiedzi. – Zahał się. – No dobra, to nie do końca prawda, jest komitet. Mogę ich zapytać, ale oni nie zawsze odpowiadają. A nawet gdy odpowiadają, to robią to w sposób bardzo niejasny, przefilozofowany. Równie dobrze można więc uznać, że nie ma kogo zapytać.

– Komitet?

Przypomniałam sobie jego kpiący ton, kiedy mówił, że różne decyzje podejmuje komitet. Sądziłam, że się ze mnie nabijał.

– Naprawdę jest jakiś komitet?

– Owszem.

– A kto w nim zasiada?

– Jego członkowie.

Typowo Jacksonowa odpowiedź. Zamiast jednak drażyć temat, wróciłam do pytania, na które ewidentnie chciał odpowiedzieć.

– No dobra, to co z tymi oczami?

– Poczytałem trochę i z tego, co zrozumiałem, chodzi o to, że źrenica jest tak naprawdę dziurą. To otwór, przez który Drau mogą podłączyć się do siatkówki, a przez nią do nerwu wzrokowego. W ten sposób drenują ciało z elektryczności. Nerw wzrokowy prowadzi najkrótszą drogą bezpośrednio do mózgu, co zdecydowanie ułatwia im zadanie.

Przez chwilę nie mogłam wydobyć z siebie głosu, a przed oczami stanęła mi wizja kreskówkowych obcych wysysających ludziom mózgi.

– A ty potrafisz zrobić coś takiego?

Zacisnął zęby. Podejście do tego tematu od drugiej strony nie pomogło. Wciąż nie chciał o tym rozmawiać. Po chwili jednak mnie zaskoczył.

– To nie jest coś naturalnego dla mnie – powiedział. – Próbowałem to zrobić raz. – Odwrócił wzrok z zaciętą miną. – Wynik nie był miły.

– Nie był miły dla ciebie czy dla tego kogoś, na kim to wypróbowałeś?

Zerknął na mnie zaskoczony.

– Potrafisz nieźle czytać między wierszami, co? – zapytał.

Uznałam to pytanie za retoryczne i milczałam, czekając na dalszy ciąg.

– Czułem się nabuzowany – podjął po chwili. – Jakbym wychylił duszkiem z dziesięć red bulli, jeden za drugim.

Zauważyłam, że starannie unikał powiedzenia czegokolwiek na temat osoby, na której tę umiejętność wypróbował. Bardzo chciałam dowiedzieć się, co się z tą osobą stało, ale powstrzymałam się od zadania tego pytania. Z pewnością nie było to nic przyjemnego. Inaczej Jackson nie unikałby tak tego tematu.

– Dlaczego twoje oczy nie są niebieskie jak moje? – zapytałam, zmieniając nieco temat. – Dlaczego oczy Luki i Tyrone’a są niebieskie w grze? Dlaczego są inne tu, w prawdziwym świecie?

– To nie jest rozmowa – parsknął. – To przesłuchanie.

Uśmiechnął się jednak, dając mi do zrozumienia, że nie czuje się urażony.

Przez dobrych kilka minut siedział bez słowa, wodząc wzrokiem po mojej twarzy, tak jakby chciał dobrze zapamiętać moje rysy. Następnie nachylił się i sięgnął ręką w dół. Myślałam, że chce ująć moją rękę i pocałować przegub, jak to zrobił wtedy w moim pokoju. Serce zaczęło mi bić szybciej.

Nie sięgnął jednak po moją rękę. Zamiast niej zabrał śniadaniówkę z mojego uda. Otworzył wieczko, wyciągnął połówkę kanapki, powąchał ją podejrzliwie, po czym dźgnął palcem drugiej ręki.

– To jest zielone.

Na widok jego miny roześmiałam się głośno, pomimo powagi tematu naszej wcześniejszej rozmowy i wszystkich myśli kłębiących się w mojej głowie.

– Domowy krem z awokado – wyjaśniłam. – Reszta to chleb wieloziarnisty, plastry grillowanej piersi kurczaka, sałata i plasterki pomidora.

– Żartujesz sobie ze mnie?

– Hej, jak ci się nie podoba, to zostaw. Nie przypominam sobie, żebym proponowała ci zjedzenie połowy mojego drugiego śniadania.

– Chcesz, żebym umarł z głodu? – Nie zaczekał na odpowiedź i wbił zęby w kanapkę. – Dobrze – powiedział z pełnymi ustami, wyraźnie zaskoczony.

– Nie posiadam się z radości, że ci smakuje.

Przewróciłam oczami i odebrałam mu śniadaniówkę, po czym wyjęłam drugą połowę kanapki. Nie zdążyłam nawet porządnie przeżuć pierwszego kęsa, kiedy on zdążył już pożreć swoją połowę.

– Powiedziałaś, że chodziłeś do osiemnastu szkół... Dlaczego? – zapytałam.

– Bo to prawda – odparł z lekkim uśmiechem.

Żachnęłam się.

– Wiesz dobrze, że nie o to pytam.

– Tata jest wiecznie w drodze – odparł, po czym dodał, zanim zdążyłam zapytać: – Jest konsultantem. Udaje się do jednej firmy, sprzęta u nich bałagan, po

czym jedzie do kolejnej. Ponieważ to wysokiej klasy specjalista, jest też rozchwytywany. Często więc musi podróżować. Raz przez pół roku mieszkaliśmy w Tokio, to było fajne.

Jego wytłumaczenie nieco mnie oszołomiło. Nie tylko z uwagi na podróże i Tokio.

– O co chodzi? – zapytał.

– Chodzi... Chodzi o sposób, w jaki powiedziałaś „tata”. Wcześniej jakoś nie myślałam o tobie w kategoriach posiadania rodziny.

Parsknął krótkim śmiechem.

– Myślałaś więc, że co? Wyklulem się z jaja?

– Przez pewien czas rozważałam pomiot jakiegoś demona.

Ponownie wybuchł krótkim śmiechem, niskim i wibrującym. Ten dźwięk za każdym razem przyprawiał mnie o dreszcze.

– A teraz?

Nie miałam zamiaru brnąć w tę stronę, pchnęłam więc rozmowę na nieco inny tor.

– Dlaczego twój tata nie zostawi was w domu i nie jeździ po świecie sam? Tata Kelley też dużo podróżuje, ale ona zawsze zostaje z mamą i siostrą w domu.

Jego twarz znowu momentalnie stężała. Musiałam trafić w kolejny czuły punkt. Ponownie jednak zaskoczył mnie, odpowiadając na pytanie. Aczkolwiek wyraźnie nie mówił mi całej prawdy.

– Na początku moi rodzice uważali, że fajnie będzie, gdy wszyscy poznamy różne miejsca i kultury. – Wziął głęboki wdech, po czym bardzo powoli wypuścił powietrze z płuc. – Potem tata po prostu chciał mieć nas przy sobie.

To nie było wszystko. Czułam, że pominął bardzo dużą część opowieści. Cokolwiek to jednak było, musiało być dla niego bardzo bolesne. Wiedziałam wystarczająco wiele o cierpieniu, by potrafić bez problemu rozpoznać je u innych. Było mi przykro, że nie chciał mi o tym opowiedzieć, ale miałam nadzieję, że kiedyś,

pewnego dnia, zaufa mi na tyle, by móc wszystko opowiedzieć.

Zdecydowałam się więc na nieszkodliwe pytanie, żeby oderwać jego myśli od tego, co sprawiało mu ból.

– Hmm, masz jakieś rodzeństwo?

Spojrzał na mnie, jakbym go właśnie uderzyła. Poczułam nagły napływ zimna, a zaraz potem – gorąca. Instynkt podpowiadał mi, żebym go dotknęła, ujęła jego dłoń, wykonała jakiś gest wsparcia. Zignorowałam jednak jego podszepty i tylko siedziałam w milczeniu.

– Nie – odpowiedział bardzo łagodnym głosem po dłuższej chwili.

– Ja też jestem jedynaczką – podchwyciłam natychmiast. – Kiedyś bardzo chciałam mieć siostrę, ale zawsze kolegowałam się z Carlą, i w końcu ona wypełniła to miejsce. Poza tym jest wiele zalet bycia jedynakiem, prawda?

Nic na to nie odpowiedział. Przyszło mi wtedy do głowy, że skoro tak często zmienia szkoły, nigdy tak naprawdę nie miał okazji na zawarcie jakiejś bliższej znajomości. Może więc dla niego bycie jedynakiem było ciężkie?

Cisza przeciągała się, musiałam ją czymś wypełnić.

– Wiesz, miałam parę dni temu dziwny sen... Koszmar właściwie. Śniło mi się, że mam siostrę. Nazywała się Lizzie i miała zielone oczy. Miałyśmy wypadek samochodowy i ona... Co się stało?

Wpatrywał się we mnie tak intensywnie, że odruchowo otarłam nos, myśląc, że mam na nim sos z awokado.

Jackson nadal jednak siedział ze wzrokiem utkwionym we mnie, odwzajemniłam więc spojrzenie.

– Twoje oczy – powiedziałam cicho po chwili. – Urodziłeś się z takimi?

– Urodziłem się z nieprzejrzystymi łuskami na rogówce obu oczu. Rodzice wozili mnie od lekarza do lekarza, ale żaden nie był w stanie mnie zdiagnozować. To nie była zaćma; to nie było nic, z czym się kiedykolwiek wcześniej zetknęli. A ponieważ mimo tych łusek widziałem równie dobrze jak inni, uznali, że nie ma

sensu operować. Po jakimś czasie same zniknęły. Nie stało się to oczywiście z dnia na dzień; proces był powolny, ale zanim skończyłem sześć lat, moje oczy nabrały już obecnego wyglądu. Niedługo potem rodzice doszli do wniosku, że lepiej będzie, jeśli zacznę nosić ciemne okulary i zasłaniać się chorobą oczu, niż gdybym musiał ciągle tłumaczyć się z wyglądu moich tęczówek. Wiesz, inne dzieci potrafią być bardzo niemiłe.

– Dorośli też – wtrąciłam.

– To prawda.

– Czyli tak naprawdę nie cierpisz na żadną z chorób, które wymieniłeś panu Shomperowi?

– Nie, nie mam żadnej choroby oczu.

– Dlaczego nie nosisz barwnych soczewek, żeby ukryć prawdziwy kolor oczu?

– Jeśli koniecznie muszę, to noszę – odparł. – Włożyłem je na przykład do zdjęcia do prawa jazdy.

– Ale dlaczego nie nosisz ich cały czas?

– Nie mogę. Rozpuszczają się w godzinę, czasem szybciej.

Nie mogłam się zdecydować, jak sformułować następne pytanie. Uznałam, że najlepiej będzie zapytać wprost, dopóki mam w ogóle odwagę to zrobić.

– Skoro masz oczy Drau, to znaczy, że gdzieś wśród twoich przodków jest jeden z nich?

– Zapewne tak – odparł bezbarwnym głosem. – Czy to ma znaczenie?

Dobrze przemyślałam swoją kolejną wypowiedź.

– Ma znaczenie w kontekście gry. Czy są jacyś Drau, którzy są dobrzy? Którzy nie chcą nas wszystkich wymordować?

Czy to dlatego Jackson ma jednego z nich wśród swoich przodków? Czy też wytłumaczenie tego faktu było mniej przyjemne?

Niemniej w kontekście moich uczuć do Jacksona nie miało to najmniejszego znaczenia.

– Nigdy nie spotkałem Drau, którego bym polubił – powiedział po krótkim namyśle Jackson. – Może zmieniłbym zdanie, gdyby każdy napotkany nie próbował mnie zabić.

Wyjął mi z ręki napoczętą połówkę kanapki, odgryzł kawałek, po czym oddał mi ją z powrotem.

– Następne pytanie.

Które miałam teraz zadać? Było ich tak wiele...

– Jeśli mam DNA obcych, dlaczego nikt nigdy nie zauważył nic dziwnego w mojej krwi? Albo we krwi mojej mamy? Robili jej tysiące badań podczas diagnozowania raka i nigdy nikt niczego nie zauważył. Czy też może te geny pochodzą od mojego taty? Jego mama miała oczy podobne do moich.

Jackson uniósł w górę dłoń z wyprostowanym palcem wskazującym.

– Najprawdopodobniej geny obcych dostałaś od obojga rodziców – powiedział. – Ich ekspresja w twoim przypadku jest wyjątkowo silna, więc raczej nie pochodzą tylko z jednej strony.

Teraz wyprostował środkowy palec, jakby zliczał odpowiedzi na moje pytania.

– Przy badaniach krwi zwracają uwagę na podstawowe rzeczy. Żelazo, czerwone krwinki, białe krwinki, enzymy i tym podobne. W przypadku większości standardowych badań krwi nie szuka się niczego na poziomie genetycznym. Takie badania muszą być konkretnie zlecone przez specjalistę, bo wymagają zupełnie innych, kosztownych odczynników. Ale nawet gdyby lekarz zlecił takie badanie, to nie są w stanie wykryć wszystkich możliwych wariantów DNA.

– Czyli generalnie nikt tego nie znajdzie, bo nikt tego nie szuka? – zapytałam.

– I ponieważ nikt nie wie, czego tak właściwie szukać.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Wiele na ten temat czytałem. Niektórych rzeczy nie mogę być pewien, trochę zgaduję, ale generalnie ma to sens. – Wzruszył ramionami. – To nie jest tak, że mogę tak po prostu pójść do lekarza i poprosić o sprawdzenie, czy w mojej krwi nie ma przypadkiem czegoś dziwnego.

Przełknęłam ostatni kęs kanapki.

– Słuszna uwaga – powiedziałam, ocierając usta.

Postukał palcem w pustą śniadaniówkę.

– Masz jeszcze coś do jedzenia?

Włożyłam pudełko do torby i wyjęłam jabłko.

– Mam tylko jedno – powiedziałam.

– Podzielimy się.

Wziął owoc z mojej ręki i przytknął mi do ust.

– Gryź – polecił łagodnie.

Ujęłam jego dłoń w obie ręce, aby ją unieruchomić, po czym odgryzłam solidny kawałek. Gdy puściłam jego rękę, obrócił jabłko i ugryzł w tym samym miejscu, cały czas wpatrując mi się w oczy. Zmieszana odwróciłam twarz.

– Jesteś niesamowicie rozmowny jak na siebie – rzuciłam. – Co się stało z zasadami?

Wyciągnął owoc w moją stronę. Tak jak poprzednio unieruchomiłam jego rękę i odgryzłam kawałek. Jego skóra była ciepła i miła w dotyku. Czułam pod palcami napięte ścięgna i mięśnie.

– Zasady są wprowadzane po to, aby chronić życie żołnierzy. Żeby nikt z ludzi ich nie podsłuchał i na przykład nie wysłał do psychiatry. Aby ich rozmowy nie usłyszał przypadkiem Drau, bo to zazwyczaj kończy się szybką śmiercią.

– Jasne, łapię – powiedziałam. – Dlaczego więc je łamiesz?

Ponownie wyciągnął jabłko w moją stronę, ale nie miałam już na nie ochoty. Pokręciłam głową i patrzyłam, jak je, aż w ręku został mu sam ogryzek. Cały czas czekałam na odpowiedź, ale ona nie nadchodziła. Wyciągnęłam z torby śniadaniówkę, otworzyłam ją i wyciągnęłam przed siebie, aby mógł wyrzucić do niej ogryzek. Straciłam już nadzieję na uzyskanie odpowiedzi na moje ostatnie pytanie. Jackson jednak zaskoczył mnie po raz kolejny tego dnia.

– Zasady nie są bezwzględne, chociaż chcielibyśmy, żeby żołnierze je za takie uważali.

– Mówisz „żołnierze”, jakbyśmy brali udział w jakiejś wojnie.

– Bo bierzemy.

Przełknęłam ślinę i zwilżyłam językiem wargi.

– I powiedziałaś „chcielibyśmy”, tak jakbyś należał do grupy stojącej nad żołnierzami...

– Bo tak jest – odparł. – I ty też do niej należysz. Nie jesteś żołnierzem, Miki.

W jego głosie było coś groźnego i niepokojącego.

– Co dokładnie masz na myśli? Dlaczego mówisz to w taki sposób?

– W jaki?

– Jakbym powinna się tego bać?

– Bo powinnaś. Powtarzam ci to cały czas.

– Ale czego? – zapytałam. – Ciebie? Dlaczego?

Zacisnął zęby, przybierając minę, którą powoli uczyłam się już rozpoznawać. Ten wyraz twarzy zwiastował upór. Nie zamierzał odpowiadać.

– Co masz jeszcze w tej swojej torbie bez dna? – zapytał, zaglądając z nadzieją do środka.

Miałam ochotę chwycić go i wytrząsnąć z niego wszystkie odpowiedzi. Podejrzewałam jednak, że raczej by mi się to nie udało.

– Dlaczego nie poszedłeś zjeść czegoś na stołówce? – zapytałam. – Trochę mi głupio, że zostawiłeś Lukę samego, żeby tu przyjść.

– Nie zostawiłem go samego, to on mnie zostawił – odparł Jackson, wzruszając ramionami. – Umówił się na naukę chemii z twoją koleżanką.

– Którą kole... – Urwałam. – Z Carłą?

A ona nawet słowem mi o tym nie wspomniała. Cóż, pewnie w ten sposób odgrywa się za to, że ja rzekomo nie poinformowałam jej o wszystkim.

Jackson wyciągnął rękę po moją torbę. Pozwoliłam mu ją wziąć i z pewnym rozbawieniem, ale też odrobinę urażona jego bezczelnością, obserwowałam, jak otwiera suwak i przetrząsa zawartość. Po paru chwilach wyjął niewielki plastikowy pojemnik z wieszkami, uniósł go do oczu i lekko potrząsnął.

– Migdały i suszona żurawina – wyjaśniłam.

Jackson przechylił głowę na bok i rzucił mi powłóczyście spojrzenie, od którego momentalnie przyspieszył mi puls.

– Podoba mi się to – wymruczał pod nosem.

– Co ci się podoba?

Wpatrywał się we mnie tak intensywnie, że zaczynałam mieć kłopoty z oddychaniem.

– Moje drugie śniadanie?

– Nasze drugie śniadanie – poprawił mnie z szerokim uśmiechem.

Zdołałam zapanować nad oddechem i nawet zdobyłam się na odwzajemnienie uśmiechu. Jackson był taki wyluzowany, taki... normalny. Otworzył pudełko, wytrząsnął trochę migdałów i owoców na dłoń, po czym odchylił głowę i wrzucił je sobie do ust. Rozgryzł z głośnym chrupnięciem kilka orzechów i wyciągnął pudełko w moją stronę.

– Chcesz trochę? – zapytał.

– Pewnie – odparłam. – Dzięki za poczęstowanie mnie moim jedzeniem.

Całkowicie zignorował ironię w moim głosie.

– Miki – powiedział po paru minutach łagodnym głosem, nagle bardzo poważniejąc. – Obecnie dzieją się pewne rzeczy, które zapoczątkowałem. Rzeczy, które zrobiłem, zanim...

Urwał i uciekł wzrokiem gdzieś w bok. Odczekałam chwilę, ale gdy nie podjął ponownie tematu, postanowiłam przejąć inicjatywę.

– Zanim co?

Powoli opuścił okulary na nos.

– Pamiętam, kiedy zobaczyłem cię pierwszy raz – powiedział.

– Jak leżałam nieprzytomna na plecach w poczekalni?

Nie, zaraz, przecież wcześniej słyszałam w swojej głowie jego głos. Czyli musiał mnie widzieć gdzieś wcześniej. W szkole?

Patrzyłam na niego, obserwując taniec promieni słońca na jego włosach, ciemne okulary skrywające oczy, jego cień rozciągający się na rzędach ławek... Nagle poczułam zapach oceanu i usłyszałam szum fal.

– Pamiętasz – powiedział łagodnie.

– Nie, ja...

Miał jednak rację, coś sobie przypomiinałam. Nie mogłam tego tylko umiejscowić w czasie...

– Minionego lata. Miałaś na sobie ciemnoniebieski kostium kąpielowy, stałaś po pas w wodzie. Widziałem brzeg twojego tatuażu...

Wyciągnął rękę w moją stronę i dotknął czubkami palców miejsca tuż nad moim sercem, gdzie miałam swojego orła.

Przełknęłam głośno ślinę i wpatrywałam się w niego wyczekująco.

– Nie miałaś okularów słonecznych – podjął, cofając rękę. – Kiedy obróciłaś się i spojrzałaś w moją stronę, zobaczyłem twoje oczy. Od razu wiedziałem, że jesteś taka jak ja. Od tej pory szukałem cię, aż wreszcie znalazłem.

– Co?

Przed oczami stanęło mi wspomnienie. Moje? Jego? Nas obojga? Biegłam po plaży w stronę majaczącego w oddali mola. Skręciłam w stronę fal, rozchlapując wodę stopami, wchodząc po kostki, potem po kolana i dalej. Wreszcie rzuciłam się na powierzchnię wody i dałam porwać falom, czując, jak unoszą mnie w górę i w dół. W górę i w dół. Zamrugałam, żeby pozbyć się słonej wody zalewającej mi oczy, i wtedy dostrzegłam chłopaka stojącego na plaży. W silnym, letnim słońcu jego włosy błyszczały jak złoto. Odniosłam wrażenie, że gdy na niego spojrzałam, kącik ust drgnął mu w lekkim uśmiechu. Oczy skrywał za ciemnymi okularami, ale skądś wiedziałam, że patrzy właśnie na mnie.

A ja odwzajemniałam to spojrzenie.

Nadeszła kolejna fala i zalała mnie woda. Gdy wypłynęłam z powrotem na powierzchnię, odchodził już w głąb plaży i widziałam tylko jego plecy. Zatrzymał się przy parasolu mojego taty wciąż odwrócony tyłem do mnie. Dostrzegłam, jak tata podnosi się z leżaka, spogląda na chłopaka i coś do niego mówi. Obróciłam się i rzuciłam na spotkanie kolejnej fali.

– Byłeś kiedyś na wybrzeżu Atlantyku? – zapytałam.

To było głupie pytanie, znałam przecież odpowiedź. Ten uśmiech... To dlatego, gdy zobaczyłam go po raz pierwszy w poczekalni, miałam silne uczucie *déjà vu*.

– Raz – odpowiedział.

– Minionego lata – wyszeptałam.

– Minionego lata – potwierdził, ponownie przesuwając okulary na czoło.

– Dlaczego? – spytałam. – Znaczący: dlaczego tam? Dlaczego na tej plaży?

W dokładnie tym samym tygodniu, w którym byłam tam z tatą. Akurat na tym właśnie odcinku plaży, gdzie zawsze pływałam.

– A dlaczego ty tam byłeś? – odpowiedział pytaniem.

– Zawsze tam jeździmy z tatą. Odkąd pamiętam, co roku udajemy się latem

do Karoliny Północnej. Na tydzień. Wynajmujemy zawsze ten sam domek. – Zawiesiłam na chwilę głos. – Twoja kolej.

Zanim się odezwał, przez dłuższą chwilę wpatrywał się w puste boisko do baseballu.

– Nie jestem pewien. Chyba moi rodzice to zaproponowali, ale nie mam co do tego pewności.

Spojrzał na mnie z zatroskaną miną. Cokolwiek go jednak gryzło, zachowywał to dla siebie, jak to miał w zwyczaju.

– Jak udało ci się później mnie znaleźć? – zapytałam.

– Czapka twojego taty zdecydowanie mi to ułatwiła.

Zamrugałam, z początku nie rozumiejąc, o co mu chodzi, po czym nagle zrozumiałam – tata miał wtedy czapkę baseballową z logo Rochester Bass Anglers. Do tego z tyłu miał wyszyte swoje imię i nazwisko.

– Zaraz... Czyli szukałeś mnie... Przyjechałeś do Rochester tylko z mojego powodu? – Poczulałam się całkowicie przytłoczona taką ewentualnością. – Nie rozumiem – powiedziałam, kręcąc głową. – Sądziłam, że przenieśli tu twojego tatę. Ja...

To nie miało najmniejszego sensu.

– Komitet ma swoje sposoby na załatwianie pewnych spraw – powiedział.

Miał na myśli przeniesienie jego ojca do Rochester czy jego obecność w Karolinie Północnej?

– I to wszystko? To wszystko, co masz mi do powiedzenia? Powiedziałeś mi właśnie, że widziałeś mnie w minione lato, że szukałeś mnie od tego czasu, aż mnie tu znalazłeś, a ja mam to tak po prostu przyjąć do wiadomości i...

I co? Sama nie wiedziałam, co chcę powiedzieć.

– Nie pytaj, nie teraz – powiedział cicho, niemal szepcząc. – Po prostu pozwól mi...

Nachylił się do mnie, owiewając mnie swoim wspaniałym zapachem – cytru-

sowa pianka do golenia i rozgrzana słońcem męska skóra.

Ten zapach wabił mnie niczym świeca ómę. Zamarłam, z nerwów czując niemal fizyczny ból w całym ciele. Serce biło mi w opętańczym tempie. Rozchyliłam wargi, pragnąc, żeby mnie pocałował. Chciałam, żeby Jackson objął mnie swoimi silnymi ramionami, przyciągnął do siebie i przycisnął swoje usta do moich.

Odsunął mi delikatnie kosmyk włosów z policzka.

– Miki...

Jego oczy utkwione w moich. Czarne, rozszerzone źrenice otoczone wirującym srebrem jego tęczy. Coś jednak go powstrzymywało przed zrobieniem kolejnego kroku. Na jego twarz wkradła się dziwna bolesć i zaczął się wycofywać.

Coś prawie mi powiedział, ale z jakiegoś powodu ostatecznie tego nie zrobił.

– Jackson – wyszeptałam, nie do końca jednak wiedząc, co chciałam mu przekazać.

Czar prysł. Może dlatego, że wymówiłam jego imię? Nie, chyba stało się to wcześniej.

Spuścił wzrok, włożył pusty pojemnik po owocach do mojej torby, po czym zapiął ją i odsunął się nieco ode mnie. Wciąż na mnie nie patrząc, opuścił ponownie okulary na nos.

– Lada chwila zadzwoni dzwonek – powiedział. – Lepiej chodźmy.

Po tych słowach wstał i wziął moją torbę z ziemi.

– Mogę sama nieść swoją torbę – powiedziałam.

– Wiem.

Nie oddał mi jej jednak.

Zeszłam za nim w dół trybun, po czym podbiegłam kawałek, żeby dotrzymać mu kroku. Gdzieś zniknęły cały jego luz i spokój. Znowu zdawał się spięty i odległy. Zachowywał się, jakbyśmy byli na misji, a nie jakbyśmy przed chwilą rozmawiali na trybunach szkolnego boiska w promieniach południowego słońca.

– Masz poważne zaburzenia osobowości – wymamrotałam, kiedy dotarliśmy do tylnego wejścia do szkoły.

Na te słowa nagle zatrzymał się i odwrócił się z bardzo poważną miną.

– Ty. Po prostu bycie tu z tobą. Chcę, żebyś to wiedziała – powiedział.

Wpatrywałam się w niego, intensywnie mrugając i zupełnie nic nie rozumiejąc.

– Zapytałaś, co mi się podoba. Odpowiadam więc na twoje pytanie – wyjaśnił, uśmiechając się w bardzo dziki, mroczny i wiele obiecujący sposób. – Ty, Miki, ty mi się podobasz.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Spojrzałam na niego. Oddech mi przyspieszył, a myśli pędziły przez głowę jak tajfun.

„Chyba mi się podobasz, Miki Jones”. Tych słów Jackson użył, gdy byliśmy w jaskiniach. Użył ich jednak w innym znaczeniu. Wtedy roześmiałam się i w myślach odpowiedziałam tym samym, ponieważ było to niezobowiązujące, mówione pół żartem, pół serio. Wtedy przemawiała przez nas krążąca w żyłach adrenalina oraz ulga po przeżyciu ataku Drau. No dobrze, ja czułam zdecydowaną ulgę, nie mogłam mówić za Jacksona.

Ale tym razem było inaczej. Tym razem zdecydowanie chodziło mu o coś zupełnie innego.

Chciałam chwycić go za rękę i odciągnąć w jakieś bardziej odludne miejsce, aby... Aby co? Powiedzieć to samo? Poprosić, żeby doprecyzował swoje stwierdzenie?

Powinnam chyba po prostu przyjąć jego słowa takimi, jakie były, wziąć je do serca i pozwolić im rozświetlić mnie od środka. Ciężko było jednak poradzić sobie z tą częścią mnie, która nadal chciała zarzucić go tysiącem pytań, żeby mieć pełną kontrolę nad całą sytuacją.

Nie dane mi było jednak nic zrobić, ponieważ w sam środek moich rozterek wparowała aż gotująca się ze złości Carla.

– Wystawiłaś mnie do wiatru! – krzyknęła.

Wpatrywałam się w nią, intensywnie mrugając i zupełnie nie rozumiejąc, o co jej chodzi.

– Wystawiłaś mnie dla niego! – dodała, wskazując na Jacksona. – Miałam pouczyć się z Luką, ale wcześniej przecież umówiliśmy się na stołówce, poszłam więc cię szukać. Nie było cię, więc czekałam, czekałam i czekałam!

– To nie tak. – Pokręciłam głową. – Byłam na trybunach przy boisku do baseballu, wysłałam ci przecież esemesa.

– Łżesz!

Zerknęłam na Jacksona. Stał obok, z ramionami skrzyżowanymi na piersi i nieodgadniętym wyrazem twarzy. Gdy wróciłam wzrokiem do Carli, zorientowałam się, że mamy już widownię. Zauważyłam Dee, Kelley, Emily i Maylene. Nieopodal stał też Luka z Dequainem i Aaronem, swoimi kumplami z drużyny biegowej, oraz Shareese – dziewczyną Aarona. Krzyki Carli zainteresowały też kilka innych przechodzących nieopodal osób.

Uroki szkolnego życia – kłótnia dwóch dziewczyn zawsze przyciąga gapiów.

– Naprawdę wysłałam ci wiadomość – powtórzyłam, starając się panować nad głosem.

Chciałam wziąć ją pod ramię i odprowadzić gdzieś na bok. Jeśli jednak odtrąciłaby moją rękę, sprawa tylko by się pogorszyła. Jackson cały czas miał moją torbę na ramieniu, podeszłam więc do niego i pociągnęłam za pasek. Ani drgnął, westchnęłam więc ciężko i sięgnęłam ręką do środka. Po chwili namacałam swój telefon, wyciągnęłam go i zamarłam. Wiadomość dalej była na ekranie – napisałam ją, ale jej nie wysłałam.

– O kurczę, nie wysłałam! – jęknęłam, pokazując przyjaciółce ekran telefonu z treścią esemesa. – Carlo, to był przypadek. Naprawdę chciałam to wysłać, ale coś mnie rozproszyło. Masz prawo być na mnie zła. Przepraszam cię, naprawdę cię przepraszam.

– Nie będziesz mi mówić, kiedy mam prawo być na ciebie zła – wysyczała Carla, zupełnie ignorując moje przeprosiny. – I doskonale widzę, co cię rozproszyło – dodała, wymownie spoglądając na Jacksona.

Nie poszło to najlepiej. Teraz była jeszcze bardziej wkurzona.

– Nie poznaję cię! – krzyknęła. – Porzucasz wszystkie koleżanki dla jakiegoś faceta?

Teraz słyszała ją już chyba cała okolica. Policzki zapłonęły mi z zażenowania i złości.

– Nikogo nie porzucam – odparłam, zaciskając pięści w poczuciu bezsilności.

– Hej, Carlo – odezwał się nagle Jackson, wsuwając się między mnie a nią.

Jako że stałyśmy bardzo blisko siebie, jego wtargnięcie wymusiło na nas obu zrobienie kroku w tył. Miałam ochotę jednocześnie zdzielić go za wtykanie nosa w nie swoje sprawy i uścisnąć za przerwanie naszej kłótni, zanim zdążyłam powiedzieć coś, czego bym później z pewnością gorzko żałowała.

Jackson stanął plecami do mnie, nie widziałam więc jego twarzy. Ale gdy powtórzył jej imię, po tonie głosu domyśliłam się, że się uśmiecha. Carla niepewnie odwzajemniła uśmiech, tak jakby nie chciała tego robić, ale z jakiegoś powodu nie mogła się powstrzymać. Doskonale znałam to uczucie – wobec uśmiechu Jacksona trudno było pozostać obojętną.

– Słuchaj – powiedział, ustawiając się tak, żeby stać plecami do zebranej gawiedzi, po czym zniżył głos. – Dzisiaj po południu ma być apel, prawda?

Carla kiwnęła głową.

– No tak...

– A ja nie zjadłem dzisiaj zbyt wiele – dodał Jackson.

Ledwo powstrzymałam ochotę sprzedania mu kuksańca pod żebro. Zjadł więcej ode mnie – i to mojego drugiego śniadania!

– Luka i ja – powiedział, spoglądając znacząco na Lukę – myśleliśmy o urwaniu się z apelu i wyskoczeniu na pizzę. Chodźcie z nami.

Zaproszenie, które brzmiało raczej jak polecenie. Typowe u niego.

Coś zakłuło mnie w środku na te słowa. Czyżby zazdrość? Szybko ją zdławiłam.

Nie byłam pewna, w co gra Jackson, ale na pewno miał jakiś ukryty cel. Założyłam, że chce mnie i Carli oszczędzić skakania sobie do gardeł na oczach całej szkoły. Podobał mi się ten plan – nie przepadałam za występami przed publicznością.

W naturalny dla siebie sposób przejął stery wydarzeń i pokierował nimi. I to on mówił mi, że nie mogę zawsze wszystkiego kontrolować?! Dobrze sobie!

Wyglądało na to, że plan Jacksona wypalił, bo gapie zaczęli się rozchodzić. Z awantury nici, nie było więc na co patrzeć.

Cofnęłam się o krok, aby lepiej przyjrzeć się twarzy Carli. Starła się okazać obojętność względem tego zaproszenia, wodząc wzrokiem od Jacksona do Luki i z powrotem z uniesioną brwią.

– Urwać się z apelu? – zapytała. – A jak nas złapią?

To pytanie było w jej ustach raczej retoryczne. Nie wyglądała na specjalnie przestraszoną tą ewentualnością i doskonale wiedziałam, że w istocie się nie boi. Bycie przyłapaną na urywaniu się z apelu nawet nie umywało się do przyłapania jej zupełnie pijanej na terenie szkoły, kiedy to prawie zwymiotowała na dyrektora.

Odetchnęłam w duchu z ulgą. Carla ewidentnie zrezygnowała już z zamiaru urządzania publicznego spektaklu ze mną w roli głównej. Przesunęłam się nieco w bok i kątem oka spojrzałam na moją torbę wciąż przerzuconą przez ramię Jacksona. Złapać torbę i dać nogę. To był dobry plan. Mogłabym później zadzwonić do Carli, żebyśmy sobie wszystko wyjaśniły w cztery oczy, bez świadków. Tak, to był zdecydowanie dobry plan. Przesunęłam się jeszcze kawałek. Jackson właśnie atakował Carlę pełną mocą swojego uśmiechu. Jej oczy rozszerzyły się – nawet ona nie była odporna na jego urok.

– Lepiej zmywajmy się, zanim zadzwoni dzwonek – powiedział Luka, podchodząc do Carli i jakby od niechcienia obejmując ją ramieniem.

Carla przechyliła głowę na bok i spojrzała na niego. Ich spojrzenia spotkały się i przysięgłabym, że dostrzegłam w nich błysk... czegoś. Wzajemnego zainteresowania? Czyli Carla była zainteresowana Luką, nie Jacksonem? A może nimi oboma? Kolejny dowód na to, jak bardzo oddaliśmy się od siebie. Do czego to doszło, że bym nie miała pojęcia, na którego chłopaka aktualnie poluje?

Widok Luki obejmującego Carlę przywołał mi przed oczy wspomnienie przyjaciółki stojącej w mojej kuchni, gdy przyniosła kawę w dniu, w którym wyciągnęło mnie po raz pierwszy. Rozmawialiśmy o Luce i jej twarz na chwilę jakby posmutniała. Zaraz potem powiedziała mi, że bym do niego zadzwoniła.

Kiedy byliśmy jeszcze małymi dziewczynkami, na długo przed śmiercią

mojej mamy, Carla oddawała mi swoje lalki, ciastka, ulubione ubrania – po prostu taka była. A ja odwzajemniałam się tym samym. Patrzyłam teraz na nią, zastanawiając się, czy znowu stawia to, na czym jej zdaniem mi zależało, powyżej tego, na czym zależało jej samej. Byłoby to do niej podobne. Oddać mi chłopaka, który jej się podobał, tylko dlatego, że jej zdaniem w ten sposób pomoże mi znormalnieć. Z tym że chłopak to jednak nie to samo co lalka. Trzeba choćby wziąć pod uwagę to, co on o tym wszystkim myśli.

Jeśli Carli podobał się Luka, ale była skłonna odstąpić go mnie... Nagle poczułam się jeszcze bardziej podle z powodu naszych ostatnich kłótni.

– Zatem pizza – powiedziała Carla.

Oderwała wzrok od Luki i lustrowała mnie, jakby usiłowała dojść do tego, co zaszło między mną a Jacksonem na trybunach i dlatego teraz on proponuje wargary.

Cóż, przynajmniej nie wyglądała już na wściekłą na mnie.

Skoro kryzys został zażegnany, ostatnie osoby jeszcze się nam przyglądające ostatecznie straciły zainteresowanie i poszły zająć się swoimi sprawami. Kelley i Dee pomachały Carli, a potem mi, spoglądając to na jedną z nas, to na drugą. To była kolejna rzecz, której nienawidziłam w kłótniach z Carłą – nasze koleżanki trafiały między młot a kowadło. Miałam ochotę oddalić się razem z nimi, ale Jackson kompletnie ignorował moje próby odzyskania torby.

– Ty prowadzisz? – Luka zapytał Jacksona.

– A masz samochód?

– Nie.

– No to ja.

Po tych słowach Jackson nachylił się do Luki i powiedział mu coś na ucho. Zbyt cicho, żebym mogła dosłyszeć co.

Luka rzucił wzrokiem na Carłę.

– Ja siedzę z przodu! – zawołał.

Carla posłała mu pełne urazy spojrzenie i przewróciła oczami.

– No co? – zapytał z miną niewiniątka i figlarnym błyskiem w oku. – Mam za długie nogi, żeby móc wygodnie usiąść z tyłu.

Kącik ust Carli drgnął, jakby starała się powstrzymać uśmiech.

– No dobra – fuknęła, ale bez pretensji w głosie.

Zupełnie nie wiedziałam, co zrobić. Jackson wciąż niósł na ramieniu moją torbę, nawet na chwilę nie puszczając paska, żebym przypadkiem mu jej nie odebrała. Kiedy więc cała trójka ruszyła w stronę parkingu dla uczniów, chcąc nie chcąc, musiałam podążyć za nimi. W torbie miałam książki, portfel i klucze do domu. Bez niej byłam uziemiona.

Na parkingu Luka skierował się w stronę czarnego jeepa. Był to jeden ze starszych modeli ze składanym, brezentowym dachem. Opony sięgały moich ud.

– Rocznik '86? CJ? – zapytała Carla.

– To ty się znasz na samochodach? – odpowiedział pytaniem zdziwiony Luka.

– Wszyscy moi bracia po prostu uwielbiają jeepy – odparła, wruszając ramionami. – Uważają je za samochody idealne. Nie da się mieszkać z nimi pod jednym dachem i nie podłapać paru informacji.

– Albo zacięcia do paintballu – rzucił Luka z szerokim uśmiechem.

Carla rzuciła mu spojrzenie spod rzęs.

– Tak, tego też.

– To wrangler – powiedział Jackson. – Rocznik '87.

Otworzył drzwi po stronie kierowcy i złożył siedzenie.

– Wsiadaj – zwrócił się do Carli, po czym rzucił kluczyki Luce, żeby ten mógł otworzyć drzwi po stronie pasażera.

Carla wgramoliła się do środka i rzuciła mi spomiędzy zmrużonych powiek dziwne spojrzenie, jakby chciała mnie zapytać, co ja tu jeszcze robię.

Jackson odwrócił się w moją stronę.

– Chcę swoją torbę – powiedziałam.

– Co ty nie powiesz? – odparł słodkim i lepkiem niczym miód głosem.

Zacisnęłam wargi i skrzyżowałam ręce na piersi. W co on grał? Cokolwiek sobie zaplanował, musiałam szybko wymyślić sposób, żeby tego uniknąć.

Staliśmy tak przez chwilę, wpatrując się w siebie nawzajem bez słowa, po czym Jackson ostentacyjnym ruchem położył moją torbę na tylnej kanapie, prawie przepychając Carlę za fotel Luki, nie pozostawiając jej żadnej możliwości ucieczki. Zrobił krok w bok i obrócił się tak, że znalazłam się między nim a samochodem.

– Wskakuj – powiedział i się uśmiechnął.

To nie był przyjemny uśmiech, lecz jeden z jego drapieżnych grymasów ogłaszających całemu światu, że on tu dowodzi. Wtedy dopiero zrozumiałam, że o to mu od początku chodziło. Do tego właśnie zmierzał.

– Co ty wyprawiasz? – syknęłam zszokowana.

Uśmiech nie schodził z jego ust.

– Pomagam ci odbyć miłą, przyjacielską rozmowę z Carlą.

Nachylił się, niemal dotykając ustami mojego ucha, czym przypawił mnie o dreszcz.

– Chcę, żebyś była szczęśliwa, Miki – wyszeptał. – A wojna podjazdowa z twoją najlepszą przyjaciółką zdecydowanie nie czyni cię szczęśliwą.

Nabrałam gwałtownie powietrza i spróbowałam się cofnąć, ale mi na to nie pozwolił. Chciał, żebym była szczęśliwa, więc wyreżyserował całą tę sytuację, bym mogła to osiągnąć. Zadufany w sobie, pragnący kontrolować wszystko i wszystkich wokoło duppek. Próbujący zrobić coś w zasadzie niebywale miłego. Powinam być na niego wściekła za wmanewrowanie mnie w tę sytuację w taki sposób. Ale przecież robił to, żebym mogła pogodzić się z moją najbliższą przyjaciółką. Jak mogłam gniewać się na niego z tego powodu?

Zerknęłam na Lukę. Siedział na fotelu pasażera, wpatrując się gdzieś przed

maskę samochodu i udając, że niczego nie słyszy. Dostrzegłam jednak drgający w tłumionym uśmiechu kącik jego ust. Był winny współudziału. To dlatego Jackson szeptał do niego jeszcze pod szkołą. Poprosił Lukę, żeby zaklepał sobie miejsce z przodu, ponieważ wtedy ja i Carla będziemy musiały usiąść obok siebie na tylnej kanapie. Zaplanował wszystko od początku do końca.

Carla chciała przepchnąć moją torbę i wydostać się z samochodu, ale Jackson sięgnął za siebie, przycisnął torbę do kanapy i zagroził drogę Carli.

– To nie jest zabawne! – powiedziała. – Zrobiłaś to specjalnie! Nie mogę uwierzyć, że wykręciłaś mi taki numer!

Zbaraniałam. Nie obwiniała Jacksona, tylko mnie. Trzeba to było jak najszybciej naprostować.

– Nie lubimy, jak się z nami tak pogrywa – powiedziałam twardo, wodząc wzrokiem od Jacksona do Luki i z powrotem.

Gdy spojrzałam ponownie na Carlę, jej spojrzenie było już łagodniejsze. Zrozumiała, że to nie była moja intryga.

– Daj mi moją torbę i sobie pójdę – dodałam.

– Nie rób tego – powiedziała Carla z ciężkim westchnieniem, kręcąc z rezygnacją głową. – Wsiadaj, oni mają rację, powinniśmy pogadać. – Na chwilę zamilkła, przyglądając mi się badawczo. – Naprawdę myślałaś, że wysłałaś tego esemesa?

Przytaknęłam.

– Naprawdę.

Kiwnęła głową z aprobatą, przyciągnęła moją torbę bliżej siebie i poklepała zapraszająco wolne miejsce.

Wzięłam głęboki oddech. Ja byłam zła na nią, a ona – na mnie. Cała ta sytuacja była bardzo głupia. O co my się tak właściwie kłóciłyśmy? Obcy mogli lada dzień zniszczyć naszą planetę, ja mogłam zginąć w grze tak jak Richelle.

Mogłam też umrzeć poza grą – tak jak mama...

Pewne było jedynie *tu i teraz*, a jedyną rzeczą, nad którą naprawdę miałam kontrolę, były decyzje, które właśnie miałam podjąć.

– No dobra – powiedziałam i wsiadłam do samochodu.

Carla sięgnęła do swojego plecaka i wyciągnęła wymiętą paczkę papierosów. To tyle, jeśli chodzi o jej ugodowość. Dmuchanie mi dymem w nos zdecydowanie nie należało do najlepszych sposobów rozpoczęcia rozmowy i ona doskonale o tym wiedziała.

– Nie w moim samochodzie – powiedział Jackson stanowczym głosem.

Carla zamarła w połowie wyciągania papierosa z paczki i spojrzała na niego. Nie podążyłam za jej wzrokiem, ale mogłam sobie wyobrazić jego minę. Harda i nieprzejednana. A przede wszystkim wystarczająco stanowcza, żeby Carla schowała papierosy do plecaka.

#

Jackson prowadził bardzo uważnie. Nie szarżował, nie przesadzał też z głośnością muzyki. Ręce trzymał cały czas na kierownicy w niemal podręcznikowy sposób. Szczerze mówiąc, zdziwił mnie tym – spodziewałam się, że będzie równie przesadnie pewny siebie za kierownicą co w życiu.

– Jackson, jesteś ostatnią osobą, po której spodziewałabym się tak ostrożnej jazdy – powiedziałam nieco kpiącym tonem.

Luka roześmiał się głośno.

– Ubezpieczenie go nauczyło – wyjaśnił. – Jeden malutki mandat i składka skoczyłaby pod sufit.

– Nie mam zamiaru tracić samochodu z powodu zbytnej pewności siebie – dodał sam zainteresowany.

Powiedział to wystudiowanym tonem, jakby ćwiczył tę kwestię przed lustrem. Odniosłam wrażenie, że powiedział to, ponieważ inni tego oczekiwali, a nie dlatego, że taka była prawda.

– To ty w ogóle wiesz, co to jest „zbyttnia” pewność siebie? – zapytałam słodko.

Carla parsknęła.

Była w dobrym humorze. Uznałam to za dobry moment na rozpoczęcie naszej nieuniknionej rozmowy. Od czego zacząć? Wyciągnęłam telefon, żeby ponownie pokazać jej tę nieszczęsną wiadomość. Niby powiedziałam jej już, że naprawdę chciałam ją wysłać, ale może jak powtórzę to jeszcze raz, rozwieję resztki jej wątpliwości co do moich działań.

– Naprawdę myślałam, że wysłałam tego esemesa – powiedziałam, pokazując jej ekran. – Przepraszam, moja wina. Powinnam była się upewnić.

Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w telefon z zaciśniętymi ustami. W końcu jednak wyraźnie się rozluźniła.

– Twoja wina.

Cóż, przynajmniej się do mnie odezwała.

Pojechaliśmy do knajpki na Mount Hope. Nie było w niej zbyt wielu osób – zapewne dlatego, że przyszliśmy między porą lunchową a obiadową. Albo też mało kto na razie o niej słyszał. Lokal był nowy – błyszczące jeszcze kamienne płytki na podłodze, jasnożółte ściany bez śladu kurzu czy smug, lśniący kontuar. Skierowaliśmy się do bocznego stolika. Jackson wskazał Carli miejsce pod oknem, po czym sam usiadł obok niej. Luka wsunął się na miejsce naprzeciwko Carli, nie zostawiając mi wielkiego wyboru w kwestii tego, gdzie usiądę.

Spodziewałam się luźnej rozmowy, o sporcie, pogodzie, czymkolwiek. Ale Jackson postanowił mnie zaskoczyć po raz kolejny tego dnia. Powoli obrócił głowę w stronę Carli.

– Wyobraź sobie, że świat się właśnie skończył – powiedział. – Wymień jedną rzecz, którą wspominałabyś z dumą, i jedną, której byś żałowała.

– Co? – zapytała Carla, wyglądając na równie zbitą z tropu co ja.

– Serio – dodał Jackson. – Po jednej rzeczy, szybko, bez zastanowienia, na żywiol.

– Nie wiem – powiedziała Carla, zerkając na mnie w poszukiwaniu wsparcia.
– Niech ktoś inny zacznie.

Jackson przeniósł wzrok na Lukę.

– Luka? Zacznie?

– Żałowałbym zdrady i byłbym dumny z przyjaźni – powiedział bez większego zastanowienia. – I z przestrzegania zasad moralnych, z tego też byłbym dumny.

Jackson wrócił wzrokiem do mojej przyjaciółki.

– Carla?

Dziewczyna przewróciła oczami.

– Nie wiem, no – zachnęła się. – Żałowałabym, że nie miałam nóg takich jak Stephanie Ling. Wiesz, która to, siedzi przed tobą na hiszpańskim. Ta, która zawsze nosi miniówki. W sumie nic dziwnego, też bym nosiła, gdybym miała takie nogi.

– Jakoś nie zauważyłem – powiedział Jackson z lekkim uśmiechem.

Szarmancki łgarz. Oczywiście, że zauważył.

– Nic lepszego nie przychodzi ci do głowy? – zapytał Luka, sięgając ręką nad stolikiem i pociągając delikatnie za różowe pasemko w jej włosach.

Carla zacisnęła usta, zmarszczyła brwi i pochyliła głowę, patrząc na niego spode łba.

– Carlo, no weź – rzucił Luka, wybuchając śmiechem.

– Carla może być dumna z wielu rzeczy – wtrąciłam się. – Z bycia lojalną, mądrą...

– Piękną – rzuciła.

– Miki – powiedział Jackson – twoja kolej.

Carla uśmiechnęła się do mnie – tym razem szczerze, nie tylko twarzą,

ale też oczami.

Chciałam odwzajemnić ten uśmiech, ale wtedy wymieszany zapach topionego sera, sosu pomidorowego i tłuszczu przyprawiły mnie o nagły atak mdłości. Sala zawirowała i cały świat zrobił się dziwnie rozmyty. Po chwili odzyskałam ostrość widzenia, ale teraz wszystko było zbyt wyraźne...

Luka coś powiedział, potem Jackson, ale nie rozumiałam ani słowa. Chyba o coś pytali, ale kogo? Mnie czy Carlę? Nie byłam w stanie orzec.

Przycisnęłam czubek języka do wewnętrznej strony górnych zębów i oddychałam przez usta, starając się ignorować otaczające mnie zapachy. Bez powodzenia – żołądek mi się ścisnął, a oddech przyspieszył. Zaczynałam się hiperwentylować i poczułam mocne zawroty głowy. Coś było nie tak, bardzo poważnie nie tak.

Wszystko wokół mnie działo się jakby na zwolnionych obrotach, a do tego dźwięki były zbyt głośne, zapachy zbyt silne, a kolory – zbyt jaskrawe.

Rozpoznałam to uczucie i poczułam narastający strach – znowu wyciągało nas do gry. Obróciłam głowę i spojrzałam na Lukę, spodziewając się, że jego oczy będą niebieskie. Patrzył na mnie z zaniepokojeniem, ale... Ale jego oczy nadal miały kolor brązowy.

Bez najmniejszej nawet plamki niebieskiego.

Moje myśli biegły bardzo powoli i z trudem jak zegar, któremu ktoś sychnął piachu w koła zębate.

Jeśli jego oczy nie są niebieskie, jeśli nas nie wyciąga do gry, to co się ze mną dzieje?

Oddech przyspieszył mi jeszcze bardziej, chociaż robiłam wszystko, co mogłam, aby go uspokoić. Strach powoli przeradzał się w panikę.

Kręciło mi się w głowie, było mi niedobrze, czułam się osłabiona i cała się trzęsłam. Z trudem wstałam na nogi, próbując nie poddać się strachowi. Miewałam już wcześniej ataki paniki – tuż po śmierci mamy. Ale tym razem to było coś innego. Działo się coś więcej. Nie wiedziałam co, ale wiedziałam, że nie mogę tu zostać. Musiałam uciekać! Żółte ściany były tak jaskrawe, że aż raziły mnie w oczy.

Szczęka bolała, czułam narastające ciśnienie w uszach, oczy piekły, nawet skóra zaczynała mnie palić.

– Muszę... – wymamrotałam z trudem i zatoczyłam się do przodu.

Musiałam się stąd wydostać!

Usłyszałam za sobą głos Carli, dochodzący jakby z bardzo daleka.

– Jackson, szybko! – wołała. – Miki źle się czuje!

Chyba chciała, żeby Jackson wypuścił ją zza stolika. Chciałam obrócić głowę i powiedzieć jej, żeby nie ruszała się z miejsca. Cokolwiek się ze mną działo, nie chciałam narażać jej na niebezpieczeństwo. Nie mogłam jednak poruszyć się ani wydać z siebie jakiegokolwiek dźwięku. Zamarłam w pół drogi do drzwi wyjściowych. Świeże powietrze i słońce były tak blisko, ale jednak poza moim zasięgiem.

„Muszę się stąd wydostać. Muszę się stąd wydostać”.

Poddałam się panice – nie zdołam się wydostać.

Rozdział dwudziesty drugi

Krew napływała z powrotem do moich zdrętwiałych kończyn, atakując mnie tysiącami iskierkami bólu. Paniczny strach zaciskał swoje lodowate palce na moim gardle, uniemożliwiając oddychanie.

– Głęboki wdech, Miki.

– Jackson?

Strach minimalnie zelżał.

– Głęboki wdech – powiedział ponownie.

Głos miał bardzo napięty, był zły. Staralam się nabrać głęboko powietrza, ale klatka piersiowa odmawiała mi posłuszeństwa. Wtedy zorientowałam się, że jestem zgięta w pół, plecami oparta o Jacksona, który obejmował mnie jedną ręką. Tył moich nóg opierał się o przód jego, jakbym na nim siedziała – z tym że oboje staliśmy.

Zdecydowanie nie była to wymarzona pozycja do głębokiego oddychania, ale nogi miałam zdrętwiałe i podejrzewałam, że nie utrzymałyby mojego ciężaru, gdybym spróbowała się wyprostować. Zgięłam i rozprostowałam palce u rąk, następnie u stóp, wspomagając krążenie. Syknęłam z bólu i ponownie oparłam się o Jacksona, pozwalając mu przejąć na siebie większość ciężaru mojego ciała. Uniosłam jedną stopę i zakręciłam kostką. Powoli ją opuściłam i powtórzyłam ten manewr z drugą stopą. Mięśnie bolały mnie tak bardzo, że przed oczami rozblęsnęły mi białe plamy. Wtedy też zorientowałam się, że poza nimi nie widzę nic innego.

– Dlaczego jest tak ciemno? – zapytałam. – Czy jesteśmy z powrotem w jaskiniach?

Nie, to nie miałyby sensu. Powinniśmy najpierw trafić do poczekalni, poznać wyniki poprzedniej misji i pobrać broń. Miałam nadzieję, że zasady gry nie uległy zmianie właśnie wtedy, gdy zaczęłam się przyzwyczajać do poprzednich.

– Nie.

Tylko tyle, jedno słowo. Żadnego wyjaśnienia, gdzie jesteśmy i co się z nami stało. Cały Jackson. Czułam napięcie i energię skumulowane w jego ciele. Jego dotyk był jednak łagodny. Poczułam, jak kładzie mi dłoń na potylicy. Po chwili prze-

sunął ją na kark, potem na ramię. Wciąż obejmował mnie drugą ręką, a ja nie chciałam, żeby mnie puścił.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

– Sądziłam, że będę sobie radzić coraz lepiej ze skokami.

– Tym razem to trochę co innego. Lepiej ci już?

Zrobiłam szybki przegląd. Nudności, których napad poczułam w pizzerii, minęły. Zniknęły także panika i zawroty głowy. Kończyny powoli dochodziły do siebie, przeganiając ostatnie ślady odrętwienia. Wciąż jednak czułam się nie-swojo.

– Lepiej, przynajmniej nie zbiera mi się na wymioty. I chyba dam już radę sama stanąć.

Powoli się wyprostowałam. Wyczułam jego wahanie. Po chwili poluzował chwyt, ale nie puścił mnie jeszcze zupełnie, cały czas asekurując mnie w talii.

Opuścił rękę dopiero wtedy, gdy zdołałam się całkowicie wyprostować i ustałam na nogach przez parę sekund. Jak na kogoś, kto ciągle powtarza, że każdy dba tylko o siebie, okazuje niebywale duże zainteresowanie moim samopoczuciem.

– Znowu się mną opiekujesz – wymamrotałam.

– Znowu?

– Cały czas to robisz.

Przypomniałam sobie pierwszy raz, kiedy mnie wyciągnęło. Gdy doszłam do siebie, to Jackson klęczał przy moim boku.

– Każdy dba o siebie – wyszeptał Jackson.

Wyczułam w jego głosie coś dziwnego. Jakby wypowiedzenie tych słów sprawiało mu fizyczny ból.

Moje oczy powoli przyzwyczajały się do bardzo słabego światła dobiegającego z bliżej nieokreślonego miejsca. Rozejrzałam się, spodziewając się zobaczyć trawę, głązy, Lukę i Tyrone'a. Ale nic nie było takie, jakim być powinno. Sta-

liśmy z Jacksonem na środku czegoś, co wyglądało na olbrzymią, wąską misę, na bokach której siedziały niezliczone rzędy dziwnych postaci. Rzędy te ciągnęły się wysoko w górę, poza zasięg światła, którego źródło zdawało się gdzieś na dnie misy. Wyglądało to tak, jakby jaśniało samo powietrze. Twarze i ciała postaci były skryte w cieniu, ale czułam na sobie spojrzenia ich wszystkich. Na co innego zresztą miałyby patrzeć? W zasięgu wzroku nie było nic prócz nas.

Wyglądało to na jakiś rodzaj stadionu, a trochę przypominało Koloseum.

Czułam się jak zwierzę na wystawie. Brałam udział w dziesiątkach turniejów kendo i występowałam przed sędziami i wypełnionymi trybunami. Tutaj jednak było zupełnie inaczej. Coś w tym miejscu, w tych postaciach przerażało mnie. Drobnymi kroczkami przysunęłam się do Jacksona, aż oparłam się ramieniem o jego ramię.

– Kiedy wypuszczą lwy? – wymamrotałam.

– Lwy?

– Nie oglądałeś nigdy żadnego programu o gladiatorach w starożytnym Rzymie? Lwy, tygrysy, niedźwiedzie... – zaczęłam wyjaśniać.

– To jest właśnie jedna z rzeczy, które w tobie, Miki, uwielbiam – powiedział. – Masz jaja! I poczucie humoru. – Zawiesił na chwilę głos. – No dobrze, dwie rzeczy.

Jego słowa zmroziły mnie. Rzeczy, które we mnie uwielbia? Powiedział to dość swobodnie, ale nie zdołałam odgadnąć jego tonu. Była w nim dziwna nuta, której zupełnie nie mogłam odszyfrować. Mimo to poczułam przyjemne ciepło, które ostatecznie rozgromiło ostatnie bastiony odrętwienia. Spojrzałam na niego, ale on nie patrzył na mnie. Stał z kciukami zatkniętymi za szlufki, z ciężarem ciała przeniesionym na jedną nogę i odchyłoną głową, wpatrzony w niekończące się rzędy dziwnych postaci. A może miał zamknięte oczy i nie patrzył na nic? Przez te przeklęte okulary nie mogłam mieć pewności.

Wyglądał na całkiem rozluźnionego. Czy było tak naprawdę, czy też przybrał tę pozę z myślą o mnie, żeby pomóc mi się rozluźnić? Ciężko było orzec.

Ciekawość przeważała ostrożność i obawy. Obróciłam się powoli dookoła

własnej osi i zatrzymałam się, gdy dostrzegłam trzy postacie stojące wyraźnie oddzielnie od pozostałych. Poza tym nie wyróżniały się jednak niczym innym. Były jednakowo skryte w cieniu i jednakowo niepokojące. Zdawały się siedzieć na czymś w rodzaju unoszącej się w powietrzu półki niczym sędziowie lub...

– Czy to jest komitet? – zapytałam szeptem, przypominając sobie to, co Jackson mówił na trybunach szkolnego boiska.

– Tak.

Odpowiedział i nie kazał mi siedzieć cicho. Uznałam, że mogę dalej zadawać pytania. Potoczyłam niepewnie wzrokiem po otaczającej nas „publiczności”. Postaci siedziały bez ruchu i w całkowitej ciszy.

– Dlaczego tu się znaleźliśmy? – zapytałam. – Gdzie są Luka i Tyrone?

– To nie jest misja – odpowiedział Jackson. – A Luka i Tyrone nie zostali wezwani.

Nie szeptał, więc ja też przestałam.

– To nie jest misja? – powtórzyłam za nim już normalnym głosem. – W takim razie co to jest? Czekaj... powiedziałaś: „wezwani”? To jakiś proces? Czy mam być sądzona?

– Nie... – zaczął Jackson.

Cokolwiek jednak chciał powiedzieć, nie zdążył, bo w tym samym momencie rozległ się nowy, nieznany głos:

– Wszystkie pytania możesz zadawać bezpośrednio nam.

„Nam... nam... nam...”.

Przycisnęłam rękę do uszu, ale to nie pomogło. Dźwięk wibrował mi w głowie, mięśniach i wszystkich kościach. Nie rejestrowałam go samymi tylko uszami, lecz wszystkimi nerwami całego ciała. Czułam te słowa na języku, czułam wręcz ich zapach! Uczucie to było jednocześnie przerażające i cudowne. Trochę jak głos Jacksona rozbrzmiewający w mojej głowie tamtego dnia, tyle że tysiącrotnie głośniejszy. A nawet milionkrotnie.

– Czy...

Całe moje ciało skrzyło się na dźwięk mojego głosu. Miałam wrażenie, że mówię do mikrofonu podłączonego do olbrzymiego głośnika, z którego dźwięk dociera bezpośrednio do mojego mózgu – bez pośrednictwa uszu. Myślałam, mówiłam i słyszałam swoje słowa ze zwielowrotnioną intensywnością. To wszystko sprawiało mi ogromny, fizyczny ból.

– Za bardzo? – zapytał głos już zdecydowanie ciszej.

– Eee... dziękuję – powiedziałam ostrożnie.

Teraz wszystko było łagodniejsze, mniej inwazyjne, jakby przytłumione. W każdym razie nie sprawiało mi już takiego bólu. Chwilę zajęło mi przyzwyczajenie się do tego dziwnego uczucia, że moje własne słowa dochodzą jakby z wewnątrz mnie. Kiedy uznałam, że sobie z tym poradzę, zadałam ostrożnie pierwsze pytanie:

– Czy po to tu mnie wezwaliście? Żebym zadawała pytania?

– Jeśli takie jest twoje życzenie.

Ponownie nie tyle usłyszałam te słowa, ile poczułam je w nozdrzach, na języku i wszystkich nerwach całego ciała. Najdziwniejsza rzecz, jaka mnie kiedykolwiek spotkała.

– Jeśli takie jest moje życzenie?

Roześmiałam się, słysząc własne słowa. Sytuacja wydawała mi się mocno absurdalna. Szybko przestałam się jednak śmiać – odgłos śmiechu łaskotał mnie nieprzyjemnie w stopy.

– Przepraszam – powiedziałam. – Nie chciałam być niegrzeczna. To wszystko... To wszystko mnie trochę przytłacza. I owszem, mam do was wiele pytań.

Od pierwszego dnia nie marzyłam praktycznie o niczym innym jak o uzyskaniu odpowiedzi na wszystkie dręczące mnie wątpliwości. Zaczęły pojawiać się, gdy tylko Jackson odezwał się po raz pierwszy w mojej głowie.

Niespodziewanie poczułam jego palce wsuwające się między moje. Ścisnął

je w geście wsparcia tak mocno, iż niemal sprawił mi ból. Jakby chciał mi przekazać, że cokolwiek się stanie, on mnie nie opuści. Chociaż może chodziło o coś innego? Może nie tyle chciał okazać mi wsparcie, ile nie chciał mnie stracić? Jakbym miała nagle zacząć się unosić jak balon w tym dziwnym miejscu zalanym przyćmionym światłem, które zdawało się dochodzić zewsząd i znikąd. Unieść się i odlecieć w nieprzenikniony mrok rozpościerający się nad nami.

Podniosłam wzrok i spojrzałam na lewitujące przed nami postaci.

– Kim jesteście?

– Możesz nas nazywać komitetem – odparł głos.

– Nie odpowiedzieliście na moje pytanie.

Sama siebie zaskoczyłam swoją zuchwałością. Nie miałam jednak w sumie nic do stracenia. Jakikolwiek był powód sprowadzenia mnie tu, to oni kontrolowali bieg wydarzeń. A skoro powiedzieli, że mogę zadawać pytania, mogę równie dobrze to robić i domagać się odpowiedzi.

– Zapytałam, kim jesteście, a nie jak mogę was nazywać.

Jeśli ich śmiech można w ogóle jakkolwiek opisać, byłby to opis ciepła. Ciepło i światło płynące moimi żyłami, tańczące w kończynach. Nigdy wcześniej nie czułam nic, co byłoby chociaż odrobinę podobne.

– Jesteś odważna, Miki Jones – powiedział głos. – I zuchwała. Jesteśmy wszystkim i niczym. Jesteśmy zbiorową świadomością tych, którzy byli przed nami. Jesteśmy sędziami, negocjatorami i strażnikami. Wiemy, co było, i kształtujemy to, co będzie. Jesteśmy przewodnikami. Czekaliśmy na ciebie, chociaż w normalnych okolicznościach nie wybralibyśmy cię.

Ich słowa przypomniały mi stwierdzenie Jacksona, że komitet odpowiada w sposób przefilozofowany. Zdecydowanie nie przesadzał. Chwilę mi zajęło zrozumienie ich słów.

– Mówicie, że jesteście zbiorową świadomością tych, którzy byli przed wami – powiedziałam, gdy uznałam, że wystarczająco zrozumiałam już ich słowa. – Macie na myśli tych obcych, którzy uciekli przed Drau ze swojej macierzystej plane-

ty? Tych, którzy przybyli na Ziemię?

Moich przodków.

– Tak.

Ciekawe, czy Jackson przejął swój zwyczaj odpowiadania monosylabami właśnie od nich?

– A poprzez zbiorową świadomość rozumiecie myśli i wspomnienia? – ciągnęłam. – Że tak naprawdę to was tu fizycznie nie ma, że jesteście... czymś w rodzaju banku pamięci?

– Intuicja cię nie zawodzi, Miki Jones – odparł głos. – Przyniesie ci to wiele korzyści. I owszem, masz rację. Przestaliśmy istnieć jako byty fizyczne całe stulecia temu. Jesteśmy pamięcią i inteligencją tych, którzy byli przed nami, przechowywanymi przy wykorzystaniu sztucznych środków. Trwamy, by chronić nasz nowy dom przed Drau. Ty i tobie podobni jesteście naszymi następcami.

Rzuciłam okiem na Jacksona. Stał sztywno wyprostowany z mocno zaciśniętymi zębami. Był całkowicie spokojny, zbyt spokojny – niczym powietrze przed gwałtowną burzą. Coś było nie tak. Zachowywał się, jakby nie chciał tu być, ale ja nie dostrzegałam jak dotąd żadnego zagrożenia.

Nagle coś zmieniło się w wyrazie jego twarzy i w mowie jego ciała – jakby podjął jakąś decyzję. Chwilę potem podniósł wolną rękę i przesunął swoje okulary wysoko na czoło, tak jak to zrobił na trybunach szkolnego boiska, i spojrzał na trzy postacie unoszące się w powietrzu przed nami. Następnie puścił moją dłoń, oparł obie ręce na moich ramionach i obrócił mnie twarzą do siebie.

– Chwila przerwy – powiedział.

Chociaż patrzył na mnie, wiedziałam, że słowa były skierowane do komitetu.

Spojrzał mi w oczy i przez chwilę poczułam się, jakbyśmy byli w tym ogromnym, dziwnym miejscu zupełnie sami. Szarość jego tęczywek wirowała tak jak wcześniej, ale tym razem była zimna niczym skute lodem jezioro. Z jakiegoś powodu odgradzał się ode mnie. Traciłam go, zanim go na dobre zdobyłam, i nie rozumiałam – dlaczego.

– Jackson – wyszeptałam zdezorientowana i przestraszona. – Co...

Słowa zamarły mi w gardle – nie wiedziałam, o co zapytać. Nie miałam pojęcia, co się z nim dzieje.

Każdym nerwem czułam jednak, że za chwilę wszystko bezpowrotnie się zmieni.

Trzymając cały czas ręce na moich ramionach, nachylił się, przysuwając usta do mojego ucha.

– Miki – wyszeptał tak cicho, że ledwo go dosłyszałam.

Przyciągnął mnie do siebie mocno i objął, kojąc swoim ciepłem i siłą.

– Muszę ci coś powiedzieć. Wysłuchaj mnie, Miki, i błagam cię, uwierz we wszystko, co zaraz powiem – podjął cichym, napiętym głosem, szybko wypowiadając kolejne słowa. – Gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy... Gdy ujrzałem twoje oczy... Zrozumiałem. Nie jesteś taka jak Luka czy Tyrone, jesteś taka jak ja. Gdy cię zobaczyłem, gdy to dostrzegłem, poczułem nadzieję. Pierwszy raz od wielu, wielu lat.

Część mnie chciała mu przerwać i zasypać go gradem pytań. Wygrała jednak inna część – ta, która chciała wysłuchać go do końca.

– Ta nadzieja... Musiałem cię odnaleźć. A kiedy w końcu mi się to udało, podjąłem pewne decyzje, bazując na tym, co wiedziałem wtedy, a nie na tym, co wiem teraz. Co *czuję* teraz. Chcę, żebyś to wiedziała. I chcę, żebyś mi uwierzyła, że żałuję tego. Chociaż wiem, że nigdy mi nie wybaczysz.

Komitet milczał cały czas, a ja nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

Patrzyłam na niego, nie rozumiejąc. Patrzyłam, jak odsuwa mnie od siebie na wyciągnięcie ramion.

– Przyrzeknij mi, że będziesz o tym pamiętać – powiedział, patrząc mi głęboko w oczy.

– Przerażasz mnie – wyszeptałam.

– Wiem.

Nie miałam wątpliwości, że o cokolwiek mu chodziło, nie skończy się to kwiecistą łąką i tańczącymi jednorożcami. Tym razem nie powiedział mi, że bym się nie bała.

– Przyrzeknij mi – powtórzył.

Nie mogłam wydobyć z siebie ani słowa, więc tylko kiwnęłam głową.

– Teraz zadaj im swoje pytania – powiedział, puszczając mnie i odsuwając się na kilka kroków.

Spojrzałam na trzy postacie. Czekały cierpliwie, w całkowitej ciszy, aż skończymy rozmawiać.

Każdej nocy potrafiłam godzinami leżeć, nie zmrużywszy oka, obracając w głowie setki pytań. Więc chociaż zupełnie nie spodziewałam się czegoś takiego, byłam na to jak najbardziej gotowa – pytań do zadania miałam aż nadto.

– Mogę zapytać o cokolwiek? A wy mi odpowiecie? – zapytałam, spoglądając kątem oka na Jacksona, który cały czas stał sztywno.

– Odpowiemy tak dobrze, jak tylko zdołamy.

Czy powinnam zachować jakąś kolejność pytań? Nie, to chyba nie ma znaczenia. Lepiej jest po prostu zadawać każde pytanie, które akurat sobie przypomnę. Później jakoś to sobie poukładam w głowie.

– Chcę zobaczyć, jak wyglądacie – zaczęłam. – Czy możecie pokazać mi wasze twarze?

Pojawiło się światło, coraz jaśniejsze, niczym wschodzące słońce. Padało kolejno na ich nogi, tułowia, twarze. Nabrałam gwałtownie powietrza. Postać stojąca po prawej stronie była kobietą o ciemnych włosach i ciemnej karnacji. Jej ciało było okryte białą tuniką, a na szyi wisiał ciężki, złoty naszyjnik. Nieludzkie były tylko oczy – lśniły, jakby były podświetlone od tyłu. Nie byłam w stanie określić ich koloru – nie był to ani niebieski, ani szary, ani piwny, ani zielony, lecz dziwna mieszanka wszystkich tych kolorów i jednocześnie żaden z nich.

Stojący w środku mężczyzna miał przyprószone siwizną blond włosy i gęstą, zmierzwioną brodę. Bardzo muskularne ramiona oraz szerokie barki i klatkę pier-

siową skrywały pozszywane razem futra. Miałam wrażenie, że za chwilę w jego ręce pojawi się olbrzymi młot, a on sam zakrzyknie, że jest bogiem Thorem. Jego oczy również miały dziwny, nieokreślony kolor i jaśniały wewnętrznym światłem.

Po lewej stronie stała chuda, zgarbiona postać ubrana w długą, ciemną szatę z kapturem skrywającym całą głowę i twarz. Nie byłam w stanie określić płci tej... osoby.

Spojrzałam na Jacksona – również wpatrywał się w komitet z nieodgadniwym wyrazem twarzy.

– Co widzisz? – zapytałam.

Nie wiedziałam, dlaczego właściwie go o to zapytałam. Chyba dlatego, że miałam wrażenie, jakby widziane przeze mnie postacie nie były prawdziwe. Ich wygląd, poza oczami, był zbyt ludzki, zbyt stereotypowy – jak w jakimś filmie.

– Widzę trzy kobiety – odparł Jackson. – Pierwsza trzyma wrzeciono, druga miarkę, a trzecia – nożyce.

– Co...

Wróciłam wzrokiem do postaci przede mną, ale światło oświetlające je już znikło i wróciły do swojego pierwotnego, cienistego wyglądu.

– Widziałeś trzy prządki – raczej stwierdziłam, niż zapytałam.

– Bo pan Shomper mówił o nich na angielskim – odparł, wzruszając ramionami. – Poprzednim razem widziałam trzy postacie z gry, w którą wtedy zawzięcie grałem. A ty kogo widziałeś?

– Kleopatrze, Thora i mnicha.

Spojrzałam na komitet ze złością i frustracją.

– Dlaczego skłamaliście, że pokażecie mi swoje twarze? – zapytałam ostro. – Dlaczego po prostu nie odmówiliście? Jak mam teraz wierzyć w jakiekolwiek odpowiedzi, których mi udzielicie?

– Widziałeś to, co spodziewałaś się zobaczyć – odpowiedział głos. – Wyjaśniliśmy ci już, że jesteśmy zbiorową świadomością tych, którzy byli przed

nami. Nie mamy już własnych postaci.

– Jak wyglądaliście, gdy jeszcze byliście żywi?

– Wyglądaliśmy tak jak ty.

– Jak ja? Wszyscy byliście nastoletnimi dziewczynami o lekko skośnych oczach i ciemnych włosach?

Dobrze wiedziałam, że chodziło im o co innego, ale nie mogłam się powstrzymać od sarkazmu. Chwilę potem pożałowałam swoich słów. Miałam nadzieję, że ich nie uraziłam.

– Jak ty, jak on, jak ludzie.

To by wyjaśniało, dlaczego te rozmyte postacie przed nami i wszystkie stojące w nieskończonych rzędach na „stadionie” wydają się ludzkie, chociaż nie można było dostrzec żadnych szczegółów.

– Dlaczego nastolatki? – zadałam kolejne pytanie. – Dlaczego wybieracie do walki zupełnie niewykszoloną młodzież? Żebyśmy wszyscy zginęli? Dlaczego nie bierzecie dorosłych? I dlaczego w ogóle ludzi? Dlaczego nie... – Machnęłam ręką, niepewna, jakiego słowa użyć. – Dlaczego nie czełgokolwiek, czym jesteście?

– Wy jesteście tym, czym my byliśmy. Jesteście naszymi następcami i naszą jedyną nadzieją. Nie ma nikogo innego. Byliśmy ostatnimi przedstawicielami naszego gatunku. A wy jesteście tym, co udało nam się ocalić. Naszą nadzieją na przyszłość.

„Nie ma nikogo innego”. Zmroziło mnie na te słowa – czyli wszyscy inni, cała rasa, cały gatunek, zginęli z rąk Drau. Otworzyłam usta, ale po chwili ponownie je zamknęłam. Nie było słów, które byłyby teraz właściwe.

– Nastolatki idealnie nadają się do naszych celów – podjął komitet.

Ich głos był pozbawiony jakiegokolwiek wyrazu i wyprany z emocji. Jakby byli nieświadomi wagi tego, co właśnie oświadczyli. Albo może wcale nie byli nieświadomi, może po prostu pogodzili się z tym, ponieważ nie mogli zmienić przeszłości. Nagle coś mnie tknęło.

– Chwila, czegoś nie rozumiem – powiedziałam lekko drżącym głosem. – Potraficie przeciągać nas w przód i w tył przez czas, czyli macie to dość dobrze opanowane. Dlaczego więc po prostu nie skoczycie dalej w tył i nie powstrzymacie Drau, zanim ci dotarli na waszą planetę?

– Wy jesteście tutaj. Wy istniejecie. My już nie istniejemy. Nas już nie ma.

Staralam się jakoś to ogarnąć, zrozumieć, dlaczego potrafili cofnąć się siedem miesięcy i zabić Richelle, zanim naprawdę zginęła w walce z obcymi, albo – jeśli spojrzeć na to z drugiej strony – potrafili sprawić, aby mogła żyć i walczyć przez siedem miesięcy po swojej śmierci, ale nie byli w stanie cofnąć się bardziej w czasie i uchronić swojej planety przed inwazją Drau. Potrząsnęłam głową i zamrugałam intensywnie. Głowa mnie rozbolała od prób zrozumienia tego wszystkiego. Cała ta sprawa nie miała najmniejszego sensu! Ale może właśnie w tym tkwiło sedno? Może ta cała sprawa z wyciąganiem nas i rzucaniem przez czas i przestrzeń była na tyle złożona, że nawet oni nie byli w stanie przezwyciężyć pewnych ograniczeń? Albo może próbowałam dojrzeć drugie dno, którego w ogóle nie było... Może powinnam potraktować ich odpowiedź dosłownie. Oni już nie istnieją, zwyczajnie ich już nie ma. I dlatego nie mogą wrócić.

– Dobra – powiedziałam, unosząc przed siebie rozpostartą dłoń.

Rzuciłam kolejne spojrzenie na Jacksona. Zastanawiałam się, czy on też kiedyś zadawał te wszystkie pytania? I jeśli tak, czy rozumiał odpowiedzi lepiej ode mnie? Stał cały czas nieruchomo, nawet powieka mu nie drgnęła. Wzrok miał sztywno wbity w komitet. Dlaczego tak usilnie nie patrzył w moją stronę?

Przełknęłam ślinę i wróciłam do mojego pierwotnego pytania.

– Dlaczego nastolatki?

– Dzieci są za małe i za słabe – padła odpowiedź. – Dorośli z kolei mają już w pełni wykształcone połączenia nerwowe w mózgu. To, co nazywacie „wyciąganiem”, byłoby dla nich dużo trudniejsze. Nastolatki za to mają już pewne cenne cechy dorosłych, ale nie wszystkie połączenia nerwowe w ich mózgach są jeszcze trwale wykształcone. Okres dorastania to czas szybkiego rozwoju i ogromnych przemian w ludzkim mózgu. Kora przedczołowa w pełni dojrzewa dopiero w połowie trzeciej dekady ludzkiego życia.

– Chcecie powiedzieć, że mózg nastolatka jest lepszy od mózgu osoby dorosłej? A to dopiero.

– Na potrzeby stojącego przed nami zadania tak jest w istocie – ciągnął głos.
– Reakcja osób dorosłych na konkretne bodźce jest z reguły bardziej przemyślana i wyuczona. Nastolatki działają bardziej instynktownie, co w tym przypadku jest niebywałą zaletą.

Odwróciłam się twarzą do Jacksona. Tym razem patrzył na mnie ze spiętą i nerwową miną.

– Na ostatniej misji powiedziałeś mi – zwróciłam się do niego – żebym zamknęła oczy tuż przed tym, jak rozbłysło to oślepiające światło. Ale gdy to mówiłeś, ja już sama wiedziałam, co trzeba zrobić. Potem powiedziałeś, żebym padła, kiedy ja już byłam w połowie drogi do ziemi. Mam te same instynktowne zachowania co ty.

Kiwnął głową z niewesołą miną. Dlaczego go to nie cieszyło?

– A Luka i Tyrone? Oni nie mają takiego instynktu?

Pytałam Jacksona, nie komitetu, gdyż z jakiegoś powodu byłam przekonana, że usłyszenie odpowiedzi właśnie od niego jest bardzo ważne.

– Nie – odparł cicho.

Jego odpowiedź miała ogromne znaczenie. Do tego miejsca doszłam sama, ale nie wykombinowałam jeszcze, dlaczego tak jest.

– Jackson...

Miałam ochotę obiecać mu, że cokolwiek zrobił, ja mu wybaczę. Nie mogłam jednak zebrać się w sobie, żeby to powiedzieć na głos. Ostatnią osobą, której przyrzekłam przebaczenie, była mama. Skłamałam – do dziś jej nie wybaczyłam. Była to jedna z rzeczy, do których doszłam, odkąd wyciągnęło mnie po raz pierwszy. Wciąż byłam na nią zła – za to, że umarła i mnie zostawiła. Dotąd jej tego nie wybaczyłam, co sprawiało, że ostatnie słowa, jakie jej powiedziałam, były kłamstwem. Nie chciałam skłamać również Jacksonowi.

Spojrzał na mnie z zaciśniętymi ustami. Jego oczy wirowały niczym jeziora

rtęci.

– Zadawaj swoje pytania – polecił. – Możesz już nigdy więcej nie mieć takiej szansy. Komitet nie zawsze jest tak skłonny udzielać odpowiedzi.

Obróciłam się z powrotem do naszych gospodarzy. Milczeli, cierpliwie oczekując. Pozostałości naszych nieżyjących od dawna przodków, przechowywane w jakiejś... bazie danych. Chociaż przemawiali jednym głosem, nie był to głos tylko jednego z nich. Rozmawiałam z połączeniem wszystkich myśli i idei zlanych w jedno naczynie i wymieszanych ze sobą.

– Dlaczego gra? – zapytałam. – Dlaczego tak niebezpieczna gra?

Trzymane cały czas na uwięzi emocje zaczynały się wrywać i przebijać do moich myśli. Czułam wzbierający gniew, zalewający mnie na przemian falami zimna i gorąca.

– My tam giniemy – powiedziałam, podnosząc głos. – Nie zawsze wszyscy wracają z misji. I o co chodzi z tymi całymimi punktami i wynikami? To jest jakaś kpina, ponury żart. Tylko umniejsza stratę czyjegoś życia.

Umniejszyło znaczenie śmierci Richelle. I wszystkich innych, którzy przed nią oddali życie za Ziemię.

– Nie było naszym zamiarem okazanie braku szacunku – odpowiedział głos. – Potrzebowaliśmy czegoś przystępnego, co osoby w waszym wieku łatwo by zrozumiały. Przedstawiliśmy bitwę jako grę komputerową, aby ci, których wyciągamy z normalnego życia, szybciej się przystosowali i zrozumieli warunki i oczekiwania względem nich.

– Ale nie zapewniliście nam żadnego szkolenia – niemal krzyknęłam. – Nijak nie pomogliście nam się do tego przygotować. Tylko nas tam rzucacie, żebyśmy wszyscy zginęli!

– Nie po to, żebyście zginęli, lecz po to, abyście walczyli. Im dłużej gracie w tę grę, tym lepiej dajecie sobie w niej radę. A wszyscy urodziliście się z wiedzą o tym, jak należy walczyć z Drau. To część naszego dziedzictwa, które w was żyje. Pozostaje tylko nauczyć się korzystać z tych informacji.

Ich słowa miały pewien sens. Pomyślałam o Richelle – wesołej czirliderce, która po prostu wymiatała, zdobywając zawsze najwięcej punktów. Pomyślałam o sobie, jak sobie radziłam, chociaż ciężko było o jakiegokolwiek wyjaśnienia. Nie mogłam jednak powiedzieć, żeby mnie całkowicie przekonali.

– Ale to nie zmienia faktu, że moglibyście nas najpierw wyszkolić – zauważyłam. – Wyjaśnić, o co w tym wszystkim chodzi. Wprowadzić jakiś porządek, strukturę.

– Ponieważ ludzie by tak zrobili? – odpowiedział pytaniem komitet. – Czy to sprawia, że jest to jedyny właściwy sposób? Najlepszy?

Nie wiedziałam, co im na to odpowiedzieć. Wydawało się to oczywiste – nowych rekrutów się szkoli, tłumaczy, wyjaśnia...

Przypomniałam sobie jednak, że Jackson i pozostali właśnie to próbowali zrobić, gdy wyciągnęło mnie po raz pierwszy. Próbowali mi wszystko wytłumaczyć, ale ja im nie wierzyłam. Musiałam najpierw wszystko zobaczyć na własne oczy.

– Nie mamy czasu, żeby każdemu kolejnemu człowiekowi wciąganemu do gry wszystko tłumaczyć i przekonywać go, że to nie jest zły sen ani ponury żart – powiedział głos, jakby odgadując moje myśli. – Lepiej jest pokazać. Drau wysłali na Ziemię oddziały zwiadowcze. To właśnie je spotykacie w tym, co nazywacie grą. Mamy co najwyżej kilka bardzo krótkich ziemskich lat, zanim pojawi się ich główna flota, aby ogołocić tę planetę ze wszystkich przydatnych zasobów i unicestwić jej mieszkańców.

– Wszystkich ludzi? – zapytałam oszołomiona.

– Wszyscy ludzie zostaną wymordowani albo zabrani jako pożywienie. Ten sam los spotka też pozostałe żywe organizmy na Ziemi.

Oddech zamarł mi w płucach.

– Patrzą na nas jak... na bydło? – ledwo wykrztusiłam.

– Macie ciała: mięśnie i kości. Dla nich nie ma żadnej różnicy między ludźmi a dowolnym ziemskim zwierzęciem. Jesteście pożywieniem, tak jak my

byliśmy.

Pokręciłam głową, poważnie rozważając przejście na wegetarianizm.

– Powiedzieliście, że pozostało co najwyżej kilka ziemskich lat. Sądziecie, że czasu jest jeszcze mniej?

– Tak – odpowiedział komitet. – Dlatego właśnie szkolenie przebiega od razu na polu walki. Wysyłamy tych, którzy dysponują szczególnymi umiejętnościami, aby wspomagali nowe nabytki. Tu uzyskałaś taką pomoc, a teraz nadszedł czas, żebyś wykorzystała swoje umiejętności do pomocy innym.

Roztarłam dłońmi skronie, próbując zebrać myśli.

– Szczególne umiejętności... Macie na myśli dowódców? Takich jak Jackson?

– Między innymi.

Inni dowódcy musieli być w pozostałych częściach poczekalni – tych, których nie widzieli Luka i Tyrone.

Nic bardziej skomplikowanego nie zdołali wymyślić?

Chociaż, jak się nad tym zastanowić...

W naszej „grze”, jak każdej grze wojennej, obowiązywała pewna hierarchia. Byli dowódcy, którzy z oczywistych powodów mieli dostęp do największej ilości informacji. Byli też żołnierze, którzy wykonywali rozkazy. Dowódcy tłumaczyli im tylko to, co musieli wiedzieć, żeby wykonać swoje zadanie. I był komitet, czyli pewnego rodzaju naczelny sztab skupiający najwyższych rangą dowódców o największym doświadczeniu. Tylko oni znali odpowiedzi na wszystkie pytania. Czyli wypisz wymaluj struktura dowolnej ludzkiej armii.

Rzuciłam okiem na Jacksona. Obserwował mnie z kamienną twarzą, co tylko spotęgowało mój strach. Przekazywali mi informacje, które nie były przeznaczone dla zwykłych żołnierzy. Cały czas tak bardzo chciałam poznać odpowiedzi na wszystkie nurtujące mnie pytania, a teraz, kiedy w końcu je otrzymałam, miałam nieodparte wrażenie, że słono za to zapłacę.

Korciło mnie, żeby zapytać wprost, jaka jest cena tej wiedzy. Ugryzłam się jednak w język na wypadek, gdybym się myliła.

– Ale dlaczego gra komputerowa? To znaczy, co robiliście trzydzieści lat temu? Wysyłaliście żołnierzy, żeby pograli w ponga?

Komitet długo milczał. Tak długo, że zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie przekroczyłam pewnej granicy i nie obraziłam ich swoją impertynencją.

– Zaczekaj jeszcze chwilę, Miki Jones – powiedział w końcu głos. – Próbuje-
my wyszukać odpowiedź.

Cisza trwała jeszcze parę chwil.

– Ach, tak, pong – odezwał się ponownie komitet. – Teraz rozumiemy twoje pytanie. Trzydzieści lat temu na Ziemi nie było jeszcze Drau. Pierwsze drony zwiastowcze dotarły na tę planetę osiem ziemskich lat temu. Minie najwyżej pięć kolejnych lat, zanim przybędą główne siły inwazyjne. Nie minie dziesięć lat, a Ziemia zostanie doszczętnie zniszczona.

– Tak szybko? – wykrzyknęłam z przerażeniem. – Jak oni to robią? Co się stanie, gdy przybędą na Ziemię?

– Będą niszczyć.

Krótką, zwięzłą odpowiedź. Wstrząsnęły mną silne dreszcze. Wczoraj wieczorem widziałam w telewizji zwiastun nowej gry komputerowej. Zaczynał się od scenki z dziećmi bawiącymi się na placu zabaw. Nagle jakiś cień przesłonił słońce i dzieci jedno po drugim przerywały zabawę i spoglądały zdziwione w górę. Zdziwienie na ich twarzach stopniowo ustępowało przerażeniu, a potem były już tylko płomienie, krzyki, płacz i zniszczenie. Statki obcych siejące spustoszenie we wszystkich zakątkach planety. Wszystko płonie, wszędzie giną ludzie. Potrząsnęłam głową, usiłując wyprzeć tę wizję z głowy. Musiałam skoncentrować się na terażniejszości. Ale obraz nie chciał odejść, wciąż tkwił w moim umyśle, wił się i zmieniał. Świat płonął, ale teraz to nie był mój świat. To był świat moich przodków! Komitet pokazywał mi, jak wyglądała inwazja Drau. Pokazywali mi zniszczenie ich świata, wypełniając moje myśli straszliwymi obrazami.

Było to bardziej przerażające niż cokolwiek, co mogłabym sobie wyobrazić.

Z trudem łąpałam oddech. Przycisnęłam zwinięte w pięści dłonie do czoła, starając się wyprzeć z myśli te obrazy, usiłując uciszyć krzyki ginących milionów. Czułam na skórze gorąc płomieni. Serce mi zamarło, gdy przed oczami stanęła kolejna wizja – moich przodków zaganianych do zagród. Wyglądali jak ludzie, duzi i mali, chudzi i grubi. Ich krzyki strachu i bólu były takie same jak krzyki ludzkie. Zabili ich wszystkich. Zamordowali i poćwiartowali na porcje. Całym moim ciałem wstrząsnęły niesamowicie silne dreszcze. Chciałam krzyczeć, ale powietrze było zbyt gorące i wypełnione dławiącym pyłem. Zachwiałam się i prawie upadłam, lecz w ostatniej chwili Jackson chwycił mnie za łokieć i pomógł ustać. Gdy tylko poczułam jego dotyk, ból i panika zelżały. Nie odeszły całkowicie, ale złagodniały na tyle, że mogłam normalnie zaczerpnąć powietrza.

– Dostyc.

To jedno słowo przecięło powietrze, moje myśli i krzyki niczym ostrze miecza. Rozkazujący głos Jacksona.

Komitet posłuchał.

Obrazy, hałas, strach... Wszystko nagle zniknęło, jakby ktoś wyciągnął wtyczkę z gniazdka i w ten sposób wyłączył projektor.

Oszołomiona nagłą pustką w głowie stałam na rozstawionych szeroko nogach. Serce biło mi jak oszalałe, jakby zaraz miało się wyrwać z piersi.

– Powiedzieliście... – wykrztusiłam. – Powiedzieliście, że Ziemia zostanie doszczętnie zniszczona. Cała planeta? Tak po prostu? Tak jak stało się to z waszą planetą?

– Cała planeta – przytaknął głos. – Tak po prostu.

Musiałam wydać jakiś dziwny dźwięk, a może zachwiałam się na nogach, ponieważ Jackson nagle doskoczył do mnie, objął w talii i podtrzymał w pionie. Nie spojrzałam na niego, nie mogłam się na to zdobyć. Musiałam zapanować nad tym, nie dopuścić do głosu moich emocji. Powinnam była odtrącić jego rękę i stanąć o własnych siłach, ale nie znalazłam ich w sobie wystarczająco dużo. Wsparłam się więc na jego ramieniu i wróciłam do zadawania pytań. Jakby nigdy

nic, jakby wcale przed chwilą nie powiedzieli mi, że za kilka lat mój świat przestanie istnieć.

– Tysiąc punktów – zaczęłam. – To tylko plotka czy też może prawda? Jeśli któreś z nas zdobędzie tysiąc punktów, będzie mogło odejść w spokoju?

Czy ja sama chciałabym odejść, skończyć z tym? Czy też może z własnej, nieprzymuszonej woli zostałabym dalej walczyć?

– Nikt na tej planecie nie może żyć w spokoju, dopóki zagrożenie ze strony Drau nie zostanie zneutralizowane.

Oddychałam krótkimi, rwanymi oddechami, nie mogąc nabrać głęboko powietrza.

– Prawda czy tylko plotka? – zapytałam ponownie.

Nastąpiło coś, czego się nie spodziewałam. Komitet zawahał się. Zwykle odpowiadali natychmiast, teraz jednak ich odpowiedź nadeszła o ułamek sekundy później. Niby nic, ale wystarczająco dużo, żebym to zauważyła. Dostrzegłam jeszcze jedno – dłonie Jacksona zaciśnięte w pięści tak mocno, że aż zbieleły mu kostki.

– Prawda – padła odpowiedź. – Dla większości.

– Ale nie dla wszystkich?

Albo dla nikogo. Czy skłamali? Jeśli mówili prawdę, skąd to wahanie?

– Osoby dowodzące drużynami nie mogą opuścić gry. Jest ich zbyt mało i są zbyt ważne dla całokształtu.

Dowódcy drużyn. Jackson! Obróciłam głowę i wbiłam w niego wzrok. Pamiętałam doskonale, jak powiedział, że dla niego jest tylko jeden sposób, by się od tego uwolnić. Śmierć? Nie, tylko nie to! Nie zniosłabym, gdyby go zabrakło.

– Nie mogą opuścić gry po zdobyciu tysiąca punktów, ale... czy mogą kiedykolwiek odejść? – zapytałam. – Zawiesiłam głos, zastanawiając się nad kolejnym pytaniem. – Czy ktokolwiek zdołał kiedyś odejść? Czy ktokolwiek dał radę zdobyć tysiąc punktów?

– Dosyć – powiedział ponownie Jackson.

Tym razem jednak powiedział to zupełnie innym głosem. Jakby zrezygnowanym i przepełnionym ogromnym smutkiem. Puścił mnie, cofnął rękę i się odsunął. Wyczułam, że ponownie wyrosła między nami ściana wznoszona przez niego cegła po cegle. Tym razem jednak bariera pojawiła się w okamgnieniu, nie dając mi szansy na wybicie choćby najmniejszej dziury.

Uniósł wzrok na komitet.

– Odejdźcie – powiedział ponurym głosem.

Ku mojemu niebywałemu zaskoczeniu komitet zniknął. W jednej chwili otaczały nas setki, tysiące, miliony cienistych postaci, a w następnej byliśmy całkowicie sami w olbrzymiej misie tego dziwnego Koloseum. Powietrze trwało w całkowitym bezruchu, a panujący półmrok tylko potęgował uczucie nierzeczywistości. Cienie na twarzy Jacksona wyostrzyły jego rysy.

– Muszę to zrobić, chociaż raz – powiedział łagodnym głosem, patrząc mi głęboko w oczy. – Chociaż ten jeden raz.

– Co zrobić? – zapytałam.

W jego oczach było coś nowego. Coś, co sprawiło, że głos zamarł mi w gardle.

Rozdział dwudziesty trzeci

Dzielił nas zaledwie krok. Chwilę potem Jackson znalazł się tuż przy mnie – tak blisko, że wyraźnie czułam lekki zapach jego cytrusowej pianki do golenia. Tak blisko, że musiałam odchylić głowę do tyłu, aby spojrzeć mu w oczy.

Stałam bez ruchu, z sercem tłukącym się w piersi w szaleńczym tempie. Jackson sięgnął ręką za moją głowę i zaczął zsuwać gumkę z moich włosów. Robił to bardzo powoli, dając mi aż nadto możliwości, aby go powstrzymać. Aby odtrącić jego rękę i się odsunąć. Lecz ja wciąż trwałam w bezruchu. Uwolnione od gumki włosy opadły mi łagodnie na ramiona. Jackson przesunął palcami między kosmykami od skóry głowy aż po same końce. Potem opuścił głowę, przesuwał nosem po mojej szyi, od ramienia po koniuszek ucha, przyprawiając mnie niemal o palpitacje serca.

– Pachniesz truskawkami – wyszeptał mi wprost do ucha.

– Szampon – odpowiedziałam szeptem, ledwo znajdując w płucach dość powietrza nawet na to jedno słowo.

Wypełniał wszystkie moje zmysły. Jego umięśniona klatka piersiowa napierająca na moją, jego usta na mojej skórze, uderzenia jego serca zgrane z moim w doskonałym rytmie.

Oddychałam nierówno i kręciło mi się w głowie. Nie upadłam tylko dlatego, że jego silne ramię podtrzymywało moje plecy, przyciągając i utrzymując cały ciężar, z którym nie poradziłyby sobie z pewnością odmawiające posłuszeństwa nogi.

Jego wargi wędrowały od skroni po policzku na moje usta.

W głębi mnie wybuchł szaleńczymi płomieniami ogień pożądania. Rozchyliłam wargi, wspięłam się na palce, objęłam ramionami jego szyję i odwzajemniłam pocałunek, przyciskając mocno swoje usta do jego, chcąc podzielić się ogniem trawiącym moją duszę. Jego oddech był moim oddechem, a w moich żyłach krążył roztopiony metal.

Całował mnie, jak spragniony wędrowiec pije wodę, jak tonący chwytą powietrze, jak spadający w otchłań łapie rzuconą mu linę. Był jednocześnie delikatny

i gwałtowny, dawał i brał. W tej jednej chwili istniał dla mnie tylko jego pocałunek – był wszystkim, czego pragnęłam.

Ale w końcu nadszedł koniec, Jackson zaczął się cofać. Wspięłam się jeszcze wyżej na palce, przyciskając wargi do jego ust, chcąc, aby nasz pocałunek trwał wiecznie. Ale nie zdołałam go zatrzymać i ostatecznie nasze twarze odsunęły się od siebie. Pozostawił mnie roztrzęsioną i rozbitą. Nigdy dotąd nikt mnie tak nie całował. Nawet nie wyobrażałam sobie, że taki pocałunek może w ogóle istnieć.

Oboje z trudem łapaliśmy oddech. Oszołomiona wpatrywałam się w jego twarz, w jego ciemne, rozszerzone źrenice okolone cienkim tylko paskiem opalizującej szarości.

– Co to było? – wyszeptałam.

Bez jego ciała przy moim zrobiło mi się zimno, a do tego czułam się oszukana z powodu jego nagłego wycofania się.

– Moja jedyna szansa – powiedział nawet bez cienia swojego zwyczajowego uśmiechu.

– Szansa? Na co?

– Na pocałowanie cię – odparł. – Na przeżycie chwili, na którą czekałem, odkąd tylko cię ujrzałem.

Jego słowa wstrząsnęły mną dogłębnie. Pragnął mnie pocałować cały ten czas? Tak po prostu?

– Dlaczego nie zrobiłeś tego wcześniej? – zapytałam.

Na pewno nie z braku okazji. Tyle razy wydawało mi się, że już zaraz mnie pocałuje. Tyle razy pragnęłam, żeby to zrobił. Ale zawsze zawodził moje nadzieje i się wycofywał.

– Nie chciałem sprawić ci bólu – powiedział.

Roześmiałam się lekko.

– Wierz mi, to nie bolało.

Przezesłał palcami swoje włosy w zupełnie niepasującym do niego geście zakłopotania.

– Ale zaboli cię to, co za chwilę powiem. Chcę jednak, żebyś wiedziała, Miki, że naprawdę tego żałuję. – Wziął głęboki oddech i odwrócił się do mnie plecami. – Jesteś tutaj przeze mnie – powiedział bezbarwnym głosem.

Wpatrywał się gdzieś przed siebie, tak bliski, a jednak bardzo odległy. Brak jego dotyku i to, że nie patrzył na mnie, zabolalo, jakby mnie właśnie uderzył.

– Przez ciebie? – zapytałam z niepokojem, obejmując się własnymi ramionami i wciąż czując ciepło jego ust na moich. – Nie rozumiem.

– Pierwszy raz wyciągnęło mnie, gdy miałem dwanaście lat.

Obrócił się do mnie z zimną, niewzruszoną miną. A raczej maską, gdyż w jego oczach widziałam ból i cierpienie.

Wtem myśli zalały mi obrazy jasnych świateł, chyba reflektorów ciężarówki, oraz przeraźliwy dźwięk metalu trącego o metal. Poczułam zapach krwi, a chwilę potem również jej smak na języku.

Byłam ranna, połamana, tak jak w moim koszmarze o wypadku samochodowym z Lizzie – unieruchomiona strzępami metalu.

Umierałam.

Ogromny ból palący całe ciało, przebijający serce na wskroś.

Ale nie mój, Jacksona. Czułam jego ból.

Otrząsnęłam się i obrazy, zapach, smak i ból zniknęły równie nagle, jak się pojawiły.

– Ten koszmar, który śniłaś – powiedział Jackson – był mój.

Zmarszczyłam brwi, ale gdzieś w głębi siebie wiedziałam, co ma na myśli. Bardziej od jego słów zdziwiło mnie to, że je doskonale rozumiałam, że gdzieś podświadomie cały czas zdawałam sobie z tego sprawę.

– Widziałam więc we śnie twój koszmar? Tej nocy śniłam twoje sny?

Wysłałeś go celowo?

Pokręcił głową i ponownie odwrócił się do mnie plecami. Chciałam, aby spojrzał na mnie, żeby zniknął dzielący nas dystans, by znów mnie objął.

– Myślałem o tobie przed zaśnięciem – wyjaśnił. – Musiałś pozostać w moich myślach i niechcący przesłałem ci swoje sny.

– Czy kiedyś zdarzyło ci się już coś takiego?

Pokręcił głową.

– Nie, a przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Ty jesteś pierwsza.

– A teraz, przed chwilą, przesłałeś mi ponownie wspomnienie swojego wypadku.

Nie odpowiedział, nie musiał. Wiedziałałam, że potrafi robić takie rzeczy, zanim go jeszcze ujrzałam. Przecież to on przemawiał w mojej głowie tamtego dnia pod szkołą. Zamknęłam na chwilę oczy i wzięłam głęboki oddech, próbując pozbiierać myśli.

– Twoje oczy są oczami Drau, a do tego masz ich zdolności... – zawiesiłam głos, szukając właściwych słów – ...telepatyczne. Tak zamierzałeś przesłuchać jednego z nich podczas misji w jaskiniach. To dlatego słyszałam cię w moich myślach.

– Tak.

– Gdy przemówiłeś do mnie po raz pierwszy, powiedziałeś: „Miki, teraz”. Chciałeś, żebym uratowała siostrę Janice.

Przechyliłam głowę na bok.

– Co byś zrobił, gdybym cię nie usłyszała? Gdybym nie pobiegła jej na ratunek?

Obejrzał się przez ramię i utkwił we mnie swoje spojrzenie.

– Ty byś ją uratował – powiedziałam z niezachwianą pewnością.

Z powrotem odwrócił wzrok, tak jakby nie chciał się do tego przyznać. Jakby chciał za wszelką cenę podtrzymać teorię, jakoby był jakimś potworem.

– Kim była ta dziewczyna z mojego... z twojego snu? Ta z zielonymi oczami? – zapytałam łagodnym głosem, ponieważ podejrzywałam, co odpowie.

– Lizzie była moją siostrą – odparł łamiącym się głosem.

Przypomniałam sobie wahanie Jacksona, gdy zapytałam go, czy jest jedynakiem; jego ostrożną odpowiedź na pytanie, czy potrafi robić to co Drau – wysysać życie z ludzi przez ich oczy; jak prowadził samochód – ostrożnie, przestrzegając absolutnie wszystkich przepisów, z rękoma podręcznikowo ułożonymi na kierownicy. Jak przebudziłam się z koszmaru, przekonana, że zabiłam Lizzie... To było uczucie Jacksona.

Uniosłam głowę i odkryłam, że odsunął się ode mnie jeszcze bardziej. Dzieło nas w tej chwili wiele kroków. Stał bez ruchu niczym posąg. Kruchy posąg. Miałam wrażenie, że jeśli podejść i go dotknę, rozpadnie się na tysiąc drobnych kawałków.

W pewnym sensie dostrzegałam to od samego początku. Cały czas miałam wrażenie, że Jackson wie sporo o bólu, że rozumiał moją stratę. Teraz, kiedy poznałam prawdę, żałowałam, że miałam rację. Nikt nie powinien nabywać tej wiedzy w taki sposób.

– Jackson... Przykro mi.

Z własnego doświadczenia doskonale wiedziałam, że tego rodzaju słowa nie pomagają w najmniejszym nawet stopniu. Ale wpojone nam wychowanie wymagało wypowiedzenia ich, gdy ktoś kogoś tracił.

Jackson oddalił się o kolejne kilka kroków. Dlaczego to robił? Zdecydowanie nie podobało mi się, że ciągle zwiększa dystans między nami. Sądził, że go znienawidzę, że odwrócę się od niego, ale nic, co do tej pory powiedział, nie skłaniało mnie do tego. On jednak ewidentnie uważał, że właśnie tak postąpię.

Przez myśli przelatywały mi obrazy i słowa, wspomnienia koszmaru i rzeczy, które przy różnych okazjach mówił Jackson; rzeczy, które mówiłam ja. Wszystko było początkowo wyrwane z kontekstu, ale stopniowo wyłaniał się z tego galimatiasu spójny obraz. Obraz, który wywołał we mnie głęboki niepokój. Nie, nie niepokój – przerażenie.

– Powłoki, które... wyeliminowaliśmy – powiedziałam. – Ja... To nie była tylko moja wyobraźnia, one były podobne do ciebie, prawda? Próbowałam się przekonać, że tylko mi się wydawało, ale to prawda. Te powłoki zostały sklonowane z DNA Lizzie.

– Tak.

Zamknęłam oczy, próbując zrozumieć, co musiał czuć, gdy odłączał systemy podtrzymujące „życie” od ciał wyglądających dokładnie tak jak jego nieżyjąca siostra.

– Ile razy musiałeś to robić?

– To była trzecia partia wykonana przy użyciu jej DNA. Trzecia, o której wiem.

Pokręciłam głową.

– Ale wypadek... Nie rozumiem. Jeśli zginęła w wypadku, w jaki sposób dostała się w szpony Drau?

Machnął gwałtownie ręką, po czym wyrzucił z siebie potok słów:

– Umierałem: przebity na wylot trzema kawałkami metalu, przytwierdzony do siedzenia, wykrwawiając się na śmierć. Miałem chyba też zmiażdżone nogi, bo zupełnie ich nie czułem. Lizzie też była poważnie ranna, może też umierała. Nie wiem i nigdy się tego nie dowiem. Ona wtedy brała już udział w grze, ja jeszcze nie. Powtarzała w kółko, że musi wytrzymać, aż ją wyciągną, i że przekona ich, żeby mnie też wyciągnęli. – Przerwał, aby wziąć głębszy oddech. – Sądziłem, że ma na myśli ratowników z karetki, ale ona mówiła o grze. Była przekonana, że gra uleczy nas oboje. Nie sądzę, aby przeszło jej przez myśl, co się stanie potem. – Potarł dłonią czoło, po czym kontynuował opowieść: – Ciągle traciłem i odzyskiwałem przytomność. W pewnym momencie wyciągnęło nas i uzdrowiło. Miałem dwanaście lat i kompletnie nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Umieścili nas w tej samej drużynie i Lizzie cały czas mnie pilnowała. – Wypuścił powietrze gwałtownie przez nos i potrząsnął głową. – To była moja pierwsza misja, robiłem więc niewyobrażalne głupoty. Byłem zbyt pewny siebie, szarżowałem... Byłem jeszcze wciąż głupim dzieciakiem. Wydawało mi się, że jestem niezwyciężony. Aż

w końcu mój kom stał się ciemnopomarańczowy. Do końca misji i wyciągnięcia nas było jeszcze bardzo daleko, nie było szans, żebym to przeżył. – Przełknął głośno ślinę, po czym zaczął mówić jeszcze szybciej niż dotąd. – Lizzie to wiedziała, wpadła więc na genialny plan. Spojrzała mi głęboko w oczy i powiedziała, żebym wziął tyle, ile potrzebuję. Żebym postąpił jak Drau i wyssał z niej część życia, wystarczająco dużo, żeby przeżyć. Żeby kolor mojego komu zmienił się na bezpieczniejszy. Powiedziała, że to jak podłączanie startera do akumulatora w samochodzie, że potrzebowałem tylko lekkiego kopa. – Głos mu się załamał, ale nie przerywał, wzbudzając we mnie głębokie współczucie. – Powiedziała, że jesteśmy drużyną, że żadne z nas nie wróci bez drugiego.

„Nie ma żadnych drużyn. Każdy dba o siebie”. Mantra Jacksona. Jedyne sposoby, w jakie jeszcze mógł funkcjonować. Przepływająca krew huczała mi w uszach. Wiedziałam, co za chwilę powie, i świadomość ta całkowicie mnie sparaliżowała. Wiele bym dała, żeby tego nie usłyszeć, żeby to nie było prawdą.

Gdyby życzenia były groszami, dawno byłabym milionerką.

– Zrobiłem to – powiedział, przerywając ciszę. – Miałem dwanaście lat, byłem przerażony, nie wiedziałem, co robię, ale wiedziałem, że nie chcę umrzeć. Powiedziała, że będę wiedział, kiedy przestać, mówiła to z taką pewnością. Uwierzyłem i zrobiłem to; spojrzałem jej w oczy i pomyślałem o tym, jak bardzo chcę żyć, o tym, że muszę wziąć to, czego potrzebuję. Nie potrafię wytłumaczyć, jakie to było uczucie. Zmieniłem się w wir, wyciągałem z niej życie niczym trąba powietrzna wysysa z jeziora wodę. Po mojej skórze skakały iskry, a nerwy buczały jak przeciążone przewody elektryczne. Cały się trząsałem od nagłego napływu energii. Kiedy odzyskałem świadomość otoczenia, mój kom był żółty, jej był cały czerwony, a wszędzie dokoła byli Drau. Dopadli nas niczym myśliwi zwierzynę. Chwilę później byłem już na nogach i to ja byłem myśliwym, a oni zwierzyną. – Jackson spojrzał na mnie z bólem wyraźnie wypisanym na twarzy. – Walczyliśmy jak lwy, ale straciliśmy jeszcze trójkę. Gdy było już po wszystkim, nie mogłem jej ze sobą zabrać. Próbowałem, trzymałem ją w objęciach, przepięłem moją uprzęż tak, aby obejmowała nas oboje, myśląc, że w ten sposób wyciągną nas oboje. Ale tak się nie stało; została tam, martwa, z czerwonym komem. Nie mogłem już nic zrobić. – Zacisnął szczękę i pokręcił powoli głową. – Zostawiłem moją siostrę, ale jakimś głupim przypadkiem zabrałem ze sobą jednego z Drau. Myślałem, że wszy-

scy już nie żyją. Nie powinni nas wyciągać, jeśli choć jeden jeszcze żył. Ale ten jakoś zdołał się z nami zabrać do prawdziwego świata. Zaciskałem ręce na jego szyi.

Rzuciłam wzrokiem na jego ramię i przypomniałam sobie bliźny. Za to też się nienawidził – obwinał się o sprowadzenie Drau do prawdziwego świata. Zastanawiałam się, co się z nim stało, gdy wyswobodził się z jego uścisku. Przecież Jackson był tylko dzieckiem, nie mógłby samodzielnie powstrzymać dorosłego Drau. Nie zapytałam jednak o to. Miałam wrażenie, że gdybym to zrobiła, gdybym powiedziała choć jedno słowo, zamilkłby i nie powiedział mi już nic więcej.

– Pozostawiłem ją tam – podjął po chwili – a Drau zabrali jej ciało, podłączyli je do swoich maszyn i utrzymywali przy „życiu” wystarczająco długo, aby pobrać materiał genetyczny do stworzenia całej armii powłok wyglądających tak jak ona. Już trzy razy musiałem znowu zabijać swoją siostrę.

Nie wytrzymałam – nogi załamały się pode mną i opadłam na kolana, wylewając strumienie łez. Wyciągnęłam do niego rękę, rozumiejąc jego ból, chcąc mu pomóc, uleczyć go.

– Jackson... – wyszeptałam.

Pokręcił głową i cofnął się jeszcze o krok.

– Nie, to jeszcze nie wszystko. Sądysz, że to było najgorsze? Otóż mylisz się, Miki. Nie tylko zabiłem swoją siostrę, ale też zrobiłem to tobie. Skazałem cię na to wszystko. To ja, właśnie ja cię znalazłem, ja ich przekonałem, żeby cię wzięli. A zrobiłem to tylko dlatego, że sądziłem, iż w ten sposób się wydostanę. Że w zamian za znalezienie ciebie i wciągnięcie do gry odzyskam wolność. Przekonałem ich, żeby cię wzięli, chociaż zwykle nie biorą jedynaków. – Roześmiał się nieprzyjemnie. – Głupie, nie? Sądzą, że jeśli rodzina straci dziecko, będzie im łatwiej to przyjąć, jeśli mają drugie, zapasowe – powiedział twardym, gardłowym głosem. – Zupełnie nie rozumieją ludzi.

Wpatrywałam się w niego, próbując zrozumieć to, co właśnie powiedział.

– Ale wzięli ciebie. Wzięli was oboje, Lizzie i ciebie.

Jackson patrzył na mnie przez dłuższą chwilę w milczeniu.

– Ja się zgłosiłem na ochotnika. Tak jakbym miał jakiś wybór: zgłosić się do gry albo zginąć w tym samochodzie.

Objęłam się ramionami roztrzęsiona, zszokowana. Moje emocje rzucały się ze skrajności w skrajność, nie mogąc nawet na chwilę ustać w miejscu. Od euforii towarzyszącej pocałunkowi Jacksona po łyzy bólu spływające po moich policzkach.

– Jestem więc w grze przez ciebie?

– Tak – powiedział, wykrzywiając swoje piękne usta. – Znienawidź mnie, Miki, zasłużyłem na to. Ostrzegałem cię, że moja motywacja nie była czysta.

Nabrałam gwałtownie powietrza i cała podskoczyłam, gdy obrócił się dookoła własnej osi i uderzył z całej siły pięścią w ścianę tego dziwnego stadionu. Potem zamarł i stał bez ruchu ze zwieszoną głową, ciężko dysząc, a z jego dłoni skapywały krople krwi.

– Gdybym mógł, cofnąłbym wszystko. Gdybym mógł, oddałbym za ciebie własne życie.

Nie patrzył na mnie, a ja nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Nie wiem, ile czasu minęło – minuta, może godzina?

– I wszystko nadaremnie – odezwał się w końcu. – Nigdy nie dadzą mi odejść. Nigdy nie dadzą odejść żadnemu z nas.

Chciałam wstać i podejść do niego. Chciałam uciec od niego, z tego miejsca, od tego koszmarne bałaganu, w jaki zmieniło się moje życie. Nie wiedziałam, co mam o nim myśleć ani co powinnam czuć. Czułam złość i ból. Czułam się zdradzona i zszokowana. Nienawidziłam go za to, na co mnie skazał, ale jednocześnie było mi go żal.

Robił to od tak dawna... mogłam tylko próbować wyobrazić sobie, jak bardzo pragnął się od tego uwolnić.

Miałam wrażenie, że za chwilę głowa mi pęknie. Nie byłam w stanie uporządkować tego wszystkiego, nie teraz.

– Pamiętasz – powiedziałam przez łyzy – jak wtedy w parku powiedziałeś mi, że bym nie czuła się winna tylko dlatego, że żyję, podczas gdy Richelle, mama,

babcia i *sofu* umarli? Pamiętasz to?

Kolejna kropla krwi skapnęła z jego dłoni i upadła na ziemię.

– Ty nie masz powodów czuć się winna – powiedział niskim, napiętym głosem. – To nie ty ich zabiłaś. – Spojrzał na mnie płomiennym wzrokiem. – I to nie ty skazałaś dziewczynę, którą kochasz, na to piekło.

Dziewczynę, którą kochał.

Otworzyłam usta, żeby powiedzieć mu, jak bardzo nienawidzę go za to, co mi zrobił. Albo może żeby powiedzieć mu, że ja też go Kocham. Że mu wybaczam. To byłaby prawda – zdążyłam mu już wybaczyć. Chociaż... czy na pewno?

Chciałam powiedzieć, że to nie on zabił swoją siostrę, że może to atakujący Drau zabili ją swoją bronią.

Wtedy właśnie poczułam aż nazbyt znajome zawroty głowy. Spróbowałam wstać, powiedzieć coś, ale nie zdążyłam. Świat zawirował i wybuchł feerią barw, przesywając moją głowę ostrym szpikulcem bólu.

Wyciągało mnie do gry.

Rozdział dwudziesty czwarty

Respawn był koszmar. Nie pod względem fizycznym – zdążyłam już do tego przywyknąć. Psychicznie byłam jednak kompletnie rozbita i zagubiona. Otworzyłam oczy i ujrzałam liście, trawę i znajome głązy. Na jednym z nich siedział Luka a na drugim – Tyrone.

– Co, do cholery, się stało? – zapytał Luka.

– O co ci chodzi? – odpowiedziałam pytaniem.

– Coś się stało w pizzerii. Czy ciebie i Jacksona wyciągnęło przede mną?

Co miałam mu powiedzieć? Co wolno było mi powiedzieć? Nie dostałam żadnych wytycznych... Postanowiłam powiedzieć prawdę.

– Nie wiem, ile mi wolno wam powiedzieć – stwierdziłam.

Wstał z głązu i zbliżył się do mnie. Musiałam unieść głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. Były niebieskie. Luka zmarszczył brwi i zmrużył powieki, przyglądając mi się badawczo.

Przeniosłam wzrok na Tyrone'a, potem wróciłam spojrzeniem do Luki. Strach ścisnął mi gardło.

– Gdzie jest Jackson? – wykrztusiłam.

Luka przeczesał dłonią swoje włosy.

– Miałem właśnie zapytać cię o to samo. Zawsze był tutaj przed nami.

Poczułam narastającą panikę. Przymknęłam oczy, nabrałam głęboko powietrza, wstrzymałam oddech, po czym zrobiłam powolny wydech. Jackson wciągnął mnie w to, żeby odzyskać wolność. Może mu się udało? Może komitet przystał na tę wymianę? Nienawidziłam go za to, za poświęcenie mnie, za potraktowanie mnie jak kozła ofiarnego. Ale jednocześnie pragnęłam, aby Jacksonowi się udało, żeby był wolny i bezpieczny z dala od tego wszystkiego. Tego w końcu chciał, dlatego zrobił to, co zrobił. Aczkolwiek racjonalna część mnie wiedziała, że to było mało prawdopodobne. Działo się tu coś innego.

– Wszystko w porządku, Miki? – zapytał Luka.

Chciałam się roześmiać i rozplakać jednocześnie. Podejrzewałam, że już nigdy nic nie będzie u mnie w porządku. Otworzyłam usta, żeby to powiedzieć, kiedy poczułam dziwne mrowienie. I nagle wiedziałam, co się za chwilę stanie.

– Nadchodzą – powiedziałam, choć sama jeszcze nie do końca rozumiałam, skąd to wiem.

Odwróciłam się, zanim Luka zdołał odpowiedzieć. Przede mną stały dwie dziewczyny, których nigdy dotąd nie widziałam.

„Kendra. Lien. Przeniesione z innej drużyny”.

To był głos komitetu. Słyszałam ich słowa w myślach, czułam ich zapach w nozdrzach, czułam ich smak na języku.

Przełknęłam ślinę i podeszłam do nowo przybyłych. Przeniesione z innej drużyny, czyli nie nowi rekruci. To znaczyło, że wiedzą o obcych, punktach, wynikach i całej reszcie. Nie trzeba było im niczego tłumaczyć – wystarczyło wszystkim sobie nawzajem przedstawić.

– Cześć, Lien, jestem Miki – powiedziałam, wyciągając dłoń do dziewczyny po prawej.

Była mniej więcej mojego wzrostu, o delikatnej, łagodnej twarzy okolonej ciemnymi, prostymi włosami do ramion. Oczy miała koloru niebieskiego, ale w końcu byliśmy w grze. Nie było żadnego sposobu na ustalenie, jak wyglądały w prawdziwym świecie, ale miałam przeczucie, że są piwne. Odwróciłam się do drugiej dziewczyny i pozdrowiłam ją skinieniem głowy, również wyciągając do niej rękę.

– Cześć, Kendra.

Była bardzo niska, nie miała metra pięćdziesięciu. Po obu bokach okrągłej twarzy opadały długie, blond loki.

Tyrone wstał z głazu i podszedł do nas.

– Zaraz... Ty je znasz? – zapytał.

– Kendra, Lien, to jest Tyrone – powiedziałam, skinieniem głowy wskazując

Tyrone'a. – A to jest Luka.

Spojrzałam na Tyrone'a.

– Teraz je znam – stwierdziłam. – I ty też już je znasz.

Tyrone patrzył na mnie bez słowa spomiędzy zmrużonych powiek. Wahałam się między powiedzeniem mu, że w głowie rozbrzmiewa mi głos komitetu, a zbyciem jego wątpliwości milczeniem. Kendra i Lien stały blisko siebie, dotykając się ramionami i taksując naszą trójkę nieufnymi spojrzeniami.

– Zostały przeniesione z innej drużyny – dodałam.

Tyrone uniósł brwi w zdziwieniu.

– Serio? – zapytał Luka. – Zawsze dostawaliśmy tylko nowych rekrutów.

Przeniósł wzrok na Lien.

– Od kiedy jesteś w grze?

– Od roku – odpowiedziała.

– A ja od trzech miesięcy – dodała Kendra.

– Wiecie może, dlaczego was przenieśli? – indagował dalej Luka.

Dziewczyny wymieniły spojrzenia i w oczach Kendry pojawiły się łzy. Znałam odpowiedź, zanim się odezwały.

– Wszyscy zginęli, tylko my zostaliśmy.

Cisza, która zapadła po tym stwierdzeniu, była tak całkowita, że aż huczała w uszach. Nikt z nas nie wiedział, co powiedzieć. W końcu znalazłam odpowiednie słowa.

– Teraz jesteście częścią naszej drużyny – powiedziałam. – Jesteśmy w tym razem.

Lien przełknęła ślinę, a Kendra przytaknęła, roniąc ostatnią łzę. Kierowana wewnętrznym impulsem ujęłam ją za dłoń, po czym drugą ręką sięgnęłam po dłoń Lien i uścisnęłam je pocieszająco. Ludzki kontakt, pokrzepienie bez słów. To

samo, co Richelle podarowała mi w Vegas. To samo, co zrobił Jackson, gdy przesunął palcami po grzbiecie mojej dłoni.

Poczułam gulę podjeżdżającą mi do gardła.

„Zbieramy się”.

Tym razem nie był to głos komitetu, tylko głos Jacksona. Przymknęłam oczy, nie za bardzo wiedząc, co tak właściwie czuję. Czy bardziej cieszyłam się na dźwięk jego głosu, czy też smuciłam, że jego plan nie wypalił? Złożyłam w myślach słowa: „gdzie jesteś?”. Odpowiedź jednak nie nadeszła.

Wzięłam głęboki oddech i zwróciłam się do drużyny.

– No więc gdzie jest Jackson? – zapytał Tyrone.

– Wygląda na to, że tym razem pauzuje – odparłam.

Tyrone otworzył szeroko oczy. Wiedział, że kłamię. Wszyscy doskonale zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że nikt nigdy nie pauzował.

– Jesteśmy teraz drużyną – powiedziałam do dziewczyn, spoglądając im w oczy. – Zbieramy się.

Nikt się nie poruszył. Wszyscy wpatrywali się we mnie bez słowa.

– Ruchy – ponagliłam ich.

Doskonale szło mi zastępowanie Jacksona...

Dałam dobry przykład: chwyciłam uprząż, założyłam na siebie i zapięłam. Gdy podeszłam do skrzynki z bronią, znalazłam coś, czego się zupełnie nie spodziewałam. Na ziemi obok pudełka leżała katana.

Złapałam lewą ręką za pochwę, po czym zacisnęłam prawą dłoń na rękojeści i wysunęłam szablę na kilkanaście centymetrów. Ostrze było czarne – takie samo jak nóż Jacksona. Włożyłam katanę z powrotem do pochwy i przypięłam do uprząży na plecach, upewniając się, że mogę wygodnie sięgnąć rękojeści nad ramieniem.

Gdy uniosłam głowę, zorientowałam się, że przez ten cały czas nikt się nie

poruszył. Wszyscy stali jak zamurowani i wpatrywali się we mnie.

– Miki? – zapytał Luka z wyraźnym niepokojem.

– Jacksona nie będzie.

Zrobiło mi się niedobrze. Miałam za sobą dopiero dwie misje i nagle zrobili ze mnie dowódcę. Komitet nie miał chyba pojęcia, co właściwie robi! Czy w ogóle bym przeżyła, gdyby Jackson się mną opiekował? Żaden ze mnie przywódca, ledwo potrafiłam walczyć.

„A dlaczego ci się wydaje, że masz cokolwiek do powiedzenia?”

Znowu jego głos w mojej głowie. A może to tylko wspomnienia płatają mi figle? Nie miało to znaczenia – misja odbędzie się niezależnie od tego, czy będę na to gotowa, czy nie.

Wściekła, przerażona, świadoma bezsensu wszelkich prób stawiania oporu, chwyciłam kolejną uprzęż i rzuciłam Tyrone’owi. Teraz ja odpowiadałam za niego, za nich wszystkich.

– Bierzcie broń albo nas wrzucą bez niej.

Może przekonała ich wizja starcia z Drau bez broni, a może ugięli się z powodu tonu mojego głosu – tak czy owak wszyscy sięgnęli po uprząże i broń. Zerknęłam na swój kom. Był zielony, a w rogu widniała mała mapa z trzema zielonymi trójkątami.

– Wyniki – powiedziałam na chwilę przed pojawieniem się ekranu.

Luka, Tyrone, Kendra i Lien dokończyli uzbrajanie się i ruszyli na środek polany. Zupełnie nie obchodził mnie mój wynik. Zero punktów czy tysiąc – dla mnie nie było ucieczki. Może nawet dla żadnego z nas jej nie było. Może istotnie ten cały tysiąc punktów był zwykłym kłamstwem, w końcu komitet nie udzielił mi jednoznacznej odpowiedzi. Nie odpowiedzieli na moje pytanie, czy ktokolwiek kiedykolwiek zdołał opuścić grę i odzyskać wolność. Nie miałam jednak bynajmniej zamiaru dzielenia się tym z drużyną, zwłaszcza tuż przed rozpoczęciem misji.

Dołączyłam do nich tylko z jednego powodu – chciałam zobaczyć, czy pojawi się wynik Jacksona.

Czekałam z sercem w gardle. Pojawiły się trójwymiarowe podobizny Tyrone'a i Luki, następnie Kendry i Lien, a na koniec moja.

Podobizna Jacksona nie wpłynęła jednak na ekran. Poczułam silne, obezwładniające rozczarowanie, ale zdołałam odepchnąć je na bok i skoncentrować się na czekającym nas zadaniu. Przyjrzałam się uważniej wynikom. Kendra i Lien miały całkiem wysokie noty, lepsze od moich. Świetnie radziły sobie w walce, to dobrze.

Ale... czy na pewno? Przypomniałam sobie to, co Tyrone mówił o chłopaku, którego zastąpiłam. O tym, jak kradł innym punkty. Miałam nadzieję, że z nowymi dziewczynami sytuacja nie będzie tak wyglądała. Nie wiedziałam, czy potrafiłabym sobie z tym poradzić. Ledwo byłam w stanie w ogóle zaakceptować wyprawę na kolejną misję.

Gdybym wcześniej nie widziała bardzo niskiego wyniku Jacksona, mój dorobek punktowy najpewniej by mnie przytłoczył. Jackson. Zamknęłam oczy i nabrałam głęboko powietrza, mając nadzieję...

„Skok za trzydzieści”.

Teraz już wiedziałam, skąd Jackson wiedział rzeczy, o których my nie mieliśmy pojęcia. Miał bezpośrednie połączenie z komitetem.

– Skaczemy za trzydzieści sekund – powiedziałam.

Luka rzucił mi podejrzliwe spojrzenie.

– Skąd to wiesz? – zapytał.

– Czy to istotne?

Przechylił głowę na bok i spojrzał na mnie, jakby mnie nie poznawał. Nie dziwiłam mu się. Nawet ja nie byłam pewna, czy rozpoznaję samą siebie.

#

Odrodziliśmy się w zbitej grupie. Respawn – powrót do życia w grze. Tylko co teraz było grą? To – czy życie, które dotąd znałam?

Powietrze było zatęchłe i przesycone kurzem. Mózg zalewała mi fala informacji – część pochodziła ze zmysłów, a część była wtłaczana wprost do moich myśli przez komitet. Znajdowaliśmy się w opuszczonym biurowcu w Detroit, niegdyś pięknie utrzymanym i tętniącym życiem. Komitet powiedział mi, że gdzieś tutaj, w zniszczonych, rozpadających się ruinach budynku, znajduje się niewielkie gniazdo Drau. Była noc i całe wnętrze budynku wypełniały głębokie cienie.

Rozejrzałam się, próbując się zorientować, gdzie dokładnie jesteśmy. Wyglądało to na główny hol – wysokie sklepienie, marmurowe kolumny, łuki. Sufit pokrywała mozaika wykonana z malutkich płytek, ale było zbyt ciemno, żeby rozpoznać dokładny wzór. Na drugim końcu holu można było dostrzec zerwaną żółtą taśmę policyjną, która kiedyś zagradała wejście do jednego z korytarzy. Po bliska marmurowa kolumna była czarna, jakby osmalona. Pożar? Odnotowałam to w głowie – możliwe, że struktura części piętér i pomieszczeń jest naruszona.

Zerknęłam na swój kom. Miał zieloną obwódkę, w rogu cały czas widniała mała mapa z pięcioma zielonymi trójkątami, zaś resztę ekranu zajmował przekazywany na żywo obraz holu, w którym staliśmy. Musieliśmy zejść na niższy poziom. Nie usłyszałam żadnego głosu w głowie, nie było żadnego konkretnego wskazania na moim komie, po prostu to wiedziałam. Tak jak Jackson zawsze to wiedział – wewnętrzny system ostrzegawczy przed Drau.

Zamknęłam oczy i spróbowałam odnaleźć Jacksona w moich myślach. Niestety, bezskutecznie. Bez niego czułam się zagubiona, bałam się. Czwórka ludzi polegała na mnie, liczyła na to, że ich bezpiecznie przeprowadzę przez tę misję, a ja nie wiedziałam, czy sama zdołam przeżyć.

Wiedziałam jednak, że takie myślenie zdecydowanie w niczym mi nie pomoże. Odciełam się więc od emocji i skoncentrowałam na chwili bieżącej i niczym innym. Przyszłością będę się martwić, gdy nadejdzie.

– Schody – mruknęłam.

Ruszyłam przodem, myśląc o tym, że komitet wyrzucił nas bardzo blisko Drau. Nie czekało nas kilkanaście godzin przemierzania tuneli ani nawet godzinna przebieżka jak w Vegas. Nie musiałam się jednak zastanawiać, dlaczego tak się stało, bo w jakiś sposób to wiedziałam. Nie było czasu na zachowanie zwykłych środków ostrożności, bo tym razem sprawa wyglądała na pilną.

Drzwi na klatkę schodową były otwarte. Kiedyś musiały to być bardzo piękne schody, teraz jednak były zakurzone i częściowo zawałone odłamkami, a balustrady – popękane i połamane. Rzuciłam okiem na kom – ukazywał schody biegnące w mrok. Poszłam więc w dół, prowadząc drużynę w głąb podziemi budynku.

Mijaliśmy opuszczone pomieszczenia zawałone po pas śmieciami. Nieliczne szklane drzwi, które jeszcze przetrwały, były pozaklejane gazetami. Oczekiwałam na uczucie, które zdradzi obecność Drau. Sięgnęłam w głąb siebie, aby je wydobyć, ale nic to nie dało.

Zagłębiałiśmy się coraz bardziej w mroczną czeluść podziemi. Na języku czułam cierpki smak strachu, a na barkach – przytłaczający ciężar czterech żyć, za które byłam odpowiedzialna.

Coś było nie tak, bardzo poważnie nie tak.

Uniosłam lewą rękę, wstrzymując pochód, po czym dobyłam broni i uniosłam ją tak, aby pozostali to zobaczyli. Usłyszałam cichy szelest świadczący o tym, że co najmniej jedno z nich należycie mnie zrozumiało i również dobyło broni. Nie obejrzałam się jednak, żeby się upewnić.

Stawiając ostrożnie nogi, podążałam powoli przed siebie, cały czas walcząc z chęcią odwrócenia się i ucieczki gdzie pieprz rośnie. Powoli rozejrzałam się dokoła, usiłując dojrzeć przyczynę przepełniającego mnie niepokoju, ale w zasięgu wzroku nie było absolutnie nic, tylko ciemność i cienie. Wydało mi się zabawne, że był to w zasadzie pocieszający widok – bać się należało teraz światła, nie ciemności.

Ktoś za mną nie był tak ostrożny jak ja – usłyszałam trzask drewna pękającego pod stopą. W panującej w budynku absolutnej ciszy dźwięk ten poniósł się przeraźliwym echem.

Serce ruszyło z oddechem na wyścigi. Potrząsnęłam głową, próbując odegnąć zalewające mnie uczucie, które aż nazbyt dobrze zapamiętałam z Vegas. „Wróg”. To jedno słowo rozbrzmiewało raz po raz w moim mózgu, krążyło niczym trucizna w moich żyłach, potęgując strach, przyspieszając puls i wzmagając panikę.

Nie, nie mogłam się temu poddać, nie mogłam dać się wciągnąć w to bagno.

Wyteżyłam całą siłę woli i zapanowałam nad strachem. Musieliśmy iść naprzód na spotkanie istot, które chciały nas zabić. Istot, które – jeśli tylko dać im taką okazję – zjedzą mój mózg i będą utrzymywały przy „życiu” martwe ciało, by wykorzystać mój materiał genetyczny do stworzenia armii, która ma im pomóc w zniszczeniu Ziemi.

O nie! Nie na mojej wachcie, zdecydowanie nie na mojej wachcie.

Nagle jednak powrócił strach, silniejszy, paląc mnie od środka niczym spirytus wylany na otwartą ranę.

„To pułapka! Uciekaj, Miki, uciekaj!”

Głos Jacksona jeszcze odbijał się echem w moich myślach, gdy otwierałam usta do krzyku.

– Wycofujemy się!

Obróciłam się i pociągnęłam dziewczynę stojącą za mną. To była Kendra, niski blond aniołek.

– Biegiem – warknęłam, wiedząc już jednak, że jest za późno.

Światła rozbłysły, niemal parząc moje oczy. Zamrugałam. Zawiodłam ich, zawiodłam moją drużynę, czwórkę ludzi, którzy na mnie polegali. Czy tak właśnie czuł się Jackson? Nic dziwnego, że chciał się od tego uwolnić – ciężar tej odpowiedzialności był przytłaczający.

Do moich myśli wdarł się jęk i zgrzyt metalu. To Drau! Wyginali dźwigary, przebijali się przez drzwi.

– Biegiem! Luka, zabierz ich stąd! – krzyczałam, zaciskając mocniej dłoni na walcu broni.

Strzeliłam, obróciłam się, strzeliłam ponownie. Kątem oka dostrzegłam jakiś ruch i usłyszałam odgłos szamotaniny. Chwilę potem obok mnie pojawiła się czarna chmura świadcząca o tym, że Luka mnie nie posłuchał. Został, osłaniając mnie, strzelając do świetlistych kształtów śmigających wokół nas.

Świetliste smugi mijały nas niczym wagony metra przejeżdżające przez ciemną stację. Część mnie, ta spokojna, panująca nad wszystkim, dokonała chłodnej analizy sytuacji. Moja drużyna była za mną i mnie osłaniała w dość zwartej grupie, we względnie wąskim korytarzu. Wszyscy strzelaliśmy w hordę mknących na nas Drau. Było ich zbyt wielu dla naszej piątki; część zdjeliśmy, ale ich ciągle przybywało. Byli jak szarańcza albo chmara krwiożerczych komarów.

Zrobiłam krok do tyłu, wymuszając na pozostałych cofnięcie się w stronę schodów. Drau atakowali ze wszystkich stron, przecinając mrok smugami światła. Strzał, krok do tyłu, kolejny strzał, jeszcze jeden krok, strzał... W końcu udało nam się dotrzeć do schodów. Drau byli tuż przede mną. Zaryzykowałam spojrzenie w górę klatki i z ulgą stwierdziłam, że była pusta. Żadnych świateł, żadnych obcych.

Kompletnie nie miałam doświadczenia, to była zaledwie moja trzecia misja. Dwie poprzednie ledwo przeżyłam, idąc na żywioł, a tu miałam dowodzić? Teraz to ode mnie miało zależeć, czy wszyscy wydostaniemy się stąd żywi?

– Luka! – wydyszałam. Oddychałam tak ciężko, że ledwo mogłam mówić. Zebrałam się jednak w sobie i przybrałam najbardziej stanowczy ton, na jaki było mnie stać. – Posłuchaj mnie, to rozkaz. Na mój znak musisz z całą trójką pobiec w górę schodów. Wydostańcie się z budynku, wszyscy, razem z tobą. Żadnych dyskusji.

Drau wstrzymali atak, co przstraszyło mnie jeszcze bardziej niż ich natarcie. Przegrupowywali się, zajmowali lepsze pozycje, obmyślali nowy plan. Dotąd szło nam tak dobrze tylko dlatego, że korytarz był zbyt wąski, by obcy zdołali nas otoczyć.

Nagle znów poczułam przebłysk ostrzeżenia.

– Luka – warknęłam. – Teraz!

Przełożyłam walec do lewej ręki, podświadomie odnotowując, że jego kształt dopasował się do odwrotnego układu palców. Wolną już prawą dłońią sięgnęłam przez ramię i chwyciłam rękojeść katany. Owinięte skórą drewno było przyjemnie znajome. To było coś, nad czym umiałam panować.

Za plecami słyszałam tupot stóp na schodach. Czyli Luka zrobił tak, jak mu kazałam. Reszta drużyny uciekała i już nic im się nie stanie. Musiałam tylko powstrzymać Drau wystarczająco długo, zabić ich wystarczająco dużo, aby zadowolić ten cały cholerny komitet na tyle, żeby nas wyciągnęli.

Smugi światła usiłowały przemknąć obok mnie i podążyć za moją drużyną. Nie mogłam do tego dopuścić. Z okrzykiem *kiai* rzuciłam się do przodu, wykonując szerokie cięcie. Znajdujący się przede mną Drau zamarł w miejscu, po czym rozpadł się na dwie części. Prawa upadła w prawo, lewa zaś – w lewo. Przecięłam go na pół... Poczułam wzbierające mdłości. Wróg czy nie wróg, zabicie żywej istoty w taki sposób jest straszne.

Musiałam jednak pamiętać, że albo ja ich, albo oni mnie.

Ciężko dysząc, obróciłam się i cięłam następnego, i następnego. Któryś trafił mnie swoją bronią i poczułam, jak setki odłamków światła wbijają się w ciało, powodując ostry, palący ból. Nabrałam gwałtownie powietrza i krzyknęłam. Ustałam jednak na nogach i kontynuowałam walkę, strzelając lewą ręką i tnąc prawą.

Ból, wściekłość i wszystkie urazy przejęły kontrolę nad moją świadomością, dając siłę mięśniom i odbierając strach, zamieniając mnie w istną maszynę do zabijania. Ale wrogów było zbyt wielu i nadciągali zbyt szybko. Cięłam, strzelałam, cofałam się krok za krokiem. Nagle stopa ześlizgnęła mi się z uszkodzonego schodka i straciłam równowagę. Oparłam się łokciem o barierkę, żeby nie upaść, ale nie mogłam znaleźć pewnego podparcia.

Wtedy usłyszałam za sobą kroki kogoś zbiegającego z góry. Nie zdążyłam obrócić głowy, kiedy nade mną przeleciała czarna chmura z czyjejs broni, pochłaniając Drau, który właśnie miał mnie dopaść.

W pierwszej chwili pomyślałam, że to Jackson przybył mi na ratunek. Z radością w sercu obejrzałam się przez ramię. To jednak nie był Jackson, to Luka zbiegł na dół wbrew mojemu wyraźnemu poleceniu. Chwycił mnie za łokieć i pociągnął w górę, pomagając stanąć pewnie na nogach. Bałam się, byłam wręcz przerażona, ale nie mogłam tego po sobie pokazać. Nie mogłam dopuścić do tego, żeby ktokolwiek dostrzegł mój strach.

– Kazałam wam stąd uciekać – warknęłam, tnąc najbliższego wroga.

– Nie możemy opuścić budynku do zakończenia misji – odparł, strzelając do kolejnego Drau.

– Nie możecie czy nie chcecie?

– Nie możemy, to jest fizycznie niemożliwe.

Kolejna rzecz, o której nie miałam dotąd pojęcia. Tyle musiałam się jeszcze nauczyć... Jeśli pożyję wystarczająco długo, żeby to zrobić.

– Reszta pilnuje drzwi frontowych i osłania nasz odwrót – dodał Luka.

Nie powiedział nic więcej, gdyż nadciągała kolejna fala Drau.

Nie miałam ani czasu, ani sił na finezję. Rąbałam kataną na lewo i prawo, chociaż ręka bolała mnie już tak bardzo, że miałam wrażenie, jakby lada chwila miała odpaść. Między kolejnymi cięciami strzelałam, uodporniona już na krzyki obcych pochłanianych przez czarną masę wystrzeliwaną przez naszą broń.

Oni albo ja, to była moja nowa mantra. Oni albo Luka. Moim zadaniem jest go chronić. Do mnie należy wydostać nas wszystkich z tego bagna.

Pot płynął mi po plecach wartką strugą, a ręce drżały już od wysiłku, gdy nagle zorientowałam się, że wokół mnie jest ciemno. Rozejrzałam się dokoła i nie dostrzegłam żadnej plamy światła. Nie było już żadnego Drau.

Szukałam w myślach uczucia pewności, że za chwilę nas wyciągną, ale nic takiego nie znalazłam. W głowie miałam pustkę i słyszałam wyłącznie przyspieszone bicie własnego serca.

– Skaczemy za trzydzieści? – wysapał Luka.

Pokręciłam głową.

– Nie – odpowiedziałam, starając się uspokoić oddech. – Coś jest nie tak.

Sięgnęłam za plecy i wsunęłam katanę do pochwy, po czym zerknęłam na swój kom.

– Na górę! – krzyknęłam.

Biegliśmy, przeskakując po kilka schodków. Skradanie się nie miało już naj-

mniejszego sensu. Skręciliśmy za róg i wpadliśmy do pogrążonego w półmroku holu. Reszta drużyny tkwiła przy drzwiach frontowych budynku z bronią w gotowości.

Jednego zdążyłam się już dowiedzieć o dziewczynach, które do nas dołączyły – wykonywały polecenia i nie próbowały kraść innym punktów. Żadna z nich nie czaiła mi się za plecami, gdy kazałam im uciekać. Świadomość tego była zdecydowanie pocieszająca. Nie mogłabym skoncentrować się na misji, gdybym wiedziała, że ktoś z mojej drużyny może w każdej chwili zrobić świństwo pozostałym.

– Jakies kłopoty? – zapytałam.

– Było spokojnie – powiedziała Lien – ale coś mi mówi, że to się niedługo zmieni.

Kiwnęłam głową. Miałam dokładnie te same przeczucia.

Wtedy usłyszałam stłumione odgłosy walki, a następnie ludzki krzyk bólu. Wszyscy spojrzeliśmy w górę, na sufit. Nie miałam wątpliwości, co to oznacza – nie byliśmy jedynym zespołem w budynku, a Drau, których przed chwilą z takim trudem wyeliminowaliśmy, nie byli jedynymi wrogami.

Obcy byli w całym budynku – na każdym piętrze było ich pełno. Grupa w podziemiach to dopiero wierzchołek góry lodowej. I chociaż była to dopiero moja trzecia misja, wiedziałam, że gra się zmienia. To nie było normalne – i zdecydowanie nie wyglądało dobrze.

Kolejny krzyk, jeszcze bardziej przeraźliwy.

Spojrzałam po kolei na całą czwórkę. Wszyscy wpatrywali się we mnie, oczekując instrukcji.

– Idziemy na górę – zakomenderowałam.

Czułam się wstrętnie. Prawdopodobnie właśnie wszystkich skazałam na śmierć.

– Tam są inne drużyny, musimy im pomóc.

– Zawsze działaliśmy sami – powiedział Tyrone, po czym spojrzał na Lien. – Czy wy kiedykolwiek spotkaliście inną drużynę?

Lien zacisnęła usta i pokręciła głową.

Tyrone i Luka wymienili znaczące spojrzenia.

– Kolejny etap inwazji Drau? – zapytałam.

Zagrożenie ciągle rośnie, tak jak to powiedział komitet. Całe moje ciało, od stóp do głów, przeszedł zimny dreszcz.

– To zdecydowanie nie byłaby dobra wiadomość – wyszeptała Kendra.

– Masz talent do eufemizmów – rzucił z przekąsem Luka.

– Idziemy na górę – powtórzyłam wcześniejsze polecenie. – Ale najpierw chcę zobaczyć wasze komy.

Wyciągnęli przeguby w moją stronę. Ekran Kendry i Lien były zielone. U Tyrone'a przeważała zieleń, z niewielkim dodatkiem żółtego. U Luki kolor był zielonożółty.

– Teraz twój – powiedział Luka.

– Co?

– Chcę zobaczyć twój kom – powtórzył tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Wyciągnęłam do niego rękę; ekran był żółty, z niewielką tylko domieszką zielonego.

Mina Luki stężała, ale nic nie powiedział.

– Jak tylko staną się pomarańczowe, macie się wycofać – powiedziałam twardo, patrząc po kolei każdemu w oczy.

Pamiętałam aż za dobrze, co Jackson powiedział mi o Richelle; że powinna była wycofać się, zamiast atakować.

– Na końcu wyciągną nas wszystkich – dodałam. – Nikogo tu nie zostawię. Nie wiem, co czeka nas na górze, i czy uda nam się nie rozdzielić. Niezależnie jed-

nak od wszystkiego, gdy tylko wasze komy zrobią się pomarańczowe, macie się tylko bronić, trzymać z tyłu... Macie to przeżyć.

Znad sufitu dobiegł nas kolejny wrzask, stawiając na baczność wszystkie włoski na moich ramionach.

– Macie to przeżyć – powtórzyłam.

Po chwili szliśmy już po schodach w górę, w stronę krzyków ginących członków innych drużyn.

Rozdział dwudziesty piąty

Drau dopadli nas ze wszystkich stron. Śmiertelnie niebezpieczne smugi światła. Było ich tak wielu, że przypominali szarańczę obsiadającą pole uprawne. W moich ruchach nie było już elegancji, po wyrafinowanych *kata* wyuczonych na treningach kendo nie pozostał najmniejszy ślad. Był tylko ciężar miecza, zmęczenie mięśni, spływający strumieniami pot i drażący coraz głębiej strach. Zewsząd dobiegały krzyki bólu. Kątem oka dostrzegłam, że ktoś z innej drużyny pada na ziemię i przestaje się ruszać.

Ciężko dysząc, strzelałam do wszystkiego, co się świeciło, prąc naprzód. Po paru krokach natknęłam się na kolejne nieruchome ciało kogoś z innej drużyny. Wokół nas szalało piekło – krzyki zagrzewające do walki mieszały się z wrzaskami rannych i konających. Powietrze przesycił koszmarny fetor krwi i przypalonego ciała. Przypadłam plecami do ściany przy leżącej dziewczynie, opuściłam prawą rękę, drugą ciągle strzelając, i przytknęłam dwa palce do jej szyi tuż pod brodą. Nie wyczuwałam nawet najłżejszego pulsu czy oddechu. Nie patrząc na nią, chwyciłam ją za ramię i przewróciłam na plecy. Jej ręka przesunęła się w bok i kątem oka dostrzegłam ekran jej koma – czerwony, tak jak u Richelle. Dziewczyna nie żyła.

Poczułam głęboki żal, chociaż zupełnie jej nie znałam. Nie spojrzałam nawet na jej twarz, nie chcąc przeoczyć nagłego ataku któregoś z Drau, nie wiedziałam więc, jak wyglądała. I nigdy się już tego nie dowiem. Niemniej jednak było mi jej żal, było mi żal ich wszystkich. Byliśmy w tym przeklętym budynku już od wielu godzin, może nawet kilku dni. Przeczesywaliśmy piętro po piętrze, mozolnie oczyszczając kolejne pomieszczenia z obcych.

Drużyna dobrze wypełniała moje polecenia. Trzymała się razem, starając się nie spuszczać z siebie nawzajem oczu. To był najlepszy sposób na zachowanie wszystkich przy życiu. Ja działałam samodzielnie. Luka z początku nie chciał na to przystać, ale koniec końców ustąpił. Jedną z zalet dowodzenia – inni musieli mnie słuchać. Właściwie to była jedyna zaleta.

Po prawej dostrzegłam czających się Lukę z Tyrone'em. Przykucnęli pod ścianą, schowani za metalową szafką na dokumenty, wychylając się tylko w celu oddania strzału. Ich widok dodał mi otuchy. Dzięki nim odzyskałam nadzieję, że może w jakiś sposób uda nam się stąd wydostać.

Bo wycofanie się nie wchodziło w grę.

Drau z kolejnej grupy byli silniejsi, szybsi i dużo więksi niż jacykolwiek ze spotkanych dotąd we wszystkich misjach. Nie mogliśmy pozwolić im wrócić na statek macierzysty czy skądkolwiek tu przybyli. Za wszelką cenę musieliśmy im przeszkodzić w ostrzeżeniu reszty nadciągającej armii o tym, co się dzieje na Ziemi. Nasza jedyna nadzieja była w tym, że nie będą się spodziewać silnego oporu. Sama nie rozpatrywałam tego w taki sposób, dopóki Luka nie zwrócił mi na to uwagi. Gdy jednak tylko o tym wspomniał, podświadomie wiedziałam, że ma rację. Pomyślałam o wszystkich ukochanych osobach, o bezpieczeństwo których walczyłam – o tacie, Carli, Kelley, Dee, Sarze, cioci Gale, moich kuzynach. Losy tylu osób zależały od nas i tego, co robiliśmy.

Pomyślałam o Jacksonie i o tym, że nie zdążyłam mu powiedzieć, co czuję, jaka jestem na niego wściekła za to, co mi zrobił – ale i jak bardzo mi na nim zależy.

Odepchnęłam jednak te myśli – nie chciałam teraz zaprzętać sobie tym głowy, to zbyt bolesne. Rozstaliśmy się, gdy on był przekonany, że go nienawidzę i nigdy nie będę w stanie wybaczyć tego, co zrobił. Ja jednak chyba mogłam mu to wybaczyć, zwłaszcza po tym, co zobaczyłam od początku tej misji. Drau zabijają nas wszystkich – wszystkich ludzi na Ziemi – gdy tylko damy im na to szansę. Jeśli mogłam zrobić cokolwiek, żeby tej szansy nie dostali, to właśnie to zrobię. Dziadek wpoił mi zasady lojalności, odwagi i honoru. Gdyby *sofu* był przy mnie, stanąłby do walki bez wahania.

Z sąsiedniego pomieszczenia wypadł nagle jakiś chłopak i rzucił się płasko na brzuch, sunąc między opuszczonymi boksami biurowymi. Za nim wpadła smuga światła i dostrzegłam dłoń Drau trzymającą broń – płynną, galaretowatą, metaliczną, gładką śmierć. Ale moja broń też potrafiła nieść śmierć. Wycelowałam i w myślach nakazałam jej wystrzelić. Posłuchała polecenia, ale strzał chybił. Obcy błyskawicznie obrócił się w moją stronę.

Przewyciężyłam ogarniającą mnie panikę, poprawiłam cel i strzeliłam ponownie...

Ciemna chmura z mojego cylindra pochłonęła obcego.

W tym czasie chłopak wciąż sunął po podłodze. Teraz wyhamował tuż przy mnie, ciężko dysząc. Jego krótkie, czarne włosy były całkiem mokre i ciasno oblepiały czaszkę cienkimi kosmykami. Wyraz twarzy nowo przybyłego był bardzo ponury.

Chłopak nie spojrzał na mnie ani też w żaden sposób nie podziękował za uratowanie mu życia. Zresztą nie musiał tego robić. Lada chwila role mogły się odwrócić i to on mógł ratować moją skórę. Wodził wzrokiem po okolicy, gotów w każdej chwili zaatakować. Wolną ręką sięgnął do szyi leżącej dziewczyny, chcąc najwyraźniej sprawdzić jej puls. Nie odezwałam się ani słowem, pozwalając mu samemu poznać smutną prawdę. Desperacja, z jaką próbował się tu do niej przedostać, świadczyła wyraźnie o tym, że oboje byli z jednej drużyny. Może ta dziewczyna wiele dla niego znaczyła...

Jak Jackson dla mnie.

Zastanawiałam się, czy on gdzieś tu jest? Na jednym z pięter tego diabelnego budynku, walcząc z hordami Drau?

A może jego plan się jednak powiódł i komitet zwrócił mu wolność?

Miałam nadzieję, że udało mu się wydostać z gry. Nie chciałam, żeby musiał tutaj walczyć tak jak my. Chciałam, żeby był bezpieczny. Żeby był wolny...

W głębi duszy wiedziałam jednak, że moja nadzieja jest płonna.

Gdyby odzyskał wolność, nie mógłby przemawiać do mnie w myślach.

Kucający obok mnie chłopak wciąż trzymał dłoń przy szyi martwej dziewczyny, tak jakby sądził, że jeśli będzie czekał wystarczająco długo, jej serce zacznie ponownie bić. Do pomieszczenia wpadła kolejna smuga światła. Zerwałam się na nogi, wycelowałam i strzeliłam. Pudło. W moją stronę poleciało coś dużego i ciężkiego – zaskoczona nie zdążyłam się uchylić i odłamany kawał blatu biurka uderzył mnie w nogę. Przed oczami zobaczyłam jaskrawy kwiat bólu.

Nabrałam gwałtownie powietrza i zachwiałam się, usiłując zmusić nadwreżone mięśnie do posłuszeństwa.

Drau sunął w moją stronę. Z okrzykiem *kiai* rzuciłam się w jego stronę, prze-

nosząc ciężar ciała na zdrową nogę i mocno się chwiejąc. Oddawałam strzał za strzałem, ledwo utrzymując rękę prosto z powodu siły odrzutu, resztkami siły woli wysyłając w stronę obcego czarną, lepka śmierć. W końcu któryś strzał sięgnął celu i Drau zniknął. Zdążył jednak wystrzelić chmurę świetlistych igieł, które wbiły się boleśnie w mój bok. Dobiegł mnie też jego krzyk bólu i przerażenia.

Powstrzymując jęk, oparłam się o ścianę i osunęłam na ziemię.

Wtedy dopiero zorientowałam się, jak całkowita cisza panuje wokół. Słyszałam każdy swój oddech, a także oddechy wszystkich obecnych.

Moja drużyna była w zasięgu głosu. Moja drużyna... Zaczynałam myśleć, jakbym istotnie była dowódcą. Jackson kilkakrotnie mówił mi, że nie chciał, abym starała się współpracować w ramach drużyny. Teraz to było oczywiste. Chciał, żebym to ja kierowała drużyną. Na tę myśl naszała mnie chęć wybuchnięcia histerycznym śmiechem jak wtedy przed domem, gdy rozmawiałam z Luką. Zdołałam się jednak opanować i skoncentrować na bieżącym zadaniu. Musiałam wiedzieć, ilu Drau zostało na tym piętrze, ilu jest tu jeszcze ludzi.

– Luka, Tyrone – rzuciłam.

Gdy spojrzeli na mnie, skinęłam głową w lewo.

– Rozpoznanie.

Kiwnęli głowami i bez słowa ruszyli we wskazanym kierunku.

– Kendra, Lien.

Skinęłam głową w prawo, wysyłając dziewczyny na zwiad po drugiej stronie ściany.

Dźwignęłam się na nogi, abym mogła osłaniać obie dwójki. Udo bardzo mocno zaprotestowało. Spojrzałam na nie, ale na szczęście nie dostrzegłam krwi. Cóż, tyle dobrego. Kucający cały czas obok mnie ciemnowłosego chłopaka również wstał. Twarz miał całą mokrą od potu albo może od łez. Z zaciętą determinacją w oczach przysunął się do mojego boku. Dwójka obcych sobie ludzi połączonych wspólnym celem i wspólnym wrogiem.

– To piętro jest puste – powiedział Tyrone, gdy tylko wrócili z Luką.

Około minuty później nadeszły Kendra i Lien z takimi samymi wieściami.

– Idziemy wyżej – zdecydowałam.

– Którymi schodami? – zapytał Luka.

– Na końcu waszego korytarza były schody? – zapytałam zdziwiona.

Kiwnął głową.

Spojrzałam na Lien.

– I po waszej stronie też były?

Dziewczyna również kiwnęła głową.

Gdy dodamy klatkę schodową, którą się tutaj dostaliśmy, mieliśmy trzy drogi na górę do wyboru.

– Powinniśmy podzielić się na trzy zespoły i sprawdzić je wszystkie – powiedział Luka, przyglądając się z zaciekawieniem stojącemu obok mnie chłopakowi.

– Powinniśmy się trzymać razem – zaproponowała Lien.

Przypomniałam sobie, jak w jaskiniach powiedziałam dokładnie to samo do Jacksona. Pamiętałam dobrze, jak zareagował, jak chciał, żebym sama doszła do tego, jak powinniśmy postąpić. Żebym to ja podjęła decyzję. Wtedy zupełnie nie rozumiałam jego zachowania. Dopiero teraz wszystko zaczynało do siebie pasować. Cały czas przygotowywał mnie do zajęcia jego miejsca.

Myślenie o tym, o *nim*, sprawiało mi fizyczny ból, odegnałam więc te myśli.

– W grupie bezpieczniej – wymamrotałam pod nosem. – Jeśli jednak nie obstawimy wszystkich wyjść – dodałam już głośniej – część obcych może się niepostrzeżenie wydostać.

Zupełnie nie podobała mi się decyzja, którą za chwilę miałam podjąć. Nie chciałam rozczłonkować swojej drużyny, ale w kontekście misji był to najlepszy możliwy wybór.

– Rozdzielamy się – powiedziałam. – Jak masz na imię? – spytałam czar-nowłosego chłopaka.

– Tom.

Kiwnęłam głową.

– Miki.

Nie zwracałam sobie głowy przedstawianiem reszty, skoro i tak za chwilę wszyscy mieliśmy się rozejść. I tak by pewnie nie zapamiętał wszystkich imion.

– Pokażcie mi swoje komy – poleciłam.

Wyciągnęli swoje przeguby w moją stronę. Każdy miał żółty ekran z mniej lub bardziej pomarańczowym zabarwieniem. Ich ubrania były podarte, na twarzach mieli kurz wymieszany z potem, a w oczach wyczytać można było zmęczenie i desperację. Podejrzywałam, że ja sama dla nich wyglądam podobnie.

Zanim zdołałam cokolwiek powiedzieć, Luka chwycił mój przegub i obrócił go tak, żeby wszyscy mogli zobaczyć ekran mojego koma. W rogu wciąż znajdowała się mała mapa z trójkątami. Większość ekranu zajmował widok naszego otoczenia. Ramka jednak straciła nawet najlżejszą sugestię koloru zielonego; była ciemnożółta i mocno zbliżała się do koloru pomarańczowego.

Luka spojrzał mi głęboko w oczy, ale nie dałam mu okazji powiedzenia cze-gokolwiek.

– Luka, Tyrone – skinęłam głową w stronę korytarza, który przed chwilą sprawdzili.

– Kendra, Lien – skinęłam głową w drugą stronę.

– Tom, ty pójdziesz ze mną.

Zaczekałam jeszcze chwilę, spoglądając każdemu w oczy.

– Pamiętajcie, co wam mówiłam o kolorze pomarańczowym – powiedziałam.

– Ty też o tym pamiętaj – rzucił Luka z poważną miną, po czym odwrócił się

i ruszył za Tyrone'em.

#

Wejście po schodach nie było łatwe. Ranna noga nie była w stanie utrzymać całego ciężaru mojego ciała, musiałam więc wchodzić po jednym schodku, opierając się głównie na zdrowej nodze. W drodze na kolejne piętro nie spotkaliśmy nikogo, ale kiedy tylko opuściliśmy klatkę schodową, znaleźliśmy się w samym środku zażartej bitwy. Drau było tak wielu i byli tak oślepiająco jaśni, że ludzkie sylwetki walczące z nimi były ledwie ciemnymi zarysami wijącymi się w śmiertelnym tańcu.

Nie było czasu na obmyślanie planu, oboje mogliśmy tylko oprzeć się o siebie plecami i strzelać, strzelać i strzelać. Moje udo protestowało coraz głośniej, ale nie mogłam sobie pozwolić nawet na chwilę przerwy.

Nigdzie nie widziałam Luki, Tyrone'a, Lien czy Kendry.

Ani Jacksona.

Nie mogłam nawet mieć pewności, że on w ogóle gdzieś tu jest. Jeśli jednak był, jeśli wysłali go do tego piekła... Pozostawało mi mieć nadzieję, że jeszcze żyje.

Nagle instynkt nakazał mi schylić się, ale moje kończyny nie reagowały już tak szybko, jak powinny, i zrobiłam to zbyt późno. Poleciałam do przodu z wygiętymi plecami i rozrzuconymi ramionami. Miałam wrażenie, że cały grzbiet i kręgosłup płoną mi żywym ogniem. Jeśli oberwałam z tyłu, to znaczyło... Obróciłam się akurat na czas, żeby zobaczyć Toma osuwającego się na ziemię. Smuga światła wystrzeliła w moją stronę i poczułam nagły skok adrenaliny.

Chwyciłam rękojeść miecza i dobyłam go, płynnie przechodząc od razu do cięcia. Mojego ciosu zdecydowanie nie można było nazwać finezyjnym ani eleganckim. Ale był skuteczny. Pierwszy Drau padł, ale nadciągali kolejni. Cięłam i siekłam brzydkimi, krótkimi ruchami. Zero efektywności, czysta efektywność. Obcy wciąż jednak nacierali. W miejsce każdego zabitego momentalnie pojawiała się kilku nowych.

Kolejne strzały, palące odłamki światła, sięgały ciała, przecinając skórę, mięśnie i kości, za każdym razem wyciskając z moich płuc wrzask bólu.

Nogi się pode mną ugięły i opadłam na kolana, ale wciąż walczyłam.

Gdy po kolejnym ciosie obróciłam głowę w stronę następnego wroga, spojrzalam prosto w wylot jego broni. Nie zdążyłam nawet obrócić ostrza katany do kolejnego ciosu, kiedy lufa rozbłysła jaskrawym światłem. Całe pole widzenia, wszystkie myśli wypełnił mi boleśnie intensywny rozbłysk światła. Mięśnie nie chciały mnie słuchać; byłam zbyt zaskoczona, żeby nawet czuć strach. Nie chciałam tu umierać, klęcząc na brudnej podłodze. Nie chciałam umierać!

Światło ruszyło w moją stronę – nie było już dla mnie ucieczki.

Nagle jakiś cień przesłonił pędzące ku mnie świetliste igły.

– Miki!

To był Jackson, kolejny raz zasłaniający mnie swoim ciałem przed strzałem Drau, przyjmujący cały impet uderzenia na klatkę piersiową.

Serce zamarło mi w piersi.

Jackson!

Stał przede mną przez chwilę, bez ruchu, bez słowa, po czym bezwładnie osunął się na ziemię.

– Jackson! – krzyknęłam.

Nie odpowiedział. Leżał bez ruchu na podłodze tuż przede mną.

Wzrok przesłoniła mi czerwona mgła, a serce wypełniło się czystą nienawiścią. Ze wściekłym krzykiem poderwałam się na nogi, ignorując ból w kończynach, i zaatakowałam. Strzał, cięcie, strzał. Smuga światła zgasła, a po niej kolejna i kolejna. Byłam niczym dzika bestia broniąca rannego towarzysza, warcząc, strzelając i tnąc wszystko, co mogło stanowić zagrożenie. Aż do chwili, kiedy nie było już żadnego wroga, nie było już kogo zabijać.

Stałam, ciężko dysząc, w morzu połamanych mebli, pokruszonych ścian i leżących bez ruchu ciał. Poziom adrenaliny, która utrzymywała mnie cały czas na

nogach, powoli opadał. Wrócił ból i ranna noga ugięła się pode mną. Sięgnęłam do niej ręką i wyczułam pod spodniami silną opuchliznę. Chyba miałam złamaną kość udową, stało się to pewnie, gdy dostałam białym biurka ciśniętym przez jednego z Drau piętro niżej.

Nie miało to zresztą znaczenia, liczył się tylko Jackson.

Przesunęłam się w jego stronę, zaciskając zęby z bólu.

– Jackson – powiedziałam słabym głosem, rozglądając się dokoła i wypatrując zagrożenia.

Dokoła panował jednak zupełny spokój. Żadnego ruchu ze strony ludzi czy Drau. Żadnego dźwięku. Nic, całkowity bezruch.

– Jackson – powtórzyłam jego imię.

Każda sylaba była okupiona dużym wysiłkiem i bólem poobijanych żeber. Ale on nie odpowiadał.

Przesunęłam się z jękiem, aby móc sięgnąć jego głowy. Obróciłam do siebie jego twarz. Nie miał swoich okularów; pewnie spadły mu z nosa w ogniu walki, albo może zdjął je celowo, aby użyć swojego wzroku przeciwko Drau? Całą skórę miał pokrytą brudem zmieszany z potem i krwią ciekącą z rozcięcia na policzku. Jego włosy były zmatowiałe od brudu i kurzu, ale mimo to w moich oczach był kimś absolutnie najpiękniejszym.

Sięgnęłam do jego szyi i przyłożyłam palce do tętnicy, wstrzymując oddech. Oddałabym wszystko za to, żeby wyczuć...

Tak! Był puls, słaby i powolny, ale zdecydowanie był.

Wydałam z siebie dźwięk będący połączeniem szlochu i śmiechu.

Sięgnęłam ręką do jego przedramienia i obróciłam je, żeby zobaczyć ekran jego koma.

Przerażenie ścisnęło mnie za gardło i odebrało oddech. Ekran był prawie czerwony. Nawet nie, nie prawie. Był czerwony, z bardzo nikłym, ledwo zauważalnym pomarańczowym zabarwieniem. Jackson umierał.

Rozejrzałam się nerwowo, powoli poddając się panice, chcąc zawołać po pomoc. Ale czyją? Kto nam pomoże? Nie wiedziałam nawet, czy ktokolwiek inny pozostał przy życiu. Luka? Tyrone? Czułam się, jakby ktoś przepuścił moje serce przez maszynkę do mielenia mięsa.

– Jackson – wyszeptałam ponownie, składając dłonie na jego policzkach.

Nagle poruszył powiekami. Łzy napłynęły mi do oczu. Po chwili z trudem otworzył oczy i spojrzał na mnie.

– Miki – wyszeptał, unosząc lekko kącik ust w cieniu uśmiechu. – Nic ci nie jest.

Mylił się, zdecydowanie było mi wiele rzeczy. A na pewno będzie ze mną bardzo źle, jeśli on skona teraz w moich ramionach.

– Nie waż mi się umierać – powiedziałam przez zaciśnięte zęby. – Nie waż mi się, do jasnej cholery, umierać.

– Ciii, nie wyrażaj się – powiedział słabym głosem, zamykając oczy. – Dlaczego... wydaje ci się... że... masz... cokolwiek... do powiedzenia?

Zamarłam.

– Jackson! – jęknęłam, klepiąc go w policzek. – Jackson!

Otworzył na powrót powieki i utkwiał wzrok w jego pięknych oczach. Oczach Drau, które potrafią kraść siłę życiową innych. Oczach, które już raz uratowały mu życie...

– Spójrz na mnie – rozkazałam twardo.

Źrenice mu się rozszerzyły i odwzajemnił spojrzenie.

– Bierz, ile potrzebujesz – powiedziałam. – Słyszysz mnie, Jackson? Bierz, ile potrzebujesz.

Przez chwilę chyba nie rozumiał, o co mi chodzi, ale potem w jego oczach wyczytałam najpierw zrozumienie, a następnie przerażenie.

– Nigdy – jęknął. – Miki. Kocham. Cię.

Łzy popłynęły mi po twarzy szerokim strumieniem. Wytarłam je wierzchem dłoni, po czym chwyciłam mocniej jego twarz.

– Myślisz, że możesz to tak po prostu zrobić? – wyszlochałam. – Myślisz, że możesz mi powiedzieć, że mnie kochasz, a potem zwyczajnie umrzeć? Myślisz, że możesz mnie zostawić w tej grze i samemu uciec? Ty draniu!

Jego powieki znowu opadły. Chwyciłam go za ramiona i potrząsnęłam. Potem jeszcze raz. I znowu. Nie mogłam przestać.

– Otwieraj oczy! Otwieraj je. Spójrz na mnie! Spójrz na mnie i powiedz, że mnie kochasz. Jackson, spójrz na mnie.

Gdy ponownie otworzył oczy, były wolne od emocji – wolne od bólu, wolne od strachu. To mnie przerażyło najbardziej. Zrozumiałam, że mnie zostawia. Że pogodził się już ze śmiercią.

Nie chciał zaryzykować zabicia mnie tak samo, jak zabił swoją siostrę. Nie chciał pobrać ode mnie wystarczająco wiele siły życiowej, aby utrzymać się przy życiu, dopóki nas nie wyciągną.

Cóż, skoro on sam nie weźmie, może mnie uda się to dać. To nie jest kradzież energii, jeśli sama mu ją zaoferuję, prawda?

– Nie wybaczam ci – warknęłam. – Po prostu nie. Musisz mnie błagać. Musisz pozostać przy życiu i starać się zasłużyć na moje przebaczenie za skazanie mnie na to piekło. Spójrz na mnie, Jackson, i żyj. Masz żyć, żebyś mógł mi wynagrodzić wszystko, co zrobiłeś. Jesteś mi to winien. Słyszysz mnie?

Wybuchłam rwanym szlochem. Opuściłam głowę i przytuliłam swój policzek do jego.

– Kocham cię – wyszeptałam. – I nie pozwolę ci umrzeć.

Uniosłam na powrót głowę, ujęłam jego twarz w dłonie i spojrzałam mu głęboko w oczy. Z początku nic się nie działo, ale potem gdzieś w głębi pojawił się jakiś błysk. Błysk czegoś mrocznego i niebezpiecznego. Wręcz drapieżnego. Tak!

– Drzemią w tobie instynkty Drau – wyszeptałam. – Wypuść je, pozwól im tobą zawładnąć.

Wpatrywałam mu się cały czas w oczy, myśląc tylko o tym, jak bardzo zależy mi na tym, żeby przeżył. Jak bardzo chcę, żeby wziął ode mnie wystarczająco dużo życia, żeby przetrwać.

– Miki, nie...

Bał się, był wręcz przerażony. Spróbował wyszarpnąć swoją głowę z mojego uścisku i odwrócić wzrok, ale było już za późno. Czułam to, czułam ból, który towarzyszył wysysaniu ze mnie życia przez Drau. Tylko że tym razem to nie był żaden obcy, tylko Jackson. A ja oferowałam mu swoje życie dobrowolnie, chociaż on tego nie chciał. Spróbował jeszcze raz odwrócić wzrok, ale nadaremnie.

„Skok za trzydzieści”.

Głos komitetu w mojej głowie.

Trzydzieści sekund. Musiał wytrzymać jeszcze przez zaledwie trzydzieści sekund. Ja musiałam wytrzymać jeszcze tylko trzydzieści sekund. Wtedy wyciągną nas oboje.

Oboje będziemy bezpieczni.

Tym razem.

#

Ocknęłam się w pizzerii, stojąc w przejściu między stolikami w połowie drogi do wyjścia. Mój wzrok padł na przeszklone drzwi i ulicę zalaną popołudniowym, jesiennym słońcem. Zadrżałam, gdy ktoś dotknął moich pleców. Obróciłam się, gotowa rzucić się Jacksonowi na szyję.

Ale to nie był on.

Za mną stała Carla.

Gdzieś w głębi myśli tkwiło wspomnienie tego, co stało się tuż przed tym, jak komitet mnie wrzucił z powrotem do prawdziwego świata. Miałam wrażenie, że od czasu, gdy wyskoczyłam zza stołu i ruszyłam do drzwi, minęła cała wieczność... Podczas gdy według rachuby czasu Carli minęła zaledwie sekunda, jeśli nie mniej.

Przypomniałam sobie, że Carla chciała, żeby Jackson wypuścił ją zza stolika.

– Wszystko w porządku? – zapytała, obejmując mnie ramieniem w talii w geście wsparcia i wybaczenia.

Spojrzałam nad jej ramieniem i dostrzegłam Lukę. Odetchnęłam z ulgą – żył, udało mu się wydostać! Poczułam, jak Carla wzmacnia chwyt, starając się utrzymać mnie w pionie.

„Tyrone?” – zapytałam bezgłośnie, poruszając tylko ustami. Kiwnął lekko głową. Zamknęłam oczy i ponownie odetchnęłam z ulgą. Czyli obaj przeżyli. „Kendra? Lien?”. Dwa lekkie kiwnięcia.

Przesunęłam wzrok na nasz stolik, na Jacksona...

...którego tam nie było.

Nabrałam gwałtownie powietrza i zrobiłam krok do przodu, wyswobadzając się z uścisku Carli. Zakręciłam się dokoła, przeczesując wzrokiem cały bar.

Ale Jacksona nigdzie nie było.

Przekład: Jakub Radzimiński

Redakcja: Jerzy Wachowski

Korekta: Katarzyna Włodarczyk-Gil, Ilona Siwak

Projekt okładki: Tomasz Majewski

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-372 Warszawa, ul. Foksal 17

tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-1610-1

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal

Sp. z o.o.

i Marcin Kapusta / Virtualo Sp. z o.o.

¹ „Noszę swoje ciemne okulary nocą” – pierwsza linijka tekstu do utworu Coreja Harta *Sunglasses At Night* – przyp. tłum.

